



# MALARZ CIENI

**ESTEBAN MARTÍN**

# MALARZ CIENI

ESTEBAN MARTIN

Z hiszpańskiego przełożyła

ANNA JĘCZMYK



Tytuł oryginału: EL PINTOR DE SOMBRAS

Copyright © Esteban Martín 2009 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros

A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Anna Jęczmyk 2010

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Gaspar Joseph Sagarra/Digital Bank

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-182-7 (oprawa twarda)

ISBN 978-83-7659-181-0

(oprawa miękka)

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.gandalf.com.pl](http://www.gandalf.com.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I/oprawa miękka

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Mojemu ojcu,  
który zasługuje na więcej*

*W moim przypadku obraz  
to suma destrukcji.*

PABLO PICASSO

# Pewnego razu poznałem...

*Notre-Dame-de-Vie, marzec 1973 roku*

*Nazywam się Pablo Picasso i poznałem najstydniejszego mordercę świata.*

Manuel Pallarés przeczytał pierwsze zdanie zapisane w starym bloku rysunkowym. Grube okładki, pomarszczone i zniszczone, skrywały mnóstwo niewielkich szkiców i rysunków.

Mimo podeszłego wieku Pallarés co roku wyjeżdżał z synem na dwutygodniowe wakacje z Picassem. Zatrzymywali się w Cannes, skąd co dzień rano kierowca wioził ich do Mougins. Starzy przyjaciele spędzali całe dnie w Notre-Dame-de-Vie, wspominając dawne czasy, a wieczorem ten sam kierowca odwoził ich do Cannes. Manolo dobrze znał Picassa. Wiedział, że artysta nie przepada za towarzystwem starszych osób, które przypominają mu o jego własnym wieku, i że wpada w panikę na samą myśl o tym, iż jego przyjaciel mógłby umrzeć w jego domu, choć Manolo był doprawdy w doskonałej formie w porównaniu z Picassem, który od czasu operacji prostaty niedomagał. Pablo już od wielu dni chorował

na dość nietypową grypę i zdaniem Pallarésa, nie wyglądało to najlepiej. Mimo to stary raptus wciąż palił papierosy.

Pallarés podał rękę przyjacielowi. Pablo, malarz o promiennym spojrzeniu, ujął ją delikatnie prawą dłonią, jakby się wahał. Na jego wspaniałej twarzy malowały się ból i rozgoryczenie. Potem opuścił powoli dłoń na niewielki stolik pokryty plamami zaschniętych farb, na którym piętrzyły się pędzle i ołówki. Błat stołu był jak jeden z obrazów w przestronnej pracowni malarza, lśniły na nim harmonijnie połączone zieleń, błękity i odcienie ochry.

Niemal natychmiast do pokoju wkroczyła Jacqueline i oznajmiła, że dziennikarka już przyszła. Pallarés był zaskoczony, bo jego przyjaciel nie przepadał za udzielaniem wywiadów.

- Wprowadź ją – polecił Picasso.
- Wywiad? – zdziwił się Pallarés, gdy zostali sami.

Picasso nie odpowiedział.

Dziewczyna weszła do pracowni. Nazywała się Isabel Queralt i była korespondentką paryskiej „La Vanguardii”.

– Zawsze lubiłem „La Vanguardię” – powiedział Picasso, wskazując jej miejsce i pytając, czy ma ochotę na kawę.

– Poproszę wodę – odparła, gdy już przywitała się zarówno z Picassem, jak i z Pallarésem i podziękowała za zgodę na udzielenie wywiadu.

Była piękną dwudziestosześcioletnią kobietą, ubraną w klasycznie skrojony kostium. Kiedy usiadła, uwagę Picassa przykuły jej długie zgrabne nogi.

Nigdy się nie zmieni, pomyślał Pallarés.

Pierwsza część wywiadu dotyczyła życia malarza i różnych okresów jego twórczości. Pallarés odniósł wrażenie, że pytania

są dość typowe i banalne. Później jednak zaczęły być bardziej interesujące.

– W młodości bardzo oszczędnie używałem kolorów – powiedział Picasso, odpowiadając na pytanie.

– Czy ma pan zły charakter? Podobno marszand Kahnweiler drżał, gdy marszczył pan brwi.

To pytanie zaskoczyło Picassa.

– Po prostu mam charakter – odparł oschle.

– Jak brzmi najlepsza rada, której panu udzielono?

– Dużo seksu i czerwonego wina, tak mi poradził mój lekarz.

– Jest pan nazywany pustelnikiem z Mougins.

– Nikt nie trzyma mnie tu siłą, jeśli o to pani chodzi. Malarz potrzebuje samotności, tego nauczyłem się od ojca.

– Proszę powiedzieć mi o swoich relacjach z kobietami.

– Co mam pani powiedzieć? Wszystkie kochałem.

Dziennikarka nie była zachwycona tą odpowiedzią.

– Dora Maar powiedziała kiedyś, że być może jest pan nadzwyczajnym artystą, ale jeśli chodzi o moralność, człowiekiem nikczemnym.

– Być może miała rację.

– Powiedziała również: „W życiu nikogo nie kochałeś. Nie potrafisz kochać”.

– Tu się myliła. Jak mówiłem, kochałem te wszystkie kobiety, a ją nawet bardzo. – Po chwili milczenia artysta dodał: – Moja matka powiedziała kiedyś Oldze, mojej pierwszej żonie: „Nie sądzę, by jakaś kobieta mogła być szczęśliwa z moim synem”. Być może trafiła w sedno, choć o to należałoby spytać Jacqueline... Ale myślałem, że będziemy rozmawiali o moich pracach.



Dziennikarka zrozumiała, że te pytania nie przypadły malarzowi do gustu.

– Jest pan pierwszym malarzem, który za życia znalazł się w Luwrze. Jakie to uczucie?

– Jestem również pierwszym malarzem, którego obrzucono taką ilością obelg – dodał żartobliwie. – Co mam pani powiedzieć? Wystawę obejrzało ponad osiemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Cała masa. Zawsze malowałem tak, jak chciałem, i zadaję sobie pytanie, czy to może być ciekawe dla tylu ludzi.

– Jest pan najsłynniejszym malarzem na świecie.

– Nikomu nie życzę takiej sławy, nawet wrogowi... Sprawia, że fizycznie jestem chory... Bronię się przed tym, jak mogę... Dzień i noc chowam się w czterech ścianach, zamykam drzwi na dwa zamki, ale cisną się tłumy ludzi, nawet mnie szpiegują, używając do tego lornetek. To szaleństwo.

– Jest pan bardzo bogaty.

– Już od dawna pieniądze nie stanowią dla mnie problemu, ale wciąż pamiętam czasy, kiedy ich nie miałem. Pani nie potrafi sobie nawet wyobrazić, co to znaczy.

– Pomówmy o *Pannach z Awinionu*,

– Nigdy nie opowiadam o swoich obrazach. O tym konkretnie dużo napisano.

– Ale co pan o nim myśli?

– Ja nie myślę, lecz maluję. – Picasso zrozumiał, że dziewczyna nie zamierza zmienić tematu. – Obraz pozostawał w ukryciu do tysiąc dziewięćset szesnastego roku, ponieważ wcześniej nikt go nie rozumiał.

– A teraz, gdy wylano już morze atramentu, pisząc o nim, sądzi pan, że jest zrozumiała?

– Nie. Ale pozwólmY krytykom wykonywać ich zawód. Jak

pani wie, to André Salmon poprosił mnie wtedy o ten obraz, bo chciał go pokazać na wystawie, potem wyjąłem go z ram i schowałem. Kilka lat później, w tysiąc dziewięćset dwudziestym...

– Dwudziestym pierwszym – poprawił go Pallarés, wtrącając się do rozmowy.

– ...André Breton przekonał projektanta mody Jacques'a Douceta, by kupił ten obraz. Po śmierci Douceta jego żona sprzedała *Panny* galerii Seligmann, która ma siedzibę w Paryżu i w Nowym Jorku, a kilka lat później obraz kupiło nowojorskie Muzeum Sztuki Współczesnej.

– To wszystko już wiem – powiedziała dziennikarka. – Chciałam dowiedzieć się czegoś o powstaniu tego obrazu, który moim zdaniem stał się najważniejszym obrazem w historii sztuki. Poświęcił mu pan dużo pracy. Namalował pan nawet kilka podobnych dzieł, nim powstało to ostatnie. Na pierwszych wersjach *Panien z Awinionu* oprócz pięciu dziewcząt namalował pan lekarza i marynarza. Dlaczego nie ma ich na ostatniej wersji?

– Przeklęty marynarz! – krzyknął podenerwowany Picasso.

– Słucham?

– Nie zasługiwał na to, by znaleźć się na tym obrazie... dlatego go usunąłem.

– Nie zasługiwał? Były tam dwie postacie.

Pablo się wahał. Wreszcie powiedział:

– Tak, ma pani rację. Były dwie postacie.

Zapadła cisza.

– Nie zamierza mi pan powiedzieć nic więcej?

Pallarés z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie. Zastanawiał się, jak daleko posunie się jego przyjaciel.

– Obie te postacie są bardzo podobne do pana – nie poddawała się dziennikarka.

– Tak, ale choć mają moje rysy, Bogu dzięki, to nie jestem ja!

– Na tym płótnie jest wiele przemocy, nie sądzi pan? Zawsze uważałam, że to przerażający obraz.

– Co do tego nie ma wątpliwości... ale jest w nim również dużo miłości.

– A burdel?

– Tak, istniał naprawdę – uciął Picasso. – Mieszkałem w nim.

Dziennikarka postanowiła jednak zmienić temat. Picasso wyraźnie nie chciał mówić ani o tym obrazie, ani o postaciach, które w pewnym momencie postanowił usunąć z ostatniej, powszechnie znanej wersji dzieła.

– Namalował pan całą serię obrazów, które nie dają mi spokoju i w których widzę pewne podobieństwo do *Panien z Awinionu*.

– Które obrazy ma pani na myśli? – spytał Picasso, wyraźnie zainteresowany.

– Na przykład *Le Meurtre*.

Picasso się zastanowił. Doskonale go pamiętał. Dziennikarka mówiła dalej:

– Przedstawia straszną monstrialną kobietę, która ogromnym nożem kuchennym atakuje Marie-Thérèse. Ta kobieta ma przerażające zęby i język na wierzchu. Dwa dni później wykonał pan rysunek, na którym widzimy połączenie Marie-Thérèse z koniem pikadora. Tu wnętrzości Marie-Thérèse są rozszarpywane przez byka z wbitym w bok szpadą. Ale to nie wszystko. *L'aubade*, obraz, który namalował pan w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, przedstawia kobietę o brutalnie zdeformowanych rysach i ciele.

Druga praca, która zwróciła moją uwagę, to duży rysunek węgłem: widzimy konia w agonii, z rozprutym brzuchem i nienaturalnie uniesioną głową, z którego piersi tryska strumień krwi. Narysował go pan dwadzieścia lat po *Guernice*. I inny, który...

– Jest ich więcej? – przerwał jej Picasso.

Dziennikarka ciągnęła z entuzjazmem:

– Wiele. Ale skupię się na innym, którego tytułu nie pamiętam. Przedstawia kota trzymającego w pysku rozszarpanego ptaka. Albo ten z kogutem odwróconym do góry nogami na kolanach jakiejś kobiety. Ma związane łapki, jest częściowo oskubany i z wściekłością zadziera głowę. Kobieta jest przerażająca, prawie łyśa, jedną ręką trzyma koguta za skrzydło, a na ziemi leży kuchenny nóż.

Dziennikarka czekała na odpowiedź. Picasso pobladł. Był zirytowany i nie potrafił tego ukryć...

– W moim przypadku obraz jest sumą destrukcji. Tego nie nauczył mnie żaden malarz.

– Czyżby nauczył się pan tego od marynarza?

– Dajmy już temu spokój – poprosił malarz.

– Namalował pan ciekawy obraz z okresu martwych natur, z głową byka. Przedstawia chłopca w marynarskim ubranku i czapce, na którego pasku widać napis: *Picasso*. Chłopiec trzyma siatkę na motyle, a między siatką a nosem chłopca wiruje czerwony motyl. Dlaczego motyl jest czerwony? Dlaczego namalował pan siebie jako chłopca w marynarskim ubranku?

– Ponieważ zawsze noszę marynarską koszulkę! – odparł, rozpinając koszulę i pokazując koszulkę, którą miał pod spodem. – A teraz, proszę, przejdźmy do innego tematu i zakończmy wywiad. Jestem bardzo zmęczony.

– Jeszcze tylko dwa pytania. Spośród wszystkich osób, które pan znał, za kim najbardziej pan tęskni?

Odpowiedź była zaskakująco szybka:

– Za Carmen.

– Carmen?

– Proszę tego nie pisać. Przejdziemy do ostatniego pytania?

– Za czym najbardziej pan tęskni?

– Za moją wanną z ocynkowanej blachy w Bateau-Lavoir, przy bulwarze Clichy. Mieszkałem tam z Fernandem i jest to jedyne miejsce, w którym byłem szczęśliwy.

– Wanna z ocynkowanej blachy? – powtórzyła zaskoczona dziennikarka.

– Tak, trzymałem w niej moje książki: Sherlocka Holmesa, Nicka Cartera, Buffalo Billa, Verlaine'a, Rimbauda i Mallarmégo.

Wywiad dobiegł końca. Dziennikarka pożegnała się, a Picasso zawołał Jacqueline, by odprowadziła ją do drzwi.

Przyjaciele znów zostali sami. Pallarés zauważył, że Picasso jest zdenerwowany i zmieszany. Milczeli przez dłuższą chwilę.

– Ciekawy wywiad. Mało brakowało, a cała prawda wyszłaby na jaw – powiedział wreszcie Pallarés.

Picasso siedział zamyślony, nie zwracając na niego uwagi. Manolo Pallarés spojrział na stolik, na którym leżał blok rysunkowy. Obok niego spoczywał nóż.

– Widzę, że wciąż trzymasz ten stary nóż – zauważył Pallarés.

Picasso nadal go miał, choć minęło już siedemdziesiąt lat. Pallarés podarował mu ten nóż podczas jego pierwszego pobytu w Horcie. Wówczas używał go do rozcinania szczap drewna, obierania ziemniaków, krojenia słoniny i do jedzenia. Po tylu latach wciąż posługiwał się nim przy pracy.

- Ten przeklęty marynarz omal cię nie wykończył.
- Tak. Gdyby nie ten Anglik... – Malarz się zawahał.
- Arrow – przypomniał mu Manuel Pallarés.
- Niezwykły człowiek.
- Uratował ci życie.
- I nie tylko. Dzięki niemu jestem tym, kim jestem.
- Od tamtej pory minęło tyle czasu, Pablo.

Malarz jakby zapadł się w siebie, szukał czegoś w pamięci, nieobecny, po czym nagle się odezwał:

– Wszystko, czego się nauczyłem, zawdzięczam Barcelonie i temu przekłętemu bezdusznemu człowiekowi. – Ostatnią część zdania powiedział ostro i zdecydowanie, z trudem powstrzymując wściekłość.

– Destrukcja formy – dodał Pallarés, jakby mówił do siebie.

– Jego oddech był niczym ognie piekielne, ale wiesz co? On niszczył dla samego zniszczenia. To było zło w stanie czystym. Niszczył formy z pasją kryminalisty i mordercy, natomiast...

– Ty podjąłeś tę ideę i zmieniłeś postrzeganie świata.

– To za dużo powiedziane.

Pallarés wskazał blok.

– Tu są.

– Tak. Wszystkie. Moje panny z Awinionu. Ileż głupot napisano na temat tego obrazu! Miałem dwadzieścia lat, kiedy go namalowałem.

– Dwadzieścia pięć, Pablo – sprostował Pallarés, ale Picasso jakby go nie słyszał.

– Przez lata miałem obsesję na punkcie tych dziewcząt, tego, co im się stało, i chciałem wyrzucić z myśli tego potwora. Jedyнным sposobem, by to zrobić, było malowanie, ale wtedy nie byłem

gotowy, czułem tylko ból. Ból i nienawiść. Musiałem wyjechać, daleko, i pozwolić, by upłynął czas. – Pablo zamilkł i spojrzął na blok rysunkowy leżący na stole. – Ci idioci mówią, że namalowałem go, rywalizując z Matisse'em i Derainem. Co za bzdura! Namalowałem ten obraz, bo wreszcie byłem gotów to zrobić. Bo po tylu latach znalazłem sposób, i co więcej, dzięki marszandowi Vollardowi po raz pierwszy w życiu miałem pieniądze. To było jak poród, mój drogi Manolo. Zamknąłem się na dziewięć miesięcy, mając jedną obsesję: namalować go. Zrobiłem ponad osiemset rysunków, zapełniłem mnóstwo bloków i namalowałem pół tuzina obrazów, nim osiągnąłem ten ostateczny, o który one, z mojego wnętrza, prosiły... Biedne dziewczyny...! To takie straszne! – Zamilkł, a potem z oczami przepełnionymi melancholią, której jego przyjaciel dawno nie widział, dodał: – A przede wszystkim ona! Kochałem wiele kobiet, kochałem głęboko. Przysięgam, że je kochałem!... Ale żadnej tak jak jej. Wspomnienie tej kobiety wciąż mnie prześladowa.

– Byłeś wtedy dzieckiem, Pablo.

– Tak, dzieckiem. Ale ona zrobiła ze mnie mężczyznę. – Zapadła krótka cisza, po czym malarz dodał, jakby mówił do siebie: – Carmen! Moja biedna prasowaczka!

W jego oczach znów pojawiła się melancholia. Pallarés wiedział, o czym myśli przyjaciel. Zawsze odgadywał jego myśli. Od tamtego dnia, kiedy poznali się w La Lonji – dwaj młodzi studenci rysunku i malarstwa.

– To dziecko było szczęśliwe w Horcie, tego możesz być pewien – rzekł Pallarés.

– Wiem, wiem – powtórzył malarz, wrywając z bloku dwa pierwsze arkusze i wrzucając je w ogień.

CZEŚĆ PIERWSZA

PABLO PICASSO



# 1.

## El Torín

*Barcelona, koniec września 1895 roku*

Trzynastego września, po tym, jak ojciec poprosił o przeniesienie, i po wakacjach w Maladze, w małym porcie przeładunkowym Cabo Roca wsiedli na statek płynący do Barcelony. Stryj Salvador, który pełnił funkcję dyrektora Portowej Służby Sanitarnej, załatwił im sporą zniżkę na bilety, co z pewnością pomogło ojcu przezwyciężyć głęboką niechęć do morskich podróży.

Rejs był długi i męczący, ponieważ statek płynął wzdłuż wybrzeża do Barcelony z przystankami w portach Cartageny, Alicante i Walencji. Mieli wrażenie, że podróż nigdy się nie skończy. Pablo, aby się czymś zająć, na niewielkich deskach malował i rysował sceny marynistyczne. Don José obserwował pochłoniętego pracą syna.

– Mogę zobaczyć? – spytał.

Pablo pokazał mu deskę. Don José oglądał obraz w milczeniu. W jego oczach pojawiło się zadowolenie.

– Koloryt morza jest niezły, to dobra praca. Ale ja skupiłbym się na wybrzeżu i na przycumowanych statkach – powiedział, oddając synowi deskę.

Pablo, idąc za radą ojca, skupił się na wybrzeżu, a potem z ogromną dbałością o szczegóły namalował statki.

– Gotowe, ojczce.

– Wspaniałe. Cóż, miejmy nadzieję, że ta podróż niedługo dobiegnie końca. To wszystko zrobiło się już dość męczące – westchnął ojciec.

W Barcelonie z początku zatrzymali się w niewielkim mieszkaniu przy ulicy Cristina, niedaleko portu, w dzielnicy Barceloneta, dwa kroki od gmachu La Lonja, siedziby Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie don José miał wykładać i gdzie pod koniec września zapisał się jego syn.

Barcelona zafascynowała chłopca. Było to wielkie miasto, nowoczesne i przemysłowe, w fazie transformacji. Mieszkało w nim ponad pół miliona mieszkańców. Były tam nowoczesne budynki, aleje wysadzone drzewami i oświetlone.

Najlepszą rzeczą w okolicy, w której zamieszkał Pablo, była wspaniała arena do walk byków, El Torin, pierwsza arena Barcelony, dzieło architekta Josepa Fontserégo. Mieściła się w Barcelonecie, w dzielnicy Ginebra. Pablo często chodził tam z ojcem popołudniami, by oglądać walki byków, zawsze z blokiem rysunkowym pod pachą. Na tej arenie, rok po jej otwarciu, wybuchła rewolta, która ogarnęła całe miasto i doprowadziła do podpalenia klasztorów. To wydarzenie zostało opisane w poezji ludowej:

*W dniu świętego Jakuba roku trzydziestego piątego  
Będzie wielka draka na arenie Torin  
Wypuszczą siedem byków, wszystkie będą cierpieć,  
I splotą klasztory*

W odwecie arena została zamknięta. Zamierzano urządzić w niej rzeźnię. Korridy nadal się odbywały, na placu Borne. Dodatkowo, by poszerzyć ofertę walk byków, chciano urządzić arenę na placu Rey. Jednak zamiłowanie Barcelony do tauromachii miało głęboko sięgające korzenie i nikt nie odważył się zrobić z El Torin rzeźni.

Pablo uwielbiał swoją dzielnicę. Przemierzał jej zaułki i szkicował wszystko, co zobaczył: żony rybaków wyplatające sieci na progach domów, wieszające pranie albo sprzedające świeże ryby, dzieci bawiące się na placu przed kościołem Sant Miquel del Port, rybaków wyciągających skrzynki z połowem, plażowiczów, którzy przybywali, by uczcić letnie przesilenie, kąpiąc się nago w kąpieliskach Soler. Nawet sam Amadeusz I, kiedy w 1871 roku odwiedził miasto z okazji święta Merced, czyli Matki Boskiej Miłosiernej – patronki Barcelony – wykąpał się nago. Takie kąpiele miały już zresztą pewną tradycję w rodzinie panującej, ponieważ królowa Izabela II w 1840 roku udała się co najmniej trzykrotnie na plażę w Barcelonie i zgodnie z zaleceniem lekarza zażyła kąpieli we wzburzonych falach, by pozbyć się bolesnej egzemy.

– Dziś po południu wybierzemy się do Ostii na walkę byków – powiedział ojciec pewnego dnia. Słowo „ostia”<sup>\*</sup> w jego ustach zaskoczyło Pabla, tata bowiem był człowiekiem głęboko wierzącym, a także dbał o czystość języka. – Do Barcelonety, synu. Zwana jest Ostią, bo podobno, kiedy ta dzielnica powstawała, pewien Włoch na fasadzie swojego zakładu kazał umieścić szyld z zarysami miejsca, z którego pochodził, miasta Ostia.

<sup>\*</sup> *Hostia* (hiszp.) – *hostia* (wymowa ostia). Hiszpanie w potocznym języku często używają tego słowa jako przekleństwa (o konotacjach religijnych, podobnie jak polski okrzyk „Jezu”).

Podczas wędrówek uliczkami Barcelonety Pablo podziwiał jej mieszkańców, którzy, podobnie jak wszyscy ludzie morza, żyli raczej na ulicy niż w domu: popijali orzeźwiające napoje, jadali kolacje. Trudno było im się dziwić, mieszkali przecież w małych, w większości parterowych domach.

– Gdzie ty się podziewasz, Pablo? Całymi dniami krążysz z kolegami po ulicach.

– Byłem przy fortyfikacji nadbrzeżnej, na plaży w Barcelonie, w hangarach, na przystani rybackiej, na starówce...

– Tak nie może być, Pablo. Zaniedbujesz naukę – uciął ojciec surowo.

– Zobacz, co ci przyniosłem, ojcze – przerwał mu chłopak, pokazując szkicownik.

Don José zaczął powoli przewracać stronicę, podziwiając rysunki. Chłopiec miał dobrą rękę do szybkich szkiców, potrafił uchwycić różnorodność ludzkich typów, zawodów i środowisk.

– To wszystko zrobiłeś w tym tygodniu?

– Nie, ojcze. Naszkicowałem je dzisiaj.

– Dzisiaj? Wszystkie?

– Tak, ojcze.

– Są bardzo dobre, synu. Ale wolałbym, żebyś nie opuszczał lekcji.

– Nudzą mnie, ojcze. Ale chodzę na wszystkie, przecież wiesz.

– Tak, zwłaszcza na lekcje rysunku i te z żywymi modelami. A co z lekcjami historii sztuki i estetyki?

Pablo milczał. Wiedział, że ojciec ma rację. Ale wiedział również, że na starość robi się coraz gorszy. Zawsze był markotny i

zgorzkniały, a w La Coruñi, po śmierci siostry, kiedy postanowił, że nie będzie już więcej malował, stał się jeszcze bardziej nieznośny.

– Daj mu spokój, to jeszcze dziecko – poprosiła matka, która zawsze brała stronę Pabla. – Przecież sam mówiłeś, że jest bardzo dobry, że zostanie wielkim malarzem... Więc daj mu trochę wolności. Nie robi nic złego, po prostu wychodzi z domu i rysuje. Czy nie tego chciałeś?

Ojciec nie odpowiadał. Wiedział, że żona zawsze staje po stronie chłopca, choćby tylko po to, by mieć inne zdanie i dać mu to jasno do zrozumienia. Pablo był jej ulubieńcem. Maria Picasso dobrze wiedziała, że jeśli jakieś dziecko odnosi w życiu sukces, to dlatego, że było ulubieńcem kochającej matki. Z synem łączyła ją czysta, prosta miłość. Starła się, by chłopiec wiedział, że go uwielbia i wierzy, iż zajdzie daleko. Maria Picasso nie znała się na malarstwie, lecz choć nie darzyła swego męża podziwem, w jednym musiała się z nim zgodzić: mają w rodzinie geniusza, kogoś, kto go prześcignie, kto będzie naprawdę malował. Po co być tak surowym? Dyscyplina, porządek, słuchanie mistrzów i zaprzyżnionych artystów z nikogo nie zrobiły dobrego malarza, co najwyżej przyzwoitego nauczyciela. Pablo ma rację, potrzebuje skrzydeł, a nie tego, by jej melancholijny i ponury małżonek próbował mu je podciąć i unieruchomić go w ciasnym gorsecie.

– No już, chodźmy. Matka przygotowała kolację – mawiał wtedy don José, by zakończyć rozmowę.

Może warto wynająć chłopcu pracownię? Dobrze by mu zrobiło, gdyby miał miejsce do pracy, choćby niewielkie i skromne – zastanawiał się don José, siadając do stołu.

## 2.

# Pracownia

*Barcelona, wrzesień 1896 roku*

– Tu będzie ci dobrze – powiedział ojciec.

Don José wynajął dla syna niewielkie mieszkanie przy ulicy de la Plata cztery, gdzie zamierzał urządzić mu pracownię.

– To całe mieszkanie jest dla mnie, ojczu?

– Nie jest zbyt duże, ale na razie wystarczy. W domu ledwo się mieścimy, a tyle jestem w stanie zapłacić, abyś mógł poświęcić się malowaniu – odparł lakonicznie, a potem dodał, jakby mówił do siebie: – Malarz musi być sam, aby jego świat spływał mu w dłonie. Malarz potrzebuje ciszy i samotności.

Których on sam nigdy nie miał.

Don José spojrzął na chłopca i go objął.

Nie był człowiekiem wylewnym, ale tym razem nie mógł się powstrzymać. Doszedł do wniosku, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by ułatwić karierę synowi, temu chłopcu, który ma niezwykły talent i którego oczy, był o tym przekonany, spojrzą na malarstwo w sposób, w jaki nikt dotąd tego nie zrobił. Nadal pamiętał,

jak Pablo, będąc jeszcze małym, nieumiejącym chodzić dzieckiem, kreślił rysunki na piasku na placu Merced, nie odrywając palca od ziemi. Zaczynał rysować psa, koguta albo gołębia od tej części, którą wskazały mu kuzynki: od ogona, od głowy, od łapy, nie miało znaczenia od czego. Bo Pablito potrafił rysować, zaczynając od dowolnej części ciała. Ten chłopiec, który zawsze miał kłopoty z ortografią i arytmetyką i którego nie interesowały książki, całymi dniami malował byki, gołębie i wszystko, o co poprosiły go kuzynki. *Piz, piz, piz!* – wołał do matki, bo tak brzmiało pierwsze słowo, którego się nauczył. Chłopczyk prosił o ołówek, kiedy jeszcze nie potrafił mówić\*. Ołówek, którego już nigdy nie miał wypuścić z ręki, choć o tym ojciec nie mógł wiedzieć.

\* *Piz* – od słowa *lápiz* – ołówek lub kredka.

Don José nie przejmował się zbytnio tym, że chłopiec z trudem uczy się liczyć, nie potrafi odczytać godziny na zegarze i nie czyni w szkole takich postępów jak rówieśnicy. Dużą wagę przywiązywał natomiast do lekcji rysunku i malarstwa, których sam mu udzielał. Przekazał mu całą swoją wiedzę i umiejętności techniczne, zapewnił solidne podstawy rysunku i co najważniejsze, nauczył go dyscypliny. W zamian zyskał najzdolniejszego i najbardziej entuzjastycznie nastawionego ucznia.

Ojciec Pabla zmarnował życie, goniąc za mrzonkami. Nigdy nie był tym, kim chciał zostać: wielkim malarzem. Na tym etapie życia zrzucanie winy na brak szczęścia, konieczność utrzymania ze skromnej pensji nauczyciela rysunku i konserwatora muzeum w Maladze żony, dwóch sióstr, teściowej i dzieci na niewiele by się zdało. Wszyscy mieszkali w jednym domu. Codzienne zmartwienia

sprawiły, że powoli stracił wiarę w swój talent. Być może nigdy go nie miał i na zawsze miał pozostać zwykłym miłośnikiem sztuki z solidnym przygotowaniem technicznym. Prawdziwy malarz to co innego i teraz, kiedy spoglądał w lustro, z trudem dostrzegał ślady prawdziwego geniuszu, oryginalności, zapału i przenikliwości na obliczu mężczyzny, który za młodu pomylił zamiłowanie do sztuki z czymś bardziej wysublimowanym, czymś, co łączyło się z twórczym talentem. Jeśli w młodości wierzył, że oprócz tego, iż jego powołanie się spełniło, ma i ten nieuchwytny ogień, to życie rodzinne, kobiety w domu, dzieci, codzienna rutyna, złe płatne lekcje i urzędnicza dola położyły kres jego młodzieńczym marzeniom. Don José nie był kimś wyjątkowym, lecz głową rodziny, człowiekiem pokonanym przez trudy codziennego życia, przegranym, który musiał przenosić się z miasta do miasta. Opuścił Malagę, to pełne światła i radości miasto, i przeprowadził się na północ, do miejsca smutnego, deszczowego i szarego\*. \* Z Malagi rodzina Picasso przeniosła się na północ Hiszpanii, do miasta La Coruna w Galicji. W Maladze don José zastępował swego przyjaciela, znakomitego malarza Antonia Muñoza Degrainia. Jednak pensja profesora Szkoły Sztuki i Rzemiosła Artystycznego San Telmo z trudem wystarczała, by utrzymać liczną rodzinę. Na domiar złego zarząd miejski podjął decyzję o zamknięciu muzeum, gdzie don José pełnił funkcję konserwatora, a pensja, którą otrzymywał z tytułu tego stanowiska, pozwalała rodzinie dotrzeć w dostatku do końca miesiąca. Musiał podjąć decyzję. Ale w Maladze mieszkały jego dwie córki, Concha i María, a na dodatek omal nie stracił swego pierworodnego syna i gdyby nie brat don Joségo, lekarz i założyciel Instytutu Szczepień



w Maladze, który przywrócił do życia bliskiego śmierci noworodka, wdmuchując mu wprost do płuc kłęb dymu z cygara, dziecko niechybnie by umarło. Malarz najbardziej tęsknił za areną walk byków w Maladze, która mogła zmieścić dziesięć tysięcy widzów. Od wczesnego dzieciństwa zabierał Pablita na walki byków. Chłopiec przywykł do widoku rozplątanych na arenie koni. Nie miał jeszcze dziesięciu lat, gdy namalował olej na desce przedstawiający pikadora w ochraniaczach na nogach, siedzącego pewnie w siodle. Don José był bardzo zadowolony z tego obrazu.

– Wspaniały koń, szlachetny i mocny – powiedział do syna. – Choć może nieco za mały – dodał.

Don José nie lubił miasta, do którego się przeprowadzili: La Coruñi. Nie był szczęśliwy, ucząc rysunku w Szkole Sztuk Pięknych. Już przed przeprowadzką zdał sobie sprawę, że jego syn jest właściwie analfabetą, którego interesuje tylko rysowanie i malowanie. Jak mógł zostać przyjęty do szkoły w La Coruñi, skoro nie wiedział nawet, ile jest dwa plus dwa?

Don José wykorzystał znajomości i załatwił synowi sfałszowane świadectwo szkolne. Załatwił mu również egzamin.

– Trzy plus jeden, plus czterdzieści, plus sześćdziesiąt sześć, plus trzydzieści osiem? – zadał pytanie egzaminator.

Chłopiec z miernym skutkiem spróbował dodać liczby, więc egzaminator powiedział, żeby się nie denerwował i spokojnie powtórzył działanie.

– Jeśli pan chce, mogę coś narysować – zaproponował Pablito.

– Dodaj liczby – polecił zrezygnowany egzaminator, starając się jednak, by jego ton był życzliwy. Czego się nie robi dla przyjaciół, pomyślał.

Chłopiec podszedł do stołu i pokazał kolumnę liczb. Zobaczył, że egzaminator zapisuje wynik działania na kartce i kładzie ją na brzegu stołu, przed oczami chłopca. Pablo zapamiętał wynik, wrócił do ławki, narysował kreskę pod kolumną i zapisał sumę. Egzaminator zabrał kartkę.

- Bardzo dobrze, Pablo, bardzo dobrze.
- Dobrze przepisałem? – spytał chłopiec z prostotą, która zbiła nauczyciela z tropu. Nie odpowiedział, stwierdził natomiast:
  - Wspaniała kreska, doskonała. Z całego działania najlepiej ci wyszła. Idź już, chłopcze, powiedz ojcu, że może przyjść po twoje świadectwo.

Don José, dzięki bratu Salvadorowi, który pomógł mu kupić bilety dla całej rodziny, wsiadł na statek płynący do Vigo. Podróż morską była długa i męcząca. Z Vigo pojechali pociągiem do Santiago, a stamtąd dyliżansem do La Coruñi. Był koniec lata 1891 roku. Don José czuł się wyobcowany wśród ludzi mówiących innym językiem, w surowym, nieprzyjaznym klimacie, który zatrzymał mu duszę. Pablo nie robił szczególnych postępów w szkole La Guardia, gdzie rozpoczął pierwszy rok szkoły średniej. Don José zapisał go również do Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie sam wykładał. Ale choć don José rozumiał, że jego syn ma wyjątkowy talent do rysunku i malarstwa, był zniechęcony tym, że nie interesuje się innymi przedmiotami.

- Dowiedziałem się, że nie uważasz na lekcjach i całe dnie spędzasz w Babii, rysując byki i gołębie. I że czasem wagarujesz. Czy to prawda?

Chłopiec nie odpowiedział.

- Co robisz całymi dniami na ulicach?
- Rysuję, ojcze, rysuję.
- Ale tak nie można, Pablo. Czasem mam wrażenie, że nawet mówić nie potrafisz. Nauczyciele twierdzą, że masz duże problemy z gramatyką i arytmetyką, że nie czytasz książek i nie uważasz na lekcjach.

- Nie lubię książek, ojcze.
- Co ja mam z tobą zrobić?
- Naucz mnie wszystkiego, co potrafisz.
- Zawrzemy umowę: nauczę cię wszystkiego, co umiem, jeśli obiecasz, że bardziej przyłożysz się do nauki.

Pablo zgodził się, choć wiedział, że nie jest w stanie spełnić tej obietnicy. Chciał tylko rysować.

Pablo, ku rozpaczy nauczycieli, wypełniał szkolne zeszyty rysunkami gołębi, korrid, baszt i żołnierzy na koniach, dzieci siedzących na schodach albo bawiących się na ulicy, mężczyzn czytających gazety, kwiatów i bażantów.

Z ogromnym zainteresowaniem stosował techniki, których uczył go ojciec: węgiel, ołówek, pióro, akwarele, czarna kreda, chińska farba, oleje. Ojciec zaczął go uczyć portretu i pejzaży, które chłopak malował na niewielkich deskach.

Don José był szczególnie zadowolony z oleju na płótnie, który Pablo zatytułował *Mężczyzna w berecie*, a także z oleju na desce przedstawiającego alkowę w domu doktora Ramona Pereza Costalesa. Don Ramón był lekarzem, pisarzem i dwukrotnie piastował stanowisko ministra rozwoju infrastruktury. Przyjaźnił się z pisarką Emilią Pardo Bazán, która uwieczniła go w postaci doktora Morgasa w książce *Kamień węgielny*. Pisarka mieszkała niedaleko domu rodziny Ruiz.

Przyjaźń don Joségo z don Ramónem zaczęła się w okresie choroby młodszej siostry Pabla. Don Ramón jako lekarz często ją odwiedzał.

– Twój syn jest wiele wart – powtarzał często.

Tak bardzo cenił chłopca, że zachęcił go do zorganizowania pierwszej wystawy na zapleczu sklepu z parasolami. Wystawa nie odniosła dużego sukcesu, bo potencjalni kupcy nie wierzyli, że obrazy niespełna czternastoletniego chłopca mogą mieć jakąś wartość. Ale don Ramón przyjął w prezencie kilka prac.

W obrazie przedstawiającym alkowę doktora Costalesa don José dostrzegł dobre opanowanie pędzla i dużą precyzję w szczegółach, które razem stanowiły podstawę kompozycji: wielkie łóżko z baldachimem, dywan, nocny stolik, krzesło, świecznik, a wszystko ujęte w ramy sutych zasłon. Z tego dzieła emanowała niezwykła swoboda i zręczność artysty.

W wieku pięćdziesięciu pięciu lat don José uważał, że jest starym nieudacznikiem, którego obrazy się nie sprzedają. Podjął decyzję: nie będzie już malował i poświęci się wyłącznie nauczaniu. Wezwał syna i wręczył mu swoje farby, pędzle i palety.

– Są twoje. Teraz w naszej rodzinie ty jesteś malarzem.

Ten gest zaskoczył Pabla. Nie mógł przyjąć tego podarunku.

– Jeszcze nie, ojczu. Jeszcze nie. Nadal musisz mnie dużo nauczyć.

Don José schował przybory. Jeśli nie tym razem, to później. On już podjął decyzję.

W tym deszczowym i smutnym mieście dziesiątego stycznia 1895 roku zmarła jego córka Conchita. Zabrała ją błonica. Niespełna ośmioletnia dziewczynka została pochowana na cmentarzu w La Coruñi. To jeszcze bardziej przybiło niespełnionego malarza. Nie spodziewał się, że śmierć siostry tak bardzo dotknie małego Pabla.

Chłopiec snuł się ze zbolaną miną i przez cały okres jej choroby nie malował ani nie rysował. To dramatyczne wydarzenie skłoniło don Joségo do opuszczenia miasta, w którym nigdy nie był szczęśliwy i w którym pochował swoją ukochaną córeczkę.

Dawny asystent don Joségo, który pochodził z Galicji i dawał lekcje rysunku w Szkole Sztuk Pięknych w Barcelonie, zaproponował, by zamienili się miejscami. Don José nie wahał się ani chwili. Pensja była lepsza: trzy tysiące peset rocznie. Wcześniej zatrzymując się w Madrycie, lato spędzą u rodziny w Maladze, a potem pojedą do Barcelony. Podróż pociągiem do Madrytu trwała, z licznymi przesiadkami i postojami, trzydzieści godzin. Spędzili dwa dni w stolicy Hiszpanii, gdzie don José zabrał syna do muzeum Prado.

– Musisz to zobaczyć, synu. Tam są najszynniejsi malarze. Wszyscy wielcy mistrzowie.

Pablo przemierzał sale muzealne z zachwytem i ciekawością, jakich don José nigdy u niego nie widział. Po jego oczach widać było, że stara się uchwycić rozwiązania stosowane przez wielkich mistrzów, których dzieła oglądał po raz pierwszy, równocześnie słuchając objaśnień ojca. Tak, byli tam wszyscy, ojciec miał rację: El Greco, Zurbarán, Velazquez, Ribera, Murillo, Goya, a także wielcy mistrzowie holenderscy, włoscy i francuscy. Chłopiec nie chciał niczego pominąć i wydawało się, że jego oczy krzyczą do ojca: „Więcej, więcej, daj mi więcej, ojcze, opowiedz mi, wyjaśnij, mów. Daj mi więcej, ojcze, chcę być jak ty, jak oni, chcę malować, ojcze, malować, chcę spędzić życie, malując dzień i noc, przy świecy i w pełnym słońcu. Malować, malować”.

I tak oto znalazł się tutaj, pomagając synowi urządzić to niewielkie studio, które wynajął dla niego przy ulicy de la Plata, przygotowując dla niego płótna.

I wtedy don José po raz drugi wręczył Pablowi swoje farby, pędzle i palety.

– Teraz nie możesz odmówić. Weź, są twoje.

Pablo nic nie powiedział, kiedy ojciec go objął. Słyszał bicie jego starego pokonanego serca. Bicie serca, które oddawało mu wszystkie niespełnione nadzieje zamknięte w pudełku z farbami.

– A teraz do pracy!

### 3.

## Manolo Pallarés

*Barcelona, listopad 1896 roku*

Z dachu pracowni widać było prawie wszystkie dachy dzielnicy, a także gwarne uliczki. Barcelona była dużym miastem, położonym nad wspaniałym morzem. Pablo chciał rysować wszystko, co zobaczył. Odkąd przyjechał do tego nasyconego światłem i kolorami nadmorskiego miasta, często wychodził na ulice ze szkicownikiem i kilkoma ołówkami.

Ale tego ranka wolał zostać sam w niewielkiej pracowni, obserwując dachy i tarasy, pochłonięty pracą nad kolejnymi szkicami. Kiedy zszedł z dachu, spotkał na schodach swego przyjaciela Manola Pallarésa.

Manolo, gdy tylko wszedł do pracowni Pabla, natychmiast zaczął myszkować wśród przyborów leżących na stole, szkicowników i rysunków. Pallarés darzył młodszego przyjaciela wielkim podziwem, zwłaszcza gdy oglądał szkice i rysunki, których z każdym dniem przybywało. Ten chłopak był istną maszyną do pracy, a przy tym rozwijał się dużo szybciej niż jego koledzy.

Tak, Manolo podziwiał jego prace, każdą najdrobniejszą kreskę, ponieważ Pablo od naturalizmu przeszedł do innego stylu, dużo bardziej swobodnego, pełnego inspiracji i lekkości. I to najbardziej zachwycało Pallarésa w tym chłopcu.

- Co robisz? – spytał Pablo, nie odrywając wzroku od sztalug.
- Oglądam twoje prace. Wpadłem, bo pomyślałem, że może wybierzesz się ze mną i porysujemy z natury. Idziemy?
- Nie, później. Zastanowiłeś się już, czy chcesz dzielić ze mną pracownię? Ojciec będzie zachwycony. Wiesz, że bardzo cię ceni.

W istocie tak było: don José bardzo szanował tego starszego o pięć lat od Pabla młodzieńca, który był szczerzy, rozsądny i z pewnością mógł mieć dobry wpływ na artystyczną, marzycielską i nieokiełznaną duszę jego syna. Państwo Ruiz często zapraszali go do domu i wkrótce Manolo stał się niemal członkiem rodziny.

- Jeśli twój ojciec nie ma nic przeciwko temu, mogę się tu urządzić i malować razem z tobą.
- Z pewnością będzie zachwycony.
- Wobec tego umowa stoi – powiedział Pallarés.

Manolo Pallarés poznał Pabla rok wcześniej, kiedy zapisał się do La Lonji na kurs rozpoczynający się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku. Manolo uważnie przyglądał się temu chłopcu, młodszemu o pięć czy sześć lat od pozostałych studentów na roku, o którym mówiło się, że zdał egzamin wstępny w jeden dzień. Ale nie była to informacja pewna, bo wszyscy studenci mieli miesiąc na zdanie trzech wstępnych egzaminów: wykonanie kopii ryciny, kopii odlewu i studium z natury. Nie, to nie mogło być prawdą. Zresztą później sam Pablo to potwierdził, bo jak się okazało, zaliczono mu kopie rycin i form odlewniczych, które wykonał



wcześniej w La Coruñi. Ale to wcale nie pomniejszało zasług tego nowego, roztargnionego i niesforenego kolegi, który pozostawał obojętny na nauki profesorów i od początku był świadom swych zdolności i wyższości nad starszymi kolegami.

Manolo natychmiast dostrzegł jego talent, bo w głębi duszy był chłopcem, który nigdy nie próbował konkurować z innymi. Od razu wyczuł, że Pablo ma silną osobowość, jest sympatyczny i – co nie ulegało wątpliwości – dużo lepszy od nich wszystkich, ponieważ jego perfekcyjne szkice budziły powszechny zachwyt i zdziwienie. Dzięki nienasyconej ciekawości wszystko błyskawicznie rozumiał i przyswajał. Pablo był porywczy, ale nie wylewny. Bywał niespokojny i podniecony, ale potrafił też nie odzywać się całymi godzinami. Pallarés wspominał później melancholię i smutek Pabla, które nie pasowały do chłopca w jego wieku.

Podczas pierwszego roku Manolo przedstawił go swym przyjaciołom, Josému i Joaquínowi Basom, Pepe Cardonie y Garnelo i Ricardowi Sitwellowi, którzy pragnęli odnieść sukces w sztuce.

Sitwell był najgorszym artystą z całej grupy. Miał dużo dobrych chęci, ale za grosz talentu. Był rzemieślnikiem pędzla i nikim więcej. Reprezentował poziom nieco wyższy niż przeciętny miłośnik sztuki, ale niewiele potrafił wyrazić za pomocą kreski i koloru. Był zamożny, choć gwoli ścisłości należałoby raczej powiedzieć, że zamożny był jego ojciec, który, mimo iż nie stanął mu na drodze, nie miał złudzeń co do artystycznych aspiracji syna. Młodzieniec studiował równocześnie prawo i uczęszczał na zajęcia w La Lonji, przy czym wszystko wskazywało na to, że na tych pierwszych studiach również nie odnosi szczególnych sukcesów.

Natomiast za prawdziwą zaletę Sitwella należało uznać jego przygotowanie teoretyczne. Co do tego zgadzali się wszyscy przyjaciele: Sitwell byłby wspaniałym krytykiem sztuki albo niezrównanym marszandem, gdyby nie jego bezsensowny upór, by poświęcić się czemuś, do czego nie miał talentu.

Ricardo Sitwell natychmiast dostrzegł talent Picassa i od tamtej pory stał się jego cieniem.

- Jak skończyła się wczorajsza zabawa? – zapytał Manolo.
- Późno.

Manolo, który był takim samym hulaką, jak pozostali koledzy z grupy, tamtej nocy wcześniej wrócił do domu.

– Sitwell uparł się, żeby tu przyjść. Chciał obejrzeć moje prace – wyjaśnił Pablo.

– Ten chłopak jest niez mordowany.

– Jest męczący. Gdy tylko ma okazję, wpycha mi się do pracowni i przewraca wszystko do góry nogami. Nie znoszę, kiedy ktoś grzebie w moich rzeczach. Bez przerwy prosi, żebym pokazał mu swoje szkice.

– I co robisz?

– Cóż, daję mu je, żeby się go pozbyć. Co innego mógłbym zrobić?

– On cię podziwia, Pablo. Po prostu cię podziwia.

– Wobec tego wolałbym, żeby podziwiał mnie trochę mniej.

– Byłeś u niego w domu?

– Nie.

– A ja tak. Cały pokój ozdobił twoimi szkicami. Mieszka w prawdziwym pałacu! Jego ojciec jest bardzo majątny. To chyba jeden z najbogatszych ludzi w Barcelonie. Anglik. Jego rodzina przeniosła się tu prawie sto lat temu.

- Wobec tego nie jest Anglikiem.

– Podobno jest zaprzyjaźniony z królową Anglii, ma tytuł szlachecki i większą władzę niż burmistrz.

– Niż burmistrz Londynu?

– Nie, Barcelony.

– Znasz jego ojca?

– Nie.

– Wobec tego skąd to wszystko wiesz? – dopytywał się Pablo.

– Zaprzyjaźniłem się z kamerdynerem i z jedną ze służących.

– Bardzo się z nią zaprzyjaźniłeś?

– Wystarczająco... Ale to nie ma nic do rzeczy.

– Jedno jest pewne: Sitwell chętnie sięga do portfela.

– I to jak! Gdyby nie on, nie mogliśmy sobie pozwolić nawet na połowę naszych zabaw. Zawsze jesteśmy bez grosza! – wykrzyknął Pallarés.

– Tak, ale płacę za to wysoką cenę: muszę go znosić i obdarowywać moimi szkicami.

– Przyznaj, że w głębi duszy to lubisz. Poza tym to dobry chłopak i jest chory.

– Tak, któregoś dnia padnie nam w samym środku zabawy albo niczym ptaszek, leżąc na dziwce. Ten okropny kaszel go zabija.

Manolo był już zmęczony tą rozmową. Chciał wreszcie wyjść na miasto.

– No to jak? Idziemy rysować?

– Już ci mówiłem: wyjdę później. A teraz, jeśli ty i wszyscy nudziarze, którzy tu przychodzą, zostawicie mnie w spokoju, będę malował.

– Do szkoły też się nie wybierasz?

Pochłonięty malowaniem Pablo nie odpowiedział.

## 4.

# Prasowaczka

Wtedy jego wzrok padł na jedną z postaci za oknem, na parterze. Nigdy, może z wyjątkiem ojca, nie widział kogoś tak przygnębionego i smutnego. Dziewczyna wyglądała, jakby zaraz miała się załamać, naciskając ze wszystkich sił na żelazko.

Prawie przez cały rok krążył po biednych dzielnicach miasta i rysował wszystko, co zobaczył. W tym czasie kosmopolityczne i nowoczesne miasto pokazało mu swoje najgorsze oblicze. Rysował wszystko, co widział: żebraków, kobiety złamane życiem, cierpiących nędzę robotników, alkoholików, ślepców, prostytutki, przepelnionych smutkiem życiowych wykolejeńców. Widział rozpacz, biedę i przerażenie tych ludzi. Komu mógłbym o tym opowiedzieć? Jego ojciec co prawda oglądał z podziwem rysunki, ale nie zachwycała go tematyka, a nieszczęścia, które Pablo widział na każdym rogu, nie wzbudzały jego zainteresowania.

Ale nic nie mogło równać się z widokiem tej młodej wiotkiej dziewczyny, zmęczonej pracą, która pochylała się nad żelazkiem. Na jej twarzy malowały się rezygnacja i smutek. Miała włosy zebrane z tyłu, jeden kosmyk opadał jej na twarz i poruszał się za każdym razem, gdy przyciskała żelazko. Ta twarz byłaby piękna, gdyby nie zmęczenie, głód i ciężka praca, które odcisnęły na niej piętno. Linia pleców dziewczyny była niczym trzcina, gotowa w każdej chwili się złamać. Wydawała się niewolnicą przywiązaną do żelazka, a jej życie rozplątywało się wraz z każdym kolejnym ruchem nad tkaniną rozpostartą na stole. Jednak coś drgnęło w sercu Pabla, bo, widział to przecież na własne oczy, była niezwykle piękna! Głęboka czerń brudnych włosów, niezwykle owal zapadniętych policzków, blada skóra i światło, które wpadało przez okno i spowijało jej wątłe ciało odziane w lichą sukienkę, rozświetlając jej pozbawione blasku, skupione na żelazku oczy. Tak, jakże piękna była ta dziewczyna, której wiek pozostawał nieodgadniony. Wydawało się, że uosabia wszystkie rany, upokorzenia i milczenie biedaków całego świata, anonimowych robotnic, niewidzialnych kobiet, zgarbionych, uległych, skrzywdzonych, strapionych, upodlonych! Jakże poniżona była ta słaba, pochylona istota, a mimo to tak piękna, delikatna, szlachetna i wzniosła!

Kiedy wyjął z kieszeni szkicownik i zaczął ją rysować, kiedy całe jej życie szybkimi, pełnymi bólu kreskami zaczęło nabierać kształtu na białym papierze, wiedział, że ją kocha.

Ucieszył się, że zignorował Pallarésa i został w pracowni do czasu, aż nabrał ochoty na spacer.

A teraz stał tam, naprzeciwko niej.

– Co robisz? – spytała dziewczyna, podchodząc z zaciekawieniem do okna.

- Rysuję cię. Mogę?
- Niech ci będzie.

Jej koleżanki zaczęły się śmiać. Carmen trafił się przystojny kawaler, trochę za niski jak na swój wiek chłopaczek o dużych oczach i uszach, ubrany jak mężczyzna, żeby wyglądać na starszego. Grupa koleżanek z niewielkiej praso walni, mieszczącej się na parterze jednego z domów przy ulicy Monteada, miała już dobry powód do żartów. Było ich dwanaście i wszystkie dzień po dniu pochylały się z żelazkami w rękach nad stołem, na którym piętrzyły się stopy ubrań.

- Mogę zobaczyć? – spytała dziewczyna.
- Kiedy skończę.
- Dobrze.
- Jeśli chcesz, mogę na ciebie poczekać i pójdziemy na spacer.
- Skończę późno – odparła dziewczyna, chcąc splawić tego dzieciaka.
- Nie szkodzi, poczekam.
- Nie masz nic lepszego do roboty? Nie powinieneś pójść do domu, do rodziców?

To pytanie zirytowało Pabla.

– Wychodzę o dwudziestej pierwszej – powiedziała Carmen, uśmiechając się przepraszająco. Nie wiedziała, dlaczego to robi. Może ze zmęczenia, ciekawości, a może z powodu tego rysunku. Nikt nigdy jej nie rysował, chociaż bazgroły jakiegoś wyrostka zapewne nie mogą być dużo warte. Ale chłopak rysował z zapałem, spoglądał na nią z uwagą i szybko przenosił wzrok na papier.

- Przyjdę tu.

Pablo ruszył dalej. Miał dość czasu, by zagłębić się w labirynt wąskich i krętych uliczek starego miasta. To właśnie podczas

tego spaceru wpadł na niego ten gburowaty wysoki marynarz, wytrącił mu z ręki szkicownik i mało go nie przewrócił.

– Przepraszam – mruknął marynarz nieprzyjemnym głosem, podnosząc szkicownik z ziemi.

Rzucił okiem na rysunki, nie pytając o pozwolenie. Pablo nie wiedział, co robić.

– Jest pan rysownikiem?

– Malarzem – odparł Pablo.

– To okropna i smutna dziewczyna. Z tego, co widzę, wszystko, co pan rysuje, jest bardzo smutne.

Pabla zirytowały te słowa. Co taki brudny prostak może wiedzieć o rysunku? A jednak ten człowiek o aroganckim i autorytatywnym tonie głosu, bardzo wysoki i potężny, z jakiegoś powodu go przyciągał.

– Jeśli pan chce, mogę naszkicować pański portret.

– Mnie nikt nie będzie rysował! Nienawidzę malarzy! Myślą, że widzą rzeczywistość, a naprawdę malują własne ego – prychnął marynarz, rzucając szkicownik, który Pablo złapał w locie.

Ciekawe, pomyślał Pablo, patrząc, jak gburowaty mężczyzna oddala się w stronę Santa Maria del Mar. Kiedy skręcił za róg ulicy Monteada, Pablo otworzył zeszyt i pospiesznie naszkicował tego dziwnego człowieka.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście – odparł Pablo.

– Kłamca.

– Szesnaście.

– Trzyznaście?

- Czternaście... Niedawno miałem urodziny – przyznał Pablo.
- A ty?
  - Ja mam osiemnaście.
- Wygląda na więcej, pomyślał Pablo, przyglądając się dziewczynie, która zmęczonym krokiem szła obok niego.
  - Możesz odprowadzić mnie do domu, ale potem sobie pójdziesz. Jutro muszę iść do pracy.
  - Rozumiem.
  - Jakoś dziwnie mówisz. Nie jesteś Katalończykiem, prawda?
  - Nie. Urodziłem się w Maladze, ale mieszkałem też w La Coruñi.
  - Nic dziwnego, że tak dziwnie mówisz: trzy różne miejsca, trzy języki.
  - A jak mówię?
  - No, dziwnie.
  - A ty skąd jesteś?
  - Z wioski w Murcii. Moi rodzice przyjechali tu w czasie Wystawy Światowej.
  - Mieszkasz z nimi?
- Dziewczyna jeszcze bardziej posmutniała.
  - Nie, mój ojciec zmarł. Zginął w wypadku, kiedy stawiali pomnik Kolumba. Był murarzem.
  - A twoja matka?
  - Wróciła do wioski, a ja... cóż, ja zostałam.
  - Mieszkasz sama?
  - Tak.
  - Jak masz na imię?
  - Carmen, a ty?
  - Ja mieszkam z rodzicami przy ulicy Monteadá, niedaleko stąd.



- Dziecko, nie o to przecież pytam, ale jak się nazywasz.
- Pablo. Pablo Ruiz.

Przyjemnie było iść u boku tej wyższej od niego o głowę dziewczyny, ale co mógł jej powiedzieć? Bardzo go pociągała i chciał się wszystkiego o niej dowiedzieć, ale jego doświadczenie z kobietami sprowadzało się do sporadycznych relacji z czterema prostytutkami. Z nią było zupełnie inaczej.

- Pokażesz mi rysunek?

Pablo zatrzymał się, wyjął szkicownik, otworzył na właściwej stronie i podał go dziewczynie. Nie spuszczał z niej oczu, starając się odgadnąć, czy szkic jej się podoba. Miał wrażenie, że nie jest zachwycona.

- Tak mnie widzisz?
- Widzę, że jesteś piękna.
- Ale rysunek jest bardzo smutny.
- Twoja praca jest smutna, ty jesteś piękna.
- Jesteś w tym dobry?
- Bardzo dobry... Tak mówi mój ojciec. Jest dobrym malarzem, to znaczy kiedyś był.
- Nie żyje?
- Gorzej. Przestał malować. Uczy w La Lonji.
- Bardzo go kochasz, prawda?
- Tak, chociaż ostatnio raczej się nie rozumiemy. Dzieje się między nami coś złego. Chodzi o to, że ja nie chcę malować tak jak oni wszyscy, chcę to robić po swojemu. Muszę nadać temu jakąś formę, znaleźć nowy sposób widzenia, tak jak to robili wielcy mistrzowie. Mój ojciec wciąż mi to powtarza, ale potem... to tak, jakby chciał, żebym podążał... – Pablo nie mógł znaleźć odpowiednich słów.
- ...bezpiecznymi ścieżkami?

- Tak.
- A co ty o tym myślisz?
- O czym?
- O sobie, o swojej pracy.
- Że chcę być jedynym malarzem świata.
- Jedynym?
- To znaczy najlepszym.
- To znaczy to samo co jedynym?

Od tego momentu Pablowi usta się nie zamykały. Nie wiedział, czy dziewczyna go zrozumie, ale odczuwał ogromną potrzebę powiedzenia jej tego wszystkiego, z czego nie zwierzał się nawet swemu przyjacielowi Pallarésowi. Po dłuższej chwili pomyślał, że jego nowa przyjaciółka pewnie jest tym znudzona i nie rozumie nawet połowy tego, o czym jej opowiada. Poza tym nie zaproponował jej przecież, że ją odprowadzi, po to, by opowiadać o sobie. Musi dowiedzieć się czegoś o niej, kim jest, skąd się wzięła ta dziewczyna, w której – był o tym przekonany – zakochał się do szaleństwa od pierwszego wejrzenia, gdy tylko zobaczył ją w tamtej nędznej prasowalni. Oddałby wszystko, by wyciągnąć ją z tej nory, w której marnuje życie, gdzie więdnie jej uroda i z każdym dniem traci kolejne marzenia. Pragnął ją ocalić.

- A ty kim chcesz zostać?
  - Żartujesz? Przecież widziałeś, kim jestem – odparła Carmen przygnębiona, co zasmuciło młodego malarza.
  - Widziałem tylko, czym się zajmujesz.
- Carmen podniosła głowę i spojrzała na bezgwiezdne niebo.
- Chcę być szczęśliwa. Tylko tyle.
- Zatrzymała się koło jednej z bram przy placu San Agustín Viejo.

- Jesteśmy na miejscu.
- Mogę zobaczyć się z tobą jutro?
- Po co?
- Bo cię kocham – odparł szybko i z takim przekonaniem, że jego samego to zaskoczyło.

– Co ty wygadujesz? Skąd możesz to wiedzieć? Byłeś już kiedyś zakochany?

- Nie. I dlatego jestem tego pewny.

Carmen milczała, jakby zastanawiała się, co może powiedzieć, by zmienić bieg rozmowy. Spojrzała na chłopca i zaśmiała się jak starsza siostra.

- Nie zatrzymasz szkicu? – spytał.

- Nie podpisałeś go.

Pablo sięgnął po ołówek i podpisał się „Pablo Ruiz”.

– Nie martw się, nie sprzedam go. To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Wobec tego jutro? Jeśli chcesz, możemy pójść do mojej pracowni. Pokażę ci moje prace. O tej samej godzinie?

Co takiego ma w sobie ten chłopak, że tak ją pociąga? Szkic jej się spodobał, jest smutny, ale w końcu widnieje na nim ona.

- Dobrze. Jutro o tej samej porze.

- Dziękuję. A ty nie dasz mi żadnego prezentu?

Carmen pocałowała go w czoło.

- Idź już, bo spóźnisz się na kolację.

## 5.

# Marynarz

Pablo ruszył ulicą Tiradores do ulicy Comercio. Zrobiło się późno i rodzice na pewno byli już po kolacji. Będzie musiał jakoś się wytłumaczyć. Jak zwykle powie, że rysował, co częściowo było przecież prawdą: na dowód mógł pokazać ojcu mnóstwo szkiców. Po drodze, kiedy szedł ulicą Comercio w kierunku Marqués de la Argentera, wciąż myślał o tej pięknej dziewczynie. Chłodniejsze wieczorne powietrze i to, że na ulicach nie było żywego ducha, sprawiły, że się ożywił i czuł ekscytację.

Carmen, Carmen, Carmen! Moja piękna Carmen! Moja praso-waczka! Moja zboląła, smutna dziewczyna, która zasługuje na lepsze życie! Moja biedna, nieszczęsna dziewczyna o niezrównanej urodzie! – myślał, przyspieszając kroku.

Pablo marzył, by ją pocałować. Nigdy jeszcze nie pocałował dziewczyny, nawet prostytutkę, które odwiedzał z Pallarésem. Pociągały go, ale zarazem czuł do nich obrzydzenie, a pragnienie

pocałowania którejs z nich w usta było natychmiast wypierane przez uczucie odrazy równie silne jak pożądanie. Z Carmen było inaczej. Była najpiękniejszą kobietą na świecie i Pablo, rozmyślając o tym w drodze do domu, pomyślał również, że któregoś dnia się z nią ożeni. Pragnął jej od pierwszej chwili: jej dużych ciemnych i smutnych oczu, dominujących w twarzy pięknej niczym księżyc letnią porą, jej piersi jak dwa zgłodniałe gołąbki w ciele znękanym przez los. Jej ciało, dobrze odżywione i uwolnione od zmęczenia spowodowanego pracą ponad siły, byłoby niczym ciało śródziemnomorskiej bogini. Żadne zadanie nie mogło być bardziej zgodne z jego pragnieniami ani bardziej słusze niż uwolnienie Carmen od tego nieszczęsnego żywota i uczynienie z niej małżonki. Będzie pracował na nich dwoje. Zostanie wielkim malarzem, nie takim jak Bernardo Ferrándiz, Antonio Muñoz Degrain czy don Emilio Ocón, których tak bardzo podziwiał jego ojciec. Nie. On będzie jednym z wielkich, jak Velazquez, Rafael czy El Greco. Odkryje to. Tak, odkryje nowy sposób, własny styl zainspirowany tymi wszystkimi biedakami, którzy zapełniają jego szkicowniki. Nieszczęśnikami zasługującymi na inne życie, których widział w każdym zakątku Barcelony i których los rozdzierał mu serce. To miasto bowiem nie było takie, jakie się wydawało na pierwszy rzut oka. Było również gniazdem biedy, ucisku i pozbawionych przyszłości niewolników. On to wszystko namaluje w nowym stylu, nada temu nową formę, a jego obrazy będą się sprzedawały za tysiąc, trzy, pięć tysięcy peset, aż wreszcie staną się bezcenne. I zapewni Carmen lepsze życie, kupi jej sukienki, które podkreślą jej urodę, będą jeździli do wielkich europejskich stolic, będą przyjmowani przez królów i głowy państw, kupi jej ładny dom, a Carmen będzie tylko jego, i jeśli

ktoś odważy się na nią spojrzeć, rozwali mu łeb.

– Hej, chłopcze!

Wołanie wyrwało go z zamyślenia. Pablo odwrócił się i zobaczył grubiańskiego marynarza, którego spotkał po południu. Mężczyzna musiał wołać jego, bo na ulicy oprócz nich nie było nikogo.

Marynarz podszedł bliżej.

– Ach, to pan – mruknął zaskoczony Pablo.

– Witaj, chłopcze. Czy to nie za późna pora jak na ciebie?

– A dla pana?

– Szedłem ze statku, kiedy cię zobaczyłem. Zastanawiałem się, czy to ty.

Marynarz wyciągnął rękę. Pablo zawahał się, nim ją uścisnął.

– Chciałem przeprosić za swoje zachowanie.

– Nie ma za co.

– Widzisz, całe życie jestem na morzu i nie przywykłem do rozmów. Tak naprawdę mam ku temu niewiele okazji, nie licząc moich kompanów, którzy, jak się domyślasz, nie są zbyt rozmowni. No, wiesz, stare wilki morskie, tacy jak ja, swarliwi i nieskorzy do pogawędek. Zapraszam cię na kielicha.

Pablo się wahał.

– No, chodź, jestem ci winien przeprosiny. Nic się nie stanie, jeśli spędzisz dziesięć minut w towarzystwie starego marynarza.

Pablo przyjął zaproszenie.

Doszli do skrzyżowania ulicy Comercio z ulicą Ribera, skręcili w prawo i ruszyli w stronę plaza de las Ollas, gdzie, jak mówił marynarz, mieści się pewna tawerna, która jeszcze powinna być otwarta. Podczas krótkiej drogi marynarz nie przestawał mówić.

Opowiadał o rejsach na różnych statkach, miastach i portach, do których dotarł. Pływał na starym statku handlowym o nazwie „Patna”, który dwa dni wcześniej przyплыł do Barcelony z Bergen. Opowiadał o miastach, portach, bójkach i przygodach, o dalekich i egzotycznych miejscach. Wydawało się, że stary marynarz, z pochodzenia Holender, jak poinformował w trakcie długiego monologu, raczy uszy młodzieńca dokładnie tym, co młody człowiek w wieku czternastu lat chce usłyszeć. Marynarz był wysokim, pozbawionym wdzięku mężczyzną, nieco zgarbionym, miał bliznę przecinającą twarz od podbródka aż po lewe ucho, a zaniedbana gęsta broda nie mogła jej ukryć.

O tej godzinie w brudnej starej tawernie nie było zbyt wielu klientów. Usiedli za stołem. Szynek podał im dzban wina i dwie szklanki, a marynarz ciągnął opowieść o swoich przygodach.

Pierwszy łyk wina przyprowadził Pabla o mdłości.

Podobał mu się ten człowiek, był sympatyczny i rozmowny, ale było w nim również coś niepokojącego, co zarazem podsycalo ciekawość chłopaka.

- A zatem jesteś malarzem?
- Tak.
- Mogę jeszcze raz zobaczyć twój szkicownik?

Pablo wyjął z kieszeni zeszyt i podał mu go. Marynarz powoli przewracał kartki. Gdy tylko zaczął oglądać rysunki, jego twarz zupełnie się zmieniła. Pojawił się na niej wyraz zawziętości i szyderstwa, którego Pablo wcześniej nie widział. Wtedy Pablo przypomniał sobie, że naszkicował go, nie pytając o zgodę, choć marynarz mówił przecież, że nie lubi, kiedy ktoś go rysuje. Ale było już za późno.

– To tak mnie widzisz? Jak tych wszystkich nieszczęśników, których rysujesz?

Pablo nie odpowiedział.

– Brakuje jednej kartki – zauważył marynarz.

– Tak, jeden rysunek podarowałem narzeczonej – odparł chłopak z prostotą, która natychmiast wywołała wybuch śmiechu marynarza.

– To ty masz narzeczoną?

– Tak. To znaczy ona jeszcze o tym nie wie.

– Jakże to?

Pablo nie odpowiedział. Zrozumiał, że powinien nauczyć się trzymać język za zębami. Chciał odzyskać szkicownik, ale nie wiedział, jak to zrobić.

– Czyżby to była jedna z tych biedaczek, które przez całe życie prasują?

– Skąd pan wie?

Marynarz zignorował pytanie. Rzucił zeszyt na stół i powiedział z pogardą:

– Umiesz rysować tylko gówno? Umiesz portretować tylko tę gówno wartą hołotę?

Te słowa oburzyły Pabla.

– Pan wcale nie jest od nich lepszy. Parias, który pływa od portu do portu.

– A co ty możesz wiedzieć? Jesteś cholernym fantastą, który wierzy we wszystko, co mu się naopowiada, i co gorsza, we wszystko, co widzi. Nie masz o niczym pojęcia! Czyżbyś nie wiedział, że rzeczy często nie są takie, jakimi je widzimy? Nie, oczywiście. Co może wiedzieć taki smarkacz jak ty!

Pablo wstał od stołu. Nie podobała mu się ta rozmowa. Marynarz w mgnieniu oka zmienił się nie do poznania. Zupełnie jakby



siedział z innym człowiekiem, a nie z rozmownym i sympatycznym wilkiem morskim, który przed chwilą zaprosił go do tej nory na wino. Chłopak miał ochotę posłać go do diabła. Skąd ta nagła zmiana? Co ten mężczyzna może wiedzieć o Carmen i jej prasowalni? I tak nie zamierzał tego dociekać. Chciał wyjść.

– Siadaj! – rozkazał marynarz.

Kilku gości podniosło głowy i spojrzało w ich stronę. Pablo usiadł.

– Myślisz, że coś wiesz, prawda? Że jesteś bardzo mądrym chłopcem, tak? Że masz wyjątkowy talent. O tylu rzeczach nie masz pojęcia, o tylu...

Pablo milczał.

– Co ty właściwie wiesz? Jesteś pospolitym chłopakiem, mieszkasz w pospolitej dzielnicy pełnej ludzi, którzy nie zasługują na to, by rano ujrzeć światło dnia. Kiedy się budzisz, wiesz doskonale, że nie ma na świecie niczego, co by cię niepokoiło. Przeżywasz swój pospolity dzień, a nocą śpisz, przekonany, że zrobiłeś wspaniałe szkice przedstawiające anonimowych ludzi, którzy tobie wydają się interesujący. Śpisz z głową pełną słodkich i głupich snów, marzeń... a twój tatuś i mamusia stawiają ci talerz przed nosem, chodzisz na te swoje głupie lekcje malarstwa i zabawiasz się w swojej nędznej pracowni, marząc, że kiedyś staniesz się geniuszem. Tak wygląda twoje życie: gówniany dzieciak, który podsyca gówno warte marzenia... A ja sprowadzę na ciebie koszmary! O tak! Żyjesz jak we śnie, jak lunatyk, jak ślepiec. Twoje szkicowniki, te śmieci... Co ty wiesz o świecie? Nie widzisz, że świat to tylko plugastwo? Wiesz, że gdyby zburzyć fasady domów, znalazłoby się same świnię...? Świat jest piekłem, jakie znaczenie ma to, co się

na nim wydarzy? Obudź się! Użyj rozumu! Jestem tu po to, żebyś zobaczył inny świat. Naucz się czegoś!

– Pan jest szalony.

– Pomożesz mi.

– Pan jest zupełnie szalony – powtórzył Pablo, zabierając szkicownik. – Pan pogardza ludźmi.

– Ludzie! Wszyscy są straszni! Spójrz na te kobiety. – Marynarz wskazał sąsiedni stolik. – Grube, pomarszczone, chciwe, chore.

– Ale to istoty ludzkie.

– Istoty ludzkie! Te dziwki? Doprawdy? Śmierdzą! Są jak zwierzęta. A co dzieje się ze zwierzętami, kiedy robią się grube i stare?

Pablo wstał, ale marynarz złapał go za ramię i przytrzymał.

– W naszych żyłach płynie ta sama krew, ten sam ogień. Przybywam z piekła, aby pokazać ci wnętrze tego świata.

– Proszę zostawić mnie w spokoju! Proszę mnie puścić!

– Jesteśmy połączeni, chłopcze. Nie zapomnij o tym. Nigdy cię nie opuszczę. Nadejdzie dzień, gdy zaczniesz malować, widząc świat moimi oczami, i nigdy już nie zdołasz się z tego wyzwolić. Oto moja przysięga!

Pablo wybiegł z tawerny, przewracając szklankę. Nie oglądał się za siebie. Nie chciał patrzeć na tego szaleńca, który wciąż wykrzykiwał coś, siedząc za stołem, i naśmiewał się z Pabla, obiecując, że to tylko początek, że wciągnie go w otchłań piekła.

## 6.

# Rysunek

– To mój ojciec – powiedział, pokazując rysunek dziewczynie.

Pablo przyszedł po Carmen do prasowalni i zabrał do pracowni przy ulicy de la Plata. Nie potrafi utrzymać porządku, pomyślała, kiedy zobaczyła szkiecy, rysunki i obrazy rozrzucone po niewielkim pokoju, służącym mu jako miejsce pracy.

– Za chwilę poznam całą twoją rodzinę. – Zaśmiała się.

Młody malarz pokazał jej portrety i rysunki, do których pozowali mu ojciec, mama i siostra Lola.

– Są zbyt akademickie – stwierdził.

– Są dobre?

– Jak mówiłem, są bardzo akademickie. Nie znalazłem jeszcze własnego stylu. Jak ci się podobają?

– Nie znam się na tym, ale myślę, że są bardzo dobre. Wyglądają jak prawdziwe obrazy... to znaczy... nie wyglądają jak namalowane przez...

– Dziecko?

Carmen zdała sobie sprawę, że popełniła gafę. Ale chłopak się nie obraził. Doskonale rozumiał, co chciała przez to powiedzieć. W istocie wyraziła tylko takie samo zdziwienie jak jego profesorowie, kiedy zapisał się do La Lonji, na długo przedtem, zanim osiągnął wymagany wiek. Wszyscy koledzy byli od niego dużo starsi, ale żaden nie był tak dobry jak on.

– Twój ojciec wygląda na dobrego człowieka, ale dość ponurego. Prawda, że przypomina cudzoziemca? Jest taki wysoki i ma rude włosy. Ale nie patrzy wprost, tak jakby nie miał złudzeń. Kolory też są ponure. Na mnie robi takie wrażenie, jakby ktoś spuścił mu lanie.

Ta szybka ocena jego dzieła wydała się Pablowi genialna. Carmen w prostych słowach zawarła kwintesencję tego, co chciał namalować.

– Jesteś lepsza od moich profesorów.

– Nie żartuj sobie ze mnie. Nie umiem nawet czytać i pisać. Jestem głupia.

– Nie mów tak. Umiejętność patrzenia polega na dokonywaniu wyboru. To część mojej pracy. A ty, ty zrozumiałaś... mój stan ducha.

Chłopak bez wątpienia starał się jej przypodobać, ale Carmen to nie przeszkadzało, bo przy nim przestawała być niewidzialna. Słuchał jej, a tak naprawdę pożerał ją wzrokiem.

– Twoja mama jest bardzo do ciebie podobna, to znaczy z wyglądu – powiedziała, pokazując obraz przedstawiający matkę artysty. – To bardzo energiczna kobieta. Niepodobna do ojca. Jest drobna i grubiućka, ale ma wesołe oczy.

- Skąd możesz to wiedzieć? Przecież oczy ma zamknięte.
- Po prostu wiem. Wiem też, że kocha cię nad życie, a na dodatek wierzy, że zostaniesz królem świata.
- Tak myślą wszystkie matki o swoich dzieciach.
- Tak, ale ona ma powody, by tak myśleć. Jak namalowałeś ten portret?

– Na papierze, takimi kolorowymi kredkami, które nazywają się pastele. Namalowałem to wkrótce po tym, jak przeprowadziliśmy się na ulicę Merced. Mama była wyczerpana całym tym zamieszaniem z przeprowadzką. Usiadła na krześle i zaczęła szyć. Gdy tylko nawlokła nitkę, oczy same jej się zamknęły ze zmęczenia, a głowa opadła na piersi. Wszystko, co miała na podółku: klucze, igły, nici, okulary i nożyczki, spadło na podłogę. Moja siostra Lola rzuciła się, żeby to pozbierać, ale ja ją powstrzymałem. Poprosiłem, żeby nie zbliżała się do mamy, nic nie mówiła i nie robiła hałasu. I wtedy wykonałem szkic. Tak powstał ten obraz.

Carmen była poruszona tą opowieścią. Chłopak miał niesamowicie sugestywny głos. Głos, który nie pasował do jego wieku. Ale tym, co naprawdę ją urzekło, był sposób, w jaki namalował tę prostą rodzinną scenę, o której przed chwilą jej opowiedział.

- A te rysunki?
- To szkice do obrazu, który namalowałem w zeszłym roku. Zatytułowałem go *Pierwsza Komunia*. Ta klęcząca dziewczynka z mszałem, ubrana w sukienkę do komunii, to moja siostra Lola. Mężczyzna, który stoi obok niej, to nie nasz tata, ale pan Vilchez, przyjaciel rodziny. Ministrantem jest jego syn. Najtrudniejszy był prawy profil siostry.
- Dlaczego najtrudniejszy?

– Bo łatwiej narysować lewy. Widzisz? Tu mam kilka szkiców, na których Lola ma buzię zwróconą w inną stronę.

– To chyba bardzo duży obraz.

– Tak. Sama kompozycja, wyznaczenie przekątnych było trudne. Kłęcznik Loli posłużył mi jako punkt przecięcia.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Kiedyś zrozumiesz. Wszystko ci wytłumaczę.

Ostatnie zdanie powiedział z przekonaniem, które mówiło więcej niż słowa. To jedno słowo, „wszystko”, było bardzo znaczące.

– Pokazałem go na wystawie Sztuk Pięknych i Rzemiosła Artystycznego.

– To jakaś ważna wystawa, prawda?

– I to bardzo. Rusifioł, Graner, Casas, Mir, Nonell i wielu innych też wystawiło tam swoje prace... – Po czym dodał, bo miał wrażenie, że Carmen nie nadąża: – To wielcy malarze.

– Kiedy narysowałeś mój portret, nie narysowałeś łańcuszka, który noszę na szyi.

– Wiem.

Dziewczyna nosiła łańcuszek z medalikiem Virgen de la Carmen, czyli Matki Boskiej z Góry Carmen. Pablo zwlekał z odpowiedzią.

– Nie wierzę w Boga – powiedział wreszcie.

– Ale to jest obraz religijny – odparła, wskazując szkice do *Pierwszej Komunii*.

Pablo nigdy dotąd nie spojrzął na swoje dzieło z takiej perspektywy. Dla niego był to typowy rodzinny obraz, przedstawiający siostrę przystępującą do Pierwszej Komunii. Jego przekonania miały tu niewielkie albo wręcz żadne znaczenie.

– Widzisz, kiedy mieszkaliśmy w La Coruñi, moja młodsza siostra Conchita była bardzo chora. Miała niespełna osiem lat.

– A ty? Ile wtedy miałeś?

– Dwanaście albo trzynaście. – Pablo przerwał. Zastanawiał się, jak wyrazić to, co wtedy czuł, tak by Carmen go zrozumiała. – Conchita powoli gasła, a mój ojciec od tamtego czasu bardzo się zmienił. Ja przysiągłem zaś Bogu, że jeśli pozwoli jej przeżyć, nigdy więcej niczego nie namaluję. Przynależę, że oddam mu to, co kocham najbardziej na świecie: malowanie. Nigdy więcej nie wezmę do ręki ołówka ani pędzla. Ale Conchita odeszła i od tamtej pory nie wierzę w Boga.

Pablowi łzy napłynęły do oczu, miał ściśnięte gardło. Carmen objęła go, a chwilę później ich wargi złączyły się w pocałunku. Potem dziewczyna położyła jego głowę na swoich piersiach i Pablo usłyszał bicie serca, które tak bardzo pokochał. Jej piersi podobne były do dwóch słabych gołąbków. Przesunął dłoń w stronę jednego gołąbka i poczuł, jak Carmen sztywnieje, a jej serce przyspiesza.

– Tak nie można – powiedziała, odsuwając się od niego. – Jeszcze nie. Jesteś jeszcze dzieckiem.

Mimo to trudno im było oderwać się od siebie. Chwilę potem osunęli się na podłogę. Carmen usiadła i rozpięła koszulę, a wtedy Pablo zobaczył wiotkie, lecz piękne ciało, lekkie i delikatne niczym fioletowa gardenia.

Pozwolił jej spać. Zapadał zmierzch i jej nagie ciało zalewało delikatne światło. Nie mógł oderwać od niej oczu. Była taka piękna! Nigdy nie kochał się z dziewczyną. A oto, kim była Carmen: dziewczyną godną najlepszego obrazu Rafaela.

Kiedy spała, naszkicował kilka jej portretów. Potem zaczął rysować tego nieprzyjemnego marynarza, o którym nie mógł przestać myśleć. O co mu chodziło, kiedy mówił, że są połączeni, że mu pomoże, że w ich żyłach płynie ta sama krew? Co miałyby ich łączyć? Jakie koszmary chciał w nim obudzić? Pablo nie potrafił przestać myśleć o groźbie tego szaleńca, który na koniec oświadczył, że wciągnie go w otchłań piekła.

Carmen się obudziła.

– Co robisz? – Pablo jakby jej nie słyszał. – Co za głupie pytanie! Oczywiście rysujesz! Czy ty nigdy nie przestajesz rysować?

– Nigdy – przyznał Pablo, pokazując jej najnowsze szkice.

– Świntuch! Uważasz, że to przyzwoite? Rysujesz siebie leżącego przy mnie i liżącego mnie, tam w dole, jakbyś był kocurem.

– A ty co o tym sądzisz? – spytał ze śmiechem.

– Bardzo mi się podobają... ale i tak jesteś świntuchem.

Carmen podniosła się, a wówczas dwa gołąbki zakołysały się, wzbudzając zachwyty młodego malarza, który patrzył na nie oczarowany. Nagle Carmen spochmurniała, co nie uszło uwagi Pabla.

– Co się stało?

– Znam tego człowieka – powiedziała, pokazując ostatni szkic przedstawiający marynarza.

Te słowa wytrąciły Pabla z równowagi. Nagle przypomniał sobie, co powiedział marynarz: „Czyżby to była jedna z tych biedaczek, które przez całe życie prasują?”.

– Skąd go znasz?

– W dniu, w którym po raz pierwszy się widzieliśmy... kiedy odszedłeś... – Carmen próbowała zebrać myśli – ...ten mężczyzna



pojawił się w oknie. Na początku go nie zauważyliśmy, ale czułyśmy jakby ogień, duszące powietrze płynące od strony okna. I wtedy go zobaczyliśmy, stał pod oknem i nas obserwował. Ale najgorsze były jego oczy, takie płonące i okrutne. Patrzył na nas z pogardą. To nami wstrząsnęło. Naprawdę byliśmy przerażone. Poczuliśmy się takie małe i bezbronne.

– I co się potem stało?

– Ana, jedna z moich koleżanek, która niczego się nie boi, poszła do okna i stanęła z nim twarzą w twarz. Nie pamiętam, co mu powiedziała, ale aż pozieleniał ze złości. Gdy coś jej się nie podoba, potrafi dać do wiwatu! Ale pamiętam, co odpowiedział.

– Co takiego?

– „Dziwki!”

– Coś jeszcze?

– Tylko tyle. Ale tak strasznym głosem, że wszystkie byliśmy przerażone. Potem zaczął się cofać, a Ana, wzięwszy się pod boki, nie spuszczała z niego oczu. No więc, jak mówiłam, odszedł kawałek, po czym nagle się odwrócił i wskazał mnie palcem. Z jego twarzy biło okrucieństwo. Ten palec wskazujący moją pierś był jak nóż, jakby wbijał się w moje ciało, ranił mnie i przesywał do głębi. Uniosłam ręce do piersi, a kiedy znów spojrzałam w stronę okna, ta przerażająca postać znikła. Wszystkie byliśmy przestraszone, ale ja poczułam się...

– Jak się poczułaś?

– Byłam przerażona jak nigdy dotąd. Zobaczyłam śmierć, czarną studnię, nieprzeniknione ciemności. Myślałam, że nie żyję. W tamtej chwili na krótko opuściłam ten świat.

– Uspokój się, uspokój! – Pablo objął ją.

Potem opowiedział jej o spotkaniu z marynarzem i o rozmowie, którą prowadzili, kiedy wracał do domu. Na koniec rzekł:

– Rano byłem w porcie i pytałem o statek o nazwie „Patna”. Nie było żadnego o tej nazwie, żadna „Patna” nie cumowała ani nie opuszczała portu. Ten statek nie istnieje.

– Jak myślisz, czego on chciał?

– Nie wiem, to pewnie jakiś wariat, sfrustrowany pan nikt. W każdym razie znikł z naszego życia równie nagle, jak się pojawił.

Odpowiedź Pabla nie uspokoiła Carmen. Ale w końcu co może wiedzieć taki młody chłopak, który myśli tylko o swoich złotych rękach? Nie, ona to przeczuwała: stary marynarz nie znikł na zawsze. Jeszcze kiedyś się spotkają i na samą myśl o tym ścisnęła ją w piersiach.

– Już późno, muszę wracać. Odprowadzisz mnie?

## 7.

# Nauka i miłosierdzie

Kilka miesięcy wcześniej don José pokazał obraz swojego syna, *Pierwszą Komunię*, na Konkursie Sztuk Pięknych i Rzemiosła. Obraz otrzymał numer katalogowy osiemdziesiąt, został wyceniony na tysiąc pięćset peset, a krytycy bardzo go chwalili. Piętnastego maja w „Diario de Barcelona” ukazał się artykuł, w którym Miguel Badia stwierdzał, że *widać wrażliwość w ukazaniu postaci i pewność w rysunku niektórych części obrazu*. Kilka miesięcy później w pracowni Pablo przeczytał tę recenzję Carmen. Zaczął zabierać ją na wystawy. Dzielił się z nią swoimi przemyśleniami na temat obrazów innych malarzy, dzieł Rusiñola, Brulla, Casasa, Nonella i innych artystów. Carmen jednak nie podzielała entuzjazmu Pabla. Co ona tu robi? Analfabetka u boku chłopaka obdarzonego wielkim talentem, o którym wszyscy mówią, że czeka go świetlana przyszłość?

– Nikt nie rozumie moich obrazów tak dobrze jak ty – powtarzał, kiedy Carmen mówiła mu o swoich wątpliwościach.

Ale ona wiedziała, że daleko jej do tego ciekawego świata młodzieńca, który stale jest w ruchu, gotowy pożerać świat energią swych dłoni, i który całymi dniami potrafi snuć się bez celu po starym mieście z pudełkiem kredek pod pachą. Często po nią zachodził, a wtedy szli spacerem aż do klasztoru San Pablo del Campo albo do dzielnicy Barceloneta. Carmen obserwowała go w milczeniu, zawsze u jego boku, on zaś starał się uchwycić jakąś scenę i uwiecznić ją na papierze.

Pablo był jak wir, który ją wciągał. Dzięki niemu czuła, że żyje, pokazywał jej inny świat i opowiadał o rzeczach, których istnienia nie podejrzewała, i kochał ją, obejmował, chronił i wciąż powtarzał, że kiedyś uwolni ją od tej niewolniczej pracy. Lecz Carmen czuła w głębi duszy, że jest dla młodego malarza ciężarem. Nie miał o tym pojęcia, nie potrafiłby tego zrozumieć, ale ona wiedziała, że nie może się z nim związać, bo Pablo powinien cieszyć się pełną wolnością, latać, szukać i znajdować. Ona jest poza tym wszystkim.

Kochali się w jego pracowni, ukradkiem, tak aby nie dowiedział się o tym don José, który często odwiedzał syna i przygotowywał dla niego płótna w nadziei, że syn, po skromnym sukcesie *Pierwszej Komunii*, będzie się nadal rozwijał. Pracownia mieściła się niedaleko ulicy Merced, przy której ojciec wynajmował drugie mieszkanie w domu pod numerem trzecim. Dzięki temu mógł pilnować syna, podejrzewał bowiem, że ten spotyka się ze starszą od siebie dziewczyną

Ojciec i syn doskonale się rozumieli w kwestii nowego projektu, który miał pomóc Pablowi w odejściu od akademickiej poprawności

i tematyki religijnej, która tak bardzo podobała się jego profesorom. Chłopak chciał zapomnieć o *Ministrancie* i *Pierwszej Komunii*, a ojciec w pełni się z nim zgadzał. Temat nowej pracy zaproponował don José, a Pablo nie miał nic przeciwko temu. Obraz miał przedstawiać lekarza mierzącego puls chorej, której przygląda się zakonnica, trzymająca na rękach dziecko i podająca chorej filiżankę. Don José płacił po dwa dury\* \* Duro – dawna moneta hiszpańska, odpowiadająca pięciu pesetom. za każdą sesję pozowania pewnego ubogiej kobiecie z dzieckiem, która zwykle żebrała na ulicy niedaleko pracowni Pabla. Dzięki pomocy swego brata Salvadora zdobył również habit siostry miłosierdzia należący do jednej z jego pacjentek, siostry Josefy González ze zgromadzenia Świętego Wincentego à Paulo. W postać lekarza wcielił się sam don José, który pozował synowi podczas licznych sesji przygotowawczych.

Pablo jak zwykle zabrał się do pracy z ogromnym entuzjazmem. Przez trzy dni nie spotykał się z Carmen, choć to akurat nie było niczym niezwykłym. Często wolał być sam. Samotność stanowi najlepszą pożywkę dla malarza, zwykł powtarzać jego ojciec i miał sporo racji. Choć później, pod wpływem swego impulsywnego charakteru, Pablo musiał wyjść do miasta, zobaczyć ludzi lub spotkać się z Carmen, i to zawsze, kiedy tylko tego zapragnął. A ona musiała być do jego dyspozycji.

Nie zastał jej, gdy czwartego dnia porzucił pędzle i udał się do prasowni przy ulicy Monteadá. Carmen odeszła z pracy, a jej koleżanki nie wiedziały, co się z nią dzieje. Pablo poszedł na plac San Agustín Viejo, pod bramę, przy której zawsze się żegnali. Nie

wiedział, na którym piętrze mieszka Carmen, więc zadzwonił do drzwi na pierwszym piętrze i o nią spytał. Usłyszał, że nikt taki tu nie mieszka. Niezrażony wszedł na drugie piętro. Zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu kobieta z dzieckiem na rękach.

– Nie znam żadnej kobiety o imieniu Carmen. Mówi pan, że zawsze pan ją tu odprowadzał? Na którym piętrze mieszka?

– Nie wiem, dlatego panią pytam. Odprowadzałem ją tylko do bramy.

– Wobec tego musiał pan pomylić bramy. Całe życie mieszkam w tym domu i nie znam żadnej Carmen.

Wyszedł na ulicę ogarnięty nieopisanym smutkiem. Nie, nie pomylił bramy. Ile razy ją tu zostawiał i odchodził odprowadzany przez nią wzrokiem? Carmen na pewno go oszukała, pozwalając, by odprowadzał ją pod fikcyjny adres. Ale po co? Czyżby nie chciała, żeby wiedział, gdzie naprawdę mieszka?

Postanowił wrócić do prasowni i porozmawiać z jedną z pracujących tam kobiet.

– Pracowała tu od trzech lat. Byłam jej najlepszą koleżanką, ale niewiele o niej wiem. Wiesz przecież, że pracujemy od świtu do nocy i choć przez cały dzień jesteśmy razem, nie mamy czasu na pogawędki. To bardzo wyczerpujące. Przychodzimy zmęczone po poprzednim dniu, a gdy kończymy, czujemy się jeszcze gorzej. I tak dzień w dzień, aby tylko do niedzieli. Ale wiem, że gdy ciebie poznała, była szczęśliwa i wesoła. Wcześniej taka nie była. Stale o tobie mówiła, o swoim młodym malarzu.

– Ale dlaczego odeszła?

– Nie wiem. Od kilku dni z żadną z nas nie rozmawiała. Kiedy pytałam o ciebie, odpowiadała, ale była jakaś inna. Coś się w niej działo, coś nie dawało jej spokoju.

Prasowaczka umilkła. Pablo, który chodził w kółko jak zbity pies, nagle się zatrzymał.

– Ale co?

– Może uważała, że do ciebie nie pasuje, że nie należy do twojego świata i tak dalej... Cóż, ja nie wiem, jaki jest ten twój świat. Nie znam się na malarzach, ale być może Carmen miała rację.

– Nie, nie miała racji. Kochałem ją.

– Ona też ciebie kochała. I co to zmienia?

– Wszystko.

– Jesteś jeszcze dzieckiem i nie masz pojęcia o życiu. Teraz myślisz, że jesteś zakochany. Widzisz ubogą dziewczynę, biedaczkę taką jak ja, pozbawioną nadziei, chcesz zmienić jej życie. A potem co się dzieje? Nie, chłopcze, miłość to co innego. Być może trudno ci to zrozumieć, ale jeśli Carmen odeszła, to właśnie dlatego, że naprawdę cię kochała. Kiedyś powiedziała, że przy tobie odkryła piękno świata i że choć teraz potrafi to dostrzec, to piękno do niej nie należy. Myślę, że ty patrzyłeś na Carmen tak, jak patrzysz na swoje obrazy albo obrazy innych malarzy, z dumą i pragnieniem ich posiadania, przywłaszczenia ich sobie. Carmen patrzyła na ciebie inaczej. Nadal będziesz dla niej dobry, nawet jak będziesz należał do innej albo do siebie samego, albo do nikogo. Tak widziała cię Carmen i w taki sposób cię kochała.

Pablo nie rozumiał tego ani nawet nie chciał zrozumieć, ponieważ ogarniała go rozpacz, której nie sposób było opisać słowami.

Jego światem nie były słowa. Carmen odeszła. Opuściła go i mimo tego, co powiedziała prasowaczka, nadal nie pojmował, dlaczego tak się stało.

Wrócił na plac San Agustín Viejo i krążył po nim, rozmyślając o swoim nieszczęściu. Wieczór gasł powoli, niczym pozbawiony wszelkiej nadziei chory. Pablo zatrzymał się przy bramie, przy której tyle razy zostawiał Carmen, i zapłakał.

Obserwowała go pewna kobieta, która stała w oknie domu po drugiej stronie placu.



## 8.

# Cztery Koty

*Barcelona, lipiec 1897 roku*

– Ruszaj się, Pablo. Idziemy na wystawę do Czterech Kotów\*. To coś w twoim guście i może wreszcie trochę się ożywisz.

\* El Quatr Gats (kataloński) – Cztery Koty. Nazwa tej słynnej kawiarni była zainspirowana katalońskim wyrażeniem idiomatycznym – „cztery koty” oznaczają „kilka mało ważnych osób”.

Pabla już od wielu miesięcy dręczyła melancholia, co bardzo niepokoiło Manola. Brał co prawda udział w hulankach i zabawach, ale coś się w nim zmieniło.

Pallarés przyszedł do pracowni przyjaciela wraz z nieodłącznym Sitwellem. Pablo od wielu dni nie wychodził i z nikim się nie widział, całkowicie pochłonięty pracą. Malował nocami i spał do południa.

– To taka piwiarnia, spodoba ci się. Otworzyli ją w zeszłym miesiącu i zdaniem Manola mają tam bardzo ciekawą wystawę prac Casasa, Rusiñola, Utrilla i Nonella – opowiadał z entuzjazmem Sitwell, starając się wesprzeć Manola.

- Nonella? Powiedziałaś, że mają prace Nonella?
- Tak, a także Miró i Torrenta.

Oczywiście to go pociągało. Sama śmietanka, najlepsi i najbardziej nowatorscy artyści Katalonii wystawiali razem swoje prace. Pablo nadal malował odcieniami ochry i szarości swój nowy obraz *Wnętrze kawiarni*, prawie nie zwracając uwagi na przyjaciół, którzy niespodziewanie wtargnęli na jego teren. Ale skoro sam Nonell wystawia prace, to zmienia postać rzeczy. Na pewno warto go zobaczyć. Mimo to wahał się, nim wreszcie przystał na propozycję przyjaciół.

Lokal Cztery Koty został otwarty miesiąc temu, dwunastego czerwca. Z tego, co powiedzieli mu przyjaciele, kiedy wciąż się zastanawiał, czy ma z nimi iść, wynikało, że utrzymany jest w stylu Czarnego Kota i innych słynnych kawiarni artystycznych na Montmartrze. Panowała tam atmosfera nieco modernistycznej, a nieco wagnerowskiej piwiarni.

- To lokal w stylu paryskim – przekonywał Manolo.
- A kto go otworzył?
- Zdaje się, że na pomysł wpadł Utrillo i opowiedział o nim Pere Romeu. A przecież jak wiemy, Pere pracował w Czarnym Kocie Rodolphe'a Salisa.

Pablo słuchał przyjaciół, nie odrywając oczu od obrazu.

- W głównej sali wisi płótno Casasa. Jest wspaniałe. Przedstawia Casasa i Romeu jadących na tandemie. To świetny obraz – powiedział Sitwell.

– Wobec tego trzeba go zobaczyć – uznał Pablo, odkładając pędzle.

- Umówiliśmy się przed wejściem za pół godziny z Cardona i Casagemasem. Caries Casagemas powinien ci się spodobać, to

światny gość i wspaniały artysta, przypuszczam, że zostaniecie dobrymi przyjaciółmi – mówił Manuel.

Ruszyli w stronę Casa Martín zaprojektowanego przez Josepa Puig y Cadafalcha, na którego parterze z przeszklonymi arkadami, utrzymanym w stylu neogotyckim, mieściła się wspomniana piwiarnia.

Po półgodzinie doszli do rogu pasażu Profeta. Przyjaciele już czekali na nich przy wejściu.

W piwiarni panowała bardzo ożywiona atmosfera. Z sufitu wzmocnionego drewnianymi belkami, które nadawały wnętrzu rustykalny charakter, zwisał wielki pająk. Pełno tam było przeróżnych przedmiotów. Wszędzie wisały talerze, przedmioty z żelaza, plakaty, obrazy i rysunki. Ściany mniej więcej do połowy wysokości zdobiły kolorowe i wesołe mozaiki z Walencji. W głębi, w niewielkiej salce, Miguel Utrillo zabawiał klientów i przyjaciół teatrem marionetek i chińskich cieni.

Nie sposób było się ruszyć. Panował tam taki ścisk, że szpilki by nie wetknął.

## 9.

# Szacunek

Prawie świtało, gdy młodzieniec wszedł niepewnym krokiem do domu. Richard Sitwell czekał na syna w bibliotece i wyszedł do holu, gdy usłyszał jego kroki. Znalazł go leżącego na podłodze przy drzwiach. Chłopak bredził i wyglądał jak zbity pies. Ojciec milczał przez chwilę, przyglądając mu się z bólem serca. Ricardo miał nieprzytomny wzrok i próbował się podnieść.

– Zobacz, w jakim stanie wracasz. Żal na ciebie patrzeć.

Chłopak go nie słyszał. Majaczył i powtarzał jakieś słowa, których ojciec nie mógł zrozumieć. Wreszcie pojawił się kamerdyner.

– Proszę mi pomóc. Zaniesiemy go na górę.

Wspólnymi siłami podnieśli Ricarda i podtrzymując mu głowę, zanieśli do jego pokoju.

– Możesz odejść. Sam się nim zajmę – powiedział Sitwell do kamerdynera.

Obserwował syna, który leżał na łóżku jak worek kartofli i potarzał jakieś niezrozumiałe zdania.

– Jakież marnotrawstwo! – wykrzyknął Sitwell, próbując opanować wściekłość.

Usiadł na krześle obok łóżka. Kiedy patrzył na to straszdyło, z trudem przypominał sobie syna zdrowego i w pełni sił.

– Nie powinienem pozwolić, żebyś robił, co chcesz. Wy, młodzi, nie macie silnej woli – narzekał.

Chłopak miał dreszcze, więc ojciec okrył go kocem.

– Krew! Krew! – wrzasnął Ricardo.

– Zapomnij o tym! – krzyknął ojciec rozkazującym tonem i złapał go za ramiona. – To tylko zły sen. Nie myśl o tym!

Ricardo usiadł i otworzył oczy. Na widok ojca uśmiechnął się jak idiota, po czym dostał napadu histerycznego śmiechu.

– W ogóle nie ma dla mnie szacunku – powiedział i powtórzył to zdanie kilka razy.

– Kto nie ma dla ciebie szacunku?

– Pablo.

– Kto taki?

– Pablo. – Ricardo pokazywał rysunki wiszące na ścianach.

– Lepiej sam zacznij siebie szanować. Nie spłodziłem syna po to, by został degeneratem i pijakiem.

Ale Ricardo go nie słyszał. Wpadł w stan nerwowego oszołomienia, aż wreszcie, ciężko sapiąc, zasnął.

## 10.

# Malaga

*Malaga, lato 1897 roku*

Sukces, jaki odniósł jego ostatni obraz, nappełnił młodego malarza nową energią. Don José, który marzył o wspaniałej akademickiej przyszłości syna, wysłał *Naukę i miłosierdzie* na Krajową Wystawę Sztuk Pięknych w Madrycie.

– Synu, dostałeś medal honorowy! Nie cieszysz się?

Pablo nie cieszył się ani tym wyróżnieniem, ani złotym medalem, który otrzymał za ten sam obraz na wystawie w Maladze. Sercem i myślami był gdzie indziej. Przy kobiecie, która znikła bez śladu.

Lato spędzili w Maladze, gdzie don José chciał uczcić sukces syna z bratem Salvadorem i resztą rodziny.

Wszyscy byli w euforii, ale najbardziej dumny był don Salvador, zupełnie jakby to on namalował *Naukę i miłosierdzie*. Jego szczęście sięgnęło zenitu, gdy bratanek podarował mu obraz. Stryj Salvador powiesił go nad podestem schodów w reprezentacyjnej

części domu. Teraz ma w rodzinie malarza, którego czeka wspaniała przyszłość, i powinien coś zrobić, aby ta przyszłość była świetlna.

– Co powiesz na to, żebyśmy posłali chłopca do Królewskiej Akademii San Fernando? Mamy tam przyjaciół: Muñoza Degrain i Morena Carbonera – spytał brata.

Ta propozycja napełniła don Joségo dumą, ale nie miał dość pieniędzy, by wysłać syna do Madrytu. Jego milczenie było tak wymowne, że Salvador zaraz dodał:

– Jestem gotów pokryć część kosztów. Ponadto wyznaczę mu pensję na poczet wydatków w stolicy. Co ty na to? Reszta rodziny na pewno też mu pomoże. Nie co dzień trafia się w rodzinie malarz!

To ostatnie zdanie zabolowało don Joségo. Przedtem to on był w tej rodzinie malarzem, choć najwyraźniej do nikogo to nie dociera. Ale oferta brata miała wielkie znaczenie dla Pabla. Doskonale wiedział, że w Madrycie znajdzie świetnych profesorów, którzy ukierunkują chłopca, a poza tym jest tam Prado. Czegóż więcej może pragnąć początkujący malarz?

– Porozmawiaj z chłopcem. Dowiedz się, co o tym myśli. Ja uważam, że to może mieć duży wpływ na jego przyszłość.

Pablo się zgodził. Po odejściu Carmen nic nie trzymało go w Barcelonie. Owszem, miał tam dobrych przyjaciół i Manuela, ale nie będzie za nimi tęsknił. Chciał wyjechać z tego pełnego przemo- cy miasta, w którym bomby wybuchały w teatrach i podczas procesji, bohema bawiła się w anarchistów, a dzieci burżujów wyzyskujących robotników poświęcały się sztuce, zakładaniu czasopism albo podróżom do Paryża. To w tym mieście utracił swoją jedyną

miłość. Zresztą nawet jeśli w Madrycie nie nauczy się zbyt dużo, to przynajmniej będzie w stolicy Hiszpanii, gdzie w salach muzeum Prado czekają na niego wielcy mistrzowie. Jeśli gdzieś ma się czegoś nauczyć, to tam, a nie od starych kolegów ojca, których obrazy niczym się od siebie nie różnią!

Pablo się nie mylił.

Tamtego lata w Maladze zaczął się cieszyć sporą popularnością, szczególnie od czasu, gdy pewien przyjaciel stryja ochrzcił go malarzem, skrapiając mu głowę szampanem i nazywając kawalerem malarzem podczas jednego z przyjęć, które wydała jego rodzina.

Tego lata wszyscy podejrzewali, że Pablo podkochuje się w swojej kuzynce Carmen. Ale prawda była inna. Pablo wraz z kuzynką Carmen Blanco często spacerowali wieczorami po wysadzanych drzewami alejkach, ciesząc się nieco chłodniejszym powietrzem. I pewnego razu młodzieniec zwierzył jej się ze swych zmartwień.

– Jedź do Madrytu, naucz się, ile tylko będziesz mógł, a potem wracaj do Barcelony i odszukaj ją. Ona cię kocha, jestem tego pewna. Sądzi jednak, że nie zasługuje na ciebie, że byłaby dla ciebie ciężarem.

Pewnej nocy Pablo powiedział Carmen:

– To dla ciebie, w dowód wdzięczności. – I wręczył jej tamburyn ozdobiony bukietem kwiatów.

– Spójrz na nich – powiedziała Carmen, wskazując matkę Pabla i innych członków rodziny, którzy siedzieli przed wejściem do domu i nie spuszczała z nich wzroku. – Myślą, że jesteśmy w sobie zakochani – dodała.



– Niech sobie myślą, co chcą. Moja matka wierzy, że kiedyś zamieszkać w Maladze i się z tobą ożenię.

Roześmieli się jak spiskowcy uradowani poczuciem wspólnoty, zerkając w stronę krewnych, którzy również się uśmiechali, pewni, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

## 11.

# Madryt

*Madryt, jesień 1897 roku*

Przyjechał do Madrytu jesienią. Prosto ze stacji ruszył do skromnej stacji przy ulicy San Pedro Mártir. Długo tam nie zaba-  
wił, zmieniał miejsce jeszcze dwa razy, aż w końcu wybrał stację  
na Lavapiés, niedaleko ulicy Progreso.

W żadnym z tych miejsc nie czuł się dobrze. Po raz pierwszy był  
sam i musiał samodzielnie podejmować decyzje. Pensja, którą do-  
stawał od rodziny, nie była mała, ale mimo to podczas tej madryc-  
kiej zimy, którą zapamiętał jako najzimniejszą i najbardziej wilgot-  
ną w swoim życiu, nie mógł sobie pozwolić na żadne luksusy.

– Zrobię z pana wielkiego malarza naturalistę! – oświadczył  
Muñoz Degrain, kiedy Pablo zjawił się w akademii.

Degrain natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że młodzieniec  
nie zamierza przyjąć jego propozycji. Ten piętnastoletni chłopak  
był krnąbrny, pewny siebie i swoich umiejętności, a ponadto cecho-  
wała go nieobca Degrainowi andaluzyjska próżność. Zachowywał

się niezależnie i sprawiał takie wrażenie, jakby wszystko wiedział, ale najlepiej to, kim nie chce zostać.

Od pierwszej chwili mistrza i ucznia dzieliła przepaść.

Pablo nie chciał go urazić, ale w Barcelonie, być może dlatego, że była tak blisko Paryża, interesowało go zupełnie co innego.

Pablo chodził na zajęcia przez wiele tygodni, a przynajmniej do czasu, aż ostra zima się skończyła, a dobrze ogrzewane aule już tak nie kusiły. Jego relacje z profesorami nie były najlepsze, podobnie zresztą jak z kolegami z roku. Odnosił wrażenie, że zajęcia na akademii nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. W efekcie zaczął je opuszczać. Jego jedynym kolegą z akademii był wówczas Argentyńczyk, Francisco Bernareggi, z którym chodził do Prado, gdzie kopiowali swych ulubionych mistrzów. Często bywał również w Akademii San Fernando, która miała niezłą kolekcję dzieł Zurbarána, Murilla, Goi i niektórych mistrzów niemieckich. Ale najbardziej interesowało go Prado.

– Jutro pojedziemy do Toledo. Chcę, żebyście zobaczyli obraz El Greca – oznajmił pewnego dnia profesor Moreno.

Pablo, który przypadkiem był tego dnia na zajęciach, postanowił wziąć udział w wycieczce. Jego podziw nie miał granic, gdy w towarzystwie pozostałych studentów zobaczył *Pogrzeb hrabiego Orgaza*. To dopiero jest prawdziwe malarstwo, pomyślał. Moreno Carbonero poprosił studentów, aby w ramach ćwiczeń zrobili kopie tego dzieła.

– To woła o pomstę do nieba! – wykrzyknął profesor, gdy zobaczył kopię namalowaną przez Pabla.

Pablo dobrze odtworzył kompozycję obrazu, ale wpadł na pomysł, by zamienić głowy postaci na głowy uczniów i profesora.

Morena Carbonera nie rozbawił ten dowcip, przeciwnie: wpadł w szał. Pablo postanowił, że jego noga nigdy więcej w akademii nie postanie.

Gdy don José i pozostali członkowie rodziny dowiedzieli się o całym zajściu, również poczuli się urażeni. Co się z tym chłopakiem dzieje? Jak śmie marnować wysiłek całej rodziny, która z takim trudem odkłada pieniądze, aby mógł studiować w Madrycie u najlepszych profesorów! Stryj Salvador i pozostali krewni wycofali środki przeznaczone na jego pensję. Nikt nie zamierzał utrzymywać kogoś, kto nie szanuje starań innych. Jedyne don José, który miał największy udział w pensji przyznanej Pablowi przez rodzinę, nadal wysyłał mu pieniądze, choć nie potrafił zrozumieć syna, który za nic miał wszystko, czego życzył mu ojciec: zlecenia, zaszczyty, Prix de Rome, nagrody, profesurę, sławę malarza akademickiego. Co, u licha, chodzi temu chłopakowi po głowie? Jak może mu to robić?

Tymczasem głodny Pablo włóczył się po ulicach Madrytu, szkicując sceny uliczne: mieszkańców miasta, kobiety w pelerynach, kłótnie, ulicznych muzykantów, zwierzęta, kominy, śliczne dziewczęta – tu mocno zarysował kontury i stosował płynną i swobodną kreskę. W tamtym czasie, piątego lutego 1898 roku wykonał również niewielki rysunek, który zatytułował *Carmen*.

Czuł się bardzo źle, kiedy pewnego dnia stanął przy kiosku i przeczytał wiadomość na pierwszych stronach gazet: amerykański pancernik „Maine”, wysłany do Hawany w celu obrony interesów Stanów Zjednoczonych, piętnastego lutego wyleciał w powietrze. Stany Zjednoczone były o krok od wypowiedzenia wojny Hiszpanii.

Klasa robotnicza, postawiona w stan pogotowia przez anarchystyczną propagandę, jako jedyna nie chciała wojny i była przeciwna polityce kolonialnej rządu. Generał Valeriano Weyler, który zastąpił Martineza Camposa na stanowisku kapitana generalnego i zarządcy wyspy, nie budził sympatii, z jego rozkazu powstały na Kubie obozy koncentracyjne, w których umierały tysiące bojowników o niepodległość, wśród nich również kobiety i dzieci. Paradoksalnie to właśnie Weyler bronił interesów Stanów Zjednoczonych – państwa, które było bardzo bliskie poparcia Kubańczyków – kiedy w 1895 roku wybuchł bunt, spowodowany zwiększeniem opłat celnych przez Stany Zjednoczone, co doprowadzało do ruiny kubańskich plantatorów i spowodowało zmniejszenie wynagrodzeń. Stany Zjednoczone prowadziły na wyspie poważne interesy: kupowały tam cukier i tytoń.

Takie wiadomości nadchodziły ze świata, kiedy w marcu Pablo zachorował na szkarlatynę. Chłód przenikał jego kości, kiedy z ołówkiem w rękę śledził typowe dla madryckich ulic postacie: kobiety, które zgodnie z panującą modą nosiły wielkie kapelusze, ładacznie, krążące po ubogich dzielnicach. Przesiadywał w parku Retiro, a gdy ten był zamknięty, na stacji, malując autoportrety i usiłując się rozgrzać. Nie mógł tam zostać. Miał zaledwie szesnaście lat i czuł się bezradny, nikt go nie rozumiał. Madryt bardzo go rozczarował, a co więcej, nie potrafił zapomnieć o Carmen. W smutnym i zimnym pokoju, przymierając głodem, w samotności, z wysoką gorączką, wciąż widział twarz dziewczyny i jej falujące niczym skrzydła gołębic piersi.

Rodzice nie mieli pojęcia, w jakim jest stanie, aż wrócił, a oni przyjechali po niego na dworzec: był wymizerowany i ledwo trzymał się na nogach.

Nie mieli do niego pretensji.

– Jedziemy do domu, synu. Wkrótce wydobrejesz – powiedział don José, biorąc jego walizkę.

Najpierw odwiedził go przyjaciel Manolo Pallarés. Pablo był naprawdę chory. I nie chodziło tylko o szkarlatynę. Podupał również na duchu. Manolo uznał, że przydałaby mu się zmiana otoczenia.

Postanowił porozmawiać z don Josém.

– U mnie na wsi powietrze jest zdrowe, a jedzenie pyszne. Myślę, że taka zmiana dobrze mu zrobi. Co pan o tym sądzi? – spytał po długich wywodach, które miały przekonać don Josého.

Stary profesor wahał się, a Manolo nie przestawał mówić:

– Moi rodzice będą zachwyceni, jeśli Pablo przyjedzie do Horty de Sant Joan. Zapewniam, że nie sprawi im to żadnego kłopotu. Po tym wszystkim, co państwo dla mnie zrobili, wreszcie będą mogli się odwdziżyć. Co pan o tym sądzi, don José? A pani, dono Mario?

Rodzice Pabla przystali na tę propozycję. Może Manolo ma rację i chłopcu rzeczywiście potrzebna jest zmiana otoczenia dla wzmocnienia ciała i ducha. Tak, być może dłuższy pobyt na wsi z Pallarésem nie jest złym pomysłem.

– Dobrze, synu. Zgadzam się. Pablo nie mógłby mieć lepszego przyjaciela.

– Dziękuję, don José. Sam pan zobaczy! Pablo wróci jak nowy!

## 12.

# Nowe światy

*Barcelona, 1899 roku*

Don José nie wierzył własnym uszom. Od czasu powrotu do Barcelony, to znaczy od lutego, Pablo był zupełnie innym człowiekiem. Don José dał mu trochę czasu, żeby się zdomowił po powrocie z Horta de Sant Joan, gdzie bawił ze swym przyjacielem Manolo Pallaréssem, zwlekając z konfrontacją, która, był tego świadom, wcześniej czy później nastąpi. Pablo wkrótce miał skończyć osiemnaście lat, ale don José widział, że po tych długich ośmiu miesiącach nieobecności chłopak wymyka mu się z rąk. Don José był już po sześćdziesiątce i nie wiedział, jak pokonać dzielącą ich przepaść, która w ostatnim czasie coraz bardziej się powiększała. Wiedział, że Pablo już nigdy nie będzie mu posłuszny.

– Jakże to, nie chcesz zapisać się do La Lonji? To co zamierzasz robić?

– Malować.

– Jeszcze nie zakończyłeś nauki, synu. W zasadzie nie masz

żadnych studiów ani pojęcia, jak to jest być dorosłym. Marzyłem, że zostaniesz...

– Wiem, o czym marzyłeś, ojczy – przerwał mu Pablo – ale to nie ma nic wspólnego z moimi marzeniami.

– A jakie to są marzenia, Pablo? Powiedz, jak mogę ci pomóc?

Nie mógł mu pomóc. Pablo o tym wiedział. Jedyne, co ojciec mógł zrobić, to w niego wierzyć. Ale jak Pablo ma mu o tym powiedzieć, skoro ich poglądy są tak różne?

– Nie rozumiem cię, Pablo. Naprawdę nie rozumiem – powiedział don José, gdy syn milczał. Sam również zamilkł, opuścił głowę, a po chwili dodał: – Jesteś obdarzony wielkim talentem, synu, niezwykłym, takim, który pozwoli ci rozwinąć znaczenie i pojęcie piękna.

– Piękno? Mnie to słowo nic nie mówi, ponieważ nie wiem, co oznacza ani czemu ma służyć.

– Widziałem twoje ostatnie prace i choć ich nie rozumiem, wiem, że są dobre, mógłbyś to wszystko...

– W sposób akademicki?

– Cóż, nie wiem. Możemy o tym porozmawiać, przecież zawsze o wszystkim rozmawialiśmy.

– Ojczy, widziałeś, co się ostatnio dzieje w Barcelonie?

– Mówisz o swoich przyjaciółach z bohemy? Nie, nie widziałem. Ale oni nie są malarzami, Pablo. Nie sposób malować, prowadząc tak nieuporządkowane życie, całymi dniami przesiadując w barach na pogawędkach i odwiedzając domy publiczne. Większość z nich to bogacze, którzy w poszukiwaniu rozrywki malują, jeżdżą do Paryża i ekscytują się przeciętnymi plakacistami. To niepoważne, Pablo. Mogą sobie na to pozwolić, bo prawie wszyscy są bogaci. Ale ty... nigdy cię nie zaakceptują. Nie należysz do ich klasy.



Jesteś biedny i pochodzisz z Andaluzji. Teraz cię oklaskują, ponieważ, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości, malujesz lepiej od nich wszystkich razem wziętych. Ale jak długo tak będzie? Uważam, że musisz się uczyć, znaleźć godne wyjście tak, aby talent z jednej strony pozwolił ci zarobić na życie, a z drugiej...

– Nie, ojczu. To już koniec. Chcę z tym wszystkim skończyć. Nie mogę malować tak, jak to robią twoi koledzy. Chcę zerwać z malarstwem jako takim, zniszczyć je. Pragnę czegoś innego, bardziej dzikiego, odważnego, nie chcę przestrzegać żadnych reguł.

– A jak zamierzasz to zrobić? Malując obszarpańców, konających, pacjentów w szpitalach i prostytutki? Jak zarobisz tym na życie? Nie widzisz, synu, że to niemożliwe? Czego ty chcesz? Chcesz być jak ten Nonell?

– Nie chcę być Nonellem, choć uważam, że jest najlepszy z nich wszystkich. Przynajmniej maluje prawdziwe życie. Nie widzisz, ojczu, co się dzieje w Barcelonie? W Hiszpanii?

– Co się takiego dzieje?

– Wszystko się rozpada. Mamy nowy świat, masy ludzkie, które cierpią i pragną, by ktoś je dostrzegł i wysłuchał. Nie chcę malować pozornej, pozbawionej treści rzeczywistości. To są nowe światy, ojczu, naprawdę. Nowe wizje, nowe możliwości i nie można już malować tak jak do tej pory.

– A jak należy teraz malować?

– Jeszcze nie wiem. Ale znajdę sposób.

Na nic się zdały rozmowy don Joségo z Pallarésem, podczas których prosił, by ten namówił Pabla do zapisania się do Szkoły Sztuk Pięknych La Lonja. Pablo podjął już decyzję i nie zamierzał słuchać ani ojca, ani przyjaciela. Po raz pierwszy doña María nie

stała po stronie syna, choć nie poparła też męża. Zachowała milczenie i nie protestowała, gdy don José oświadczył, iż nie zamierza płacić za wynajem pracowni Pabla ani dawać mu pieniędzy na utrzymanie.

Kiedy Pablo powiedział, że wyprowadza się z domu, don Josému krajało się serce. Ale nie było już odwrotu.

- Dokąd pójdziesz?
- Nie martw się, ojczu, poradzę sobie.
- Przecież nie masz ani grosza, synu.
- Zarobię.

Don José nie miał pojęcia, jak Pablo sobie poradzi, ale pomyślał, że być może koniec końców dobrze mu zrobi, jeśli sam będzie musiał stawić czoło światu. W domu zawsze czekać będzie na niego miejsce przy stole i łóżko.

I o tym Pablo powinien wiedzieć.

## 13.

# Cesarzowa

– I gdzie teraz mieszkasz? – spytał Pabla jego przyjaciel Santiago.

– W burdelu.

– W burdelu! Mieszkasz z prostytutkami?

– Tak, w burdelu przy ulicy Avinyó.

– Od kiedy? – dopytywał się zaskoczony Santiago.

– Od jakichś dwóch tygodni.

– A jak płacisz za pokój, skoro nie masz ani grosza?

– Nie płacę. Maluję.

Santiago nie posiadał się ze zdziwienia. Pablo opowiadał mu o dyskusji z ojcem i o wyprowadzce z domu, ale nigdy nie wpadłby na to, że jego przyjaciela utrzymuje teraz pięć dziewcząt, które zarabiają na życie jako prostytutki w mieszkaniu przy ulicy Avinyó, czy, jak kto woli, Awinion. Wiedział, że Pablo dobrze radzi sobie z kobietami. Choć był niski i niezbyt atrakcyjny fizycznie, miał

niesamowite szczęście do płci pięknej. Ale od tego do mieszkania za darmo w burdelu... Nie mógł w to uwierzyć!

Pablo opowiedział mu, że od pewnego czasu bywał w tym burdelu ze swym przyjacielem Pallarésem, ponieważ w sąsiedztwie mieści się sklep z farbami, do którego chodzi, ilekroć potrzebne mu są jakieś materiały.

– Dawałem im w prezencie rysunki, a one bardzo mnie polubiły. Kiedy wyniosłem się z domu, przypadkiem spotkałem jedną z nich w tawernie niedaleko Ramblas, w Casa Matías. Miałem czternaście duro, które dała mi matka, więc poszedłem coś zjeść, a potem zamierzałem poszukać jakiejś stancji. Zamówiłem potrawkę z drobiu za dziesięć centymów. Kiedy skończyłem jeść, nagle ją zobaczyłem.

– Na pewno czekała na jakiegoś klienta.

– Cóż, tego nie wiem. W każdym razie przysiadła się i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziałem jej, co się stało, a ona zaproponowała, żebym zatrzymał się u nich do czasu, aż zacznę zarabiać.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu, Santiago. Powiedziałam, że w zamian za kąpiel do spania pomaluję im burdel.

– Pomalujesz im burdel? – powtórzył z niedowierzaniem przyjaciel.

– Tak jest. Zacząłem od małego pokoju, który dała mi Benigna. To wspaniała kobieta! Zupełnie jak matka!

– Tak, tak, jak matka.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. Chcę powiedzieć, że wcale nie musiała mi pomagać. Wyświadcza mi wielką przysługę.

- A co robisz całymi dniami w tym domu publicznym?
- Mówiłem: maluję. Zacząłem od mojego pokoju, a teraz maluję resztę.
- Chyba coś jeszcze tam robisz oprócz malowania!
- Cóż, nadal jestem dobrym klientem... kiedy one mają na to ochotę.
- One?
- Tak, one wszystkie
- I mówisz, że jest ich pięć?
- Tak. Czasem, kiedy są bardzo zajęte, gotuję dla nich. Wieczorami jadamy razem w kuchni, opowiadają mi o swoich sprawach, a potem idę do Czterech Kotów.
- A później?
- Jeśli któraś jest akurat wolna, przychodzi do mojego łóżka. Ale, jak już mówiłem, to wspaniałe dziewczyny.
- Nie wątpię... skoro tak dobrze cię traktują.
- Pallarés często nas odwiedza, a wtedy urządzamy prawdziwą zabawę.
- Co za historia, Pablo! Co za historia! Natychmiast przeprowadzasz się do mnie!
- Miałbym wyprowadzić się z domu publicznego? Nie ma mowy!

Santiago Cardona zdołał wreszcie przekonać swego młodego przyjaciela, by ten dzielił z nim pracownię.

- Nic nie będzie cię to kosztować – zapewnił.

Santiago również był malarzem. Poznali się w La Lonji. Brat Santiaga, Josep, był z Pablem na tym samym roku. Zajmował się

rzeźbą i bardzo cenił kolegę z Malagi, więc kiedy dowiedział się od brata, że Pablo będzie pracował w tym samym atelier, był zachwycony.

– I jak ci się podoba? – spytał Santiago, kiedy pokazał już Pablowi jego część pracowni.

Był to niewielki pokój z oknem wychodzącym na ruchliwą ulicę Escudellers Blancs, w którym Pablo mógł malować i spać.

Studio zajmowało tylko część antresoli, w pozostałej części mieściła się pracownia gorseciarska matki Santiaga i Josepa. Do pokoju Pabla prowadził długi ciąg wąskich korytarzy, przy których znajdowały się pomieszczenia pełne przeróżnych maszyn i kobiet zajmujących się szyciem gorsetów. W Cesarzowej, bo tak nazywała się pracownia, szyto gorsety o przeróżnych kształtach, rodzajach i cenach „z prawdziwymi fiszbinami”, jak głosił szyld. Jednym z najlepiej sprzedających się produktów firmy był „gorset higieniczny”, przebadany przez sławną barcelońską Akademię Medycyny i Chirurgii, zaprojektowany specjalnie dla kobiet w ciąży oraz delikatnych dam, do zamówienia wyłącznie w Cesarzowej, jak zawsze powtarzała klientkom właścicielka pracowni.

Matka chłopców polubiła Pabla, który co prawda wydawał się nieśmiały, lecz natychmiast zakolegował się z zatrudnionymi w pracowni dziewczętami i wypytywał je z zaciekawieniem o różne sprawy.

– Zatem wszystko załatwione. Mama cię polubiła. Jeśli chcesz, możesz od razu przenieść tu swoje rzeczy – powiedział Santiago.

14.

## I to jak dobry, ojczy

– Nie jesteśmy tu dla przyjemności, Pablo, ale z głodu.

Tak powiedziała mu Benigna Caselles tamtego wieczoru, kiedy zabrała go do burdelu. Wcześniej, nim weszła w ten biznes, pracowała w ciastkarni. Pochodziła z wioski niedaleko Trep, a do Barcelony przyjechała w wieku szesnastu lat w nadziei, że tu znajdzie lepsze życie. Od tamtej pory spadło wiele deszczy, tak powiedziała, a sprawy nie potoczyły się zgodnie z jej oczekiwaniami. Pewnego dnia zjawili się w ciastkarni dwóch mężczyzn. Zaproponowali, że przedstawią ją pewnemu bardzo zamożnemu człowiekowi, który może mieć dla niej niezwykle atrakcyjną pracę. Benigna uwierzyła, że jej życie się odmieni, i pojechała z nieznajomymi aż do Madrytu. I nagle znalazła się w jakimś domu, z którego nie mogła wyjść, razem z innymi dziewczętami zmuszanymi do prostytucji. Pracowała pod przymusem przez dwa lata, aż wreszcie pewnego dnia,

dzięki pomocy jednego z klientów, udało jej się uciec i wrócić do Barcelony.

Bez powodzenia szukała uczciwej pracy. Wtedy zdała sobie sprawę, że jest całkiem dobrą prostytutką i czy jej się to podoba, czy nie, może dzięki temu zarobić na życie. Miała dwadzieścia lat, była ładna, mężczyźni tracili dla niej głowę i odkryła, że może wybierać klientów. Będzie dziwką, co do tego nie miała wątpliwości. Ale nie jakąś ulicznicą, z tych, co to są gotowe obsłużyć mężczyznę pod gołym niebem, przy nadbrzeżnym murze albo w jakiejś klitce. W Barcelonie nie brakowało zamożnych mieszczan, którzy pragnęli dla niej oszaleć. Już ona doprowadzi ich do szaleństwa, niech tylko do niej przyjdą. Ale do tego potrzebne były pieniądze. Poszła do parafii i poprosiła księdza o pożyczkę.

– Potrzebuję pieniędzy, żeby otworzyć interes. Wszystko oddam.

I tak też uczyniła cztery miesiące później. Oddała pożyczkę z odsetkami wysokości dziesięciu procent, których ksiądz wcale się nie domagał, ona jednak czuła się do tego moralnie zobowiązana. Dzięki niemu stała się wolnym człowiekiem, a na dodatek ksiądz zadał jej tylko jedno pytanie:

- To na jakiś dobry cel, córko?
- I to jak dobry, ojciec: mój własny.

„A niektórzy mówią, że Kościół nie wspiera ubogich!” – oburzała się Benigna, gdy wynajęła już mieszkanie przy ulicy Avinyó, znalazła cztery koleżanki i wreszcie zaczęła pracować na własny rachunek.

Odtąd w każdą środę chodziła do kościoła Santa Maria del Mar i wrzucała do puszek równowartość jednej dniówki.



– Na tym świecie, Pablo, trzeba umieć okazać wdzięczność – powiedziała na zakończenie. – Każda z moich dziewcząt mogłaby opowiedzieć podobną historię – dodała. – A teraz mam nawet własnego malarza, jak Maria Gabino, ta ze Złotego Asa.

Maria Gabino była jedną z najśłynniejszych prostytutek Barcelony, a także modelką Isidre Nonella.

Tak, Benigna Caselles miała swojego malarza, ale teraz malarz się wyprowadzał. Benigna pomogła mu się spakować.

– Odwiedź nas niedługo z przyjaciółmi. Urządzą dla ciebie przyjęcie.

Pablo był jej bardzo wdzięczny. Przeżył w burdelu szczęśliwe dni. Dziewczeta go kochały, on dobrze się przy nich czuł, a przy tym zarówno on sam, jak i jego przyjaciele świetnie się bawili. Dziewczeta zaśmiewały się do łez w towarzystwie tych zwariowanych młodych malarzy, pełnych życia, skorych do zabawy, rozwiązanych i wesołych. Pallarés nie był zbyt zamożny, ale gdy tylko dostawał z domu jakieś pieniądze, nie skąpił na dziewczyny grosza. Najczęściej jednak ich rachunki płacił Ricardo Sitwell. Angielski przyjaciel nie zważał na koszty, kiedy razem hulali.

Pablo znał wielu klientów, którzy regularnie odwiedzali burdel. Dziewczeta dbały, by zawsze był na czasie, a w kuchni opowiadały mu o dziwactwach każdego z nich. Niejeden zaniemówiłby ze zdziwienia, gdyby usłyszał, co też o nim wygadują. Wśród klientów zdarzali się płaczliwi, rozpustnicy, nieśmiali, lękliwi, impotenci, obdarzeni wyobraźnią, a także mężczyźni o niestychanych dewiacjach, które dziewczeta chętnie omawiały w kuchni podczas kolacji z Pablem, śmiejąc się do rozpuku.

– W moim pokoju jest ktoś, kto chce cię poznać – powiedziała Benigna pewnego dnia, tydzień po tym, jak Pablo wprowadził się do burdelu.

– Mnie? Kto to taki?

– Klient. Chodź ze mną.

– A czego chce?

– Nie wiem. Chyba interesuje się malarstwem. Może da ci jakieś zlecenie. Nie wiem, jak się nazywa. Mówi, że jest lekarzem, choć trudno w to uwierzyć. Jest co prawda elegancko ubrany, ale wygląda na marynarza albo dokera. Jedno jest pewne: to impotent.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Przygląda się dziewczętom, kiedy się rozbierają. Potem każe im przyjmować różne pozy: odwróć się plecami, podnieś pupę, rozchyl nogi, uklęknij, opuść głowę, połóż się na łóżku, podotykać się, a sam siedzi na brzegu łóżka i bardzo opanowanym tonem obrzuca je wyzwiskami. Nigdy ich nie dotyka, tylko na nie patrzy i wyzywa od najgorszych. – Zamilkła, po czym dodała: – Nie on jeden tak ma. Przychodzi też do nas pewien anarchista, który próbuje nas nawrócić, masturbując się i czytając nam książki.

– Książki? Czyta wam książki?

– Tak, całe rozdziały takiej jednej zatytułowanej *Nana* i drugiej, zdaje się, *Kurtyzana Eliza*. Już ci mówiłam, dla każdego coś miłego. Doktor uwielbia upokarzać dziewczęta, ale tylko słowami. Choć czasem się go boimy.

– Ale przecież was nie dotyka.

– Nie musi. Wystarczy jego spojrzenie, Pablo. Jest straszne.

– Więc dlaczego go nie wyrzucisz?

– Dobrze płaci, a prawda jest taka, że bywają gorsi od niego. Chodź już, czeka na ciebie.

Pablo wszedł do pokoju Benigny. Lekarz stał odwrócony plecami do drzwi, przyglądając się rysunkom na ścianie. Był to wysoki, elegancko ubrany mężczyzna o rudawych kręconych włosach. Kiedy się odwrócił, Pablo zauważył, że ma ogromne, zakrywające niemal pół twarzy okulary.

- To pan jest autorem tych rysunków? – spytał na powitanie.
- Tak.
- Co przedstawia ten? – Wskazał łaską ścianę po prawej stronie.
- To, co pan widzi.
- To pan?
- Tak. Z Negrą.

Negra była jedną z pięciu pracujących w burdelu prostytutek.

Rysunek przedstawiał nagiego Pabla, siedzącego na krześle i palącego fajkę, oraz Negrę, która siedziała mu na kolanach i pieściła jego przyrodzenie, podczas gdy on lewą rękę zbliżał do jej clitoris. Negra miała na sobie niebieskie pończochy i brązowe botki, szeroko rozchyłała nogi, lewą nieco unosząc.

- A ta postać z prawej?
- Marynarz, który siedzi na łóżku i przygląda się tej scenie.
- Dlaczego?

Marynarz został naszkicowany zaledwie czterema kreskami, ale emanowała z niego niezwykła siła – przerażająca sylwetka namalowana przy wejściu do pokoju, która ich obserwowała.

– Bo jest impotentem i zapłacił tylko po to, by patrzeć – wyjaśnił Pablo.

Lekarz nic nie odpowiedział i zajął się oglądaniem pozostałych

rysunków, które przedstawiały grupę młodzieńców zajętych igraszkami z pięcioma dziewczętami z burdelu. Pablo nie spuszczał z niego oczu. Benigna miała rację: było w nim coś grubiańskiego, co zupełnie nie pasowało do lekarza.

- To moi przyjaciele.
- Też studenci? – spytał mężczyzna jakby z nutą wyrzutu, nie przestając patrzeć na rysunek.
- Tak, to moi dawni przyjaciele z La Lonji.
- Na którym jest pan roku?
- Na żadnym. Nie zapisałem się.

Lekarz nic więcej nie powiedział. Wciąż wpatrywał się w rysunki. Pablo zbliżył się do niego, chciał zobaczyć jego twarz, żeby wiedzieć, jakie wrażenie wywierają jego prace na tym dziwnym człowieku, który nawet się nie przedstawił, tylko zaczął rozmowę od bezpośrednich pytań. Miał surowe spojrzenie, a jego usta wykrzywił grymas niezadowolenia. Kogoś Pablowi przypominał, gdyby był jeszcze wyższy, mimo rudawych włosów i wielkich okularów, mógłby go wziąć za tamtego marynarza. Choć to było niemożliwe, miał przecież zupełnie inny tembr głosu, a jego ruchy, szybkie, oszczędne, niemal kocie, też były inne. Ile może mieć lat? Pablo nie potrafił odgadnąć. Zastanawiał się nad tym, gdy lekarz odwrócił się, podszedł do niego i powiedział, wbijając w niego oczy:

- Z drogi!

Tego rozkazu Pablo nie mógł zignorować. Instynktownie odsunął się na bok, nie miał bowiem wątpliwości, że facet gotów jest go rozdeptać, jeśli go nie posłucha.

Lekarz wyszedł z pokoju.

Pablo zastanawiał się, co się właściwie stało.

– Wyszedł bez słowa. Co mu powiedziałeś? – spytała Benigna, wchodząc do pokoju.

- Chyba nic takiego.
- Podobały mu się twoje rysunki?
- Nie.

## 15.

# La Pajarera Catalana

Pablo poznał Patasa w Eden Concert w dzielnicy Ravel, lokalu, który istniał już od dwunastu lat i nie musiał niczego zazdrościć innym musichallom Paryża, Berlina czy Hamburga. Spotykali się w nim wszyscy libertyni miasta. Swoboda, z jaką pokazywano tam nagie ciała, sprawiła, że miejsce to stało się wyjątkowym kabaretem z wybornymi pikantnymi spektaklami, które zachwycały zarówno bohemę, jak i mieszczan.

Pablo odkrył ten lokal dzięki Pallarésowi.

– Zabiorę cię w takie miejsce, że zapomnisz o wszystkich troskach.

Pablo miał tylko jedną: Carmen. Mimo upływu czasu nie potrafił zapomnieć o swojej prasowaczce. Ale nie przeszkadzało mu to hulać z kolegami, a nawet odnosić na tym polu większych sukcesów niż wszyscy pozostali. Dziewczęta z Eden Concert biły się o niego, bo jego melancholijna i smutna mina działała na nie jak magnes. Ale taki był tylko na początku. W towarzystwie dziewcząt

Pablo stawał się innym człowiekiem: zabawnym, dowcipnym, zuchwiałym i swawolnym. Jedynie Patas odnosił większe sukcesy pod względem wypitego absyntu i erotycznej wyobraźni. Patasem był nie kto inny, jak Ángel Fernández de Soto, największy pijak i rozpustnik z całej paczki, znany kobieciarz i hulaka, który ciężko pracował na swoją sławę. Rok młodszy od Pabla Patas miał bladą cerę, uszy jak wachlarze, chorowity wygląd, a kiedy szedł, zawsze pochylał się na lewo. Miał szklane spojrzenie, co zawdzięczał setkom wypitych szklanek absyntu, i minę beztroskiego dandysa, wyrażającą melancholię i nihilizm, która od pierwszej chwili przykuła uwagę malarza z Malagi. Pablo pomyślał, że to dobry temat na obraz, i zaprosił go do swojego studia mieszczącego się w pracowni gorseciarskiej Cesarzowa, należącej do matki jego przyjaciół, Santiaga i Josepa Cardonów.

– Ktoregoś dnia namaluję ci ładny portret z kieliszkiem w ręku – powiedział Pablo do Ángela, gdy ten dla niego pozował, nie zaniebując stojącej obok butelki wina.

– I zarobisz na nim miliony!

– Ángelu, czy ty nie możesz usiedzieć spokojnie?

Nie mógł. W końcu nie bez powodu przezywali go Patas\*. Całymi dniami biegał po Barcelonie, robiąc sprawunki dla magazynu, w którym pracował z Ramónem Raventósem.

\* *Patas* (hiszp.) – nogi, łapy.

– Kiedy przyjdzie twój przyjaciel? – spytał Pablo, nie przestając rysować.

– Wpadnie lada moment. Umówiłem się z nim tutaj. Mówiłem mu o tobie same dobre rzeczy.

– Ciekawe, co takiego mu naopowiadałeś!

– Prawdę, Pablo, tylko prawdę. Że jesteś bardzo utalentowanym facetem, którego warto poznać. Mój przyjaciel przypadnie ci do gustu. Jest krótkowidzem, sam zresztą zobaczysz, ale przede wszystkim to pisarz i poeta.

– Jak się nazywa?

– Jaume Sabartés. Jak już mówiłem, to wielki poeta. Na pewno go widziałeś w Czterech Kotach.

– Nie przypominam sobie.

Pierwsze wrażenie nie było dobre. Kiedy Jaume Sabartés zjawił się w pracowni, Pablo uznał, że jest zbyt tajemniczy i introwertyczny. Jednak kilka uwag poczynionych na temat jego rysunków przez tego równego mu wiekiem młodzieńca wzbudziło zainteresowanie Pabla. Tak, może i jest dobrym poetą, pomyślał. Z kolei Jaume Sabartés od pierwszej chwili był pod urokiem malarza i choć rezerwa nie uszła jego uwagi, po kilku chwilach nawiązali ożywioną rozmowę. Ten chłopak z Malagi potrafił wiele wyrazić pędzlem. To, co Jaume zobaczył w pracowni, było zupełnie nowe, w rękach i głowie malarza krył się wielki talent.

– Ja na początku chciałem być rzeźbiarzem – wyznał Sabartés.

– To dlaczego nim nie jesteś?

– Z powodu wzroku. Cierpię na chorobę, która uniemożliwia mi wykonywanie męczącej pracy. A rzeźba taka jest.

Ta odpowiedź wydała się Pablowi banalna, ale powstrzymał się od riposty. Chłopak w istocie nosił grube okulary. On naprawdę jest krótkowidzem, pomyślał Pablo.

– Cóż, już południe. Chyba na mnie pora.

Jaume zaczął się żegnać i nagle, gdy znalazł się na wprost Pabla, pod wpływem magicznej siły, która emanowała z oczu malarza, skłonił się przed nim.



Pablo omal nie wybuchnął śmiechem.

- I jak ci się spodobał? – spytał Ángel, gdy Sabartés wyszedł.
- Cóż, to człowiek, który potrafi rozpoznać talent.

Ángel zaczął się śmiać.

– Już dłużej nie pozuję! Koniec pracy na dziś! Idziemy na dziwki!

Ángel był umówiony z Raventósem, Pallarésesem i Sitwellem na Rambla de los Estudios, naprzeciwko magazynów El Siglo, siedmiopiętrowego budynku, który zajmował cztery posesje przy Ramblas. Była to monumentalna budowla, zaprojektowana przez architekta Leocadia Olivarríe na zlecenie pewnego bieliźniarza z Leridy. Ten dom mody, specjalizujący się w koszulach i rękawiczkach, był dumą barcelończyków, ponieważ stanowił wspaniałą dowód kupieckiego ducha miasta.

– Co piętnaście dni wydają magazyn – powiedział Ángel de Soto do Pabla, wskazując budynek. – Mają dobrych rysowników. Pracują dla nich Pellicer, Padró i Apel les Mestres. Może mógłbyś im zaproponować współpracę, Pablo?

- Kto jest redaktorem?
- Eduardo Lustonó.
- Sam nie wiem, może złożę mu wizytę.
- Uważam, że to dobry pomysł. Mają pieniądze, wystarczy tylko obejrzeć ten dom mody. I chyba nieźle płacą – przekonywał Ángel.

Czekali. Pablo wyjął blok i ołówek.

- Czy ty zawsze musisz rysować?
- Zawsze – mruknął oschle Pablo, szkicując jednym pociągnięciem dwójkę dzieci idących w towarzystwie niani.
- Stale się rozglądasz, jakbyś kogoś szukał.

– Bo tak jest – odpowiedział malarz, nie podnosząc oczu znad kartki.

– Swojej prasowaczki?

– Kto ci to powiedział?

– Pallarés. Chyba nie zrobiłem ci przykrości.

– Nie.

– Jaka ona była?

– Była kobietą mojego życia.

– Spokojnie, Pablo. Będziesz miał ich więcej, nie ma czegoś takiego jak „kobieta życia”.

– Być może dla ciebie. Ze mną jest inaczej. Ty, mój przyjacielu, naprawdę jesteś krótkowzroczny.

– Cóż, wcale na to nie wygląda, żeby z tobą było inaczej. Masz każdą kobietę, o której zamarzysz – odparł, ignorując ostatnie słowa Pabla. I co z tego, że jest krótkowzroczny? Cóż innego można robić w jego wieku?

– Nie, nie wszystkie, Ángelu, nie wszystkie – powiedział Pablo melancholijnie.

– Spójrz, nadchodzą nasi przyjaciele.

Pablo schował blok.

– I to w towarzystwie Sitwella. Dziś mamy wszystko gratis. Skąd ten chłopak ma tyle pieniędzy?

– Ma bogatego ojca.

– I jak zawsze wziął pełen portfel. Mógłbyś poświęcić mu chwilę, Pablo, jesteś jego idolem. Możesz być pewien, że przychodzi tu tylko ze względu na ciebie.

– Wiem, wiem. Ale jest taki beznadziejny.

– Nie aż tak bardzo, Pablo. Rysuje całkiem nieźle.

– To prawda. Rysuje nieźle... tyle że tak jak dwieście lat temu.

Kiedy już wszyscy się zebrali, ruszyli do budki z napojami na Ramblas, przy Canaletas.

Był to skromny lokal, w którym podawano orszadę, anyżówkę z wodą z fontanny Canaletas i przeróżne alkohole z wodą z syfonu, kawą i wodą sodową, które importowano ze Stanów Zjednoczonych. Był tam również ekspres do kawy, sprowadzony przez właściciela z Turynu, a jego gwizd słychać było nawet po drugiej stronie Ramblas. Agustín Pons, który wynajmował tę budkę od rady miejskiej, chlubił się tym, że dziennie podaje ponad cztery tysiące filiżanek kawy.

– Przyniosłem ostatnie rysunki i bardzo chciałbym, żebyś rzucił na nie okiem.

– Później, Ricardo. Najpierw musimy się trochę rozerwać – odparł Pablo.

Po wyjściu z pierwszego lokalu, w którym cały rachunek zapłacił Ricardo Sitwell, zdecydowali, że pójdą na Paralelo.

Już pięć lat temu rada miejska postanowiła zagospodarować tę szeroką aleję, która z jednej strony miała łączyć się z Atarazanas, z drugiej zaś z placem Hiszpańskim, ale wciąż były to tylko plany, i w tej chwili Paralelo było przestronną promenadą pełną kawiarni na powietrzu, starych budek jarmarcznych i scen, na których wystawiano musichalle i kabarety. Płynęła tamtędy rzeka ludzi, spacerujących w atmosferze nieustannej fiesty, radosnej i ludycznej, ku zdumieniu mieszkańców dzielnicy, rzemieślników i robotników, którzy nie mieli czasu na odwiedzanie setek lokali rozrywkowych. Paralelo było twierdzą próżniaków, mieszcuchów, artystów i prostytutek, którzy krążyli od lokalu do lokalu, zatracając się w hulankach.

– Słyszałem, że otworzyli nowy lokal ze sceną, na której występują Cyganie, nagie dziewczyny, jakiś gość przebrany za

kobietę, komik wcielający się co chwila w inną postać, który opowiada takie dowcipy, że nawet marynarz splonąłby ze wstydu – powiedział Ángel de Soto.

- I jak nazywa się ten lokal?
- La Pajarera Catalana\*.

\* La Pajarera Catalana (hiszp.) – Katalońska klatka na ptaki. Pod tą nazwą w 1899 r. w Barcelonie otwarty został kabaret, którego nazwę zmieniono później na Le Petit Moulin Rouge, a następnie, wraz z nastaniem rządów Franco, na El Molino, aby uniknąć skojarzeń ze słowem *rouge* – czerwony.

– Ale to nie jest speluna? – spytał Ricardo.

– Do niedawna była. Ale właściciel miał już dość pijanych marynarzy i innych podejrzanych typów i sprzedał lokal pewnemu Andaluzyjczykowi, który obiecuje dobrą zabawę. Poza tym są tam dobre kobiety, ładne i tanie.

– Chodźmy najpierw do Café Circo Español. Jeszcze jest wcześniej – zaproponował Pallarés.

– Ja wolę iść do Napoleones – powiedział Pablo.

– Dokąd? – spytał Ángel.

– Do kinematografu przy Rambla de Santa Monica.

– Teraz chcesz wracać na Ramblas? I co chcesz tam zobaczyć? Animowane fotografie? Będziesz siedzieć w ciemnym baraku i oglądać ludzi wychodzących z kościoła albo widoki pociągów i miast?

– Zdaje się, że mają nowe filmy braci Lumière.

– Pablo! Jak może ci się podobać kinematograf? Nie widzisz, że to nie ma przyszłości? To tylko naukowa nowinka, która z czasem znudzi się ludziom.

– Ale mnie się podoba – upierał się Pablo.

Ten wynalazek zachwycił młodego malarza. Po raz pierwszy Pablo widział pokaz ruchomych fotografii w teatrze Principal,

wkrótce po przyjeździe do Barcelony. W maju 1895 roku, pięć miesięcy przed przeprowadzką całej rodziny do tego miasta, w prowizorycznym pawilonie ustawionym na placu Katalonii odbyła się prezentacja kinetoskopu Edisona. Pokazy były krótkie, a filmy sprowadzały się do tego, że jak za sprawą magii ludzie pojawiali się i znikali z fotogramów ku zdziwieniu i radości Pabla i reszty publiczności, ukazywały się kolejno widoki fotografowane z wnętrza pociągu i inne krótkie scenki, komiczne, z nieskomplikowaną fabułą. Później kupiono trochę francuskich filmów, które puszczano tysiące razy i które nigdy nie nudziły się publiczności: *Wyjście robotników z fabryki*, *Wjazd pociągu na stację*; podczas projekcji tego ostatniego widzowie uciekali w popłochu z foteli na widok sunącej na nich lokomotywy, która wyglądała tak, jakby zaraz miała wyskoczyć z ekranu i ich rozjechać.

Wynalazek nie należał do bezpiecznych, ponieważ klisze często zajmowały się ogniem. Braciom Belio, którzy wraz z braćmi Napoleon jako pierwsi zaczęli zarabiać na kinematografie, spalił się pawilon przy Puerta de la Paz. Przerażona publiczność wybiegła z płonącej sali. Ale ten nowy wynalazek nie miał sobie równych i bracia Belio odbudowali pawilon i urządzili w nim salę, która odniosła spory sukces: Kinematograf Bello. Pablo często tam bywał, zachęcony reklamą, która głosiła:

...ten cudowny wynalazek wzbudza zachwyt we wszystkich światowych stolicach. Nikt dotąd nie wierzył, że można wykonać ruchome obrazy ukazujące sceny z życia, zdjęcia, na których widać z najdrobniejszymi szczegółami i w naturalnych rozmiarach fale morskie rozbijające

się o skały, ulice i deptaki, a na nich pojazdy i przechodniów, tańce, szarżującą kawalerię, portrety ludzi, którzy gestykują. A jednak tak się stało. Ten wspaniały wynalazek ruchomych obrazów stał się tematem rozmów śmieszki towarzyskiej oraz przedmiotem dyskusji i badań uczonych, których zachwyca ten cud XIX wieku.

Ceny biletów były zróżnicowane i zależały od wymagań widza i zasobności jego portfela: loża, parter i pierwsze piętro – trzy pesety, zwykłe miejsca i łoża na drugim piętrze – jedna peseta, wejściówki – dwadzieścia centymów.

Czasem dla zachęty i reklamy właściciele kinematografu umieszczali na dole programu następujący napis: *Ten pokaz, który stanowi krok milowy w rozwoju nauki, jest często oglądany we wszystkich miastach Hiszpanii przez duchownych i osoby w żałobie.*

– Idę tam. Spotkamy się później w La Pajarera Catalana – uparł się Pablo, który nie chciał przegapić nowych ruchomych obrazów.

– Lepiej w Café Sevilla – powiedział Ricardo Sitwell.

Było jasne, że tego wieczoru nie dojdą do porozumienia.

– Ale w Seville zawsze przesiadują ci z grupy Safrà, śliniąc się do cygańskich i lirycznych artystek. Na pewno wpadniemy tam od razu na Nonella i Canals – sprzeciwił się Manolo Pallarés.

– Cóż, idę do kinematografu, a wy zdecydujcie, gdzie się potem spotykamy – powiedział Pablo, żeby uciąć dyskusję.

Tego wieczoru nie poszedł ani do Café Sevilla ani do La

Pajarera Catalana. Spędził wiele godzin w kinematografie, oglądając w kółko te same filmy, aż zamknięto salę. Jego przyjaciele, po wyjściu z La Pajarera Catalana, dla zabicia czasu poszli do strzelnicy Tiro Nacional. Ogromny plakat głosił, że będą mogli do woli wyszaleć się, „strzelając do młodych gołąbków i królików”. Raventós miał z nich wszystkich najwięcej szczęścia. Potem poszli pod kinematograf, gdzie czekali na Pabla.

– Przesiedziałeś tam cały wieczór? – dziwili się.

Pablo był zachwycony. Mówił, że oglądał filmy po kilka razy. Żadne tam widoki, powiedział, ale krótkie historyjki zapisane na taśmie, a wiele z nich naprawdę zabawnych i pomysłowych.

– Niech ci będzie. Ale teraz, na koniec zabawy, idziemy do *casa de barrets*\* – zdecydował Ángel, który był już wstawiony.

\* *Casa de barrets* (kataloński) – dom publiczny.

Towarzystwo znów wdało się w dyskusję, jedni byli za odwiedzeniem dziewcząt z Ca la Tripona, drudzy zaś woleli wydać pieniądze Ricarda Sitwella w Els Tres Llits.

– Nie znacie Negry. Ta to potrafi zrobić na człowieku wrażenie – powiedział Pablo.

– Negra? – spytał Ángel de Soto z lubieżnością w oczach.

– To nowa dziewczyna w Domu Benigny, przy ulicy Avinyó.

– A zatem postanowione! Do Domu Benigny, tam na pewno dobrze się zabawimy! – wykrzyknął podekscytowany Pallarés.

– I żadnych oszustw! – dodał Ángel, szturchając Ricarda Sitwella. – Dziś wszyscy moczymy!

– Ale jest jeszcze wczesnie. Chodźmy najpierw do pracowni Pabla. Zobaczymy, nad czym teraz pracuje nasz geniusz – zaproponował Pallarés.

– Nie, lepiej nie. Zawsze wszystko przewracacie do góry nogami.

– I proszę, kto to mówi! Jakby był królem porządku! – zawołał Ángel de Soto i zwracając się do wszystkich, dodał: – Pablo ma umiejętność zamieniania każdego pomieszczenia w prawdziwy chlew.

Wszyscy się roześmieli.

– Chciałbym zobaczyć, nad czym teraz pracujesz – rzekł Ricardo Sitwell, kiedy minął mu napad kaszlu. Powiedział to takim tonem, że ego malarza w mgnieniu oka urosło.

– No dobrze... ale na krótko.

– Tak, tak! Potem idziemy na dziwki! – zawołał Soto, a zwracając się do Ricarda, powiedział: – Ten kaszel! Musisz go wyleczyć! Żebyś tylko nie zaraził nas wszystkich syfilisem!

Ricarda nie rozbawiła ta uwaga. Jego kaszel wcale nie był śmieszny.



## 16.

# Lulú

Zjawili się w burdelu porządnie wstawieni, rozrabiając i hałasując. Ángel ledwo trzymał się na nogach, wsparty na ramieniu Ricarda Sitwella, który z kolei najgorzej z nich wszystkich znosił alkohol.

Benigna próbowała ich uspokoić.

– Dziś moczymy wszyscy razem! Moczymy wszyscy razem! – krzyczał Ángel.

– Co ty chcesz moczyć, skoro ledwo trzymasz się na nogach, dziecko! No, już, uspokójcie się.

Benigna zaczęła przydzielać im pokoje.

– Negra dla Ricarda! Zobaczymy, czy utrze knota! – Ángel znów krzyczał, zaśmiewając się.

– Wejdz tu i się uspokój. Jeśli będziesz robił tyle hałasu, to w końcu zamkną mi lokal.

Zaprowadziła wszystkich do pokoi oprócz Pabla i Pallarésa.

– Ty pójdziesz ze mną – oznajmiła Manuelowi.

– Cudownie, Benigno, cudownie! – ucieszył się Pallarés, oddając hołd umiejętnościom Benigny. Szefowa porządnie się nim zajęła, tego był pewny.

– A ja?

– Dla ciebie, Pablito, mam coś specjalnego. To nowa dziewczyna.

– Masz nową dziewczynę?

– Tak, Maria odeszła.

Szkoda, pomyślał Pablo. Będzie jej brakowało w burdelu. Maria, przynajmniej przy nim, wykazywała prawdziwe oddanie swej profesji.

– Związała się z pewnym handlarzem szmatek i nowinek. Był porządnym klientem, wdowcem, i zawsze wykazywał zainteresowanie Marią. Postanowił ją stąd zabrać.

– To miłość! – wrzasnął Pallarés.

– A kim jest ta nowa? – chciał wiedzieć Pablo.

– To bardzo ładna dziewczyna i... niedoświadczona. Jest z nami od tygodnia. Nazywa się Lulú.

– Zupełnie jak suczka – stwierdził Pablo.

Żart nie rozbawił jednak właścicielki burdelu.

– Traktuj ją dobrze. Jak już mówiłam, jest nowa.

– I młoda.

– Dość młoda – potwierdziła Benigna, pokazując mu drzwi do pokoju.

– Jesteś czarownicą. Zawsze najlepsze zostawiasz dla Pabla – skarżył się Pallarés.

– Jakbyś miał powody do narzekań! Chodź, tak się tobą zajmę, że do końca życia nie zapomnisz tej nocy!

– Tak, ale tę nową zostawiłeś dla Pabla – nie odpuszczał Manolo.

- Przecież wiesz, że jest moim ulubionym malarzem.
- A co ty wiesz o malarstwie!

- Urosłeś – powiedziała Lulú, kiedy się odwróciła.
- Tym się teraz zajmujesz?

Na początku jej nie poznał. Dziewczyna leżała na łożku plecami do drzwi. Odwróciła się, a gdy zobaczyła Pabla, wstała. Wtedy powiedziała to zdanie. Miała rozpiętą koszulę, więc Pablo mógł podziwiać zrywające się do lotu gołębice, których nigdy nie zapomniał, jej twarz tak piękną, że nawet groteskowy makijaż nie mógł jej zszpecić. Nie była już tak chuda, nabrała krągłych kształtów, a jej piersi stały się wyjątkowo jędrne. Bez wątplenia nowa praca zapewniała lepsze wyżywienie.

- Tym się teraz zajmujesz? – spytał raz jeszcze.

Pochyliła głowę, złapała rąbki koszuli i zakryła się. Nie odpowiedziała na pytanie.

- Nie masz mi nic do powiedzenia?
- A co mam powiedzieć?
- Dlaczego odeszłaś?
- Odeszłam, i tyle.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Stał w milczeniu przy drzwiach. Zawsze marzył, że znów ją spotka, ale nie w takim miejscu, nie sprzedającą swoje ciało.

- Nie kochałam cię, i tyle – dodała Carmen.

Jeśli było to prawdą, to Carmen doskonale udawała przez ten krótki czas, kiedy byli razem. W każdym razie teraz nie miało to już znaczenia. Poczuł niepokonowaną wściekłość. Jego Carmen, kobieta, o której marzył dzień po dniu od chwili, gdy znikła z jego życia, kobieta, której ani na sekundę nie potrafił wyrzucić z myśli,

pracuje teraz w burdelu, oddając się każdemu mężczyźnie za cztery miedziaki.

– Co im mówisz? Co mówisz swoim klientom, kiedy cię obmacują, kiedy w ciebie wchodzi? Co mówisz tym wszystkim nieszczęśnikom, którzy przychodzą tu, by cię upokorzyć, poczuć się kimś ważnym, kiedy krzyczysz, udając, że jest ci dobrze? Co im mówisz?

– Nic. Nic nie mówię. I to im się podoba.

Carmen chciała zapaść się pod ziemię. Przecież zamierzała wnieść między nimi mur, odsunąć go, a teraz oto stoi przed nią, przed dziwką. Czuła jego wściekłość, złość, potrafiła odgadnąć każdą myśl, która przychodziła mu do głowy. I wyczuwała pogardę. Nagle wybuchła: kim on jest, że śmie ją osądzać, patrzeć na nią takim wzrokiem. Dla niego porzuciła pracę i dotychczasowe życie. Tak, bo nie mogła znieść odrazy malującej się na twarzy jedyne go chłopca, którego w życiu kochała.

– I powiedz mi, co czujesz, kiedy płacisz za to, żeby go wbić w jakąś biedną dziewczynę, która nie może inaczej zarobić na życie? Co czuje wielki malarz, geniusz, kiedy one jęczą, a ciebie gównu to obchodzi, bo chcesz je tylko obmacywać i wejść do środka w pogoni za własną przyjemnością, a potem rzucasz im kilka monet i do widzenia? Co wtedy czujesz?

– Pokażę ci, co czuję. – Pchnął ją na łóżko. Rzucił się na nią jak zranione zwierzę, odwracając wzrok, bo nie mógł znieść jej spojrzenia. Jednym ruchem zerwał z niej bieliznę. Gryzł jej piersi i szyję. Carmen próbowała na niego spojrzeć, ale Pablo odwracał jej głowę. Potem zaatakował jej łono, niemal wbijając w nie paznokcie. Z gardła Carmen wyrwał się krzyk bólu. A później kolejny, rozdzierający, gdy wszedł w nią z gwałtownością Minotaura.

Jego ruchy były szybkie, dzikie i potworne, a po każdym drapieżnym ataku Carmen nie mogła złapać tchu. Potem odwrócił ją jak szmacianą lalkę i posiadł od tyłu niczym wściekły byk, wpadający na arenę w pogoni za czerwoną płachtą. „Nie w ten sposób!” – krzyknęła Carmen, ale on nie słuchał jej próśb. Gniewnie wbił się w nią jednym ruchem tak mocno, że Carmen była pewna, iż rozerwie ją na pół. Wybuchnęła płaczem, ale Pablo jakby jej nie słyszał, z okrucieństwem nadal robił swoje, jak pikador na arenie, który zanurza lancę w bestii, by ją osłabić.

Wstał zlany potem, a ona płakała jak dziecko, zakrywając się prześcieradłem i dotykając najbardziej obolałej części ciała. Nie patrzyła na Pabla: wcisnęła twarz w poduszkę i łkała.

Pablo rzucił na łóżko kilka banknotów.

Wyszedł na ulicę, nie wiedząc, dokąd iść. Czuł się brudny, przewracało mu się w żołądku i miał ochotę zwymiotować. Co on zrobił? Co on jej zrobił?

Szedł przed siebie bez celu. Pragnął tylko jednego: zniknąć.

17.

## Nonell

– Właśnie wyrządziłem komuś ogromną krzywdę.

Pablo nie wiedział, dlaczego powiedział o tym Nonellowi.

Być może dlatego, że przez wiele godzin, dręczony rozpaczą i wściekłością, błąkał się po ulicach. A może dlatego, że zobaczył na scenie tę nieszczęsną dziewczynę, usiłującą rozbawić zgrają degeneratów, którzy śmiali się bardziej z niej niż z prezentowanych przez nią numerów.

Długo krążył bez celu, nie wiedząc, co robić: wrócić i prosić Carmen o przebaczenie czy oddać się jeszcze haniebniejszej rozpustocie? Wreszcie jednak postanowił wejść do El Aperitivo Bursátil, podłej nory, w której marynarze, hulaki i niektórzy zamożni mieszczanie, szukając mocnych wrażeń, zabawiali się, traktując z pogardą i obrzucając obelgami podrzędne artystki. W El Aperitivo Bursátil, śmierdzącej ciemnej speluncie, powietrze ciężkie było od papierosowego dymu. Na niewielkim podeście jakaś artystka w ciąży, przebrana za dżokeja i podpita, próbowała ochryplym głosem

zaśpiewać jedną z tych piosenek, przy których nawet sierżant karabinierów zaczerwieniłyby się po same uszy. W hałasie i zgiełku niepewnie zdejmowała kolejne części odzieży.

I był tam on, najlepszy malarz Barcelony, zapewne niedawno przybyły z Paryża. Nietrudno go było poznać. Siedział sam przy stoliku w pierwszym rzędzie. Włosy obcięte na modłę rzymską, czarny szalik trzykrotnie okręcony wokół szyi, koszula o najmodniejszym kroju i szerokie spodnie, przymocowane do butów za pomocą guzików, których żaden *sportsman* by się nie powstydził. Nonell roztaczał wokół siebie specyficzną aurę kogoś, kto właśnie wrócił z Paryża. Nikt by nie powiedział, że jest synem właściciela zakładu produkującego makaron do zup, który jako młodzieniec, odziany w fartuch, obsługiwał klientów, sprzedając produkty rodzinnej firmy do czasu, aż oświadczył ojcu, że to nie jest jego powołanie i chce zostać malarzem. Oto siedział tam teraz ten malarz przedmieść, który od auli wolał plenery za miastem, malarz skromnego życia, biedaków, *xinxes de fàbrica*, pospólstwa, hali targowej Boquería, ludzi upośledzonych, ułomnych idiotów. Mistrz karykaturalnych deformacji, sprzeciwiający się uładowanemu konwencjonalnemu malarstwu. Najlepszy z nich wszystkich.

Nonell również zobaczył Pabla i dał mu znak, by usiadł przy jego stoliku.

– Pod tym względem jesteście tacy sami, Pablo – rozprawiał z ożywieniem. – Ja także zostałem malarzem dzięki ojcu. Obaj byliśmy kiepskimi uczniami. Zaniedbywaliśmy lekcje, wypełniając książki i zeszyty rysunkami i lekceważąc zniechęconą matematykę. Obaj ich zawiedliśmy. Mój ojciec chciał, abym zajął się rodzinną firmą, sprzedając makarony w sklepie przy ulicy Baja de

San Pedro, ale ja się do tego nie nadawałem. Jestem mu wdzięczny, że pozwolił mi zająć się rysunkiem i że stałem się dobrym malarzem, bo handlowcem, o czym marzył, na pewno byłbym kiepskim. Kiedy miałem dwanaście lat, opłacał lekcje rysunku, które pobierałem w akademii Josepa Mirabenta przy ulicy Monteadá.

– Ja niczego się nie nauczyłem w La Lonji, a jeszcze mniej w Madrycie – wyznał Pablo.

– Ja też nie. Niewiele też wyniosłem z prywatnej akademii Gabriela Martíneza Áltesa, za którą również płacił mój biedny ojciec. Ten gość z Tortosy bardzo się starał zrobić ze mnie malarza rodzajowego na wzór Morena Carbonera.

Brzmiało znajomo. Tak, naprawdę los Pabla i Nonella był bardzo podobny.

– Graner to co innego, od niego czegoś się nauczyłem. Potem trzy razy oblewali mnie na egzaminach do La Lonji. A kiedy wreszcie się tam dostałem, wiesz, co usłyszałem od naszego wspólnego profesora Antoniego Caby?

– Nie.

– Że nigdy niczego dobrego nie namaluję.

– Cóż, dowiodłeś, że się mylił.

– Ale nie mogą mi tego wybaczyć, Pablo. Wszyscy chcą krzykliwych kolorów i tematów, które każdy mniej czy bardziej inteligentny człowiek zrozumie. Moje prace źle się sprzedają. Mówią, że są nieprzyjemne. Możesz w to uwierzyć? Nieprzyjemne! Jakby malarstwo miało sprawiać przyjemność głupcom! Mówią, że rozkoszuję się bardziej tematami, a nie formą. Ale ja szukam, Pablo. Szukam. Dla mnie forma jest równie ważna jak temat. Co miałbym malować, jeśli nie nędzę? Barcelona to miasto nędzy. Spójrz na



tych gównianych burżujów, którzy obrażają tę nieszczęsną dziewczynę na scenie! – Wskazał podest. – A tamci? – Teraz patrzył na grupę oberwańców w prążkowanych mundurach. – Ci obszarpańcy nie mają nawet gdzie umrzeć, dotarli z Kuby na własnych nogach, i oto są tutaj, zapomniani, bez pracy i zasiłku, w tej przesiąkniętej zapachem alkoholu... Pewien krytyk powiedział, że żaden przyzwolony mieszczanin nie zbliży się nawet do moich obrazów, bo choć mam silną osobowość, moja twórczość jest obrzydliwa, ponieważ uporczywie trzymam się nieprzyjemnych tematów.

– Nie malujemy dla ozdoby ścian – przyznał Pablo. – Malujemy stany ducha. Koniec z malowaniem nimf przy świetle księżycy albo jasnowłosych dziewcząt grających na fortepianie. Otaczają nas obrazy najbardziej odrażającej nędzy, ludzie pokonani, upokorzeni, przegrani, zezwierzęceni. Powinniśmy malować w jednym tylko kolorze. W kolorze smutku i poniżenia, kolorze ślepców, głodujących i wydziedziczonych. Ale jaki to kolor?

– Nie wiem, Pablo. Musisz szukać swojego koloru. Któregoś dnia zacznę malować Cyganki, choćby tylko po to, żeby je przelecieć. Miałem kiedyś profesora, który zawsze powtarzał te same głupoty, że sztuka to tworzenie pięknych dzieł, a dla artysty jedynie materia i przedmiot jego prac są wielkie, szlachetne i piękne, nie zaś apoteoza brzydoty, tego, co odpychające, nie podła karykatura, profanująca boską iskrę natchnienia, służąca wychwalaniu deprawacji i zbrodni. Głupoty, Pablo, głupoty! Już ci mówiłem, Cyganki! Będę malował Cyganki!

Tylko tego mu brakowało, pomyślał Pablo, malowania Cyganek. Nonell był malarzem kłopotliwym dla różnych grup społecznych.

Mieszczanie wychodzili z jego wystaw zgorzeleni, bo z uporem malował ludzi najbardziej zdegradowanych społecznie. Biedacy zaś nie kupowali obrazów, bo z trudem wiązali koniec z końcem, a na swą nędzę nic nie mogli poradzić.

– Wiesz co? Mam kochankę Cyganek.

To zwierzenie zaskoczyło Pabla.

– Nazywa się Consuela i jest chora. Ale gdybyś ją zobaczył! Te jej czarne długie włosy, ta twarz, to ciało udręczone życiem! *Quina pobre mes bonica!*\*\* *Quina pobre mes bonica!* (kataloński) – Jakże piękna jest ta biedna dziewczyna!

Nic więcej o Cygance nie powiedział. Wspomniał tylko, że zrobił jej kilka szkiców i zamierza zatrudnić ją jako modelkę.

Pablo poznał Nonella po tym, gdy przeczytał pewną starą recenzję: *Mamy wrażenie, że artysta stara się iść drogą, która nie przyniesie żadnych efektów, a mógłby przecież je osiągnąć, gdyby poszukał ciekawszych tematów, bo samą technikę dobrze opanował.* Kim jest ten malarz? Co robił? Pablo wybrał się w styczniu 1896 roku do Sala Parés. Nonell wystawiał tam swoje obrazy obok dzieł Casasa, Rusiñola, Mas i Fontdevili, Grawera i innych znakomitych artystów. Pokazał dwa obrazy: *Tarda de primavera* i *Cap al tard*, o których pewien krytyk powiedział, że są wynikiem „jego dobrych intencji”. Zdaniem Pabla były wspaniałe. Później starał się nie przegapić żadnej wystawy, na której pokazywano prace Nonella.

Dwunastego czerwca 1897 roku otwarto piwiarnię Cztery Koty, którą zarządzał Pere Romeu. Miesiąc później zorganizowano tam wystawę szkiców ołówkiem i rysunków artystów należących do stałych bywalców lokalu, w tym również Isidre Nonella. Pablo

uznał, że nie może tego przegapić. Wśród wystawianych prac było dziewięć rysunków Nonella, należące do prywatnych kolekcji Riery i Raimona Casellasów rysunki z serii *Cretinos*, a także oleje na płótnie: *Paisatge de Sant Martí* i *Paisatge de Caldes*. Pablowi taki sposób rysowania wydał się nowatorski, podobnie jak niezwykle współczucie bijące z tych prac. Duże wrażenie wywarł na nim niewielki rysunek kredką zatytułowany *Dona cretina amò nen demanant caritat*, czyli „Idiotka z dzieckiem prosząca o jałmużnę”. Odkrył prawdziwego artystę, który być może swoimi pracami nie zarobi na życie, ale którego świat był mu bardzo bliski. Nonella nie było na wystawie. Wyjechał do Paryża, a Pablo czuł się zawiedziony, nie mogąc powiedzieć mu o swoich wrażeniach.

Teraz miał ku temu doskonałą okazję.

– Tak, byłem wtedy w Paryżu – potwierdził Nonell. – Pokazałem kilka rysunków Camille'owi Pissarrowi. Jego życzliwe słowa zachęciły mnie do dalszej pracy. Musisz pojechać do Paryża, Pablo. Dzieją się tam ważne rzeczy. Nie wyobrażasz sobie, co czułem, kiedy dwa lata temu wiosną miałem wystawę w salonie przy Polu Marsowym! Były tam trzy obrazy Toulouse-Lautreca i jeden Gauguina! Wyobrażasz sobie? Byłem tam obok nich i van Dongena!

W głosie Nonella pobrzmiwało wzruszenie, które Pablo w pełni podzielał. Nonell wystawiał swoje prace w Paryżu!

– Potem Canals i ja wystawialiśmy razem w sali Dosbourg. Przez cały miesiąc, Pablo! I był katalog, do którego wstęp napisał sam słynny krytyk Fabrice. W gazetach mieliśmy bardzo dobre recenzje. Pisali, że mój pomysł karykaturalnego przedstawiania postaci jest bliski Riberze, Velázquezowi i Goi. Podobały im się

moje *fritos*\*, przedstawiające sceny z paryskich ulic, oraz te, które zrobiłem podczas pobytu w Caldes de Bohi!

\* *Fritos* (hiszp.) – smażone w oleju dania lub przystawki.

*Freír*, czyli „smażenie”, było chętnie stosowaną przez malarza techniką. Polegało na zanurzaniu gotowych kolorowych rysunków w oleju. Pablo również próbował tej techniki, ale przyznawał, że Nonell jest w tym prawdziwym mistrzem.

Opowieść Nonella o Paryżu była tak obrazowa i pełna pasji, że Pablo niemal widział ulice tego miasta, prace Toulouse-Lautreca i Gauguina, słyszał gwar panujący na tamtejszych bulwarach.

Jakże gorąco pragnął odwiedzić to miasto!

– Ale nie zarabiam na życie, Pablo. Choć miałem wystawę w Sala Parés i uczestniczyłem w Czwartej Wystawie Sztuk Pięknych, nie mogę zarobić na utrzymanie. Kiedy straciliśmy kolonie na Antylach i Filipinach, musiałem wrócić. W Paryżu żyłem skromnie z tego, co przysłał mi ojciec. Ale nastąpiły ciężkie czasy, wiesz, ta przeklęta wojna i spadek kursu pieniądza zmusiły mnie do powrotu. Wróciłem wkrótce po klęsce marynarki w Cavité. Potem w kraju wszystko szło ku gorszemu. Spójrz na nich – wskazał na żołnierzy – są świadectwem klęski. Wrócili chorzy, pokonani, upokorzeni, a barcelończycy odwracają się do nich plecami.

*Wracamy z bitew, wracamy z wojny,  
nie niesiemy broni, chorągwi ani trąbek.  
Pokonani na morzu, pokonani na ziemi,  
jesteśmy wycieńczeni.*

Nonell recytował wersety *Cant del retom* \* Joana Maragalla.

\* *Cant del retom* (hiszp.) – „Pieśń o powrocie”.

Tak, ci nieszczęśnicy w znoszonych, prążkowanych, wojskowych mundurach szukali rozrywki w El Aperitivo Bursátil. Nie stać ich było na powrót do domów i błakali się po Barcelonie niczym żywe trupy. Za kilka monet grali na ulicach albo po prostu rozkładali na chodniku dwukolorową flagę, którą musieli zwinąć w zamorskich krajach.

Nonell mówił o nich wszystkich z ogromnym współczuciem, nie zapominając przy tym o nieszczęsnej brzemiennej dziewczynie, wykonującej na scenie żałosny numer ku uciechu sprośnej klienteli, czy o dziwkach, które przysypiały ze zmęczenia przy barze i stolikach El Aperitivo Bursátil. Takiego współczucia zabrakło Pablowi tej nocy. Zasmucił się.

– Niedawno wyrządziłem pewnej osobie wielką krzywdę.  
– Więc postaraj się, żeby ci wybaczyła, Pablo, jeśli nie jest za późno.

Pablo nie odpowiedział, wychylił kieliszek do dna, po czym uznał, że Nonell ma rację.

– Idę do Czterech Kotów. Pójdiesz ze mną? – zapytał Nonell.  
– Najpierw muszę uzyskać przebaczenie.

18.

## Marta Planas

Marta Planas wyszła z burdelu późną nocą. Początkowo zamierzała udać się do swojego skromnego mieszkania przy Cottoners, wąskiej uliczce, gdzie ledwie docierały promienie słońca, ale gdy doszła do rogu Avinyó i Fernando, postanowiła skrócić w lewo. W pobliżu, zaledwie kilka metrów dalej, przy równie wąskiej i ciemnej uliczce mieścił się zakład jej ojca. Tam się urodziła.

Był to niewielki dwupiętrowy dom, na którego parterze znajdował się zakład szycia kołder. Na piętrze zaś mieszkała jej rodzina: ojciec i pięć sióstr. Trzy małe izby, z których dwie zajmowały córki, a jedną, tę najmniejszą, ich ojciec. Na tej niewielkiej przestrzeni żyli szczęśliwie do czasu śmierci matki. Marta miała wtedy sześć lat. Jako najmłodsza była oczkiem w głowie taty. Ale wszystko się zmieniło, kiedy matka odeszła z tego świata.

Ojciec stale pracował, moczył wełnę, szył angielskim ścięciem trójkątną igłą albo robił *ullets* ręczną maszyną. Szył kołdry i szył, ale i tak ledwo starczało mu do końca miesiąca. Marta i jej siostry często mu pomagały, trzepały wełnę na dachu, prały ją i gotowały, urządzając prawdziwe bitwy na dworze, obrzucając się ze śmiechem kulkami z wełny. Ojciec spoglądał na nie dobrotliwie.

– Dziewczynki, wracajcie do pracy. Pobrudzicie wełnę – upominał je łagodnie.

Francisco Planas odziedziczył warsztat po ojcu. Nie był to dochodowy interes, ale Francisco nic innego nie potrafił, był niewolnikiem fachu, którego wyuczył się jako młody chłopak.

Nieszczęścia chodzą parami i po śmierci żony interes zaczął podupadać. Zleceń ubywało. Choć Francisco Planas słynął z wyrobu najlepszych kołder w Barcelonie, biedacy przestali je kupować. Nie naprawiali też starych kołder, zamożni mieszczenie zaś woleli zamawiać je w nowych i modnych sklepach w barcelońskiej dzielnicy Ensanche albo sprowadzali kołdry z zagranicy.

Kiedy Marta skończyła piętnaście lat, postanowiła, że już nigdy nie będzie głodowała. Nie miała jednak pojęcia, jak to osiągnąć.

Któregoś ranka do warsztatu ojca wszedł pewien mężczyzna. Miał dobre maniery, budził sympatię, a na jego twarzy stale gościł uśmiech, który ją oczarował. Dobrze się ubierał, mówił, że jest pośrednikiem na giełdzie i że zakochał się w niej po uszy.

Marta dała się uwieść temu wspaniałemu mężczyźnie, który zabierał ją do teatrów i kawiarni.

– Nie podoba mi się ten chłopak. Coś w tym jego uśmiechu mi się nie podoba. Ale ty, Marto, pewnie wiesz, co robisz.

Ojciec miał rację. Cwaniak zrobił jej dziecko i przepadł bez śladu.

Ona również postanowiła zniknąć. I to był błąd, bo przecież ojciec by jej wybaczył. Ale Marta nie potrafiła wybaczyć samej sobie, toteż pewnego dnia spakowała manatki i bez pożegnania opuściła dom, zostawiając ojcu i siostrze krótki list.

Znalazła pracę w cukierni przy Paseo de Gracia.

Pani Rius była wdową i dobrze ją traktowała. Być może za dobrze, pomyślała Marta, kiedy zaczęła pracę ekspedientki w tym znakomitym zakładzie, w którym szanowani obywatele miasta kupowali czekoladki dla swoich żon albo ukochanych.

Pani Rius, o czym Marta wkrótce się przekonała, nie była pobożną i złą kobietą, za którą starała się uchodzić. Cukiernia była tylko przykrywką dla o wiele bardziej dochodowego interesu. Pani Rius trudniła się bowiem dostarczaniem eleganckim dżentelmenom młodych dziewcząt, które umilały im czas. Marta miała kilkumiesięczną córeczkę i nie mogła się wycofać, musiała przystać na żądania pani Rius, w przeciwnym razie znalazłaby się na ulicy.

– To eleganccy i dyskretni panowie. I tego oczekują: uprzejmości i dyskrecji, a ty jesteś bardzo ładną dziewczyną.

Marta pracowała u pani Rius przez dwa lata, znosząc zaślinionych starców i impotentów, którzy przy osiemnastoletniej dziewczynie, nieśmiałej, załężnionej i niedoświadczonej, zaznawali pełni szczęścia.

– Doskonale ci idzie. Klienci są oczarowani. Jesteś taka słodka, skora do płaczu i niewinna! Uwielbiają cię!

Ale ona nie chciała nikogo czarować. Naprawdę płakała. Płakała nad swoim losem, nad życiem, które wiodła, ogrzewając łóżko tym szacownym starszym panom, którzy zaznawali ulgi w jej ramionach,



a potem szybko się ubierali i w towarzystwie żon szli do Liceo albo popisywali się na zebraniach Fomento Nacional de Trabajo, czyli konferencji przedsiębiorstw katalońskich, albo naradach zarządu Hiszpańskiego Banku Kolonialnego.

Dzień, w którym usiadła z pochyloną głową na ławce w kościele Santa Maria del Mar, prosząc Boga o pomoc, odmienił jej życie. Pewna kobieta wrzuciła do puszkii na jałmużnę pieniądze i podeszła do niej. Usiadła obok i zaczęły rozmawiać.

– Nie mogę sprawić, że staniesz się kimś innym, ale jeśli chcesz, możesz zacząć pracować na własny rachunek.

I tak Marta trafiła do Domu Benigny. Teraz nikt już nie zabierał jej siedemdziesięciu procent zarobku. Wszystkie pieniądze należały do niej, poza kosztami prowadzenia interesu, którymi się dzieliły.

– Poza tym wszyscy mężczyźni są tacy sami – tłumaczyła Benigna. – Jeśli potrafisz to robić, nie musisz się nawet specjalnie starać, będą zachwyceni. Trzeba ich uprzedzić, nie zostawiać wyboru. Z drugiej strony w domach od swoich świętych i pełnych bojaźni małżonek dostają tak niewiele, że przy tobie czują się, jakby byli w Paryżu.

Miała rację.

Marta przestała rozmyślać o tym, jak potoczyły się jej losy i kim się stała. Poglądziła z czułością drzwi warsztatu ojca. Zarabiała dla swojej córki i całej rodziny i udało jej się odłożyć pewną sumę. Jeszcze kilka lat i rzuci tę pracę. Wróci i kupi ojcu nowe maszyny do warsztatu albo jeszcze lepiej, zabierze go stąd i postara się, by jej siostry miały lepsze życie. Tak zrobi, powiedziała do siebie, kierując się w stronę swojego mieszkania.

I wtedy go zobaczyła.

Może to ostatni klient, pomyślała? Nie było jeszcze późno i mogła poświęcić mu godzinę.

Ostatni klient, a potem do domu, do córeczki.

Marta nie wiedziała jednak, że ten mężczyzna będzie ostatnim klientem w jej życiu.

19.

## Głupie panisko

Pablo nie mógł prosić o przebaczenie. Carmen już wyszła.

– Jest późno, chłopcze. Wracaj do domu – powiedziała zaspaspana Benigna, kiedy otworzyła mu drzwi. – Twój przyjaciele dawno już sobie poszli, dziewczęta również. Została tylko Negra, ale na dziś chyba ci wystarczy. Wracaj do domu – powtórzyła.

Pablo nie chciał Negry, chciał Carmen.

Benigna widziała, że jest niepocieszony. Coś się wydarzyło między nim a tą nową dziewczyną, tego była pewna, ale o nic nie pytała. Chciała spać. Czy ci młodzi artyści nigdy nie odpoczywają?

Pablo odwrócił się i bez pożegnania zszedł po schodach. Postanowił zajrzeć do Czterech Kotów.

– Gdzieś ty przepadł? Co się stało? Wystraszyła cię ta nowa dziewczyna? Chłopie, wyglądasz jak cień samego siebie – powitał go Pallarés, kiedy Pablo usiadł przy stoliku.

Nie odpowiedział. Przy stoliku siedziała cała grupa przyjaciół. Brakowało tylko Ricarda Sitwella.

– Poszedł do domu. Kaszłał tak, że o mało się nie przewrócił. Zdaje się, że Negra dała mu do wiwatu – powiedział Soto.

– Ten facet umiera, mówię wam. Jeszcze trochę, a zejdzie nam z tego świata – stwierdził Pallarés.

– Gdzie byłeś? – chciał wiedzieć Raventós.

– Tu i tam. Ja też idę do domu.

– Pójdę z tobą – powiedział Pallarés.

Wyszli z lokalu, z nikiem się nie żegnając. Przy drugim stoliku artyści z grupy Colla del Safrà dyskutowali o malarstwie El Greca. Najbardziej ożywiony był Rusiñol.

– To była ona – powiedział Pablo do Pallarésa, gdy wyszli na ulicę.

– Twoja prasowaczka?

Pablo skinął głową.

– Wiedziałem, że coś się tam wydarzyło... Kiedy Benigna powiedziała mi, że wyszedłeś, pomyślałem, że coś się musiało stać. Ale coś takiego! Co za spotkanie! – Pallarés zamilkł. – Dobrze się czujesz?

– Nie.

– Chcesz być sam?

– Nie.

– Odprowadzę cię do domu.

Pallarés zawsze zachowywał się wobec Pabla jak starszy brat, ale tym razem nie wiedział, co powiedzieć.

– Tyle czasu jej szukałem, nie mogłem o niej zapomnieć, marzyłem o niej i... – Pablo urwał.

– Cóż, dziewczyna jest dziwką, ale czy to coś zmienia?

- Jak to, czy to coś zmienia?
- Chcę powiedzieć... hm, nie wiem, co chcę powiedzieć, Pablo. Nie wiem. Naprawdę nie wiem.
- Więc lepiej nic nie mów.
- Cóż... chcę powiedzieć... – ciągnął Pallarés. – Co ty naprawdę o niej wiesz, Pablo? Czy zadałeś sobie w ogóle pytanie, dlaczego ona to robi? Myślisz, że te wszystkie biedne dziewczyny są tam dla przyjemności? Są głodne, Pablo, głodne. Potrafisz to zrozumieć? W tym przeklętym mieście wszyscy cierpią głód, wszyscy oprócz czterech skurwysynów, którzy doprowadzają do śmierci głodowej pozostałych. Dlaczego malujemy, Pablo? Dlaczego malujemy? Żeby ozdabiać ściany tym cholernym mieszczanom? Nie. W każdym razie nie ja. W przeciwnym wypadku zostałbym na wsi i pomagałbym ojcu, który zaharowuje się na śmierć, a gdy umrze, nikt nie będzie pamiętał jego nazwiska. Chcemy zmienić świat poprzez to, co naprawdę umiemy robić.
- Ja niczego nie chcę zmieniać. Co może zmienić kilku takich pacykarzy jak my?
- Dlaczego więc nie zajmujesz się tym, co Carbonero? Dlaczego nie słuchamy profesorów? Skąd bierze się ten niepokój, który dręczy nasze dusze? Powiem ci skąd. Ponieważ światu potrzebne są nowe perspektywy, nowy odcień, kolor, nowa geometria. Ponieważ świat zasługuje na to, by go przedstawić w inny sposób, inną kreślą, która wyrazi nowe uczucia i emocje. Ponieważ centrum i struktura świata nie są wieczne. Nie możemy już malować jak Rafael czy Velazquez. Żądamy nowej analizy, ponieważ zaczyna się nowy wiek, który będzie straszny.

– Nie wiedziałem, że taki z ciebie teoretyk i wieszcz – zakpił Pablo.

– Tak naprawdę ja sam dobrze nie wiem, co chcę powiedzieć. Ale od chwili, gdy cię zobaczyłem, gdy zobaczyłem, do czego zdolne są twoje ręce, jedna rzecz stała się dla mnie absolutnie oczywista: Pablo, będziesz Bogiem, o tym wszyscy wiemy. A zatem dla własnego dobra bądź łaskaw nie osądzać tej biednej dziwki, która, tego jestem pewny, cię kocha. Dla własnego dobra bądź łaskaw popatrzeć na świat i na przeróżne jego oblicza i namaluj to wraz ze wszystkim, co w nim straszne i ludzkie, abyśmy mogli to zobaczyć. – Pallarés mówił z niezwykłym ożywieniem i entuzjazmem. – A teraz idę do domu, bo jestem na ciebie bardzo zły, a ty jakoś się z tym wszystkim uporaj! Czasem mam wrażenie, że jesteś głupim paniskiem!

Pallarés odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając Pabla na środku ulicy.

20.

## Jatka

Ciało Marty Planas znaleziono na placu Milans, wykrwawione i z dwudziestoma pięcioma ranami kłutymi. Policję zawiadomił młody chłopak, który pracował jako szalupnik na molo rybaków w Barcelonecie. Emilio Bordons, bo tak się nazywał, jak zwykle wstał tego ranka bardzo wcześnie i ruszył do pracy, a gdy dotarł na plac, natrafił na trupa.

Szef policji, Abel Fonte, zjawił się na miejscu zdarzenia w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy i lekarza sądowego.

Zbrodnia, jak stwierdził lekarz, została popełniona około drugiej nad ranem. Ofiara zginęła w wyniku licznych ran kłutych. Lekarz, Emilio Cabot, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Mniej więcej dwudziestopięcioletnia kobieta miała na sobie liliową spódnicę, białą halkę, luźny czarny żakiet i zniszczone sznurowane botki, również czarne. Była martwa od około czterech godzin. Ciało przewieziono na wózku do najbliższego komisariatu policji. Tam lekarz rozpoczął bardziej szczegółowe oględziny.

Nadinspektor Abel Fonte milczał, pozwalając medykowi w spokoju wykonywać pracę. Fonte był człowiekiem przezornym, około pięćdziesiątki, przywykłym do widoku śmierci z racji swej wojskowej przeszłości na Kubie. Na jego oczach zmarło wielu żołnierzy, ale czegoś takiego nigdy nie widział.

– Dziewczyna mogła umrzeć z upływu krwi, ale na pewno nie tam, gdzie ją znaleźliśmy. Ma ranę w sercu i pięć w lewym płucu. Nie widać ran ciętych i kłutych na rękach czy ramionach, które powstają, gdy ofiara próbuje się bronić. Myślę, że pierwsze było gardło. Sprawca najpierw podciął jej gardło, a potem, kiedy leżała na ziemi, zadał brutalne ciosy ostrym narzędziem. Naliczyłem ich dwadzieścia pięć. Oprócz tych, które już wymieniłem, jest rana na mostku i pięć w okolicy narządów płciowych. Urządził prawdziwą jatkę w... cóż, sam pan widzi gdzie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Rozszarpał ją i pociął ubranie, musiał wpaść w furję. Rany kłute w okolicach narządów płciowych są straszne, prawdziwe bestialstwo. Ta rana cięta jest czysta... Wyrwał jej wątrobę!

– Wątrobę?

– Tak, panie nadinspektorze. Zabójca wyjął jej wątrobę – powtórzył lekarz.

Zajrzał do środka rany.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć policjant.

– Zdaje się... tak... chwileczkę.

Lekarz wyjął coś zakrwawionego i pokazał nadinspektorowi.

– Co to jest?

– Nie jestem pewien, ale zdaje się, że to jakieś ziarnka albo pestki granatu.

Lekarz położył kawałki owocu na stole. Nadinspektor poruszył je szczypcami.



– Jaki to ma sens? Wrywa jej wątrobę i zostawia to w środku?

Lekarz nie odpowiedział. Nie wiedział, co o tym myśleć.

– Została zgwałcona? – spytał nadinspektor.

– Nie wygląda na to.

– Dlaczego twierdzi pan, że nie została zamordowana tam, gdzie znaleziono ciało?

– Z powodu krwi. Krew zbryzgałaby mur w miejscu, w którym ją znaleziono. Kiedy przecina się arterię, krew nie kapie, lecz tryska strumieniem. Zabójca na pewno pobrudził sobie ręce, ubranie, buty.

– Zakładając, że zadał jej rany od przodu.

– Oczywiście. Ale moim zdaniem rana cięta na to wskazuje. Potem, kiedy leżała już na ziemi, zadał rany klute i na koniec wyciął wątrobę. To musiało trochę potrwać i dlatego uważam, że zrobił to w innym miejscu, a potem przeniósł ciało tam, gdzie je znaleźliśmy.

– Jaki zabójca działa w ten sposób?

– Nie znam się na tym, ale zapewne żądny krwi wariat.

– Zbrodnia z miłości?

– Widziałem już dużo, ale czegoś takiego nigdy. Nie wygląda to na zbrodnię z miłości. On się tym bawił. Żaden mąż czy zazdrosny kochanek nie traciłby na to tyle czasu i nie zostawiłby w środku czegoś takiego. – Wskazał pestki. – Nie, mamy tu do czynienia z czymś innym. Zabójca wpadł w furję, to fakt, ale potem... nie, nie sądzę, aby to była zbrodnia z miłości.

– Jakiej broni użył?

– Sądząc po ranach, powiedziałbym, że to rodzaj noża o ostro zakończonym ostrzu i masywnym trzonku.

- Zabójca musi być silny.
- Niekoniecznie, nadinspektorze. Jeśli ma się ostre narzędzie, wykonanie takiej, powiedzmy... roboty, nie jest rzeczą trudną. Nawet dziecko mogłoby to zrobić.
- Cóż, czeka nas dużo pracy. Najpierw musimy się dowiedzieć, kim była ta dziewczyna, a potem przeprowadzimy dochodzenie w jej najbliższym otoczeniu – powiedział nadinspektor.

## 21.

# Tak jak w roku dziewięćdziesiątym

Wiadomość lotem błyskawicy dotarła do redakcji gazet. Liberto Manent, jeden z zastępców redaktora naczelnego „La Vanguardii”, który zaczął pracę w gazecie jako rysownik, otrzymał informację, że na jednym z placów w Barcelonie znaleziono potwornie okaleczone ciało prostytutki.

Natychmiast zadzwonił do redakcji, do dyżurnego odpowiedzialnego za zbieranie informacji o najnowszych wydarzeniach, i poprosił o podanie wszystkich szczegółów. Według policji zamordowana dziewczyna nazywała się Marta Planas i wykonywała swój zawód w lokalu przy ulicy Avinyó. Liberto Manent wysłuchał uważnie wszystkich szczegółów.

Taka sama zbrodnia jak w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku, pomyślał, przypominając sobie tamto zdarzenie. Tak, pamiętał je doskonale. Dopiero co zaczął pracę w „La Vanguardii”.

Dostał ten temat razem z kolegą Osorim: w brutalny sposób zamordowano prostytutkę. Wiadomość o tej strasznej zbrodni została opublikowana, ale o dwóch kolejnych, bardzo podobnych, do których doszło później, gazety już nie pisały. Ktoś zabronił upubliczniania informacji na ten temat. W brutalny sposób zamordowane zostały trzy prostytutki. Od tamtej pory minęło dziewięć lat.

Ta wiadomość powinna znaleźć się na pierwszej stronie wydania, które ukaże się nazajutrz. Historia się powtórzy, pomyślał.

Liberto Manent postanowił osobiście udać się do komisariatu z fotografem, aby dowiedzieć się najwięcej na temat tego zdarzenia.

Fonte próbował go zbyć, ale dziennikarz był wyjątkowo uparty. W końcu nadinspektor odpowiedział na wszystkie pytania, udzielając informacji, choć nie było ich dużo.

– Wolałbym, aby artykuł był obiektywny i nie siał paniki – powiedział nadinspektor.

– Proszę się nie martwić. Pracuję w poważnej i rzetelnej gazecie – zapewnił Manent, chowając notes do kieszeni.

– Nic nie wiemy o zabójcy. Prowadzimy dochodzenie w najbliższym otoczeniu ofiary – wyjaśnił na koniec nadinspektor, gdy Manent go o to zapytał.

## 22.

# Paczka

Tego ranka Pablo wstał późno i zajął się rysowaniem portowej sceny z molo węglowym: statki transportowe stały zakotwiczone w doku na tle góry Montjuic. Pablo w skupieniu pracował nad cieniami i perspektywą.

Wcześniej szukał swojego noża, ale nigdzie nie mógł go znaleźć. Przejrzał rzeczy porozkładane na stole. Gdzie, u diabła, położył ten nóż? Nie mógł też znaleźć jednego ze swoich szkicowników, w którym robił rysunki do dużego obrazu, mającego przedstawiać burdel Benigny. Pomysł już od dawna chodził mu po głowie, zdążył też wykonać sporo szkiców dziewcząt. Jego nieznośni przyjaciele zawsze wszystko przewracali mu do góry nogami, i skąd ma teraz wiedzieć, gdzie wśród tych wszystkich obrazów, papierów, pędzli i gratów położyli te dwie rzeczy, których szuka?

Do drzwi pracowni zastukała jedna z dziewcząt. Pablo zaprosił ją do środka.

- Ktoś przyniósł dla ciebie tę paczkę – powiedziała.
- Paczkę?
- Tak, przyniósł ją jakiś dzieciak. Zdaje się, że dał mu ją marynarz.
- Połóż ją na łóżku, potem się tym zajmę.
- Co robisz?
- Rysunek na podstawie szkiców, które zrobiłem wcześniej.
- Bardzo ładny, ale trochę za ciemny.
- Tak uważasz?
- Tak, ale oczywiście ja się na tym nie znam.
- Wiesz co? Chyba masz rację... A jak podobają ci się te? – spytał, pokazując inne rysunki, które trzymał w teczce.

Była to seria prac przedstawiających nabrzeże Barcelony, dok i sceny z życia portu.

- Jak już mówiłam, bardzo ładne, ale ciemne.
- Wobec tego tak je nazwę: ciemne rysunki – oznajmił Pablo.

Dziewczyna roześmiała się i wyszła, a Pablo wrócił do pracy.

Pół godziny później skończył rysować. Był zadowolony. Rysunek wyszedł całkiem nieźle. Zamierzał pójść na śniadanie, kiedy przypomniał sobie o paczce, którą dziewczyna zostawiła na łóżku.

Było to niewielkie i zawinięte w gruby szary papier pudełko. Otworzył je z zaciekawiony.

Przestraszył się, kiedy zobaczył, co zawiera, zwłaszcza że otwierając je, ubrudził sobie ręce krwią. Przerażony wypuścił pudełko i cała jego zawartość wypadła na ziemię. Co to takiego? Wygląda na jakiś narząd. Zdenerwowany podniósł to coś z ziemi i umieścił w skrzynce. Jeśli to ma być dowcip, to w bardzo złym guście. Kto mógłby mu coś takiego przysłać? Umył ręce, po czym znów

przyjrzał się zawartości pudełka. To nie może być część ciała jakiegoś zwierzęcia. To ludzki narząd! Wyglądał na kawałek ludzkiej wątroby albo nerki! Wyszedł na korytarz i ruszył do warsztatu.

– Mówiłaś, że kto przyniósł to pudełko?

Dziewczyna przestraszyła się, widząc Pabla tak roztrzęsionego.

– Jakiś dzieciak.

– Dawno?

– Nie wiem, od razu je przyniosłam. Coś się stało?

– Dokąd ten dzieciak poszedł? Jak wyglądał?

– Nie wiem, dokąd poszedł. Powiedział, że przyniósł to dla malarza Pabla i zostawił pudełko. Spytałam, od kogo ono jest, a on odpowiedział, że od marynarza, że będziesz wiedział, o co chodzi. To wszystko. Chłopiec odwrócił się na pięcie i sobie poszedł. Co się stało, Pablo?

– Nic, nic. Nic takiego.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Pablo wyszedł bez słowa i ruszył ulicą Escudellers. O tej porze panował spory ruch, ale po dzieciaku nie było śladu. Co spodziewał się znaleźć?

– Co tu robisz, Pablo?

– A ty?

– Wybierałem się do ciebie, bo myślałem, że pójdziemy razem rysować, kiedy dowiedziałem się o czymś strasznym – powiedział Pallarés. – Szukasz kogoś? Coś zgubiłeś? Wyglądasz na bardzo roztrzęsionego. Co się dzieje?

– Chodź, idziemy do mojej pracowni, muszę ci coś pokazać.

– Ja też muszę ci o czymś powiedzieć. Stało się coś strasznego.

Pallarés opowiedział Pablo wi o zbrodni. W całym starym mieście o niczym innym nie mówiono

– I to była Marta. Zamordowano ją w taki sposób! Co za potworność! Kto mógł popełnić tak straszną zbrodnię?

– I mówisz, że brakowało jednego narządu?

– Tak mówią. Cóż, ludzie opowiadają różne rzeczy. Wiesz przecież, że gdy dzieje się coś takiego, wszyscy puszczają wodze fantazji.

– To nie są fantazje, Manolo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Pablo wskazał pudełko, które postawił obok pędzli i farb.

– Zajrzyj do środka, Manolo. Zajrzyj do środka – powiedział Pablo słabym głosem, po czym, gdy przyjaciel podszedł do pudełka, dodał: – Przynieśli mi to godzinę temu. Jakiś mężczyzna kazał chłopcu to przynieść.

– Co to jest?

– Sądzę, że to część Marty. Sądzę, że to...

– Wielkie nieba! To potworne! Ale... jak... kto mógł...? – Pallarés nie znajdował słów.

– Wygląda na to, że jakiś marynarz dał to pudełko dzieciakowi i polecił, by mi je tutaj przyniósł.

– Marynarz?

– Tak. I chyba wiem, kto to taki. Pablo opowiedział mu historię marynarza.

– Musisz iść na policję – orzekł Pallarés.

– I co im powiem? Że pewnego razu poznałem marynarza i...

– Ta dziewczyna, która odebrała pudełko... Ona może potwierdzić twoją wersję.

– Ale to nie wszystko, Manolo. Zginął mój nóż i szkicownik.



- A co to ma wspólnego z tą sprawą?
- Nie wiem, ale to wszystko jest bardzo dziwne.
- Pytałeś dziewczyny w warsztacie?
- Nie wchodzi do pracowni, kiedy mnie nie ma. Nie, jestem pewny, że żadna z nich nie zabrałaby noża ani szpicownika.
- Wobec tego zrobił to ktoś z naszej paczki, na przykład ten zwariowany Soto, dla żartu. Tylko my wchodzimy do twojej pracowni. Raventós, Ricardo, Sabartés i ja...
- Nie, to nie mógł być Soto. To morderca.
- Morderca? Pablo, jesteś szalony! Ten cholerny „prezent” wprowadził cię z równowagi.
- Uważam, że zabójca Marty chce mnie uwikłać w tę zbrodnię. Tylko wtedy to wszystko ma sens. Pytanie tylko: dlaczego?
- Dlatego musisz pójść na policję.
- Nie. Właśnie z tego powodu nie pójdę, przynajmniej nie teraz.
- I co zamierzasz zrobić z...? – spytał Pallarés, wskazując pudełko.
- Wyrzucę je.
- Chcesz zniszczyć dowód?
- Dzięki temu zyskam na czasie.

23.

## Rozpacz

– Była tu policja. Zadawali tyle pytań, Pablo. Jestem wykończona. Kto mógł coś takiego zrobić? Marta była dobrą dziewczyną – rozpaczała Benigna.

Pablo w towarzystwie Pallarésa udał się z pracowni prosto do niej.

– Pewnie nadal by żyła, gdybym nie zaproponowała jej, że może u mnie pracować.

– Nie zadręczaj się. Niczemu nie jesteś winna – tłumaczył Pablo, obejmując ją.

– Miała małą córeczkę. Co się z nią teraz stanie?

– Nie miała rodziny? – spytał Pallarés.

– Miała ojca i pięć sióstr. Ojciec ma warsztat niedaleko stąd.

– Wobec tego już wiesz, dokąd trzeba zaprowadzić dziewczynkę – powiedział Pallarés.

- Gdzie jest Carmen? – chciał wiedzieć Pablo.
- W domu. Chyba nic o tym nie wie. Inne dziewczęta pewnie też nie.
- W mieście o niczym innym się nie mówi – zauważył Pallarés.
- Chciałbym ją zobaczyć. Wiesz, gdzie mieszka? – spytał Pablo.

Benigna podała mu adres.

24.

## Zebranie

Sir Richard Sitwell, jak częstokroć czynił to popołudniami, przybył na zebranie Towarzystwa. Kierowca zatrzymał się pod numerem dziesięć przy Rambla de Santa Mónica.

Czekali na niego burmistrz, markiz de Santa Isabel, kilku znamienitych obywateli miasta i nowy gubernator cywilny, którego jeszcze nie miał okazji poznać. Został mu przedstawiony. Był to starszy mężczyzna, prostoduszny i spontaniczny. Uścisnęli sobie ręce.

Głównym tematem ich rozmowy była wiadomość dnia.

– Jutro, kiedy w prasie ukążą się artykuły, w mieście nie będzie się mówić o niczym innym – powiedział burmistrz.

Sitwell starał się zorientować, o czym rozmawiają. Słuchał z uwagą, rozsiadając się w jednym z wygodnych foteli, za które zapłacił jego ojciec.

Towarzystwo Jeździeckie, pod auspicjami jego antenata i innych

znakomitych dżentelmenów ze śmietanki towarzyskiej Barcelony, zostało założone dwudziestego szóstego listopada 1856 roku. Była to już druga siedziba Towarzystwa. Pierwsza mieściła się przy ulicy San Pablo do czasu, aż z powodu sukcesu, jaki odniosło Towarzystwo, i zwiększenia liczby członków cztery lata później została przeniesiona na Rambla de Santa Monica. Jego przyjaciel, markiz de Santa Isabel, prezes Towarzystwa, miał mnóstwo pomysłów i znacznie poszerzył działalność towarzyską i rekreacyjną organizacji. Kelner podał kawę i ciastka.

– A policja? – spytał Ernesto Pia, przemysłowiec w branży tekstylnej i wybitny członek zarządu.

– Są zagubieni i nie wiedzą, co z tym fantem zrobić. Nie mają chyba od czego zacząć – powiedział burmistrz.

– Miejmy nadzieję, że na tym się zakończy i wkrótce o całej sprawie nikt nie będzie pamiętał. W końcu to była tylko zwykła prostytutka – skwitował Pia.

– Mieliśmy już podobną historię w dziewięćdziesiątym roku: trzy straszne zbrodnie, bardzo podobne do tej – przypomniał burmistrz.

– Powiedziałbym, że wręcz identyczne – dodał Sitwell.

– Czy to znaczy, że mamy od czynienia z tym samym mordercą, który powrócił po latach? – spytał gubernator, który dotąd zachowywał milczenie.

– Ale łańcuch zbrodni został przerwany. Zabito trzy prostytutki i... – zaczął Pia, ale Sitwell mu przerwał:

– Nigdy nie znaleziono człowieka, który popełnił te zbrodnie.

– Sądzi pan, że to ten sam morderca? Że po dziewięciu latach postanowił znów zabijać? – spytał burmistrz.

– Tak, tak uważam. Jestem pewny, że to dopiero początek i że powinniśmy zwrócić się o pomoc – dodał Sitwell.

- O pomoc? Do kogo? – Burmistrz wyraźnie się ożywił.
- Dawno temu w moim kraju, w Londynie, doszło do serii zbrodni dokładnie takich samych jak te tutaj. W ciągu dwóch i pół miesiąca zamordowano pięć prostytutek. Morderca podrzynał im gardła, a potem... cóż, to było straszne. Prawdziwa jatka, która przerażała całe miasto. Ludzie bali się wychodzić po zmierzchu z domów. Potem wszystko się skończyło, a morderca, podobnie jak tu w dziewięćdziesiątym roku, nigdy nie został złapany.
- Tak, przypominam sobie tę sprawę. Nazywano go Kubą Rozpruwaczem, ponieważ to właśnie robił: rozpruwał swoje ofiary – wtrącił gubernator.
- Sugeruje pan, że po ulicach Barcelony krąży jakiś rozpruwacz? – Burmistrz popatrzył na Sitwella z niedowierzaniem.
- Jestem o tym przekonany.
- Takie zbrodnie może popełnić tylko cudzoziemiec. Żaden Katalończyk niczego takiego by nie zrobił – stwierdził Pia w przepływie patriotycznych uczuć.
- Nieważne, czy to Katalończyk, czy cudzoziemiec. Chodzi o to, że znaleźliśmy się w poważnych tarapatkach – stwierdził Sitwell.
- I sądzi pan, że powinniśmy zwrócić się do kogoś o pomoc? – dopytywał się burmistrz.
- Tak powiedziałem. Kto prowadzi śledztwo? – chciał wiedzieć Sitwell.
- Komisarz generalny, i to osobiście – odparł burmistrz.
- Bardzo zdolny człowiek. Wojskowy z Kuby, mianowany przez samego ministra – zaznaczył Pia.

– Został wcielony do policji w związku z wprowadzeniem ustawy z września tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku – wyjaśnił burmistrz.

– Co to za ustawa? – zainteresował się Sitwell.

– Ustawa o stłumieniu anarchii. Z królewskiego rozkazu dzień następnego września tamtego roku utworzono w Madrycie i Barcelonie korpus policji sądowej, odpowiedzialny za wykrywanie i ściganie przestępstw popełnionych przy użyciu materiałów wybuchowych. I tak dostał się tam Abel Fonte, wojskowy, który zdobył duże doświadczenie podczas tłumienia powstania na Kubie, i jak mówiłem, mianował go sam minister. Bardzo zdolny człowiek.

– Ale nie jest policjantem – zauważył Sitwell.

– Teraz jest.

– Co pan proponuje? – spytał burmistrz Sitwella, ciekaw jego opinii w tej tak trudnej kwestii.

Sitwell zwlekał z odpowiedzią, ale gdy jej udzielił, była bardzo stanowcza.

– Nie podważam zdolności Abła Fontego, ale w tej sprawie porusza się po nieznanym terenie. Potrzebny nam policjant z prawdziwego zdarzenia, ktoś posiadający świetny zmysł obserwacji i umiejętność dedukcji, kto zna mentalność przestępcy, zimne i pokrętne ścieżki, którymi wędruje jego wyobraźnia. Ktoś, kto policyjne dochodzenie traktuje jak naukę ścisłą i kto zna najnowsze metody śledcze. Ktoś, kto nie będzie spekulował na podstawie niekonkretnych informacji i dla kogo bronią w walce z przestępstwem będzie żywy umysł, kto nie pozwoli, by bezużyteczne informacje zastąpiły użyteczne.

Potrzebny nam obserwator zdolny do rzetelnego i systematycznego badania wszystkiego, co go otacza.

– A mamy kogoś takiego? – spytał Ernesto Pia, bardzo zainteresowany wywoodem Sitwella.

– Mamy. To Steven Arrow.

– Może pan powtórzyć nazwisko? – poprosił burmistrz.

– Steven Arrow. Jedyny prywatny detektyw na świecie.

– Prywatny detektyw? Co to znaczy? – zdziwił się gubernator.

– Nie wiem. Arrow stworzył takie określenie dla tego, czym się trudni.

– Zna go pan?

– Osobiście nie, ale wiem sporo o jego pracy. Arrow był asystentem nadinspektora Abberline'a ze Scotland Yardu przy sprawie zabójstw w Londynie, o których panom mówiłem. To człowiek o nieprzeciętnym umyśle.

– Ale niczego nie odkrył. Sam pan powiedział, że zbrodnie tego Kuby Rozpruwacza pozostały bezkarne – przypomniał burmistrz.

– To prawda. Prawdą jest również, że odkąd odszedł z policji, rozwiązał wszystkie sprawy, nad którymi pracował, a było ich około trzystu. Nadal zresztą współpracuje z londyńską policją. Pano-  
wie, możecie być tego pewni: ten człowiek jest nam potrzebny.

– Mamy dwa tysiące osiemset czterdziestu siedmiu policjantów, w tym komisarzy, inspektorów, agentów, aspirantów, posterunkowych i strażników. Sądzicie, panowie, że przy takich zasobach potrzebna nam pomoc? Pan powiedział, że jak on się nazywa? Prywatny detektyw? – Burmistrz nie był przekonany do propozycji Sitwella.

– Tak jest. Tak właśnie uważam.

– Nie wiem, co by na to powiedział Abel Fonte, ale domyślam



się, że nie będzie zadowolony, jeśli kogoś nad nim postawimy – wtrącił Ernesto Pia.

– Niczego takiego nie sugerowałem. Arrow współpracowałby z nim na zasadzie równorzędności, przy sprawie, którą inspektor dopiero zaczął się zajmować. Zapewniam panów, że morderca znów kogoś zabije.

– Dobrze, możemy się nad tym zastanowić... choć nie należy zbyt się spieszyć – podsumował burmistrz.

Rozmowa zesłała na inne tematy. Dyskutowano o pomysłach Sitwella, który wraz z innymi miłośnikami sportu zamierzał założyć klub tenisowy oraz klub piłki nożnej.

– W sprawie klubu tenisowego spotkałem się z kilkoma przyjaciółmi, których bardzo interesuje ten projekt. To Ernesto Witty, Alfonso Macaya i Udo Steimberg. Nawiązałem nawet kontakty z Lawn Tennis Association w Londynie.

– A piłka nożna? – spytał burmistrz, którego zadziwił entuzjazm, z jakim Sitwell mówi o sporcie.

– Projekt jest już dość zaawansowany. Panowie John i William Parsonowie i kupiec Hans Gamper są tym bardzo zainteresowani. Prawdę powiedziawszy, pomysłodawcą był Gamper. Ja tylko mu sekunduję.

– Jak znajduje pan czas na te wszystkie inicjatywy? – spytał z podziwem burmistrz.

– To kwestia dobrej organizacji. Możemy nawet mieć boisko na sześć tysięcy widzów.

– Sześć tysięcy? To się nie sprawdzi. *Foot-ball* jest dobry dla Anglików. W tym kraju brakuje ducha gry zespołowej, jesteśmy indywidualistami – stwierdził przemysłowiec z głębokim przekonaniem.

– W Barcelonie jest inaczej. Mogę pana o tym zapewnić.

25.

## Malarz i modelka

– Po co przyszedłeś?

– Mogę wejść?

Carmen odsunęła się, wpuszczając go do środka.

Pablo znalazł się w niewielkim jednopokojowym mieszkaniu.

– To jest...

– Tak, dziecko. Ale nie martw się, nie twoje. Właśnie go karmiłam, kiedy pukałeś do drzwi.

Pablo stał na środku pokoju. Nie wiedział, jak się zachować.

– Usiądź.

Carmen wyjęła dziecko z kołyski i zaczęła karmić je kaszką.

– A twój mąż?

– Nie mam męża. Mieszkam sama... z moim synkiem.

– Ile ma?

– Roczek.

– Jest bardzo ładny.

– Przyszedłeś, żeby mi powiedzieć, że mój syn jest ładny?

- Nie. Przyszedłem prosić cię o przebaczenie.
- Już ci przebaczyłam. W tym fachu trzeba dostosować się do gustów i skłonności klientów. Wybacz, że nie rozumiałam tego tamtej nocy.
- Tym jestem dla ciebie? Klientem?
- Czego ode mnie chcesz, Pablo? Jestem bardzo zmęczona, a tej nocy muszę pracować.
- Dziś nie będziesz pracowała. Wiem o tym od Benigny. To ona dała mi twój adres.

Carmen nie rozumiała.

- Wydarzyło się coś strasznego. Marta została zamordowana.
- Co ty mówisz?
- Znaleźli ją na ulicy z podejrzanym gardłem, na ciele miała mnóstwo ran klutych. Dlatego dziś nie będziesz pracowała. Benigna jest zrozpaczona. Żadna z was nie będzie dziś pracowała.

Pablo opowiedział jej wszystko, co wiedział o śmierci Marty.

- Ale to niemożliwe. Kto chciałby zrobić krzywdę Marcie, i to w tak straszliwy sposób?
- To stara się wyjaśnić policja. Wypytywali Benignę... czy Marta miała jakiegoś przyjaciela, narzeczonego albo klienta, który... Policja dopiero zaczęła dochodzenie, nic jeszcze nie wiedzą. I niewykluczone, że nigdy nie znajdą mordercy. Kogo obchodzi śmierć prostytutki?
- Nie mów tak. Mnie obchodzi. Marta była moją przyjaciółką.
- Mnie też. Ja również się z nią przyjaźniłem.
- Położę dziecko.

Carmen zniosła chłopca do kołyski i usiadła obok Pabla.

– Przeszedłeś, żeby mi o tym opowiedzieć?  
– I żeby powiedzieć ci, że cię kocham i nie mogę bez ciebie żyć. Odkąd zniknął, nie ma dnia, żebym o tobie nie myślał, i nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś.

Co mam mu powiedzieć? – zastanawiała się Carmen. Postanowiła, że będzie szczerą.

– Zrobiłam to dla ciebie. Zrobiłam to, bo ja też cię kocham, ale wiem, że nam się nie uda, bo pochodzimy z innych światów. Nie widzisz, kim jestem? Dziwką z dzieckiem, która ledwo potrafi czytać i pisać. Co mogę ci dać?

– Niczego nie musisz mi dawać. O nic cię nie proszę. Chcę tylko, żebyśmy byli razem, bo się kochamy. Czy to tak trudno zrozumieć?

– Ale ty jesteś inny, jesteś artystą. Któregoś dnia wszyscy się dowiedzą, ile jesteś wart, a wtedy, powiedz mi, co będę robiła u twojego boku, skoro nawet nie potrafię posługiwać się sztucami?

– Będziesz moją miłością i modelką.

– A do tego czasu z czego będziemy żyli i gdzie? W pracowni, której używają ci twoi przyjaciele? W burdelu? Nie widzisz, że to niemożliwe? Nie możesz związać się ze mną i dzieckiem, które nawet nie jest twoje. Potrzebujesz wolności, Pablo. Widzę to w twoich oczach. Pamiętasz, jak marzyłeś o podróży do Paryża? Już zapomniałeś o Paryżu?

– Pojedziemy tam razem.

Ta rozmowa była dla Carmen bardzo męcząca. Pablo nie widzi, jaka jest rzeczywistość. A jednak życie z nim byłoby takie cudowne... z tym marzycielem, który nie potrafi dostrzec codziennych problemów, dzielić życie z takim... dzieckiem, bo tym właśnie jest. Tak, Pablo jest dzieckiem, jej dzieckiem, i to się nie zmieni, bo tak

został ukształtowany. Pablo jest dzieciakiem przywykłym do tego, że zawsze stawia na swoim. Carmen widziała tylko jeden sposób, żeby z tym skończyć.

– A ty będziesz na moim utrzymaniu do czasu, aż zaczniesz sprzedawać swoje obrazy.

– Chcesz mnie utrzymywać? W jaki sposób?

– Dzięki mojej pracy. Nie zapominaj, że jestem bardzo dobrą prostytutką.

– Nie wiem, czy jesteś dobra, ale sądziłem, że możesz zmienić zawód.

– I znów zajmę się prasowaniem, żeby mój syn umarł z głodu? Nie, teraz jestem wolna, niezależna i dobrze zarabiam.

– Nazywasz wolnością usługiwanie każdemu, kto zapuka do twoich drzwi?

– Nie zapominaj, że to ja decyduję o tym, kto przekroczy ten próg.

– Dobrze. Nie chcę się z tobą kłócić. Porozmawiamy o tym później.

– Rozmawiamy o tym teraz... Widzisz, że to niemożliwe, Pablo? Oboje jesteśmy uwiązani, każde do swojego przeznaczenia.

26.

## Kolor

Wreszcie Pablo zdołał namówić Carmen, żeby poszła z nim do jego pracowni przy ulicy Escudillers Blancs. Dziecko zostawiła pod opieką sąsiadki.

- Mam niewiele czasu, dziecko mnie potrzebuje.
- Co z nim robisz, kiedy idziesz do pracy?
- To, co teraz. Zostawiam u sąsiadki. To starsza kobieta, bezdzietna wdowa. Zajmuje się nim za pewną kwotę, którą płacę jej co miesiąc. Na początku niczego nie chciała, ale wiem, że potrzebuje pieniędzy. Czasem przychodzi do mnie i zapraszam ją na obiad.
- Wie, czym się zajmujesz?
- Nie, ale pewnie się domyśla. Też była prostytutką.
- Skąd wiesz?
- Nie wiem. Mam takie przeczucie. To się po prostu wie.
- Widzę, że nie brak ci wyobraźni!

– To głód, Pablo. Głód daje ci taką wiedzę, ale ty nie możesz tego zrozumieć.

Weszli do pracowni i kochali się długo w zapadającym zmierzchu. Carmen się zmieniła. Ostatnim razem Pablo, zaślepiony furją, nie mógł w pełni tego docenić. Ale teraz to widział. Ciało Carmen było nową ziemią, którą odkrywał tak długo, aż wreszcie się sobą nasycili. Nie była już chudą, wątłą i kruchą dziewczyną, którą znał. Jej ciało miało swoją historię i co więcej, wydało na świat nowe życie.

– Co robiłeś przez cały ten czas... to znaczy poza malowaniem?

– Byłem w Madrycie i tam zachorowałem. Pallarés zaprosił mnie do siebie na wieś, żebym odzyskał siły. Spędziłem tam pół roku.

– Nie wyobrażam sobie ciebie na wsi. Choć przekonałam się, że siły odzyskałeś. – Carmen się zaśmiała.

– Pobyt na wsi, wśród prostych ludzi, był wspaniałym doświadczeniem.

– Ale również malowałeś?

– Tak, oczywiście. Wiesz, że nie mógłbym bez tego żyć. Przez pewien czas mieszkaliśmy w jaskini. Mieliśmy tam przybory do malowania, farby, płótna, które przywoziliśmy na grzbiecie mulicy. Żyliśmy jak dzicy ludzie, za jedyne narzędzie mając nóż, który podarował mi Pallarés. Jego brat przywoził nam jedzenie. Żyliśmy tam zupełnie sami wśród dzikiej przyrody. Aż któregoś dnia nadeszła burza i wszystko się skończyło. Wiesz, że byłem nawet bliski śmierci?

To zaniepokoiło Carmen.

- Ale nic ci się nie stało. Jesteś tu.
- Tak. Zawdzięczam to Pallarésowi. On mnie uratował. Wpadłem do strumienia, woda mnie porwała, a nie umiem pływać. Manolo mnie wyciągnął. Rzadko o tym opowiadam.

Pablo zamilkł na chwilę. Carmen z zainteresowaniem czekała na dalszy ciąg.

– Którejś nocy, kiedy wróciliśmy do wioski, wezwano nas, abyśmy uczestniczyli w autopsji. Pewna dziewczynka i jej babcia zginęły rażone piorunem. Poszliśmy na cmentarz i obserwowaliśmy całą procedurę. Lekarz sądowy przez cały czas palił papierosy. Asystował mu grabarz. Przepiłowali czaszkę dziewczynki na trzy części, a potem przecięli je z góry na dół. Manolo i ja nie mogliśmy znieść tego widoku i uciekliśmy stamtąd, wymiotując, a lekarz i grabarz śmiali się z nas. – Przed oczami stanęły mu sceny z przeszłości, tak żywe, jakby to, o czym w skrócie opowiedział Carmen, działo się teraz.

- Boże, co za historia!
- Cóż, nie wszystko było takie straszne. Życie na wsi miało dobre strony. Pomagałem w pracy na roli, w młynie oliwnym rodziny Manola. Podczas tych miesięcy zobaczyłem, jak ludzie walczą o przetrwanie w małych rozsianych wioskach, jak pracują, jeżdżą, umierają. Prości ludzie, którzy mają naprawdę ciężkie życie, ale chcą żyć i iść naprzód. Wieś mnie zmieniła, tamtejsi ludzie, pejzaże, góry. Wieś mnie zmieniła – powtórzył, po czym dodał: – Ale nigdy nie zapomnę tej biednej dziewczynki, której ciało leżało porzucone w ciemnościach, z głową rozciętą na trzy kawałki.

Ta opowieść poruszyła Carmen. Wiedziała, że teraz jej kolej, ale nie miała ochoty opowiadać o sobie, więc zapytała:

- Nie zamierzasz pokazać mi swoich prac?



Pablo zaczął wyjmować z teczek rysunki.

- Zmieniłeś się, Pablo. Twoje prace też są inne.
- Czy ci się podobają?
- Nie znam się na tym.
- Ale czy ci się podobają?
- Lubię je, są smutne, ale je lubię. Te, jak ty je nazywasz...
- Autoportrety.
- Są melancholijne i smutne.
- Nic dziwnego, namalowałem je, kiedy cię straciłem.
- Te wcześniejsze były bardziej...
- Akademickie.
- Chyba tak. Te są bardziej naturalne, swobodne. Ale najbardziej lubię twoje obrazy z oknami.
- A ten, jak ci się podoba? – spytał, zrywając szmatę zakrywającą sztalugi.

Był to niewielki obraz o wymiarach dwadzieścia pięć na trzydzieści centymetrów. Przedstawiał kobietę i mężczyznę w barze, siedzących przy stoliku, na którym stała butelka. Mężczyzna wyciągał prawą rękę do piersi młodej ciemnej dziewczyny.

– Jest... inny. Nie ma między nimi miłości ani nawet namiętności. Jego lewa noga przypomina nogę konia, a twarz dziewczyny, z tym odcieniem czerwieni pod okiem, sprawia, że domyślamy się, iż jest chora. Mężczyzna to czarna masa, która pochyla się w jej stronę bez namiętności, z czystą lubieżnością pijaka. To brutal, nieszczęsny biedak odurzony alkoholem i bezrobotny. Tak czarny, że aż przerażający. Ona jest dziwką i spędzi z nim noc za parę drobniaków. Podobają mi się te zielone i pomarańczowe kolory, które ich otaczają. To dwie osoby...

– Z kloaki miasta, z nędzy moralnej i fizycznej, dwoje wyrzutek – podjął Pablo. – Znam malarza zdolnego do wydobycia piękna z idiotów, nędzników i wszystkich nieszczęśników ukrytych w starej Barcelonie, których porządni mieszkańcy tego miasta nie chcą widzieć, choć czasem z nimi przestają.

– Przestają z nimi? To niemożliwe.

– Tak, w antraktach między przedstawieniami w teatrze Liceo. Wtedy zaglądną do takich lokali jak ten, gdzie drzemią istoty podobne do tych z mojego obrazu, i przez jakiś czas mieszają się z tłumem. Co za łajno, Carmen, co za łajno ! Gdybyś ich wszystkich zobaczyła! Artyści, dziwki, pijacy, burżuje i anarchiści!

– Zbyt dużo takich obrazów to ty nie sprzedasz, Pablo. Ani twój przyjaciel. Ale w tym obrazie jest energia, witalność.

– Nonell, nazywa się Nonell. Wystawiał w Paryżu razem z Toulouse-Lautrekiem. Odwaga jego pędzla, linii, koloru sporo mnie nauczyła. Muszę znaleźć swój kolor!

– Jaki?

– Nie wiem. Kolor, który pozwoli mi malować ukryte życie tego miasta.

– Znajdziesz swój kolor, Pablo. Ale nie to cię niepokoi, prawda?

– Jestem w tarapatkach – wyznał przygnębiony.

– Mogę ci pomóc?

– Nie możesz. Nikt nie może mi pomóc.

– Powiedz mi, o co chodzi.

Carmen przeraziła się, gdy Pablo opowiedział, co znalazł w kartonowym pudełku.

– Ale to jeszcze nie wszystko. Ukradziono mi nóż i szkicownik.

- A co było w szkicowniku?
- Wy wszystkie. Narysowałem was wszystkie, a także mordercę Marty.
- Mordercę? Co ty wygadujesz? Jak to?
- Nie wiem. To przecucie. Pamiętasz tego marynarza, o którym kiedyś ci opowiadałem? Tego, który podglądał was przy pracy i z którym rozmawiała Ana?
- Tak.
- Narysowałem go, Carmen. Narysowałem go w tym szkicowniku. Narysowałem mordercę Marty przebranego za marynarza, a potem udającego lekarza.

Opowiedział jej o rozmowie z domniemanym lekarzem w burdelu Benigny.

- To był ten sam człowiek. Teraz jestem tego pewny. Przez cały dzień się nad tym zastanawiałem. Wiem, że to on. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafię zrozumieć, próbuje wplątać mnie w tę straszną zbrodnię. Powiedział mi to tamtej nocy w tawernie, ale wtedy go nie rozumiałem.

Carmen nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Musisz iść na policję i im o tym opowiedzieć.
- I sądzisz, że mnie posłuchają? Nie, nie zrobią tego. Gdybym poszedł na policję, mogliby zamknąć sprawę, mieliby zabójcę. Kim ja jestem? Synem biednego nauczyciela rysunku, który zadaje się z anarchistami, bywa w podejrzanych lokalach, mieszkał w burdelu, w którym pracowała zamordowana dziewczyna, i twierdzi, że jest malarzem. Nie, Carmen. Oni mi nie uwierzą.
- Ty nie jesteś mordercą.
- Ale oni o tym nie wiedzą.

27.

## Z serdecznymi pozdrowieniami – Kuba

Wśród listów, które tego ranka leżały na biurku Liberta Manenta, znajdował się jeden bez nazwiska i adresu nadawcy.

Zamorduję te wszystkie dziewczki, jedną po drugiej.  
To się dopiero zaczęło. Doskonale się bawię.  
Złapcie mnie, jeśli potraficie!  
Z serdecznymi pozdrowieniami,

KUBA

Manenta zamurowało. Morderca Marty Planas napisał do gazety! I co więcej, oświadcza, że nadal będzie mordował. To niezwykła wiadomość. Manent nie wierzył własnym oczom. Przeczytał list kilka razy, analizując jego treść. Pięć zdań napisanych nienaganym charakterem pisma, mocnym, niemalże kupieckim, niepasującym do kogoś niezrównoważonego. Jego uwagę zwrócił element

makabrycznego poczucia humoru na końcu listu: *Z serdecznymi pozdrowieniami*, napisał morderca. Wyszedł z gabinetu z listem w rękę i spytał, czy naczelny jest już w pracy. Nie czekając na odpowiedź, pobiegł przez korytarz i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi gabinetu Modesta Sáncheza.

- Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył diabła.
- Bo zobaczyłem.

Naczelny siedział z szefem redakcji i dwoma innymi pracownikami nad ostatnimi poprawkami do najnowszego wydania gazety.

- Możemy porozmawiać?
- Nie mógłbyś poczekać?
- Nie.
- Dobrze, o co chodzi?
- Musimy porozmawiać w cztery oczy – powiedział Manent.

Modesto Sánchez gestem dał znać swoim współpracownikom, by zostawili ich samych. Wstali i wyszli, niezadowoleni z tego niespodziewanego najścia. Z Manentem działo się coś niedobrego. Był blady jak ściana.

- Usiądź, proszę.
- Dziękuję. Wolę stać. Proszę, przeczytaj to. – Manent podał naczelnemu list.

Zaintrygowany Sánchez wziął go do ręki. To musi być ważna wiadomość, sądząc po stanie, w jakim jest Manent. Dziennikarz nie jest człowiekiem szczególnie wrażliwym, niełatwo też wyprowadzić go z równowagi.

- Chyba nie upadł rząd?

Manent nie odpowiedział.

Sánchez czuł, czym to pachnie, gdy tylko przeczytał wiadomość.

Ale musiał być ostrożny. Starał się ukryć przed Manentem zaniepokojenie. Jakkolwiek „La Vanguardia” to poważny dziennik, który nie może sobie pozwolić na wpadkę.

– Kiedy to przyszło?

– Dzisiaj. List leżał na moim biurku.

– Cholera! – zaklął Sánchez, który zazwyczaj nie przeklinał. – To może być żart. Makabryczny żart. Pełno jest wariatów i nie pierwszy raz dostajemy anonim.

– Ale nie taki. Myślę, że ten list napisał morderca.

– Sukinsyn ma ładny charakter pisma.

– Owszem. Publikujemy ten list?

– Najpierw musimy zawiadomić policję.

– Mogę się tym zająć?

– Powinien to dostać Octavio z działu wiadomości

– Ale list jest zaadresowany do mnie.

– Tak, tego nie mogę zrozumieć. Logiczne by było...

– Gdyby zaadresowany był do ciebie, jesteś naczelnym – dookończył Manent.

– Porozmawiaj z policją. Potem o wszystkim mnie poinformuj i zdecydujemy, co robić. Skonsultuję to z kilkoma osobami.

– Z kim?

– Z właścicielami gazety. O czymś takim panowie Godó powinni wiedzieć.

Co za czasy! – pomyślał Manent. Jeśli to prawda, to dopiero początek tragedii. Przynajmniej ten sukinsyn wybrał dobrą gazetę, żeby się przedstawić.

Abel Fonte kazał mu długo czekać, nim wpuścił go do gabinetu.

– Czym mogę panu służyć? – spytał, gestem zapraszając Manenta, by usiadł.

Dziennikarz opowiedział mu, co się stało, i pokazał list.

– Szalony morderca nie miałby tak eleganckiego charakteru pisma. List jest fałszywy.

Manent nie wierzył własnym uszom. Spodziewał się czegoś innego, jakiejś emocji na twarzy szefa policji, gdy czytał list. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Fonte rzucił list na biurko i ograniczył się tylko do tego suchego stwierdzenia.

– Wobec tego możemy to opublikować?

– Opublikować? Anonim? Odkąd to pańska gazeta zamieszcza niesprawdzone wiadomości?

– Przecież list jest podpisany. Nadawca twierdzi, że nazywa się Kuba, jak...

– Tak, wiem – przerwał mu Fonte. – Jak ten morderca, który dziesięć lat temu zabił w Londynie pięć prostytutek.

– Jedenaście lat temu – sprostował Manent.

Fonte zignorował tę uwagę.

– Nie jesteśmy w Londynie, ale w Barcelonie. A może myśli pan, że ten morderca po jedenastu latach postanowił zabijać w naszym mieście? Proszę się obudzić! Jest pan dziennikarzem, a nie literatem.

– Ale popełniono bardzo podobną zbrodnię. Nie twierdzą, że mordercą jest ten sam człowiek. To ktoś, kto postępuje tak jak on. Ponadto, panie nadinspektorze, to nie jest pierwszy raz.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Dziewięć lat temu popełniono tu trzy morderstwa, identyczne z zamordowaniem Marty Planas. Trzy prostytutki zostały zabite i rozprute. Byłem pierwszym, który o tym napisał na łamach „La Vanguardii”. Właśnie zacząłem tam pracować i od razu dostałem

ten temat. Badałem te trzy morderstwa, ale napisaliśmy tylko o pierwszym. Z jakiegoś powodu zakazano publikowania informacji na temat pozostałych.

– Cóż, to wcale mnie nie dziwi. Takich informacji nie powinno się podawać do publicznej wiadomości. Niepotrzebnie wywołują panikę. Gazeta postąpiła słusznie.

– Nie wiem, czy postąpiliśmy słusznie. Wiem natomiast, że te trzy zbrodnie pozostały nierozwiązane. Nigdy nie wykryto sprawcy.

– Dzieje się tak w większości spraw.

– Jak to?

– Zdziwiłaby pana liczba przestępstw, których sprawcy nie zostali ujęci. Do kolejnych morderstw nie doszło, bo morderca mógł zginąć albo był nim jakiś cudzoziemiec, który wrócił do kraju. A może nie było jednego mordercy, lecz trzech? Zazdrośni mężowie, zwyrodniali klienci. Proszę nie zapominać, że ofiarami były lądacznice. A z kim one przestają? Z podobną sobie hołotą: z pijakami, zboczeńcami, podłymi typami, rajfurami.

Brak litości i współczucia dla nieszczęśliwych ofiar zbrodni, wyrażony w całej wypowiedzi nadinspektora, oburzył dziennikarza. Jak to możliwe, że szefem policji został taki człowiek? Jak śmie, tonem, jakim mówią żołnierze w koszarach, wypowiadać sądy na temat tych biednych dziewczyn?

– Sądzi pan więc, że trzech mordercy zmówili się i dokonali zbrodni w taki sam sposób? Nie, nadinspektorze. Myślę, że morderca był jeden.

– To, co pan myśli, nie ma znaczenia. Nie jest pan policjantem. Nie ma pan pojęcia o całym tym bagnie, które co dzień trafia do naszych jednostek.



– Wiem, nadinspektorze. Przez długie lata wydeptywałem korytarze komisariatów, zdobywając dla gazety wiadomości o różnych strasznych zbrodniach. Proszę mi wierzyć, znam się na tym, i to bardzo dobrze – oznajmił Manent dobitnie, by ten podlec nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Dobrze, przyznaję, morderca był tylko jeden. To musiał być cudzoziemiec. Żaden obywatel tego miasta, choćby nie wiem jak zdegenerowany, nie mógłby popełnić tak strasznych zbrodni jak te, o których pan wspominał. Statystyki dowodzą, że przestępczość nie rośnie w krajach, w których obywatele zachowują silną wiarę. To wychowanie, które nie opiera się na zasadach religijnych i moralnych, kształtuje tak nikczemnych ludzi. Najlepszym przykładem jest Francja: obserwujemy tam wyraźnie, że szaleństwo i samobójstwa, podobnie jak cała przestępczość, wzrastają wraz z rozwojem szkolnictwa podstawowego. Przestępcą mógł być tylko cudzoziemiec.

Manent nie mógł uwierzyć, że z ust szefa policji słyszy takie bzdury.

– Wobec tego ten pański cudzoziemiec wrócił i nie zamierza na tym poprzestać – stwierdził Manent tonem niepozostawiającym wątpliwości, że jest poruszony rozmową z szefem policji, który chyba nawet własnego biurka nie potrafiłby znaleźć.

Wyszedł bez pożegnania. Musi poinformować Sáncheza o przebiegu rozmowy z tym cymbałem. Jeśli Bóg ich nie uchroni, polowanie na te biedne dziewczęta będzie trwało.

28.

## Magia

Dom publiczny Benigny był zamknięty przez cały tydzień. Śmierć Marty wpędziła ją w ogromne poczucie winy. Gdyby nie podeszła do niej wtedy w kościele, dziewczyna może by żyła. Benigna czuła się winna tej straszliwej zbrodni.

Negra postanowiła nie tracić tygodnia pracy z powodu śmierci koleżanki. Marta by to rozumiała. Mówiły na nią „Negra”, czyli „czarna”, bo była czarna jak smoła. Urodziła się w Santiago de Cuba jako niewolnica na plantacji trzciny cukrowej. Handel niewolnikami zniesiono co prawda w 1820 roku, jej rodzice zostali jednak przemyceni na Kubę z odległego wybrzeża Afryki na pokładzie statku handlarza niewolników Antonia Lópeza. Na wyspie też oficjalnie nie istniało już niewolnictwo, ale Negra, tak jak jej rodzice i wielu innych czarnych, pracowała niewolniczo przy ścinaniu trzciny cukrowej.

Miała dwanaście lat, kiedy zakochał się w niej pewien generał, który przybył z półwyspu z misją na Kubę. Plantacja należała do

bogacza z Arenys de Mar, który w dowód wdzięczności za przysługę, jakie wyświadczyło mu wojsko, ofiarował dziewczynkę generałowi. Przeżyła z nim dwa lata, towarzysząc mu na wszystkich wojnach, aż wreszcie został odwołany i zmuszony do powrotu do ojczyzny. I wtedy ją sprzedał.

– Ta dziewczyna to czarodziejka – powiedział nabywcy.

I rzeczywiście, była czarodziejką, przyznał nowy właściciel po kilku nocach, podczas których czuł się jak w niebie. Ale ponieważ był już za stary na miłosne ekscesy i obawiał się, że któraś z takich nocy może być jego ostatnią, postanowił zarobić na niej spore pieniądze: dziewczyna mogłaby dawać rozkosz klientom w każdym burdelu na półwyspie.

Benigna dowiedziała się o niezwykłych zdolnościach Negry od gubernatora Barcelony.

Był to dobry i mało wymagający człowiek. Jako jeden z najstarszych i najwierniejszych klientów entuzjastycznie chwalał jej burdel wśród przyjaciół i znajomych, którzy tak jak on pragnęli spędzić miłe chwile i przez jakiś czas nie myśleć o żonach i interesach. Dzięki gubernatorowi burdel doskonale prosperował, a jego bywalcami stali się wypłacalni mężowie, którzy nie pragnęli niczego więcej prócz czystości, dyskrecji, fantazji i rozrywki. On sam wprawdzie chciałby o wiele więcej, ponieważ kochał się w Benignie, był jednak – jak na jej wymagania – zbyt staroświecki i w obawie przed odrzuceniem milczał. Niemniej jednak kochał ją miłością wielkoduszną, szlachetną i bezinteresowną i gotów był oddać za nią życie.

Poza tym Benigna dużo się od niego uczyła i doskonale się z nim bawiła. Przynosił zdania napisane dla niej po włosku i prosił, by wypowiadała je w łóżku.

– Kocham cię, Giovanni. Jesteś najwspanialszym mężczyzną na świecie. Nikt nie kocha się ze mną tak jak ty. Miłości ty moja, moja miłości, moja miłości! – szeptała mu do ucha Benigna, a gubernator umierał z rozkoszy.

– Dlaczego upierasz się, bym nazywała cię Giovanni?

– Dlatego, że to brzmi bardzo poetycko, Benigno. Niezwykle poetycko. I dlatego, że gdy tak mówisz, konam z rozkoszy. Jak świetnie mówisz po włosku! Jesteś taka naturalna!

– Byłeś we Włoszech?

– Nigdy – odpowiadał smutno gubernator.

I w tym miejscu zawsze następowała opowieść o jego rajcu utraconym.

– Mieszkałem za to w Puerto Rico i na Kubie. Na perle Antyli! Co za kraj, co za kobiety! Tam pochowałem moje serce.

I gubernator relacjonował jej swą antylską przeszłość tak szczegółowo, że przemierzała wyspę, idąc krok w krok za jego słowami.

– Straciliśmy ją z powodu pazerności i niekompetencji. A teraz zrzucają winę na rząd! To my jesteśmy winni! Wiesz, że lwia część wyspy była w naszych rękach? Byliśmy wyzyskiwaczami i handlarzami niewolników, Benigno. Gdybyśmy w odpowiednim czasie wprowadzili cztery reformy, wyspa wciąż byłaby nasza. Tyle wojen, same trupy! Takie były koszty posiadania Kuby. I nie chcieliśmy tego widzieć. Oczywiście to nie były ich dzieci i żaden zasnany burżuj nie stracił na wyspie ani jednego ze swych potomków. A któż tam walczył, Benigno? Ci nieszczęśnicy, najbiedniejsi spośród żołnierzy Hiszpanii. Dwieście tysięcy wysłano na rzeź, źle wyposażonych,

byle jak karmionych, by ginęli od żółtej febry na bagnistych polach, podczas gdy dobrze sytuowani obywatele wykupywali swych synów od służby wojskowej za tysiąc pięćset peset i w kawiarniach zabawiali się w strategów. „Hiszpania przeleje krew swego ostatniego obywatela, wystrzeli ostatni nabój i wyda ostatniego centyma, żeby utrzymać te kolonie”, powiedział przeklęty Cánovas. I po co to? Powstańcy wychodzili ze swych szałasów do lasu, by na nas polować. A Cánovas nadal gadał bzdury, takie na przykład, że Murzyni na Kubie są wolni, mogą decydować, czy chcą, czy nie chcą pracować. Że niewolnictwo jest dla nich lepsze niż wolność, którą potrafią wykorzystać tylko w jeden sposób: nic nie robić i powiększać rzesze bezrobotnych. Każdy, kto choć trochę zna Murzynów, mówił ten pacan, powie ci, że czy to na Madagaskarze, czy w Kongo, czy na Kubie, są leniwi, dzicy, skłonni do czynienia zła, że trzeba kierować nimi władczo i stanowczo, żeby w ogóle coś z nich wyciągnąć. Te dzikusy nie znają innych panów, jak tylko ich prymitywne instynkty i popędy. A powiedział mu to jakiś francuski dziennikarz! Leniwi! A myślał, że dzięki komu tak się wzbogaciliśmy? Brakowało tylko, żeby Cánovas odwołał Martíneza Camposa i posłał na jego miejsce tego okrutnika Weylera. Benigno, mamy zaszczyt być wynalazcami obozów koncentracyjnych! Mordowali- byśmy w nich kobiety i dzieci i zaprowadzili wojenny terror!

- Nie denerwuj się, kochanie, nie denerwuj się, proszę.
- Jak mam się nie denerwować! Oddaliśmy wyspę Amerykanom i sprzedaliśmy im Filipiny za cztery grosze. Staliśmy się krajem drugorzędnym, na łasce zagranicznych oligopoli. Oto, czym teraz jest Hiszpania!

Benigna nie miała pojęcia, co to jest „oligopol”, czy jak tam się

wymawia to obce słowo, ale skoro jej Giovanni w taki sposób o tym mówił, to musiało to być coś bardzo złego.

– Muszę cię troszkę rozruszać. Nie przyszedłeś tu przecież rozmawiać o polityce.

Tak też zrobiła, zdjawszy mu kapelusz i garnitur, który jakiś czas temu mu podarowała. „Dla mojego księcia” – powiedziała, gdy otwierał prezent. Wkrótce zajęła się nim z taką czułością, że Kuba zaczęła zacierać mu się w pamięci.

Gubernator, gdy już mu ulżyło, spojrzął na zegarek. Do posiedzenia zostało jeszcze trochę czasu. Przerwał więc ciszę:

– Słyszałaś, że Antoñita Rzeźniczka zamyka interes?

Antoñita była właścicielką Czterech Róż, jednego z najbardziej prestiżowych burdeli w Barcelonie. Nosiła przydomek „Rzeźniczka”, jako że uchodziła za prawdziwą pozeraczkę mężczyzn.

– Jak to: zamyka? Przecież to mistrzyni!

– No właśnie dlatego, że z niej taka mistrzyni. Kupiła sobie działkę za miastem i wyjeżdża na wieś.

– A ty skąd to wiesz?

– Wiesz przecież, że chodzę dla ciebie na przeszpiegi. Ma tam taką jedną... Negrę... Co za dziewczyna...! Co za rzeczy wyczynia!

– Jakie rzeczy?

– Tego się nie da opowiedzieć. Niewidziane, niesłychane! Powinnaś zatrudnić ją w swoim burdelu. Akurat teraz, gdy Antoñita się zwija, mogłabyś się z nią jakoś dogadać.

Benigna go posłuchała. Kupiła Negrę za dwa tysiące pięćset peset, mnóstwo pieniędzy. Ale nie żałowała tej inwestycji.

– Teraz jesteś wolna. Moje dziewczyny są wolne. Pieniądze, które za ciebie dałam, będziesz mi spłacała, w miarę jak będziesz

mogła – powiedziała Benigna. Poszukała też dla dziewczyny jakiegoś kąta i znalazła jej małe mieszkanie przy ulicy Tapias.

Negra szybko się przekonała, że to nie zasadzka, a układ jest czysty. Benigna była dobrą kobietą, która troszczyła się o swoje dziewczyny. Negry jeszcze nikt tak nie traktował, nawet jej biedna matka, która, okrutnie doświadczona przez życie, nie miała nigdy czasu na najdrobniejszą pieszczotę.

Biedna córeczka! Przecież to dziecko! – pomyślała Benigna, gdy ujrzała ją po raz pierwszy, po dobieciu targu z Antonitą.

Wkrótce zorientowała się, że zrobiła dobry interes, Negra nie kazała jej długo czekać na zwrot inwestycji. Zarabiała majątek, burżuje płacili jej dużo i bez szemrania. Wartość tej dziewczyny rosła niczym wartość akcji giełdowych – tak powiedział pewnego razu jeden zadowolony klient.

– Jak ty to robisz, moja kochana? Jak to jest, że tyle ci płacą?

Benigna miała okazję podziwiać jej wyczyny, a nawet w nich uczestniczyć. Zdarzyło się to tej nocy, kiedy Javier Galiana Meix, pułkownik kawalerii, oddelegowany do kwatery w Dochs, zapłacił sześćset peset za spędzenie nocy z dwiema kurwami.

Stary żołnierz o mały włos nie ujrzałby następnego poranka. Negra nawet go nie dotknęła. Rozpoczęła krótką litanią, podczas gdy pułkownik rozbierał się i układał na łóżku. Potem włożyła sobie do ust jakieś zioła, a żując je, nie przestawała recytować zaklęć. Sterana „szpada” pułkownika poczęła się wznosić, a wtedy Negra dmuchnęła na jej czubek jakimś czarnym proszkiem, który pokrył członek pułkownika, oblepiając go niczym druga skóra.

– Mówili mi! Tak mi mówili! Ale ja nie wierzyłem! Nie wierzyłem! – krzyczał stary pułkownik, widząc, jak jego członek osiąga rozmiary przedramienia. – Zrób mi coś, Benigno! Zrób mi! – wrzeszczał z entuzjazmem, jakiego nie wykazywał od swej ostatniej szarży.

Benigna dosiadła pułkownika i ujeżdżała go przez kilka godzin, aż poczuła to w krzyżu.

– Kłus! Galop! Kłus! Galop! – rozkazywał pułkownik coraz, ufny w obfitość swej młodzieńczej żądy, którą nabył za sześćset peset.

Benigna zsiadła z osła, bo był to osioł, muł, niestrudzone zwierzę, które wwiercało się w nią niemiłosiernie. Serce rozsadzało jej pierś.

Wtedy Negra zaczęła lewitować. Uniosła się w powietrzu dokładnie ponad rozpalonym ciałem pułkownika. Unosiła się, nie dotykając go, kilka centymetrów nad żołnierzem, który umierał z zachwyty, patrząc na kotyszące się twarde piersi, na uda, na krągłości czarne jak smoła, na twarz, na mięsiste wargi, które wciąż recytowały i recytowały litanie. Negra wznosiła się, a Benigna nie mogła w to uwierzyć. Dziewczyna opierała się grawitacji ponad łóżem, nad ciałem pułkownika, w powolnym i ciągłym ruchu wahadłowym, do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, a członek żołnierza poruszał się w rytmie, który wyznaczała czarownica, niczym igła kompasu szukająca północy i zwracająca się w stronę pola magnetycznego. Świtało, kiedy organ staruszka wreszcie wystrzelił. Było to jak strumień, jak gejzer, którego ciecz zalała ciało Negry w powietrzu i sporą część sufitu. W pokoju pojawiło się tyle pary, że wszyscy troje zniknęli w gęstej mgłę. Benigna wstała i po omacku dotarła do drzwi, otworzyła je, a gęsta para wydobyła się na korytarz



i wdarła do wszystkich zakamarków domu publicznego. Przestraszone dziewczyny i klienci wybiegali z pokojów.

– Nic się nie dzieje! Trochę mgielki, i tyle! Wracać! Wszyscy do siebie! – krzyczała Benigna, wracając do pokoju i zamykając drzwi.

Gdy para opadła, ujrzała na łóżku wtulone w siebie nagie ciała Negry i pułkownika. Spali jedno przy drugim, z otwartymi ustami, rozkosznie niczym dwoje niemowląt, dopiero co nakarmionych i umytych. Pułkownik, niski i gruby, urósł na ćwierć łokcia i schudł dwie arroy.

– Do diabła! A myślałam, że widziałam już wszystko!

Poszła do kuchni i, chociaż nie miała tego w zwyczaju, nałapała sobie szklaneczkę ginu. Drugą ręką sięgnęła w okolice intymne, była jeszcze mokra. Usiadła na krześle z anielskim uśmiechem.

– Ale mi się dobrze zrobiło! Mój Boże! – powiedziała do siebie, czując, że odzyskuje dawno utraconą radość życia.

Negra włożyła kolorową sukienkę i wyszła na ulicę. Na szyi zawieszony miała woreczek z ziołami. Była to właściwie atrapa, bo prawdziwa magia kryła się w słowach, którymi raczyła klientów.

Dorożka sunęła z wolna ulicą i wreszcie stanęła obok dziewczyny.

Nie widziała twarzy mężczyzny, który siedział w środku. Wysunął tylko rękę, podając jej banknoty i owoc granatu.

Negra wzięła pieniądze i przeliczyła. Nieznajomy był bardzo hojny. Granat ją zaskoczył, ale w sumie była zadowolona.

Zajrzała do wnętrza, lecz nie dostrzegła pasażera. Wyobraziła sobie, jak jest w środku. Niewiele tam miejsca do lewitacji, pomyślała.

- Wsiadaj. Potem dam ci więcej.
- Będziemy to robili tutaj?
- Wsiadaj – rozkazał znowu głos. Tak zrobiła.

29.

## Problem

– Słów mi brak na to, co zrobili tej dziewczynie – powiedział lekarz sądowy.

Liberto Manent nie odpowiedział, tak samo jak Abel Fonte. Manent poprosił o pozwolenie sfotografowania Negry w kostnicy.

Wcześniej, na miejscu zbrodni, zrobił dużo zdjęć tej biednej dziewczyny i ludzi, którzy zebrali się tłumnie, jedni powodowani chorą ciekawością, inni przerażeni i dezorientowani.

– Ten potwór nie ma serca ani rozumu – powiedział w końcu Manent, czując wstręt i bezsilność.

– Pociął ją, jakby była kawałkiem masła. Naliczyłem trzydzieści dwie rany. Ten krwiożerczy wariat szaleje coraz bardziej. Złamał jej mostek, przebił prawe płuco, osierdzie i aortę. Poderżnął gardło tak samo jak tamtej i też wyjął wątrobę. Na diabła temu dzikusowi wątroba? Pięć ran w okolicy narządów płciowych.

Kiedy ją znaleźli, lekarz musiał włożyć jelita do jamy brzusznej, nim zabrał ją do kostnicy. Morderca rozciął jej brzuch i w makabryczny sposób ułożył jelita na lewym ramieniu Negry.

– Proszę zamknąć jej oczy! – powiedział naczelnik policji. – Wydaje mi się, że na nas patrzy.

Negra miała otwarte oczy, jak gdyby chciała nasycić się światłem, zanim pochłonie ją ciemność, podczas gdy życie z niej uchodziło. A może chciała zachować w oczach odbicie twarzy mordercy? Lekarz je zamknął.

– Co za dzień, szefie! To jest po prostu...! – Lekarz nie mógł znaleźć słów. Odkąd włożył jelita do jamy brzusznej, nie przestawał wymiotować. – Ja tak nie mogę, szefie. Nie mogę. To dzieło demona! Żaden człowiek nie byłby tak szalony, żeby zrobić coś takiego... to jest...

– Proszę się uspokoić! – syknął Fonte. – Proszę wyjść i odechnąć świeżym powietrzem.

Abel Fonte starał się nie spoglądać w stronę Liberta Manenta, który – czuł to przez skórę – patrzył na niego wymownie, jakby mówił: „I co, u diabła, robisz, by rozwikłać tę sprawę?”. Nie mógł zmierzyć się z oskarżeniem w jego oczach.

– Proszę – powiedział Manent, wręczając mu list. – Dostałem to dziś rano.

Ależ się ubawiłem przy ostatniej robocie! Dzisiaj poćwiczyłem sobie cesarskie cięcie na dziewczce.

Na policji chyba śpią.

Ucałowania,

KUBA

Fonte przeczytał list. Gdyby nie był to dowód, zmiąłby go i wyrzucił.

– Ciało znaleziono o piątej.  
– Byłem już w redakcji, gdy nas zawiadomili. Nie mogłem spać. Nie mogłem wrócić do domu. Wtedy znalazłem wiadomość. Ten bydlak zabił ją, a potem zostawił mi list. On się tym bawi. Cieszy go, że nas prowokuje i kpi z nas.

Minął zaledwie tydzień, popełniano nowe zbrodnie, a Manent znów przyszedł do naczelnika policji z pytaniem, czy ma jakiś trop.

Obecność dziennikarza drażniła Fontego, ale od rana, odkąd Manent zjawił się ze swoim sprzętem fotograficznym na miejscu zbrodni, udawało mu się zachować spokój. Jednak teraz nie mógł już się powstrzymać.

– Nie! Nic nie mamy! – wybuchnął. – Ale dopiął pan swego!  
– O co panu chodzi?  
– Przysyłają tu jakiegoś nawiedzonego Anglika, żeby mi pomóc albo nawet sam prowadził śledztwo.  
– Ja nie mam z tym nic wspólnego – bronił się Manent.  
– Nie? A więc chce mi pan powiedzieć, że pan i pańska gazeta nie zmusiliście tych z góry, żeby szukali pomocy za granicą?  
– Nie wiem, o czym pan mówi. Pytałem tylko o postępy w śledztwie.  
– To powiem panu, jakie zrobiliśmy postępy! – ryknął wściekle Fonte. – Przeanalizowaliśmy setki kart antropometrycznych i wzięliśmy pod obserwację tych, którzy wydali nam się podejrzani. Mam doświadczonych policjantów, którzy pracują nad sprawą, do bandyckiego półświatka wysłałem tuziny agentów w przebraniu,

by obserwowali podejrzanych osobników, wyznaczyłem szpicli do przeczesywania ulic. Zarówno pan, jak i lekarz sądowy sami mogliście się przekonać: nie znalazł się żaden dowód, żaden trop. Ani też miejsce zbrodni, bo wygląda na to, że morderca nie zabił tych nie-szczęśnych dziewczyn tam, gdzie je znaleziono. Tak więc nie mamy żadnego tropu. Nie zdołaliśmy odtworzyć przebiegu zbrodni ani sporządzić portretu sprawcy. Przesłuchaliśmy wszystkich naszych informatorów, ale nie mamy świadków, którzy podaliby nam jego opis. I tak powinniśmy dziękować Bogu, że znalazły się osoby mogące zidentyfikować ofiary. – Fonte przerwał. Był czerwony na twarzy. Nabrał powietrza i zakończył słowami: – Wie pan, ilu mam ludzi? Wie pan, ilu mieszkańców liczy to miasto? Nie! Co pan może wiedzieć! Mam jednego agenta na siedemnaście tysięcy mieszkańców. Mam nie więcej niż trzy tysiące ludzi do śledzenia ich wszystkich: anarchistów, złodziei i morderców. To nie jest wioska, gdzie wszyscy, którzy działają przeciw prawu, są zidentyfikowani i cały czas pod kontrolą. Barcelona to ogromne miasto, tu nie da się odróżnić starego przestępcy od nowicjusza. Tutaj bandyci przybierają fałszywe nazwiska i nie możemy ich skojarzyć z ich przeszłymi dokonaniem. Tłum jest najgorszym wrogiem policjanta. Jak możemy zapobiec posługiwaniu się fałszywą tożsamością? A robią to, żeby działać incognito i żebyśmy nie mogli powiązać ich czynów z poprzednimi zbrodniami!

Jeśli tak na to spojrzeć, pomyślał Manent, Abel Fonte ma poważny problem. Wydawało się, że Fonte odgaduje myśli dziennikarza. Mówił dalej:

– Ale to wszystko drobiazg. Moim prawdziwym problemem jesteście wy, dziennikarze, i te wasze informacje. Wywołałście

panikę, opisując przypadek zamordowanej dziwki, wmawiając ludziom, że nadciąga wielkie niebezpieczeństwo, że żadna przyzwolona dziewczyna nie może czuć się bezpieczna z powodu tego krwiożerczego zabójcy, który grasuje na ulicach. Straszycie ludzi, a to bardzo utrudnia nam pracę. Wszyscy myślą, że jesteśmy nieudolni, naciskają, podają w wątpliwość skuteczność policji i sądzą, że jesteśmy niekompetentnymi głupcami. Oto, do czego doprowadza pan tą swoją pisaniną!

– Naszym obowiązkiem jest informować – bronił się Manent.  
– A pańskim nie robić różnicy między zamordowaną prostytutką a „porządną dziewczyną”. Wszystkie zbrodnie są jednakowo godne potępienia. To, co pan właśnie powiedział, oznacza, że jedne kobiety zasługują na to, żeby zostać zabite, a inne nie. Że „nieszczęsne dziewczyny”, jak to pan ujął, zasłużyły sobie na tak straszliwy koniec.

– A idź pan do diabła! – ryknął Fonte.

30.

## Następna paczka

– Musisz zawiadomić policję – powiedział Pallarés, gdy Pablo pokazał mu następną paczkę.

Tego ranka znalazł ją przed drzwiami swojej pracowni. Kolejny makabryczny prezent. Kolejna część ciała.

– Coś się stało, Pablo? – zapytały dziewczęta z pracowni gorsciarskiej.

Nie odpowiedział. „Prezent” musiał leżeć przed jego drzwiami kilka godzin. Dostawca nie zapukał, tylko położył go na ziemi. Pablo udał się do pracowni swojego przyjaciela Manola Pallarésa, niosąc paczkę, która niemal parzyła mu dłonie.

Wszystko mu opowiedział.

– Nie mogę zawiadomić policji, Manolo. Czy nie widzisz, że tego właśnie chce morderca?

– Musisz wszystko im opowiedzieć, oni ci uwierzą – tłumaczył Manolo. – Wszystko to, co powiedziałeś mnie i Carmen. Czy nie mówiłeś, że masz portret zabójcy?



- Miałem.
- To możesz narysować go jeszcze raz. To jest dowód, Pablo, tego im właśnie trzeba.
- Nie, nie tego. Im potrzebny jest sprawca, a jeśli do nich przyjdę i opowiem im swoją historię, będą mieli to, czego szukają: mordercę. Znałem Martę i mieszkałem w tym samym domu publicznym. Połączą wątki, by historia im pasowała, i wsadzą mnie za kratki.
- A jeśli morderca znów zaatakuje? Gdy jesteś w więzieniu, to nie możesz popełniać kolejnych zbrodni.
- A jeśli nie? Nie, Manolo. Ten drań chce zwalić to na mnie, to jasne.
- Bredzisz. Kto mógłby nienawidzić cię tak bardzo, by wymyślić coś takiego? Sądzę, że właśnie to, co powinienesz teraz zrobić, to wyjść mu naprzeciw. A jeśli policja do ciebie dotrze? A jeśli odkryje... to? – Wskazał pudełko. – Co wtedy powiesz? Że przyszło poczta? Że ktoś przysłał ci dwie paczki z kawałkami ciała ofiary? Jeśli policja zacieśni krąg, bardzo trudno będzie sprawić, by później ci uwierzyli.
- Pablem targały sprzeczne uczucia. Może Pallarés ma rację? Im dłużej będzie zwlekał, tym gorzej dla niego. Nie jest zabójcą, nikt by tak nie pomyślał... A może? Od tygodnia wciąż wracał myślami do tej sprawy. Wystarczy, że dwie osoby zeznają, iż widziały go na miejscu zbrodni, a trafi do więzienia albo na szafot. A są przecież ludzie, myślał, gotowi za pieniądze powiedzieć wszystko. Jaką wartość ma jego życie? Jaką wartość ma życie młodego andaluzyjskiego emigranta, bywalca domów publicznych, bez adresu i zatrudnienia, podającego się za malarza?
- Twoi rodzice wiedzą? – zapytał Pallarés i już wypowiadając te słowa, zdał sobie sprawę, że nie musiał pytać.

– Nie! – odrzekł Pablo. – I nie chcę, żeby coś wiedzieli. To by ich zabiło.

– Dobrze, na początek tak będzie lepiej. Niech wszystko się wyjaśni. Co postanowiłeś? Idziesz na policję?

Pablo wahał się, ale wiedział, że w gruncie rzeczy Manolo ma rację. Pójdzie na policję i niech się dzieje, co chce.

– Pójdziesz ze mną?

– Głupie pytanie. Oczywiście, że pójdę. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Moim jedynym przyjacielem – uściślił Manolo.

CZEŚĆ DRUGA

GRA SIĘ ZACZYNA

31.

## Depesza

- To ciekawe, mój drogi Sherrinfordzie.
- Co pan tam ma?
- Depeszę.
- Depeszę?

Detektyw Arrow odwrócił się, przyjrzał kartce, a następnie mi ją podał.

– Tak, depeszę, którą właśnie otrzymaliśmy i, Sherrinfordzie, o ile się nie mylę, to jedna z najbardziej niezwykłych spraw, z jaką mieliśmy do czynienia.

Od dawna już nie widziałem Arrowa tak rozentuzjasmowanego. Wziąłem kartkę i przeczytałem. Pisano, że potrzebne są nasze usługi w celu wyjaśnienia serii zabójstw na kontynencie.

- To z zagranicy!
- A konkretnie z Barcelony, jak mógł pan zauważyć. Dlaczego to pana dziwi, Sherrinfordzie? Winny nie jest nikt inny, jak tylko pan i ten okropny doktor Doyle. To pańskie utwory sprawiły, że

jestem sławny daleko poza granicami mej ukochanej Anglii. To pan jest winny – powtórzył i po chwili dodał: – Powinien pan pozwolić mi umrzeć, jak chciał Doyle, a nie znajdowalibyśmy się dziś w takim położeniu.

– Czy mam rozumieć, że przyjmuje pan zlecenie?

– A cóż innego moglibyśmy uczynić, mój drogi Sherrinfordzie? Ma pan czas tylko na spakowanie paru drobiazgów. Kupiłem bilety na pociąg, który odchodzi ze stacji Victoria. – Arrow spojrzął na zegarek. – O ile się nie mylę, mamy dokładnie czterdzieści pięć minut. Proszę się pośpieszyć, Sherrinfordzie! Po drodze podam panu szczegóły:

– Czy już przyjrzał się pan sprawie?

– Po przejrzeniu kilku krótkich informacji, które pojawiły się w „Timesie”, pozwoliłem sobie sporządzić parę notatek w pamięci. To bez wątpienia interesujący przypadek.

Za czterdzieści dwa szylingi i sześć pensów odbyliśmy podróż pociągiem, z Londynu do Brighton. Przemierzyliśmy pięćdziesiąt mil, dzielących te miasta, w dwie godziny i trzydzieści minut.

Po drodze Arrow zabawiał się lekturą książki *Wspomnienia Sherlocka Holmesa*, wydanej w Londynie przez George'a Newnesa pięć lat temu.

– Co pan czyta, Arrow? – zapytałem, pragnąc, by zaznajomił mnie ze szczegółami sprawy.

– *Greckiego tłumacza*. Opowiadanie, które, zdaje się, zostało opublikowane w „Strand Magazine”, w numerze z sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. O ile mnie pamięć nie zawodzi.

– Nie zawodzi, Arrow. Pana pamięć nigdy nie zawodzi.

– A pańska wyobraźnia jest cudowna, mój drogi Sherrinfordzie.

– Co ma pan na myśli?

– Nie dosyć, że wymyśla pan brata, którego nigdy nie miałem, niejakiego Mycrofta, to jeszcze zadręcza pan biednego czytelnika mnóstwem niuansów rodzinnych, oczywiście nieprawdziwych, według których miałbym być spowinowacony z pewną szlachecką rodziną mieszkającą na wsi i pochodzić od francuskiego malarza, niejakiego Verneta. Czyżby umknęło panu, drogi Sherrinfordzie, iż brzydzę się wsią...? Wspomnienie wzgórz mnie przygnębia. Do najbardziej brutalnych zbrodni zawsze dochodzi na wsi.

– Co też pan mówi, Arrow? – Wybuchnąłem śmiechem.

– To, co pan słyszy. Wolę Londyn z jego pięcioma milionami mieszkańców. Tam zbrodnia jest prostsza. Wieś, mój drogi przyjacielu, to właśnie miejsce stosowne do upadku moralnego i najstraszliwszych czynów. Proszę spojrzeć na te ogromne przestrzenie... żywego ducha, Sherrinfordzie! Z wyjątkiem, być może, zbrodniarza i jego ofiary. Wieś to nic dobrego, mówię panu.

Nie zamierzałem zgłębiać tematu, lecz chciałem wykorzystać chwilę, aby skierować rozmowę na czekającą nas przygodę, i poprosiłem mojego mistrza i przyjaciela, aby wtajemniczył mnie w jej szczegóły.

– Zwracam uwagę, Sherrinfordzie, że miał pan czelność dodać mi pięć lat – ciągnął Arrow. – Wie pan doskonale, że miałem dwadzieścia dziewięć lat, a nie trzydzieści cztery, kiedy rozwiązałem zagadkę greckiego tłumacza!

– A co to za różnica?

– To, że udało się rozwikłać sprawę o danym stopniu trudności w takim, a nie innym wieku, ma znaczenie. Pamiętam, że mój pierwszy przypadek, bagatelkę zresztą, rozwiązałem w wieku lat

dziesięciu. Czy mógłby pan napisać, że miałem wtedy piętnaście lat? To nie to samo: rozwiązać zagadkę, będąc dzieckiem, a będąc młodym chłopakiem.

– To nie ja, lecz doktor Doyle. A teraz, czy poda mi pan wreszcie szczegóły sprawy?

– Jeśli zaś chodzi o szlacheckie pochodzenie mojej rodziny... pozwoli pan, że jeszcze pozostanę przy tym temacie... to wie pan doskonale, że pierwszych pięć lat życia spędziłem w Foundling, szpitalu dla porzuconych dzieci przy London Road, gdzie, jak się zdaje, zostawiła mnie moja matka. Potem oddano mnie pewnej zacnej rodzinie z Edynburga, która mnie adoptowała.

– Tak, wiem o tym, ale pan Doyle przekonał mnie, abym to zmienił. Takie smutne początki sprawdzają się tylko w nowelach Dickensa.

– Jeśli nadal będzie pan słuchał doktora Doyle'a, to całkiem zniszczycie postać.

Po chwili dyskusji przeszliśmy do sprawy, która była powodem naszej podróży. Arrow wprowadził mnie w temat krótko i zwięźle, jak to miał w zwyczaju, ale gdy opisywał te niestychane zbrodnie, włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Co już zdążył pan wydedukować?

– Spekulowanie bez konkretnych informacji to wielki błąd. Ale, przede wszystkim, dostrzegam pewne podobieństwo do serii morderstw popełnionych w Londynie parę lat temu.

– Nie mówi pan chyba o wyczynach Kuby Rozpruwacza! To niemożliwe! Dzieli je tyle lat i tyle mil!

Arrow nie odpowiedział.

– Odpowie mi pan, Stevenie?

– Mój drogi Sherrinfordzie, nie ma niczego, co byłoby

niemożliwe czy nieprawdopodobne. Jak bardzo dziwne by się to zdawało, musi być prawdą.

– No dobrze... też tak wcześniej napisałem... to znaczy... Doyle, pod moje dyktando, oczywiście – wybąkałem zmieszany.

Pociąg zatrzymał się na stacji.

– Dojechaliśmy. Mamy akurat tyle czasu, by przesiąść się na statek, który zabierze nas na kontynent.



## Zaraźliwa pasja

Nie będę tu opowiadał o moich niezliczonych przygodach, ograniczę się do zdarzeń, dzięki którym spotkałem posiadacza najbardziej przenikliwego umysłu, jaki znam, przyjaciela, którego uwielbiam, Stevena Arrowa.

Drogiemu czytelnikowi wystarczy wiedzieć, że gdy w lutym 1880 roku ukończyłem studia medyczne, znalazłem się w Japonii, pracując u szkockiego misjonarza, którego geniusz miał wiele wspólnego z przyszłą przyjaźnią, mającą połączyć mnie na całe życie z moim mistrzem i towarzyszem.

Zawsze sądziłem, że świat Imperium Brytyjskiego Jej Królewskiej Mości, jak to się mówi, jest mały. Urodziłem się w Beith, niewielkim miasteczku w południowo-zachodniej Szkocji. Moim najlepszym przyjacielem był wtedy Henry Fauld. Jego ojciec prowadził dobrze prosperujący interes. Henry i ja poznaliśmy się w miejscowej prywatnej szkole i bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

Henry musiał opuścić szkołę po trzech latach, kiedy fortuna odwróciła się od jego ojca i o mały włos ten dobry człowiek nie poszedł do więzienia za długi. Mój biedny kolega znalazł kiepską pracę w biurze handlu bawełną, herbatą i kawą u swojego wujka, dzięki której mógł pomóc finansowo rodzinie. Później, gdy wuj przeniósł interes do Londynu, zamieszkał w Glasgow – tam zgubiłem jego trop, a nasze drogi się rozeszły – i próbował jako księgowy w fabryce szali i sukien.

Wieczorami, po wyjściu z pracy, uczęszczał na prywatne lekcje. Jego ojciec podźwignął się już wtedy finansowo i zapisał mego przyjaciela na Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu w Glasgow. Ukończył go z wyróżnieniem i natychmiast rozpoczął studia medyczne w Anderson College. Po uzyskaniu tytułu wyjechał do Londynu, by uczyć się chirurgii w szpitalu Świętego Tomasza, gdzie go spotkałem, i odnowiliśmy przyjaźń.

Mój przyjaciel potrzebował jednak nieustannych bodźców, by karmić swe naukowe powołanie, które tak nie podobało się jego ojcu. Starał się on wychować syna w duchu wierności Biblii. Henry był niespokojną duszą, zwolennikiem Darwina, ciekawym wszystkich postępów nauki i techniki, które uczyniły nasz wiek tak wyjątkowym. To fakt, świat powinien być wdzięczny Anglii.

Nigdy już nie będzie okresu tak ważnego dla rozwoju wiedzy i postępu we wszystkich dziedzinach życia i dziękuję Bogu, że mogłem urodzić się w epoce tak chwalebnej i zachęcającej do działania. Wróćmy jednak do mojego przyjaciela. Przybył do Glasgow z zamiarem odbycia praktyki w Royal Infirmary pod kuratelą Josepha Listera, ordynatora oddziału chirurgicznego. Lister odkrył wtedy rewolucyjną metodę redukcji śmiertelności wśród osób po amputacji z pięćdziesięciu do dziesięciu procent. Polegała ona na

sterylizacji sali operacyjnej i wszystkich narzędzi.

W roku 1871 przyjaciel mój wybrał się w podróż do Indii jako lekarz misji Kościoła Szkocji w prowincji Dardżyling. Spotkaliśmy się znów, gdyż w tamtym czasie pracowałem jako pomocnik chirurga w Piątym Pułku Strzelców Northumberland, a więc w garnizonie indyjskim.

Henry opowiedział mi o swych problemach z duchownym protestanckim odpowiedzialnym za misję. Mój przyjaciel zapalczywie bronił dorobku swego ukochanego Karola Darwina oraz innych osiągnięć nauki. W końcu musiał odejść, bo oczekiwano od niego, niezależnie od jego funkcji, że ograniczy się do nauczania doktryny chrześcijańskiej zgodnie z normami kościelnymi.

We wrześniu 1873 roku poślubił dziewczynę z Beith, piękną Isabellę Wilson, naszą koleżankę z dzieciństwa i młodości, w której od dawna się podkochiwał. Trzy miesiące później małżonkowie wyruszyli do Japonii, aby rozpocząć pierwszą Szkocką Misję Medyczną.

Praca mego przyjaciela była niesłychanie ciężka, rzekłbym nawet, ponad ludzkie siły. Przyjmował w szpitalu, uczył medycyny japońskich studentów – w tym zasad aseptyki swojego ukochanego Josepha Listera – przedzierał się do wiosek w górach, by zająć się chorymi, którzy nie mogli dostać się do szpitala, zakładał punkty pierwszej pomocy, zapobiegał wściekliźnie, która atakowała dzieci, ponieważ ich jedyną rozrywką była zabawa z chorymi szczurami, i jeszcze miał czas, by powstrzymać wyjątkowo groźną epidemię cholery. Doszło do tego, że Henry przyjmował ponad piętnaście tysięcy pacjentów rocznie. Z drugiej strony wciąż miał kłopoty z

kierownictwem misji, które przypominało mu nieustannie, że przebywa tam jako wysłannik Chrystusa i że powinien zajmować się „zdobywaniem dusz” dla Zbawiciela. Henry miał tego dość i poprosił mnie o pomoc.

Gdy otrzymałem jego list, byłem w Londynie, w bardzo złym stanie fizycznym. Korzystałem z dziewięciomiesięcznego urlopu udzielonego mi przez rząd Jej Wysokości na podreperowanie zdrowia. Moje wyczerpanie spowodowane było pociskiem, który złamał mi kość podobojczykową i musnął arterię. Do tego niefortunnego zdarzenia doszło podczas bitwy pod Maiwand, w Kandaharze, gdzie wpadłem w ręce morderczych *ghazis*, a nie będąc dla nich cennym jeńcem, uratowałem się dzięki wierności mego ordynansa Murraya, który, na grzbiecie swego konia, dowiózł mnie rannego na front brytyjski.

Minęło siedem miesięcy mojej rekonwalescencji w Londynie, gdy przyszedł list od przyjaciela. Wywołał natychmiastowy skutek: przyspieszył mój powrót do zdrowia.

Nigdy nie byłem w Japonii, więc gdy wyzdrowiałem, poprosiłem przełożonych, by wysłali mnie na tę odległą misję. Miałem już dosyć Indii i od początku podejrzewałem, że prędzej czy później Imperium będzie musiało pożegnać się ze swoją perłą w koronie, jak nazywano te rozległe terytoria, jakże trudne do zarządzania.

Przybyłem do Japonii w czasie, gdy mój przyjaciel zgłębił zagadnienie, które fascynowało go przez całe życie i, rzekłbym, było jego nieodłączną częścią. W nielicznych wolnych chwilach uczestniczył w wykopaliskach archeologicznych prowadzonych wzdłuż linii kolejowej, około dziewięciu kilometrów od Tokio. Pracami kierował Edward Morse, zoolog, który wykładał na Uniwersytecie Tokijskim.

Uwielbienie, które obydwa żywili dla Darwina i jego nauk, wkrótce uczyniło ich serdecznymi przyjaciółmi.

Niewiele chwil wspominam tak przyjemnie, jak spotkanie z Henrym i jego miłą żoną. Pokazał mi szpital, przedstawił pracownikom, a następnie zaprezentował swoją nową pasję, którą nieba-

wem miał mnie zarazić.

Kilka miesięcy wcześniej, gdy Henry badał fragmenty starożytnej ceramiki znalezionej na wykopaliskach, zauważył drobne wzory o równoległych liniach odciśnięte w glinie. Dzień wcześniej wygłaszał serię wykładów na temat pięciu zmysłów. Gdy przygotowywał się do wykładu poświęconego zmysłowi dotyku, zauważył, że na opuszkach palców ma cienkie pofalowane linie. Henry doznał oświecenia i połączył dwie sprawy: zorientował się, że odciski, które widział na naczyniach, a które powstały dwa tysiące lat temu, to odciski palców starożytnych garncarzy. Rozentuzjasmowany, opowiedział mi o tym wszystkim.

– Chcesz zatem powiedzieć, że teraz garncarze pozostawiają takie same ślady?

– To właśnie musimy zbadać – odparł.

Od tej chwili obaj przemierzaliśmy bazary w Tokio, by studiować inne obiekty ceramiczne. Nasze zdumienie narastało, w miarę jak zdawaliśmy sobie sprawę, że ślady są wszędzie. W warsztacie pewnego garncarza zauważyliśmy, że na jego kompletach do picia herbaty powtarza się taki sam rysunek linii.

– To tak, jakby artysta zostawiał swój podpis na każdym dziele – powiedziałem do Henry'ego, gdy przyglądał się jednemu z przedmiotów.

I wtedy zobaczyłem na jego obliczu błysk geniuszu, który pojawia się tylko u osób o otwartych umysłach, oddanych obserwacji i analizie.

– A jeśli każda osoba ma unikalne odciski palców?

Z początku nie rozumiałem głębokiego znaczenia tego pytania, ale po jego minie poznałem, jak ważna jest odpowiedź, której udzielił mi po sekundzie.

– Jeśli tak jest, mój drogi przyjacielu, to znaleźliśmy niezawodną metodę identyfikacji.

Od tej chwili, gdy tylko obowiązki szpitalne nam to umożliwiły, badaliśmy niestrudzenie odciski wszystkich: jego żony, pacjentów, sklepikarzy, robotników i przyjaciół. Z początku oglądaliśmy je tylko i robiliśmy szkice do naszego nowo założonego archiwum.

– A gdybyśmy tak odcisnęli je w wosku? – zapytałem któregoś razu.

Tak też robiliśmy przez parę tygodni, aż wreszcie mój przyjaciel wymyślił dużo lepszy sposób: polegał on na smarowaniu tuszem opuszków palców naszych zdumionych „królików doświadczalnych”, a następnie odbijaniu ich na papierze.

Na początek odbiliśmy palce dziesięciu ochotników. W końcu zebraliśmy tysiące przykładów, które bezustannie badaliśmy. Tak odkryliśmy, iż żaden odcisk nie jest taki jak inny. Doszliśmy jednak do wniosku, że dysponujemy tylko odciskami palców Japończyków i Europejczyków. Przyszedł nam do głowy pomysł, by przesłać kilka stron, które opracowaliśmy, naukowcom z całego świata. Byliśmy przekonani, że zareagują z entuzjazmem na naszą prośbę. Wysłaliśmy ponad sto listów zawierających próbki, ale nasze rozczarowanie było dojmująco głębokie. Bardzo niewielu adresatów pofatygowało się, by nam odpowiedzieć. Otrzymaliśmy nawet list,

w którym oskarżano nas o chiromancję i stratę czasu.

– Nie ma brandy. Ktoś ukradkiem wypija nasze zapasy – stwierdziłem pewnego dnia, widząc, że ilość butelek maleje w zaskakującym tempie.

– No to musimy odkryć kto – powiedział Henry.

Obejrzał butelki i odkrył zapocony odcisk. Porównał go z zasobami naszego archiwum i wkrótce ustalił, że odciski na butelce odpowiadają próbkom pobranym od jednego ze studentów medycyny.

Chłopak wpadł.

Ta gra dostarczyła Henry'emu i mnie dużo zabawy.

W następnym miesiącu próbowano włamać się do szpitala. Ktoś wdrapał się po ścianie i wszedł przez okno. Lokalna policja po przesłuchaniu świadków zatrzymała jednego z naszych pomocników, młodego Japończyka, który nam wydawał się pracowity i uczciwy. Ale policja nie chciała zmienić zdania: mieli przecież świadka.

Henry zauważył na ścianie koło okna plamę z sadzy, a na niej odcisk palca. Gdy porównał go z naszym archiwum, okazało się, że nie należy on do oskarżonego, ale do jednego ze świadków. Pokazał próbki policji, która wypuściła naszego współpracownika i zatrzymała jego oskarżyciela.

Doznaliśmy wtedy iluminacji: nasze badania mają praktyczne zastosowanie. Byliśmy bardzo poruszeni, należało jednak wszystko dokładnie sprawdzić.

Zdrapaliśmy sobie nożem naskórek z palców jednej ręki. Odciski, po upływie pewnego czasu, znów się pojawiły. Powtórzyliśmy tę operację z użyciem żrących środków i wzorki na naszych palcach znów wyszły po jakimś czasie.

Nasza druga próba polegała na porównywaniu odcisków dzieci, pobieranych w różnych fazach ich rozwoju.

Tak w jednym, jak i w drugim przypadku rezultaty były takie same. Odciski pobrane od dzieci w wieku od pięciu do dziesięciu lat się nie zmieniały. Nasze zaś, po kilkakroć ścierane, zawsze się pojawiały – takie same, bez najmniejszych zmian.

Doszliśmy zatem do wniosku, że charakter odcisków palców jest niezmienny i unikatowy.

– Henry, to wielkie odkrycie i powinniśmy je opublikować – powiedziałem.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mamy?

– Wyjątkową i niezawodną metodę identyfikacji. Metodę, za której pomocą policjanci na całym świecie będą mogli rozpoznać przestępców i złodziei.

Henry przekonywał mnie, że najpierw musimy wysłać list do najwybitniejszego w tamtym czasie naukowca, którym był nikt inny, jak jego ukochany Karol Darwin. Nie podzielałem jego zdania, uważałem, że najpierw należy opublikować artykuł poświęcony wnioskom z naszych badań w czasopiśmie naukowym. W końcu zgodziłem się z Henrym i napisałem do Darwina:

*Szanowny Panie, z przejęciem studiowałem Pańskie dzieło i pozwalałam sobie zwrócić się do Pana w sprawie wielkiej wagi: chodzi o nierówności i bruzdy na palcach...* Tak zaczynał się list, w którym przedstawialiśmy próbkę naszych studiów porównawczych odcisków i narzekaliśmy na niewielką liczbę przykładów z innych stron świata, w nadziei że zachęci on wielu naukowców i badaczy z całej planety – było to przecież odkrycie olbrzymiej wagi, co wykazywaliśmy w dalszej części listu.



Darwin odpisał nam krótko i uprzejmie, dając do zrozumienia, że sprawą się nie zajmie, ale informując zarazem, że przesłał nasz list swemu kuzynowi, Francisowi Galtonowi, uznanemu naukowcowi, który był również jego wielbicielem i naśladowcą, zainteresowanemu wykorzystaniem naszych odkryć ku chwale ludzkości.

Tak więc Darwin nie dość, że się nas pozbył, to jeszcze bez naszej zgody przekazał owoc naszych badań innemu naukowcowi.

Musieliśmy działać szybko. Henry, z moją pomocą, napisał artykuł do czasopisma „Nature”. Opublikowano go w numerze z dwudziestego ósmego października 1880 roku. Kończył się stwierdzeniem, że należy użyć odcisków palców do naukowej identyfikacji przestępców.

Odpowiedzią było milczenie. Żaden naukowiec nie przysłał ani jednego listu, żaden naczelnik policji nie skontaktował się z nami zainteresowany naszą metodą. Jediną odpowiedzią był dwudziesty piąty numer „Nature” z listopada, w którym niejaki William Herschel opisywał, jak użył w Indiach odcisków palców do celów urzędowych.

Napisaliśmy do najważniejszych na świecie przedstawicieli policji, otrzymaliśmy jednak tylko kilka listów grzecznościowych. Z Paryża napisano do nas, że Alphonse Bertillon, młody policjant, stworzył technikę dochodzeniową, którą zaczęto wprowadzać w życie.

To był kubek zimnej wody.

## 33.

# Steven Arrow, detektyw

Po raz pierwszy spotkałem się z panem Stevenem Arrowem w styczniu 1881 roku. Sądzę, że Arthur Conan Doyle opowiedział o tym po mistrzowsku, z pewnymi modyfikacjami, w swym dziele *Studium w szkarłacie*. Czytelnikowi nie umknęło moje zaskoczenie, gdy popisując się dedukcją, pan Arrow, ledwo mnie ujrawszy i nic o mnie nie wiedząc, oznajmił, że byłem w Afganistanie.

Później, w miarę jak się poznawaliśmy, zacząłem rozumieć, jak dużo uważny obserwator może się dowiedzieć, dokładnie i systematycznie badając wszystko, co go otacza. Ale nie wybiegajmy naprzód i trzymajmy się porządku naszej opowieści.

Pod koniec poprzedniego roku odnowiły się moje problemy z nogą spowodowane ranami, o których pisałem w poprzednim rozdziale. Przestałem być przydatny w wojsku i wróciłem do Londynu. Pożegnałem się z moim drogim przyjacielem Henrym i obiecałem,

że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby powiadomić metropolię i każdego, kto zechce mnie słuchać, o wynikach naszych badań nad identyfikacją osób drogą badania ich odcisków palców, którą to metodę razem opracowaliśmy.

Trybunał wojskowy, zatwierdzający moje przejście w stan spoczynku, przyznał mi skromną pensję. Ponieważ nie wystarczała mi na utrzymanie, zmuszony byłem poszukać towarzysza do wynajęcia mieszkania na czas odzyskania sił i do momentu otwarcia gabinetu lekarskiego, który pozwoli mi powiększyć niewielkie dochody.

Wykorzystałem pobyt w Londynie, by odwiedzić moją siostrę Selinę, od niedawna wdowę, matkę siedmioletniego chłopca, którego zamierzała w przyszłości wykształcić na doktora medycyny. Zmarły mąż mojej siostry, William Cobbett, był uznanym adwokatem i pozostawił jej rentę wysokości ośmiuset funtów miesięcznie. Cobbett, tydzień przed ceremonią zaślubin, próbował uwolnić się od mojej biednej siostry, proponował jej nawet niewielką fortunę w zamian za zerwanie umowy. Selina odmówiła, czego Cobbett nigdy nie zdołał pojąć. I tak, jak powiedziała by Wilkie Collins, upłynęło siedem lat nieporozumień małżeńskich, aż wreszcie William opuścił ten świat.

Po wizycie u siostry szczęście sprawiło, że w barze Criterion spotkałem Stamforda, młodego praktykanta, który pracował pod moim dowództwem w szpitalu Świętego Bartłomieja. Było to bardzo miłe spotkanie. Gdy opowiedzieliśmy sobie, co u nas słychać, podzieliłem się z nim swoim kłopotem.

- Szukam wygodnego pokoju w rozsądnej cenie.
- To dziwne – mruknął mój kompan. – Jest pan drugim człowiekiem, który dzisiaj mnie o to pyta.

- A kto był pierwszym?
- Pewien dżentelmen. Z pewnością przeczytał artykuł w „Nature”, o którym wspomniał pan przed chwilą, i bez wątpienia będzie zachwycony, jeśli go panu przedstawię i zechce mu pan opowiedzieć o swoich metodach dochodzeniowych.
  - Czy chodzi o lekarza? Jeśli naprawdę mam szukać kogoś, z kim będę dzielił mieszkanie i czynsz, wolałbym, aby to był kolega po fachu. Z pewnością jestem osobą, która będzie mu odpowiadać.
  - Jeszcze go pan nie zna. Pan Arrow jest szczególnym człowiekiem, być może nie będzie pan chciał mieć go za towarzysza.
  - Dlaczego? Czy coś z nim nie tak?
  - Tego nie twierdzą. Ale jest to człowiek o dziwnych poglądach. Pasjonują go określone nauki, nie jest jednak lekarzem, lecz detektywem, i z tego co wiem, człowiekiem poważnym.
  - Detektywem? Czy to policjant?
  - Chciałby nim być. Często pomaga Scotland Yardowi, choć w rzeczywistości pragnąłby wstąpić na służbę.
  - Chciałbym się z nim zobaczyć – powiedziałem. – Czy jest jakiś sposób, aby mnie pan z nim poznał?
  - Założę się, że jest teraz w Klubie Diogenesa w towarzystwie swego przyjaciela, doktora Doyle'a. Możemy pojechać tam samochodem, jeśli pan sobie życzy.
  - Oczywiście, że tak.
- Gdy jechaliśmy do Klubu Diogenesa, Stamford przekazał mi trochę szczegółów na temat dżentelmena, któremu miałem złożyć propozycję wspólnego wynajęcia mieszkania.
  - Proszę mnie nie obwiniać, jeśli nie zdoła się pan z nim

dogadać. Znam go tylko z kilku spotkań w klubie... chociaż muszę zaznaczyć, że jego członkowie nie rozmawiają z sobą zbyt wiele. To pan poprosił mnie o spotkanie i jeśli coś pójdzie nie tak, nie ja będę temu winny.

– Coś mi się zdaje, Stamford, że ma pan powody, by umywać ręce od tej sprawy – podsumowałem, patrząc na niego uważnie.

– Niełatwo jest wyrazić to, czego wyrazić się nie da – odpowiedział ze śmiechem.

– Proszę opowiedzieć mi o tym dziwnym klubie, którego członkowie prawie z sobą nie rozmawiają, i o przyjacielu swojego przyjaciela, doktorze Doyle'u.

Nie słyszałem nigdy o takim stowarzyszeniu i ta niewiedza musiała malować się na mojej twarzy, bo Stamford powiedział:

– Klub Diogenesa. No tak, nie jest to zwyczajne miejsce, jak za chwilę się pan przekona. Powiedzmy, że najdziwniejsze w Londynie. Przychodzi tam wielu mężczyzn, którzy, jedni powodowani bojaźliwością, inni przez mizantropię, unikają kontaktów z innymi. Nie mają oni jednak nic przeciwko wygodnym fotelom czy lekturze najnowszych gazet. To dla nich założono Klub Diogenesa, który skupia najbardziej aspołecznych i antyklubowych ludzi stolicy. Żadnemu z jego członków nie pozwala się nawet w minimalny sposób zwracać na siebie uwagi pozostałych. Z wyjątkiem Sali Obcych, rozmowa nie jest dozwolona pod żadnym pozorem, a kto popełni trzy błędy zauważone przez komitet, może zostać ukarany wydaleniem.

– A kto jest założycielem tego dziwnego miejsca?

– Oczywiście doktor Doyle, wspierany później przez naszego wspólnego przyjaciela, Stevena Arrowa.

Stanford przeszedł do charakterystyki tej postaci.

– Bardzo dziwny typ, ten doktor Doyle. Z tego, co wiem, urodził się w Edynburgu. Jego matka była rodowitą Irlandką i jak sam twierdzi, jego przodkowie pochodzą od linii Plantagenetów. Jego ojciec był urzędnikiem, a matka musiała dokonywać cudów, żeby za dwieście czterdzieści funtów miesięcznie wyżywić dziesięcioro dzieci. Doyle i Arrow poznali się w gimnazjum w Stonyhurst prowadzonym przez jezuitów, a jak pan wie, są oni skłonni do stosowania kar fizycznych, żelaznej dyscypliny i wymagania spartańskiego porządku. Prawdopodobnie dlatego obydwa młodzieńcy po ukończeniu szkoły porzucili wiarę, którą mnisi wpajali im siłą przez te wszystkie ciężkie lata. W wieku młodzieńczym Doyle był autentycznie zafascynowany niezwykłymi zdolnościami swego kolegi, chłopaka obdarzonego nieprzeciętnym darem obserwacji, umiejętnością dedukcji i logicznej syntezy. Arrow chełpił się tym, że potrafi opisać sposób życia, patrząc na sposób ubierania się. Wystarczał mu rzut oka, by przejrzeć duszę swoich nauczycieli. Obydwa chłopcy zaskarbili sobie niechęć profesora matematyki, bo nie rozumiał, jak mogą dostawać tak dobre stopnie z jego przedmiotu, czyniąc tak niewielki wysiłek.

„Oto jutrzejsza klasówka” – mówił Arrow do Doyle'a, pokazując mu kartkę z zadaniami na następny dzień. „To jest klasówka?” – dziwił się Doyle. „Mój drogi Doyle'u, to jutrzejsza klasówka z dziesięcioprocentowym marginesem błędu, który zapewnia nam oceny lepsze niż bardzo dobre” – odpowiadał Arrow. „Jak to zdobyłeś? Wykradłeś z jego teczki?”. „Powiedzmy, że... z jego głowy. A poza tym... to oczywiste”.

Jak on to zrobił? Jak jego przyjaciel Arrow zdołał wydedukować

jutrzejšie pytania, jedynie patrząc na twarz pana Moriarty'ego? Dla młodego Doyle'a była to wielka zagadka.

Arthur był zafascynowany Stevenem, który opowiadał mu ze szczegółami o różnych zbrodniach. Jego młody przyjaciel znał jak nikt kryminologię i literaturę sensacyjną. Jego zainteresowania krążyły wokół chemii, szermierki, broni i sztuki charakteryzacji. Codziennie ćwiczył na drążku, a poza tym kształcił się na znakomitego pięściarza, trenując w samotności.

– Dokąd cię to wszystko zaprowadzi, Stevenie? Wiesz o zbrodniach więcej niż Scotland Yard – pytał Arthur.

– Chcę zostać policjantem. Tego pragnę. Codziennie ćwiczę swoje ciało i umysł, żeby któregoś dnia stawić czoło złu. Jestem mózgiem, Arthurze, reszta to tylko dodatek.

– Ja, Stevenie, chcę być wielkim pisarzem i pisać powieści historyczne. Pisarzem tak dobrym jak Walter Scott. Nie pociąga mnie zbrodnia, a twoje techniki detektywistyczne czasami wydają mi się zwykłymi sztuczkami.

– Nigdy nie mów nigdy, Arthurze. Nie wiemy, co się stanie ani jakie będą zrządzenia losu.

– Nie sędzę, żebym pisał opowiadania kryminalne. Zostawiam je tobie.

– Być może kiedyś ty sam rozwiążesz jakąś zagadkę kryminalną – zawyrokował Steven.

Ta wróżba przyjęta została przez Doyle'a sceptycznie.

Arthur wrócił do Edynburga, by studiować medycynę na uniwersytecie. Tam poznał profesora Josepha Bella, którego niewiarygodny dar dedukcji, jeśli chodzi o diagnostykę, przypomniał mu o zdolnościach dawnego przyjaciela, Stevena

Arrowa. Arthur, by pomóc finansowo matce (wydawało się bowiem, że jego ojciec wpadł w alkoholizm), podjął pracę jako asystent w Sheffield, Shropshire i Birmingham. Pojechał nawet na Arktykę, służąc na statku płynącym na Grenlandię. Ukończywszy uniwersytet, znalazł pracę jako lekarz na pokładzie frachtowca, który odbywał rejs wzdłuż wybrzeży Afryki Zachodniej.

Arthur i Steven znów spotkali się w Londynie, gdzie wraz z innymi dżentelmenami założyli Klub Diogenesa, miejsce często odwiedzane przez doktora Doyle'a między jednym a drugim rejsem. Obecnie zamierzał założyć spółkę z doktorem George'em Turnavine'em i otworzyć gabinet w Plymouth.

Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy w Klubie Diogenesa, Doyle był dwudziestodwuletnim młodzieńcem i wrócił właśnie z Afryki Zachodniej, podczas gdy pan Steven Arrow rozpoczął już karierę detektywa i doradcy policji i oczekiwał na powołanie w szeregi Scotland Yardu.

Stanford miał rację: Klub Diogenesa przypominał cmentarz wypełniony siedzącymi w wygodnych fotelach nieboszczykami pochłoniętymi lekturą. Nikt nie zwracał uwagi na pozostałych. Udaliśmy się prosto do Sali Obcych, gdzie znajdowali się panowie Doyle i Arrow, pogrążeni w ciekawej konwersacji na temat różnych rodzajów popiołu papierosowego, o czym Arrow napisał właśnie interesującą monografię.

– Doktor Raymond Sherrinford, a to Arthur Conan Doyle i Steven Arrow – powiedział Stamford, przedstawiając nas sobie.

– Jak się pan miewa? – rzekł Arrow uprzejmie, ściskając moją rękę z siłą, którą trudno mi było wytrzymać. – Z tego, co widzę, był pan w Afganistanie.



Mogłem zauważyć uśmiech zadowolenia na twarzy młodego doktora Doyle'a. Wydawało się, że witając się ze mną, notuje w pamięci szczegóły naszego pierwszego spotkania.

– Proszę się nie przejmować – powiedział Arrow, śmiejąc się pod wąsem. – Chodzi oczywiście o artykuł autorstwa pana i pana Faulda w czasopiśmie „Nature”, który miałem przyjemność przeczytać kilka miesięcy temu. I naprawdę żadnej policji na świecie nie zainteresowało to niesamowite odkrycie?

Nic nie odpowiedziałem, ale wydawało się, że ten człowiek odgaduje wszystko po jednym rzucie oka. W krótkich słowach zreferowałem mu więc temat, odpowiadając na jego interesujące i dociekliwe pytania.

– Zasługuje pan na gratulacje. – Ożywienie, z jakim przyjąłem tę uwagę, ucieszyło go. – Od teraz nauka kryminalna dysponuje czymś, co pozwoli łapać przestępców – dodał. – Zawsze, o ile tylko sprawca nie założy rękawiczek.

– Rękawiczek? – zdziwiłem się.

– Z pewnością nie umknęło panu, mój drogi Sherrinfordzie, że jest to prosty i praktyczny sposób, aby nie pozostawić żadnego śladu.

– Nie przyszło mi to do głowy... ani mojemu koledze – wybąkałem.

– Miejmy nadzieję, że przestępcom też nie, mój drogi Sherrinfordzie.

Ten ozdobnik, „mój drogi Sherrinfordzie”, z początku mnie drażnił, ale po latach przyzwyczałem się do niego i muszę wyznać, że niekiedy mi go brakowało.

– Przyszliśmy tu z interesem – powiedział Stamford, siadając na wysokim trójnożnym taborecie i popychając nogą drugi w moją stronę. – Mój przyjaciel nie ma gdzie się podziać, a ponieważ

skarżył się pan, że nie może znaleźć nikogo, kto zechciałby dzielić z panem mieszkanie, pomyślałem, że najlepsze, co mogę zrobić, to poznać panów z sobą.

Stevenowi Arrowowi przypadł do gustu pomysł wynajęcia ze mną lokum. Jego kolega, doktor Doyle, który do tej pory ograniczał się do obserwowania nas, wtrącił:

– Mam na oku pewne mieszkanie przy Baker Street, które na pewno będzie odpowiadało wam obu.

– Jak to możliwe? – zapytałem, zdziwiony, że doktora ta sprawa obchodzi.

– Ponieważ miałem czas i wiedziałem o problemach Stevena, pozwoliłem sobie zainteresować się wspomnianym mieszkaniem. Jest to oczywiście moja osobista inicjatywa, podjęta w dobrych intencjach, która absolutnie was nie zobowiązuje. Muszę zaznaczyć, że pani Marta Hudson, właścicielka nieruchomości, wydała mi się kobietą cichą i usłużną, która przygotowuje znakomite śniadania. A chyba zgodzą się panowie, że kraj, w którym nie jada się przyzwoitych śniadań, nie zasługuje na miano imperium.

– Dobrze, mój drogi Doyle'u, widzę, że uparcie podąża pan moim tropem.

– Mam co do pana pewne plany, poszerzone, rzecz jasna, o doktora Sherrinforda. Relacja między panami mogłaby wydawać owoce. Chodzi o pewien temat... komercyjny.

– Wszystko w swoim czasie, mój drogi Doyle'u. Najpierw je-dynka, potem dwójka. Metoda i porządek. – Arrow powtórzył ostatnie zdanie i zwrócił się do mnie: – Czy nie przeszkadza panu dym z mocnego tytoniu?

– Sam nie palę innego niż *barco* – odparłem.

Wydawało się, że ta odpowiedź go usatysfakcjonowała, i rzekł:

– Gdy dwóch ludzi ma zamieszkać razem, dobrze jest, żeby wiedzieli jak najwięcej o swoich wadach.

Zaczęliśmy opowiadać sobie o naszych dziwactwach, a w końcu Arrow podsumował:

– A więc nie ma veta. Proponuję zatem, abyśmy obejrzeni te pokoje przy Baker Street, które znalazł dla nas nasz przyjaciel Doyle. Jestem zmęczony tym hałaśliwym i nietanym apartamentem przy Montague Street! Chociaż znajduje się niedaleko mojego ukochanego British Museum, nie będę rozpaczał po jego stracie.

Ustaliliśmy spotkanie na następną dzień, zostawiliśmy panów w Klubie Diogenesa, po czym Stamford i ja udaliśmy się pieszo w kierunku mojego hotelu.

– À propos, jakim cudem udało mu się odgadnąć, że byłem w Afganistanie?

Mój towarzysz uśmiechnął się tajemniczo i rzekł:

– Wiele osób dopytuje się, jak Arrow rozwiązuje swoje zagadki. Na tym polega jego wyjątkowość.

– To bardzo intrygujące, muszę się tego dowiedzieć.

– Założę się, że on więcej dowie się o panu niż pan o nim. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziałem.

I ruszyłem dalej bez pośpiechu do mego hotelu, zadowolony, że poznałem takiego człowieka, jak również, chociaż nieco mniej, jego kolegę, doktora Doyle'a.

Tak jak się umówiliśmy, spotkaliśmy się następnego dnia i obejrzeniśmy mieszkanie o numerze 22IB przy Baker Street, które tak uprzejmie polecił nam pan Conan Doyle. Skąd ta uprzejmość? Jakież mógł mieć interes związany z nami?

O tym miałem się przekonać kilka lat później.

34.

## Początki

Zająłem się historią literatury kryminalnej, chociaż pod innym nazwiskiem, jako kronikarz i współpracownik Stevena przy rozwiązywaniu niektórych spraw, które drogi czytelnik z pewnością pamięta.

Przez wiele lat dzieliłem życie, pracę i mieszkanie z Arrowem, wyłączając okresy, kiedy opuszczałem Baker Street. W roku 1884, po trzech latach rozwiązywania skomplikowanych zagadek kryminalnych, wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, by otworzyć gabinet w San Francisco. Tam poznałem pannę Constance Adams, poprosiłem ją o rękę i razem wróciliśmy do Londynu. Pobraliśmy się pierwszego listopada 1886 roku.

Niestety, małżonka moja zmarła rok później, pod koniec grudnia. W tym czasie, jak mówiłem, opuściłem Baker Street i otworzyłem gabinet w Kensington, starczało mi jednak czasu, by współpracować przy niektórych sprawach z moim przyjacielem.

To w tamtym okresie doszło do pewnego dziwnego spotkania. Chodziło o naszego wspólnego przyjaciela, doktora Doyle'a, który podczas pobytu w Londynie umówił się z nami w Klubie Diogene-sa.

Po wylewnym powitaniu doktor Doyle pokazał nam rocznik czasopisma „Beeton's Christmas”. Opublikował w nim opowiadanie kryminalne *Studium w szkarłacie*, którego głównymi bohaterami byliśmy my dwaj, pod zmienionymi nazwiskami. Z tego, co nam powiedział, wynikało, że był w trudnej sytuacji materialnej, postanowił więc napisać rzeczzone opowiadanko o detektywach i otrzymał za nie dwadzieścia pięć funtów.

Nasze zdumienie było tym większe, gdy w bohaterach opowiadania opisującego najciekawszą sprawę, z którą przyszło nam się zmierzyć, rozpoznaliśmy siebie

– Widzę, że postanowił pan zmienić doktora Sherrinforda w kronikarza naszych przygód – podsumował Arrow po przeczytaniu kilku stron.

– Moim zamiarem, mój drogi panie Arrow, jeśli to panom opowiada, jest dalsze relacjonowanie waszych zagadek kryminalnych. Otrzymałem ofertę z amerykańskiego czasopisma „Lippincott's Magazine” z Filadelfii.

– A jak zatytułowana będzie ta nowa historia?

– Chodzi o sprawę, o której opowiadał mi pan jakiś czas temu, a którą zatytułowałbym, jeśli uznacie to, panowie, za odpowiednie, *Znak czterech*. Nie trzeba wspominać, że mógłbym podzielić się z wami częścią zysków z jej publikacji.

Arrow w imieniu nas obu odrzucił propozycję dotyczącą honorariów, aczkolwiek nie pomyślał, by doktor Doyle kontynuował swój projekt, chociaż owszem, z zachowaniem należytej dyskrecji, która według niego polegać miała na zmianie nazwisk i umiejętnym

zamaskowaniu prawdziwych wydarzeń. Doktor Doyle dał mu na to słowo.

– Londyński przedstawiciel czasopisma już się ze mną skontaktował. Zdaje się, że zamierza wydać rzeczzone dzieło, jak i opowiadanie Oskara Wilde'a.

– Tego dramaturga? To bardzo interesujący człowiek. Jego dialogi cechuje niezwykła przenikliwość – powiedział Arrow i spytał: – A jaki tytuł nosi opowiadanie pana Wilde'a?

– *Portret Doriana Graya*. Wspaniała rzecz. Miałem okazję poznać go parę dni temu podczas kolacji, którą zorganizował nasz wydawca.

Tak sobie przyjaźnie gawędziliśmy we trzech, podczas gdy doktor Doyle robił notatki na temat spraw, nad którymi pracowaliśmy wspólnie, jak i tych, które Arrow rozwiązywał sam.

I tak wyglądał początek naszych drukowanych przygód.

Pracowaliśmy nad różnymi sprawami do czasu, gdy w 1888 roku Arrow został przyjęty do Scotland Yardu jako pomocnik inspektora Abberline'a, aby odnalazł sprawcę zbrodni, które sterroryzowały Londyn: Kubę Rozpruwacza.

Przypadek ten był jedynym, którego mój przyjaciel nie mógł rozwikłać, co bardzo go przygnębiło i odtąd nie był już tym samym człowiekiem. Co się wydarzyło? Jaką umowę zawarł z królową, gdy został wezwany do pałacu? Dlaczego opuścił Scotland Yard? Odpowiedzi na te pytania poznać miałem wiele lat później.

35.

## Zbrodnie

*Whitechapel, od 31 sierpnia do 9 listopada 1888 roku*

Wszystko zaczęło się pod koniec lata i na początku jesieni 1888 roku, gdy seria bestialskich morderstw wywołała strach i panikę na ulicach starego Londynu. Jak powiedziałem, Steven Arrow został właśnie przyjęty do Scotland Yardu jako pomocnik inspektora Abberline'a, obarczonego zadaniem rozwiązywania spraw beznadziejnych, czyli takich jak ta. Do zbrodni doszło w dzielnicy Whitechapel, zamieszkaney przez żebraków, drobnych złodziei, bezrobotnych, alkoholików, palaczy opium, podstarzałe prostytutki i włóczęgów bez adresu.

Od ósmego sierpnia do dziewiątego listopada brutalnie poćwiartowano pięć prostytutek.

Historia nie znała tak okrutnego i nieludzkiego zabójcy.

Pierwsze zwłoki, zakrwawione i straszliwie pokaleczone, należały do Mary Ann Nichols, czterdziestodwuletniej prostytutki, która pracowała na ulicy. Miała czterdzieści ran kłutych na piersiach,

brzuchu i szyi. Morderca najpierw poderżnął jej gardło, a później zadawał ciosy nożem, wywlekając jej trzewia na wierzch. Tamtej nocy nikt nie słyszał żadnych krzyków, nikt niczego nie widział. Ciało odnaleziono w wąskiej uliczce Buck's Row.

Martwe oczy Mary z pewnością nie widziały twarzy zabójcy, który zaatakował ją od tyłu, zatkał jej usta i poderżnął gardło. Siedem lat wcześniej Mary została porzucona przez męża z racji swej słabości do alkoholu i pędziła nędzny żywot w przytułkach dla biedaków, takich jak Lambeth, trudniąc się drobnymi kradzieżami i prostytutką za parę pensów, włóczęg się po ulicach, okutana w stary płaszcz, w poszukiwaniu klientów. Z pewnością tej nocy, kiedy miano ją zabić, była pijana. Jej koleżanka, Nelly Holland, była ostatnią osobą, która widziała ją wieczorem na rogu Osborn Street i Whitechapel Road. Mary nie chciała towarzyszyć koleżance, ponieważ musiała zarobić kilka pensów, by zapłacić za schronisko, i znikła wśród posępnych ulic Whitechapel, szukając ostatniego klienta.

Jej ciało znalazł woźnica Charles Cross koło czwartej nad ranem.

Abberline i Arrow przekazali pierwszy raport o zajściu nadintendentowi Warrenowi szóstego września. Informowali w nim, że śledztwo nie jest proste. We wspomnianym raporcie zaznaczyli, że odrzucają motyw rabunkowy, gdyż ciało tak nieładnie pokaleczone sugeruje szaleństwo lub zemstę. Przeprowadzili dochodzenie w otoczeniu ofiary, szukając wśród jej znajomych kogoś, kto mógł mieć motyw, by popełnić tak okrutną zbrodnię.

Dochodzenie zaprowadziło ich w ślepią uliczkę: nie znaleźli żadnego krewnego ani znajomego, na którego mogłoby paść podejrzenie, klienci ofiary zaś byli nieliczni i anonimowi. Śledczy



zwrócili się o pomoc do informatorów w poszukiwaniu wskazówek, które mogłyby naprowadzić ich na jakiś trop. Nic. Doświadczenie podpowiedziało im, że morderca prawdopodobnie znał anatomię.

Siedem dni później przerażony sprzedawca z bazaru w Spitalfields na podwórzu przy ulicy Hanbury znalazł zwłoki Czarnej Annie.

Abberline i Arrow natychmiast udali się na miejsce zbrodni.

Ofiarą była czterdziestosiedmioletnia kobieta, mająca metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, otyła, o włosach ciemnokasztanowych, krótkich i kręconych, niebieskich oczach, której brakowało górnych siekaczy. Annie była rozwiedziona i żyła w ubóstwie, ponieważ jej mąż zmarł w dzień świąt Bożego Narodzenia i przestał przysyłać jej dziesięć szylingów tygodniowo, co wcześniej zwykł był czynić, by zostawiła go w spokoju. Miała syna, który mieszkał w przytułku dla kalek i którego prawie nie widywała, a także córkę mieszkającą we Francji. Annie biedowała, sprzedając kwiaty i koronki, ale z powodu skłonności do alkoholu trafiła do szpitala. Za to, co zarobiła, trudniąc się prostytutką, opłacała nocleg w nędznych hotelikach w Spitalfields. John Donovan, jej ostatni gospodarz, zażądał od niej ośmiu pensów, które była mu winna, jeśli chciała nocować przy Dorset Street. Annie odpowiedziała, że jest chora, że właśnie wróciła ze szpitala, i prosiła, by zatrzymał dla niej łóżko, aż wróci z pieniędzmi, które spodziewała się zarobić tego samego wieczoru. Annie Chapman już nigdy nie wróciła do tego nędznego łóżka. W mosiężnych pierścionkach na palcach prawej ręki i z małym grzebykiem w wewnętrznej kieszonce brudnej czarnej spódnicy wyszła na ulicę, by szukać klienta.

Kiedy Abberline i Arrow przybyli na miejsce zbrodni, doktor Phillips poinformował ich, że śmierć nastąpiła kilka godzin wcześniej. Najpierw kobietę duszono, a potem poderżnięto jej gardło. Następnie zabójca zabawiał się rozcinaniem brzucha, wydobywaniem jelit, odcinaniem nosa i ucha. Głowa ledwo trzymała się szyi. Na miejscu zbrodni zebrano sporo gapiów. Abberline kazał przeczesać okolicę. W ciągu następnego dnia dokonano wielu zatrzymań, ale policja musiała wypuścić podejrzanych, ponieważ wszyscy okazali się niewinni.

Abberline i Arrow szukali lekarza albo studenta medycyny z kryminalną lub psychiatryczną przeszłością. Wypyтали personel szpitali w poszukiwaniu wskazówki, która doprowadziłaby ich do jakiegoś dawnego pacjenta, zdolnego do popełnienia tak brutalnych zbrodni. Podążali tropem, który doprowadził ich do adwokata Johna Druitta. Jego kuzyn był chirurgiem i miał klinikę na Whitechapel Minorities, jakieś dziesięć minut od miejsca zbrodni.

Matka Druitta była chora psychicznie, a i on sam wydawał się niepojętym. Miał jednak mocne alibi i wykluczono go z grona podejrzanych. Inne tropy zaprowadziły ich do niejakiego Komańskiego, polskiego Żyda, który nienawidził kobiet, i do doktora Hedora Ostroga chwającego się, że zabijał prostytutki. Jego motywem, jak się wydawało, mogła być śmierć syna spowodowana chorobą weneryczną, którą ojciec przysiągł pomścić. Ten trop też jednak został porzucony, gdyż w czasie popełnienia zbrodni Ostróg był na dyżurze w szpitalu przy King's Road.

Abberline i Arrow znów niczego nie mieli.

Sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy do już popełnionych morderstw doszły dwa nowe. Obu dokonano w odstępnie

godziny w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego września, dwadzieścia jeden dni po brutalnym zamordowaniu Annie Chapman.

Pierwszą ofiarą była Elizabeth Stride, ulicznica, lat czterdzieści pięć, której zwłoki zostały znalezione w ogrodzie klubu przy Berner Street, lokalu odwiedzanego przez anarchistów. Dochodzenie prowadzone przez Arrowa i Abberline'a potwierdziło, że chodzi o obywatelkę Szwecji, która przybyła do Londynu w bardzo młodym wieku i żyła z dokerem, niejakim Michael'em Kidneym.

Kiedy przesłuchano Kidneya, przyznał, że ich relacje ochłodziły się z powodu jej pociągu do alkoholu i rozwiązłego trybu życia. Spotykali się czasem, ale Elizabeth zniknęła, gdy przyszła jej na to ochota. Na życie zarabiała dorywczo, trudniąc się prostytutką i sprzątając. Kiedy podejrzięto jej gardło, w lewej ręce trzymała paczkę karmelków. Nie miała innych ran na ciele, biedaczka wykrwawiła się parę metrów od drzwi klubu. Wydawało się, w czym utwierdzili się Abberline i Arrow, że zabójca został zaskoczony zaraz po napadnięciu kobiety i uciekł, nie kończąc roboty.

Jednak i Abberline, i Arrow nie zakończyli na tym swojej pracy. Wkrótce otrzymali kolejne zgłoszenie: druga ofiara leżała na placu Mitre, w okolicy pełnej niezamieszkałych domów, zrujnowanych magazynów i nielicznych sklepów, które o tej porze były zamknięte. Tym razem mordercy wystarczyło czasu na wyżycie się w makabrycznym akcie. Ubranie ofiary było podarte, rozcięto jej brzuch od mostka aż po łono, a jej wnętrzności rozrzucano na prawym ramieniu.

- Boże święty! – wykrzyknął Abberline na widok tej jatkii.  
Ofiara miała również zmasakrowaną twarz.

– Pociął nawet uda, jakby chciał amputować jej nogi – stwierdził Arrow.

– I waginę, wyrwał jej waginę – wykrztusił Abberline, zasłaniając chusteczką usta.

– Najpierw poderznął jej gardło, potem pociął i zerwał z niej ubranie, następnie otworzył brzuch, wyciągnął jelita i wyłożył na ramię, zapewne z zamiarem znalezienia organów, które go interesowały. Następnie wyrwał macicę, rozdzielając pieczołowicie tkaniki, potem ciął nogi aż do bioder, wyszarpał niektóre organy wewnętrzne – mówił Arrow, wskazując długą ranę w okolicy wątroby. – Aż w końcu zabawił się zmiżdżeniem jej twarzy. Co za zbrodni czy umysł może znajdować w tym przyjemność?

Zwłoki przewieziono karetką do kostnicy w Golden Lane. Kilka godzin później Abberline spotkał się z moim przyjacielem, który dowiedział się paru rzeczy na temat ofiary.

– Nazywała się Catherine Eddows, miała czterdzieści trzy lata, a ostatnią noc przed śmiercią spędziła w przytułku dla ubogich przy Whitechapel Road. Żyła z niejakim Johnem Kellym, osobnikiem, który zajmuje się obnośnym handlem starzyzną.

– Czy ta nieszczęsna kobieta miała dzieci?

– Tak, ale nie z nim. Przedtem żyła z Thomasem Conwayem, ojcem jej trojga dzieci, dwóch synów w wieku piętnastu i dwudziestu lat i dziewczyny o imieniu Anna, dwudziestodwu- lub dwudziestotrzyletniej żony kominiarza.

– Prostytuowała się dla niego? Mam na myśli tego Kelly'ego.

– Zapewnia, że nie. Uważał ją za swoją kobietę i, według jego zeznań, nie pozwoliłby jej zadawać się z innymi mężczyznami.

Zdaje się, że mieszkali razem w schronisku przy Flower and Dean Street. W sobotę zaproponowała, że zastawi swoje ubrania, żeby móc zapłacić osiem pensów za nocleg i kupić coś do jedzenia. Kelly dał jej swoje buty, które zastawiła za pół korony. Całą sumę wydali tego samego ranka. Po południu Catherine założyła wszystkie ubrania, jakie posiadała: czarny kozuch, dwie kurtki, bawełnianą koszulę z falbanami, brązowy kaftanik, szarą halkę i dwie spódnice, jedną zieloną i drugą, podartą, koloru niebieskiego. Tak była ubrana, kiedy ją znaleźliśmy, wykrwawioną i straszliwie poranioną, piętnaście godzin później.

Zapadła krótka i pełna napięcia cisza.

– Jesteśmy w ślepej uliczce, czyż nie? – odezwałem się wreszcie.

– Z tego, co wiemy, proszę pana – ciągnął Arrow – w ciągu zaledwie dwóch miesięcy znaleziono zwłoki pięciu prostytutek, wszystkie strasznie zmasakrowane, niektórym obcięto głowy. Żadna z nich nie ma wątroby. To jakby znak rozpoznawczy zabójcy. Wniosek z tego taki, przy całym szacunku dla nieszczęścia ofiar, że mamy do czynienia z nowym rodzajem zbrodni: z okrucieństwem, jakiego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Przeprowadziłem śledztwo, proszę pana, i doszedłem do wniosku, że cztery ofiary znały się, pracowały w tej samej okolicy i, można powiedzieć, były koleżankami.

– Koleżankami? – zdziwił się Abberline.

– Tak jest, proszę pana.

– A jak pan doszedł do tego wniosku?

– Dzięki piątej ofierze.

– A, to mamy piątą ofiarę?

– Będziemy mieli, jeśli Bóg nie dopomoże.

- Proszę wyrażać się jaśniej, Arrow.
  - Nazywa się Mary Jane Kelly, widziałem ją i pasuje do układanki. Wygląda na to, że ma dużo wspólnego z innymi ofiarami. To dobra dziewczyna, młoda, atrakcyjna, inteligentna.
  - Ale kurwa.
  - Tak, proszę pana. Czasami kobiety nie mają innego sposobu, by przeżyć. Tym czterem nieszczęsnym dziewczynom to się przytrafiło. Bywa, że ktoś rodzi się z pechem.
  - Widuje się pan z nią, Arrow?
  - Założyłem jej nadzór policyjny.
  - Nie o to pana pytałem.
  - Mówię panu, to dobra dziewczyna. Za pozwoleniem, proszę pana, z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, to sprawa na wysokim szczeblu.
  - Na jak wysokim?
- Wzrok Arrowa powędrował ku portretowi królowej, wiszącemu w gabinecie Abberline'a.
- Ostrożnie, Arrow. Może się pan potknąć.
  - To jeden z nich, proszę pana. Jestem przekonany. Za pańskim pozwoleniem...
  - Nie daję pozwolenia, Arrow. Czy pan wie, co pan mówi?
  - Mogę to udowodnić.
  - Nie wątpię. Ale będzie kłopot, jeśli załatwimy to bez powiadomienia zwierzchników.
  - Tak się pan boi?
  - A pan nie?
- Arrow nie odpowiedział.
- Proszę nie angażować się osobiście w tę historię. Nie wygrzebie się pan z tego.
  - Widział pan ostatnią zbrodnię? Zabójca jest coraz bardziej

agresywny. Jego pogarda dla ostatniej ofiary była tak wielka, jakby sądził, że nic, nawet gdyby udało nam się go złapać, mu nie grozi. Syci się niepojętym okrucieństwem, w sposób nad wyraz dziki i zuchwały.

– A pan boi się, że pańskiej znajomej grozi to samo?  
– W najgorszym razie tak, proszę pana. Jeśli go nie powstrzymamy.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Abberline jednak nie zdążył.

Mary Kelly urodziła się w Limerick, była córką kowala i miała sześcioro rodzeństwa. Wyszła za mąż w wieku szesnastu lat za górniką, który trzy lata później zginął w wybuchu w kopalni. Przyjechała do Londynu, szukała pracy, aż w końcu, po przejściowej depresji, zaczęła pić.

Pewnego wieczoru, gdy zataczając się, wychodziła z tawerny, została zgwałcona przez marynarza wśród ruin i zwłok porzuconych dzieci. Nikt jej nie pomógł, gdy odurzona próbowała się bronić. Napastnik uderzył ją, powalił na ziemię, wciskał jej głowę w bruk, a drugą ręką zrywał z niej ubranie. Widziała, jak lejąca się z jej twarzy krew miesza się z uryną i błotem, podczas gdy czuła, jak dziki i rozżarzony zwierz penetruje ją od tyłu. Trwało to krótko, Mary się nie poruszyła. Potem ucisk ustał i poczuła, że ktoś sika jej na plecy, mocząc kurtkę i czarne, splątane włosy. Później ktoś znów w nią wszedł. Zorientowała się, że to ktoś inny, po zapachu alkoholu, który wyczuła w jego oddechu na swej twarzy, po miękkości jego członka, gdy obrócił ją jak lalkę i zaciśniętymi w pięści dłońmi zmusił, by rozłożyła nogi.

Po tym zdarzeniu spędziła osiem miesięcy w sanatorium dla chorych na choroby weneryczne. Nigdy nie dowiedziała się, czy

zaraził ją marynarz, czy ten obleśny pijak, który, widząc ją leżącą na ziemi, wykorzystał okazję, by się wyżyć.

Jedyną osobą, która dobrze ją traktowała, był ten młody detektyw, który podszedł do niej tamtego wieczoru, pytał o jej koleżanki i starał się połączyć fakty dotyczące ofiar. Wszystko mu opowiedziało.

Teraz już nic nikomu nie opowie.

Jej ciało spoczywa poćwiartowane na łóżku w wynajętym pokoju, pozbawione macicy, wątroby i nerek. Pocięto jej piersi, zmasakrowano twarz, odcięto głowę i zdarto skórę.

Podobno miała siedmioletniego syna.

Jeśli tak, to mój przyjaciel Arrow nie zdołał go odnaleźć.

Tydzień później Abberline wyruszył na poszukiwanie swojego pomocnika. Znalazł go w opłakanym stanie, w nielegalnej palarni opium, ukrytej w brudnych uliczkach portowych starego Londynu. Zabrał go do domu, doprowadził do porządku, pozwolił mu się wyspać, a następnego dnia udali się do królowej na prywatne tajne spotkanie.

Zbrodnie ustały.



## 36.

# Zgubne uzależnienie

Wtedy to właśnie mój mistrz i przyjaciel zaczął popadać w niezdrowy nałóg, który miał się stać przyczyną naszych późniejszych sporów. Arrow wciąż zapewniał mnie, że ma go pod kontrolą, przypuszczałem jednak, że prędzej czy później zaćmi jego umysł i w końcu go zabije.

Nie mogłem pomóc mojemu przyjacielowi w tym jakże suchym dla niego czasie, gdyż okoliczności sprawiły, że w maju 1889 roku ponownie zawarłem związek małżeński – tym razem z panną Mary Morstan, którą poznałem, gdy Arrow i ja pracowaliśmy nad sprawą znaku czterech.

Podczas gdy życie osobiste i zawodowe mojego przyjaciela było w opłakanym stanie, zdobywał sławę na papierze, gdyż książki opisujące jego wyczyny przynosiły olbrzymie zyski doktorowi Doyle'owi.

W tamtym okresie dwie okoliczności miały ogromne znaczenie dla mojego życia osobistego. Pierwszą była śmierć mojej żony

w roku 1892. Zmarła na atak serca. Moja biedna Mary miała trzydzieści jeden lat, kiedy dobry Bóg postanowił ją do siebie zabrać. Drugą było to, że doktor Doyle, znudzony swoim bohaterem, zdecydował się z nim skończyć i uczynił to pod koniec 1893 roku, w opowiadaniu *Ostatnia zagadka*. Wpadłem w szał i udałem się z wizytą do doktora Doyle'a. Jak śmiał zrobić coś takiego? Gdzie jego przekłeta wdzięczność? Dlaczego nie wziął pod uwagę beznadziejnego położenia Arrowa?

– Mam go dosyć, mój drogi Sherrinfordzie. Wydaje mi się, że powinienem zająć się bardziej wzniosłymi dziełami.

Czy można wyobrazić sobie większą bezczelność? Nie dość, że przywłaszczył sobie cudzy pomysł, za pozwoleniem dobrego Arrowa i moim, którzy podpowiadaliśmy mu, co ma pisać, aż osiągnął sławę i zdobył fortunę, to jeszcze śmie twierdzić, że pragnie zająć się „bardziej wzniosłymi dziełami”. On, który, zanim się pojawiliśmy, nie mógł nawet marzyć o tym, by szersza publiczność zwróciła uwagę na którekolwiek z jego wcześniejszych dzieł!

Doktor Doyle nie przewidział, że cały Londyn będzie tego samego zdania co ja. Nie miał innego wyjścia, jak wskrzesić swojego bohatera. Ważną rolę w tej sprawie odegrała interwencja jego matki: „Powinieneś starać się ze wszystkich sił, by osobie tak sympatycznej i miłej jak pan Holmes nie stała się żadna krzywda”. To zdanie przeważało.

- Potrzebuję pomocy, doktorze Sherrinford.
- Pomocy?
- Kolejnej nowej historii... za pięćdziesiąt procent zysków?
- A prawa autorskie?

Doyle nie odpowiedział. Był urażony, a ja nie chciałem go rozdrażnić.

– No dobrze, proszę tylko nie dokuczać Arrowowi. Opowiem następną historię, a pan wydają pod swoim nazwiskiem, jak zawsze. Umowa to umowa, i chociaż nie jest pan człowiekiem honoru, to ja słowa zawsze dotrzymuję.

Tak też wspólnie, on oficjalnie, ja ukryty w cieniu, wskrzesiliśmy największego detektywa wszech czasów.

Powróciliśmy piątego kwietnia 1894 roku, z jedną z naszych najświetniejszych historii, *Zagadka pustego domu*. Powiedziałem Doyle'owi, by napisał, iż po wyczerpujących przeżyciach z Moriartym nasz bohater postanowił troszkę odsapnąć.

Zabawa zaczynała się od nowa.

Od naszego powrotu do pracy zawodowej w 1894 roku już nigdy nie zostawiłem Arrowa samego.

## Przypadkowe spotkanie

Kiedy przybyliśmy do portu w Barcelonie, otrzymawszy parę dni wcześniej depezę, na brzegu oczekiwali nas przedstawiciele władz miejskich. Gdy chłopiec okrętowy znosił nasze bagaże, odbyła się oficjalna prezentacja.

– Miło panów poznać. Mamy nadzieję, że mieli panowie udaną podróż – powiedział zastępca burmistrza, który zjawił się w towarzystwie przedstawiciela policji.

– Podróż była znakomita – odpowiedział Arrow i dodał: – To mój towarzysz i przyjaciel, doktor Sherrinford.

– Nazywam się Eduardo Vidal, a to jest sierżant Contreras. Pragnę powitać panów w imieniu miasta. Czujemy się zaszczyceni, że zgodzili się panowie z nami współpracować.

Czekał też powóz, aby zawieźć nas do hotelu.

– Mogą panowie odpocząć, a po południu, jeśli panowie zechcą, zabiorę panów do komisariatu, gdzie nadinspektor, który

będzie zachwycony, mogąc panów poznać, przedstawi szczegóły sprawy.

– Odpocząć? Nie ma lepszego odpoczynku niż praca. Sądzę, że rzeczą najbardziej odpowiednią będzie zostawienie bagaży w hotelu, a następnie udanie się na policję.

– Zatem nie chcą panowie...

– Nie – uciał Arrow uprzejmie. – Sherrinford i ja bylibyśmy zachwyceni, mogąc zostać wprowadzeni w sprawę natychmiast. Prawda, Sherrinfordzie?

Cóż mogłem odpowiedzieć? Arrow zdecydował za nas obu.

– Jak sobie panowie życzą. Wyślę sierżanta Contrerasa do komisariatu, żeby zawiadomił naczelnika, a ja, jeśli panowie zechcą, będę towarzyszył wam do hotelu.

Zostawiliśmy nasze rzeczy w pokojach, podczas gdy młody człowiek czekał na nas w holu. Potem, tym samym powozem, pojechaliśmy do komisariatu. Eduardo Vidal był przemiłym młodzieńcem i podczas jazdy zabawiał nas ciekawą rozmową na temat miasta. Arrow słuchał, chociaż wyczuwałem, że myślami jest gdzie indziej.

– Jak to się stało, że postanowiliście skorzystać z naszych usług? – zapytał w pewnym momencie.

– To burmistrz podjął decyzję, wspierany przez kilku wybitnych obywateli miasta. Zdaje się, że jest pan bardzo sławny.

– O, za to muszę być wdzięczny doktorowi Sherrinfordowi.

– Oraz doktorowi Doyle'owi – dodałem.

– Co do sprawy, to szczegółowych informacji udzieli panu nadinspektor.

– Czy jest jakiś trop? – chciał wiedzieć Arrow.

– Policja ma chyba podejrzanego, malarza. Ale, jak mówię,

wolę, żeby to Abel Fonte zaznajomił pana ze wszystkimi szczegółami.

- A o kogo chodzi?
- To młody malarz. Niespokojny duch. Doskonale mówi pan po hiszpańsku jak na...
- Anglika? – dokończył Arrow.
- Pan Steven Arrow włada sześcioma językami – wtrąciłem.
- Pan również mu nie ustępuje – odparł Eduardo Vidal.
- Zawdzięczam to memu ojcu. Był dyplomatą.

Przezułem, że Eduardo Vidal celowo sprowadził rozmowę na ten temat, by nie mówić o sprawie, dopóki nie znajdziemy się w towarzystwie nadinspektora. Kontynuowałem konwersację, wymieniając miejsca, gdzie z racji profesji mego ojca mieszkałem, co pozwoliło mi w pewnym stopniu opanować język hiszpański.

Piętnaście minut później powóz zatrzymał się przed komisariatem policji.

Musieliśmy czekać w jakimś pokoju, gdzie zostaliśmy przedstawieni zwykłymi policjantom. Po dwudziestu minutach wydało mi się nieuprzejme, że nikt do nas nie przychodzi, Arrow jednak nic nie powiedział.

Podszedł do mnie policjant i poprosił o ogień. Przedstawił się. Nazywał się Amadeu Centelles i był człowiekiem rozmownym i wylewnym, który w ciągu paru minut zapoznał mnie ze swoim życiorysem i opowiedział o zainteresowaniu płcią piękną. Podczas tego pierwszego spotkania nie mogłem podejrzewać, że widzę go pierwszy i ostatni raz w życiu i że kiedyś będę na dla dobra literatury opowiadał o okolicznościach jego śmierci.

Minęło dwadzieścia minut i inny policjant zaprosił nas do gabinetu naczelnika. Było w nim trzech inspektorów, wszyscy stali. Fonte pozostał za biurkiem, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi i przeglądając jakieś papiery. Jakby bezwiednie sięgnął prawą ręką do wewnętrznej kieszeni surduta. Arrow obserwował go uważnie. Fonte nie wywarł na mnie dobrego wrażenia. Był mężczyzną w wieku lat pięćdziesięciu, przyzwyczajonym do rozkazania i posłuszeństwa, co wyczytać mogłem z jego twarzy: surowej, niemal okrutnej. Nie był wysoki. Miał silne ręce, potężne ramiona i dość dużą głowę z bardzo krótkimi włosami, prawie łysą, co nadawało mu wygląd wieśniaczy i prymitywny.

Wreszcie podniósł wzrok, odłożył na bok papiery, wstał z fotela i ruszył w naszą stronę.

– Pan Steven Arrow, jak sądzę – powiedział niezbyt uprzejmie.

– I mój pomocnik, doktor Sherrinford – odparł Arrow, podając mu rękę.

– A to moi inspektorzy: Cifuentes, Prats i Domènech.

Arrow podał im rękę, ja zrobiłem to samo.

– A teraz proszę, by przekazał nam pan wszystkie informacje, które pomogą nam w wyrobieniu sobie zdania na temat sprawy – rzekł Arrow.

– Ubolewam nad tym, iż nadaremnie odbyli panowie tę podróż. Rozwiązaliśmy już zagadkę – powiedział Fonte.

– Macie zabójcę?

– Tak.

– Czy mógłbym go w takim razie przesłuchać? To pytanie nie spodobało się Fontemu.

– A po co? Przecież mówię panu, że śledztwo jest zakończone.

Nie potrzebujemy pomocy z zewnątrz w rozwiązywaniu naszych własnych spraw.

– Nie zamierzam panu przeszkadzać, ale z tego, co wiem, dwa dni temu nie było to wszystko takie oczywiste. Panowie nas wezwali, zamówili nasze usługi, myślę więc, że po tak długiej podróży uprzejmie będzie zezwolenie nam na przesłuchanie zatrzymanego.

– Po co? – prychnął Fonte. – Co pan wie o tej sprawie? Co pan wie o tym, jak działamy? Co pan wie o mojej pracy? Nic!

Wyrzucił z siebie te zdania pogardliwym tonem, który, znając Arrowa, musiał go zabołec. Zauważyłem, że towarzyszący nam inspektorzy uśmiechają się pod wąsem.

– Co do ostatniego pytania, ma pan rację: wiem o panu niewiele, nie licząc tego, co oczywiste.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Obawiałem się najgorszego i utkwiałem wzrok w moim mistrzu.

– Że był pan więziony na Kubie przez grupę zbiegów, że własnymi rękami zabił pan człowieka i dzięki temu odzyskał pan wolność, że ostatnio pokłócił się pan z żoną, że właśnie ukradli panu zegarek, że ma pan kochankę, że bardzo cisną pana buty, że nie lubi pan gazety „La Vanguardia” i że, na dodatek, skończył się panu tytoń.

Po wyrazie twarzy Fontego poznałem, że jest wściekły, choć stara się nad sobą panować. Jego podwładni śmiali się z niego ukradkiem. To nie najlepszy sposób na zaprzyjaźnienie się, pomyślałem, kiedy piorunował wzrokiem Arrowa. Z drugiej strony Fonte zasłużył na takie traktowanie.

– No dobrze, czy możemy wreszcie przejść do sedna sprawy? – rzekł Arrow. – Zechce pan przedstawić nam fakty, które stały



się przyczyną naszej podróży? Czy mam zasięgnąć opinii pańskich przełożonych? Chciałbym jak najszybciej usunąć wszelkie przeszkody i zająć się sprawą.

– Proszę usiąść – prawie rozkazał nam Fonte i gestem wyprosił swoich podwładnych z gabinetu.

Dwie prostytutki zostały zamordowane i wypatroszone w krótkim odstępie czasu. Otrzymywano anonimy od mordercy, który zapewniał, że to nie koniec. Z drugiej strony pewien młodzieniec, podający się za malarza, stawiał się na komisariacie policji z organem jednej z ofiar. Było ewidentne, że chłopak znał obydwie zamordowane dziewczyny, przyznał nawet, że w swoim czasie pomieszkiwał w burdelu. Przesłuchiwana później właścicielka przybytku, złożonywszy dokładne zeznania na temat ofiar, wstawiła się za chłopakiem, twierdząc, że nie byłby zdolny do zabicia muchy i że jest wielkim artystą.

Dla Fontego sprawa była jasna: młodzieniec prowadzący rozwiążył tryb życia, powodowany z pewnością alkoholem – lub zażdrością – morduje obie ofiary. Zagadka rozwiązana. Tak to w wielkim skrócie przedstawił nam Abel Fonte. Opowieść jego trwała dobrą chwilę, podczas której mój mistrz i przyjaciel wciąż wtrącał pytania:

- Biliście go?
- Co pan mówi? Chłopaka? Za kogo pan nas ma? Nikogo nie bijemy... Daliśmy mu nawet papier i ołówek, żeby się nie nudził.
- Przyznał się?
- Nie. Twierdzi, że jest niewinny.
- Mogę go zobaczyć?
- Teraz?
- Teraz.

38.

## Podejrzany

Chłopak był niewysoki, o krótkich włosach z kosmykiem opadającym na czoło. Nie mógł mieć więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat. Kiedy weszliśmy do jego celi, siedział w nogach łóżka z zeszytem i ołówkiem. Nie wstał, słysząc głośny trzask rygła. Cella była wąska, źle oświetlona i duszna. W powietrzu unosiła się woń ekskrementów. Więzień miał tylko łóżko.

- Nazywam się Arrow, Steven Arrow.
- Picasso, proszę pana, Pablo Picasso – powiedział młodzieniec i zapytał: – Czy szybko stąd wyjdę?
- Jak długo siedzisz?
- Chyba trzy dni.
- Czy ktoś cię odwiedzał?
- Nie... moi rodzice nic nie wiedzą.

Na jego twarzy malowały się niepokój i strach. Rzecz jasna, nie wyglądał na mordercę. Co do tej ostatniej kwestii, Arrow i ja

zawsze się spieraliśmy. Arrow był zdania, że wbrew ogólnie panującym poglądom, mordercy mogą być mili, uprzejmi, a nawet piękni. „Do degeneracji dochodzi w środku, Sherrinfordzie, proszę o tym nigdy nie zapominać. Najpiękniejsza kobieta, jaką znałem, młoda dama z wyższych sfer, otruła swojego męża i troje dzieci, gdyż hałas przyprawiał ją o migreny”.

– Chodźmy na zewnątrz synu, cuchnie tu.

Ruszyliśmy ciemnym korytarzem do wyjścia. Im byliśmy bliżej, tym robiło się jaśniej. Gdy znaleźliśmy się przy drzwiach wejściowych, Arrow powiedział:

– Nie wychodź jeszcze, światło uszkodzi ci wzrok.

We dwóch wyszliśmy na dziedziniec, a chłopaka zostawiliśmy za drzwiami, żeby powoli przyzwyczajał się do światła. Płonałem z ciekawości, skąd Arrow wiedział te wszystkie rzeczy o nadinspektorze, nie była to jednak dobra chwila, by go o to pytać.

– Co pan sądzi o tym młodzieńcu? Jakie wywarł na panu wrażenie, skoro wygląda na to, że wystarczy panu jeden rzut oka, by wszystkiego się dowiedzieć?

Arrow nie odpowiedział. W przeciwieństwie do postaci, którą stworzyliśmy Doyle i ja, Arrow nie był arogancki, nie mówił szybko, ostro i z wielką przenikliwością. Był człowiekiem powolnym i starannym, czasami, kiedy dostrzegał rzeczy, których pozostali nawet by nie odgadli, okazywał nie tyle triumf, ile znużenie, jakby nudziło go odkrywanie ludzkiej nikczemności. Niekiedy wydawało mi się, że chciałby się kiedyś pomylić i u najbardziej podłych istot dostrzec cień człowieczeństwa.

Dał znak młodemu malarzowi, aby się zbliżył.

– Dobrze, synu, zobaczmy, co możesz mi powiedzieć o tej sprawie.

– Kim pan jest?

– Powiedziałem ci już: nazywam się Steven Arrow.

– Ale kim pan jest? Jest pan obcokrajowcem.

– Polecono mnie, bym pomógł w śledztwie, wystarczy? A teraz powiedz mi, co robiłeś z kawałkiem nerki zabitej dziewczyny?

– Nadinspektor Fonte powiedział, że to była wątroba.

– Jestem lekarzem, chłopcze, i mogę cię zapewnić, że chodziło o część lewej nerki – powiedziałem, włączając się do rozmowy, by poprzeć mojego przyjaciela.

– Nie wiem. Przysłano mi ją. I to nie był pierwszy raz.

– Jak to?

– Opowiadałem już o tym komisarzowi. Kilka dni wcześniej dostałem inny fragment zapakowany w pudełko. Dziewczyny z pracowni mogą potwierdzić, jeśli panowie je zapytają.

– Już to zrobiliśmy – skłamał Arrow i dodał: – Ale przecież mogłeś wysłać paczkę sam do siebie.

– To bez sensu.

– Nie, to ma sens. Znałeś dziewczynę, mieszkałeś w domu publicznym i wiedziałeś, że policja prędzej czy później się o tym dowie, więc obmyśliłeś sprytny podstęp, żeby oczyścić się z zarzutów. I zabiłeś swoją dziewczynę.

– Marta akurat nie była moją dziewczyną.

– Mam więc rozumieć, że jedna z nich jest?

Picasso zwlekał z odpowiedzią.

– Można tak powiedzieć – przyznał.

– Twoja dziewczyna jest prostytutką? – upewniłem się.

To pytanie go rozwścieczyło. Wydał mi się młodzieńcem

o wybuchowym temperamencie, impulsywnym, mogącym łatwo stracić nad sobą panowanie.

- Jest nią od niedawna – mruknął, wyraźnie zły.
- Twoją dziewczyną? – zapytałem znów.
- Nie, prostytutką.
- Zatem, jak się domyślam, dziewczyny się pokłóciły, a ty rozwiązałeś problem, zabijając Martę.

– O nie, proszę pana. I proszę nie mieszać w to Carmen... Byłem przyjacielem Marty i przysięgam, że... nigdy w życiu coś takiego nie przyszłoby mi do głowy! Ktoś próbuje zrobić mnie w tę sprawę i zaczynam wierzyć, że biedna Marta nie miała nic wspólnego... Znaczy, że zabili ją, aby... Że wybrali ją, żebyście uwierzyli, iż to ja jestem mordercą. Ukradli mi nóż i blok rysunkowy. Jeśli dobrze poszukacie, na pewno znajdzie się wśród rzeczy Marty.

- Nóż?
- I zeszyt. Znikły z mojej pracowni przed zbrodnią i już ich nie zobaczyłem.

– Uspokój się, chłopcze. Czy możesz opisać ten nóż?

Pablo zrobił to, podając mnóstwo szczegółów i opowiadając historię przedmiotu.

- Jak myślisz, kto chce wmanewrować cię w coś tak okropnego?

- On! – powiedział, wręczając trzymane w prawym ręku kartki.

Kiedy Arrow przyglądał się rysunkowi, Pablo opowiadał o spotkaniu z marynarzem, nieprzyjemnej rozmowie w barze i o tym, że – jak sądził – doktor w domu publicznym był tą samą osobą w innym przebraniu. Opowiedział też historię o marynarzu w oknie prasowalni, którą usłyszał od Carmen.

– Kto ma wstęp do twojej pracowni?

– Tylko przyjaciele.

Arrow poprosił o ich nazwiska i krótką charakterystykę. Chłopak opowiadał, a on notował coś w zeszycie.

– Mógłbyś narysować ten nóż? Realistycznie, ze wszystkimi szczegółami i najbardziej zbliżony do prawdziwego rozmiaru.

Chłopak usiadł na ziemi, obok położył papier i jednym pociągnięciem naszkicował nóż. Potem zajął się szczegółami. Następnie podał kartkę Arrowowi.

– Jesteś bardzo dobry w rysunku.

– Najlepszy po Rafaelu – przyznał z dumą.

Arrow się uśmiechnął.

– Zatrzymam rysunki.

## 39.

# Pierwsze tropy

– Jakie wnioski wyciągnął pan z tej rozmowy? – zapytałem, gdy strażnik wyprowadził chłopaka i zostaliśmy sami na dziedzińcu.

– A pan, Sherrinfordzie?

– Sądzę, że jest niewinny.

– Ja też. Co więcej, nie ma pojęcia o drugiej zbrodni.

– Jak pan do tego doszedł?

– Chłopak myśli, że obydwa „prezenty”, które dostał, należą do tej samej ofiary. Winniśmy być wdzięczni Fontemu, że trzymał chłopaka w izolatce przez trzy doby. Do komisariatu trafił rankiem tego dnia, gdy doszło do drugiej zbrodni, a Fonte, który miał już swojego mordercę, nie uznał za stosowne dążyć sprawy.

– Poza tym pomylił nerkę z wątrobą. A co powie mi pan o kradzieży noża i zeszytu?

– Wkrótce się pojawią.

- Gdzie? Jak przypuszczam, ma pan jakiś pomysł.
- Wraz z następnymi ofiarami. To dopiero początek.
- A kto, pana zdaniem, będzie następny?
- Zaraz się pan dowie, mój drogi Sherrinfordzie. Co na razie mamy? Dwie brutalnie zamordowane prostytutki. Znały się, pracowały w tym samym domu i z tego, co wiemy, pracują tam jeszcze trzy dziewczyny. To daje nam liczbę pięć. Morderca ma zamiar skończyć z pozostałymi trzema, a naszym obowiązkiem jest temu zapobiec i dowiedzieć się, dlaczego to robi. Następne pytanie: co łączy tych pięć kobiet?

- Chłopak? Mieszkał z nimi w domu publicznym i je zna.
- Otóż to.
- I sądzi pan, iż morderca chce, byśmy myśleli, że to on?
- Tak.
- Ale dlaczego? Kto może tak bardzo nienawidzić młodego, przymierającego głodem malarza?
- To kolejna interesująca kwestia, którą musimy zbadać.
- Jest coś jeszcze, prawda?
- Tak. Przerażające podobieństwo tych dwóch zbrodni do tego, co stało się w Whitechapel w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku.

Uświadomiłem sobie, że Arrow mówi o tym po raz pierwszy.

- Ale dokąd nas to prowadzi? Nie sądzi pan chyba, że chodzi o tego samego Kubę Rozpruwacza. Przez lata próbuje pan dojść, kim on jest. Ale to było...

- Tak, jedenaście lat temu i w innym kraju. Niewiarygodne, nieprawdaż? Pytanie brzmi: czy to ten sam Kuba, czy jego wielbiciel, który wiernie naśladuje jego metody działania?

- To szaleństwo, Arrow! Tego chłopca nie było jeszcze na świecie, kiedy Kuba Rozpruwacz zabił po raz pierwszy.



– Ależ był, tylko że miał siedem lat. Interesująca w tej sprawie jest rozmowa chłopaka z marynarzem. „Sprowadzę na ciebie koszmara. Co ty wiesz o świecie? Czy wiesz, że świat to nic więcej, jak plugastwo? Świat jest piekłem. Jestem tu, by pokazać ci inny świat. W naszych żyłach płynie ta sama krew, ten sam ogień. Przybywam z piekła, abyś zobaczył wnętrze tego świata. Jesteśmy połączeni, chłopcze. Pamiętaj. Nigdy cię nie opuszczę. Nadejdzie dzień, gdy zaczniesz malować, widząc świat moimi oczami, i nigdy już nie zdołasz się wyzwolić”. To mu powiedział w skrócie. Poza stwierdzeniem, że dziwki są jak zwierzęta, i radami, co należy z nimi zrobić, gdy utyją i się zestarzeją, wyłożył credo, którego znaczenia chłopak nie mógł pojąć; sądził, że ma do czynienia z wariatem.

- A tak naprawdę...
- Tamten człowiek zapowiadał, co się stanie.
- Arrow, niech to diabli! Wygląda na to, że stoimy przed jednym z najbardziej interesujących przypadków!
- I najstraszliwszych, jeśli nie rozwikłamy go na czas.
- Ale znalazł pan w słowach marynarza coś, co prowadzi do rozwiązania?
- Tak, jest wiele tropów. Po pierwsze, morderca uważa się za artystę. Powiedział: „W naszych żyłach płynie ta sama krew, ten sam ogień”.
- Sądzi pan, że to malarz?
- Niekoniecznie. Ale uważa się za artystę, artystę zła, naturalnie. Twierdzi, iż przybył z piekła, by ukazać nam wnętrze tego świata, a cóż innego czyni? Ukazuje nam wnętrze swych ofiar. Na tym polega jego makabryczna sztuka.
- A po drugie?
- Tutaj powstrzymam się przed osądem, ponieważ musimy

zdobyć więcej danych. Chcę wiedzieć, co maluje ten chłopak, a mamy tylko wersję marynarza. – Umilkł i po chwili powtórzył: – Muszę wiedzieć, co on maluje.

– Dlaczego?

– Już panu mówię. Z powodu stwierdzenia marynarza: „Czy wiesz, że świat to nic więcej, jak plugastwo?”.

– Nie rozumiem.

– Proszę sobie wyobrazić, że chłopak maluje rzeczy nieprzyjemne, lecz sercem zwraca się ku wykluczonym. Maluje, obnażając nędzę, z głęboko ludzką troską o świat ubogich. A co na to marynarz? „Co ty wiesz? Zasypiasz po narysowaniu rzeczy, które wydają ci się cudowne, po sportretowaniu nieznanymi osobami, które wydają ci się ciekawe. Oto, jak żyjesz, nędzny dzieciuchu, karmiąc swoje gównem warte sny. Twoje szkice to śmiecie, jestem tu, byś zobaczył inny świat”.

– Wynika z tego, że nasz marynarz dobrze zna twórczość tego młodzieńca.

– Po trzecie, nie mniej interesujące: nasz morderca ma pretensje do tego, by zmieniać styl chłopaka. Stał się znawcą sztuki.

– Teraz nie nadążam.

– Tak jakby chciał, żeby chłopak malował tak samo, jak on zabija.

– Nadal nie rozumiem.

– Rozpruwając rzeczywistość bez śladu człowieczeństwa.

– Pan sądzi, że on tak dużo rozmyśla? Panie Arrow! To już nadinterpretacja.

– Być może. Pytanie jednak brzmi: czy można stworzyć sztukę odczłowieczoną? Sztukę pozbawioną szacunku dla człowieka?

- A jak pan myśli?
- Przyjrzałem się chłopakowi i sędzę, że jest zdolny do wielkich rzeczy. Rzeczy nigdy wcześniej niewidzianych. Ale myślę też, że jego oczy widzą istotę tego, co ludzkie. Prawdopodobnie marynarz wie, że tę bitwę przegrał, i dlatego pragnie go zniszczyć.

Nie pojąłem dokładnie ostatnich słów mojego towarzysza i przyjaciela, ale uznałem, że w toku śledztwa Arrow rzuci na nie światło.

- Jaki będzie pierwszy krok? – chciałem wiedzieć.
- Niech wypuszczą chłopaka, jest niewinny.
- A potem?
- Informacje o sprawie i jakieś miejsce do pracy. Muszę powiedzieć Fontemu, żeby zajął się osobami, o których mówił chłopak, takie będzie miał zadanie.
- W porządku. Niełatwo będzie go przekonać, żeby wypuścił malarza na wolność.
- Już moja w tym głowa. Gra się zaczyna, Sherrinfordzie, i musimy do niej stanąć.
- Proszę mi powiedzieć, skąd wiedział pan te wszystkie rzeczy o nadinspektorze?
- Obserwacja i dedukcja, mój drogi przyjacielu.
- Muszę się panu pochwalić, że niektórych rzeczy sam się domyśliłem.
- Jakich na przykład?
- Że nie lubi „La Vanguardii”. To było łatwe. Wchodząc, zobaczyłem zmięty egzemplarz dzisiejszej „La Vanguardii” w koszu na śmieci.
- I?
- Ponieważ, jak powiedziałem, była to dzisiejsza gazeta,

nasunęło się pytanie: dlaczego wyrzucił ją do kosza? Widocznie była tam jakaś wiadomość, która mu się nie spodobała, i po przeczytaniu wyrzucił gazetę.

– Pomyślałem tak samo.

– Ale skąd pan wiedział, że nie ma co palić?

– Wchodząc do gabinetu, stwierdziłem, że panuje w nim zaduch typowy dla nałogowego palacza. Cały gabinet przesiąkł zapachem tytoniu. A gdy wyciągnąłem fajkę, Fonte spojrzął na nią zbolalym wzrokiem. Rozmowa nie trwała zbyt długo, ale był to czas wystarczający do wypalenia papierosa, czego nie zrobił, wywnioskowałem więc, że nie ma czego palić... Poza tym miał plamy z nikotyny na palcach i resztki popiołu na garniturze.

– A zegarek?

– Fonte dwa razy odruchowo sięgał prawą ręką do kieszeni kamizelki. Mała kieszonka nosiła ślady ciężkiego przedmiotu, a poza tym guzik, na którym trzymała się dewizka, był troszkę bardziej poluzowany niż pozostałe. Wydedukowałem, że albo zapomniał zegarka, albo go zgubił. Niezadowolenie malujące się na jego twarzy, gdy sięgał ręką do miejsca, gdzie powinien znajdować się zegarek, wskazało mi, że chodzi o to drugie.

– Bardzo celne spostrzeżenia. Ale co zasugerowało panu, że pokłócił się z żoną?

– Jego koszula.

– Jego koszula?

– Pognieciony kołnierzyk i rękawy, jak i zły stan jego garnituru. Pan był wojskowym, mój drogi przyjacielu, i zgodzi się pan ze mną, że od żołnierzy, zwłaszcza tych wyższych stopniem, wymaga się, by zawsze doskonale się prezentowali.

– To prawda, mój adiutant zawsze miał dla mnie wyprasowany strój.

- W tym przypadku „adiutant” nie stanął na wysokości zadania.
- Jego żona, oczywiście.
- Ewidentnie.
- Z czego wynika, że...
- Jeżeli żony nie obchodzi jego „nienaganna prezencja”, oznacza to, że w małżeństwie coś się popsło.
- A dlaczego uznał pan, że cisną go buty?
- Były jedynym elementem bez zarzutu w jego ubiorze.
- Tak, czyste i lśniące buty to w wojsku prawdziwa obsesja.
- Co kontrastowało z resztą jego ubrania. Doszedłem więc do wniosku, że są nowe. Ponadto, gdy wstał, przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, bo go cisnęły.
- Rzecz jasna, trudno, żeby kobieta, która nie dba o jego koszule, zabawiła się czyszczeniem mu butów. Ale z tą kochanką to nie pojmuję. Jaka wskazówka naprowadziła pana na to podejrzenie?
- Ślad na stole.
- Żadnego nie pamiętam.
- Bo go nie było.
- Jak to?
- Mój drogi Sherrinfordzie, widziałem cienką warstwę kurzu na biurku i ślad po ramce ze zdjęciem, która została schowana.
- Nie rozumiem.
- To proste. Gdyby było to zdjęcie jego żony, toby go nie chował.
- Z czego wynika...
- Że kiedy nasz pan zostaje sam, wyjmuje portret kochanki i stawia go na biurku, a gdy ktoś wchodzi do gabinetu, chowa.

- To wytłumaczenie trochę wysrane z palca.
- Ale koniec końców prawdziwe.
- A że został jeńcem w bitwie ze zbiegłymi niewolnikami i zabił człowieka? Skąd, u licha, pan to wiedział?
- Ślad na szyi.
- Ślad na szyi?
- Piętno na karku. Naznaczyli go gorącym żelazem jak bydło. Wie pan. Uciekinierzy... jak pan wie, odkąd na Kubie wprowadzono niewolnictwo, rozpoczęły się ucieczki Indian i Murzynów. Zbiegali z plantacji i kryli się w lasach lub mniej uczęszczanych okolicach. Budowali wsie, skupiska rozsianych chałup, które nazywali *palenques*. Słowo to pochodzi od łacińskiego *pollanca*, czyli pal, i oznacza palisadę, którą buduje się dla obrony lub zamknięcia jakiegoś obszaru. Takie osady zapełniały się czarnymi zbiegami, którzy uciekli od swych właścicieli. Organizowali się pod dowództwem kapitana czy szefa, który kierował życiem wsi i był jak pan i władca. Napadali na plantacje, by zdobyć żywność, proch i broń. Stali się poważnym problemem dla kolonialnych władz wyspy, które zaczęły prowadzić z nimi wojnę. Ale oni rośli w siłę i przywołali swoje dawne zwyczaje i prawa przywiezione z Afryki. Na mokradłach Zapata większość mieszkańców pochodziła z afrykańskiego plemienia Djuka, którego najbardziej znany rytuał, zwany „mściwe duchy”, polega na konfrontowaniu jeńca z członkiem plemienia. Jeśli jeńiec zwycięży, zyskuje wolność, a duch zabitego w walce przenika do głowy zwycięzcy. Znamię na szyi zwycięzcy wskazuje miejsce *kunu*, odziedziczonej duszy. Fonte nosi *kunu* jakiegoś Djuki poległego w walce, który powróci do domu, kiedy nasz nadinspektor opuści ten świat. Stąd właśnie wiedziałem, że Fonte był w niewoli u zbiegów i że zabił jednego z plemienia Djuka.

– Jakie dziwne rzeczy pan wie! Teraz wszystko wydaje się oczywiste.

– Wszystko wydaje się proste, gdy nam to ktoś wytłumaczy. Logika, Sherrinfordzie. W każdej kwestii musimy stosować najbardziej elementarną logikę.

Rozmowa z Arrowem, jego umiejętność dostrzegania szczegółów i subtelna potęga dedukcji urzekły mnie i spowodowały, że zrobiło mi się lżej na duszy, gdy zmierzaliśmy do wyjścia z aresztu.

– Teraz, mój drogi przyjacielu, musimy skoncentrować się na sprawie – oznajmił Arrow.

– Mam bardzo jasny pogląd na to, co robić: odszukać przyjaciół malarza. A pana zdaniem?

– Najpierw powinniśmy zdobyć numer „La Vanguardii”, żeby dowiedzieć się, jakaż to wiadomość nie spodobała się Fontemu. Inną kwestią jest dowiedzenie się, kto nas polecił.

– Dlaczego?

– Dlatego że wiem o sprawie tyle samo, co pan, i potrzebuję więcej danych. W każdym śledztwie są jakieś wyjątkowe okoliczności, które powinny zwrócić naszą uwagę, i to jest jedna z nich. Ponadto musimy zbadać zwłoki zamordowanych kobiet. A pan z pewnością zapyta dlaczego.

– Właśnie to zamierzałem uczynić.

– Dlatego że martwi też mają nam dużo do powiedzenia, mój drogi Sherrinfordzie. Oni pragną udzielić nam informacji.

40.

## Co za hańba!

Najgorsze było spotkanie z ojcem, kiedy po trzech dniach wypuścili chłopaka z lochu. Pablo nie zdradził prawdziwego powodu uwięzienia, ale kłamstwo nie uspokoiło rodziny. Trzy dni bez żadnej wieści, ponieważ został zatrzymany w łapance, wtrącony do śmierdzącego lochu z anarchistami i ludźmi z marginesu. Jego matka z rozpaczony rwała włosy z głowy.

– Czyś ty oszalał? Nie wiesz, co się dzieje w tym mieście? Twoja matka o mało nie umarła, nie mogliśmy niczego się o tobie dowiedzieć. A teraz przychodzisz do domu i mówisz nam, że policja się pomyliła i wrzucili cię do jednego wora z ludźmi, którzy podrzucają bomby gdzie popadnie.

– Znalazłem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie – uciął Pablo.

– I tylko tyle masz nam do powiedzenia? Nikt z naszej rodziny nie siedział w więzieniu. Co za hańba!



Pablo nigdy wcześniej nie widział ojca tak wytrąconego z równowagi. Jego spokojny i łagodny urok zniknął. Jeszcze gorzej by było, gdyby powiedział im prawdę: że zamknięto go jako podejrzanego o morderstwo.

– No dobrze, najważniejsze, że już jest w domu i że wszystko okazało się nieporozumieniem – powiedziała matka, żeby załagodzić sytuację. – Pablo, prawda, że nie masz z tamtymi ludźmi nic wspólnego?

– Nic a nic, matko, zapewniam.

Tej nocy Pablo nie mógł zasnąć. Został w domu rodziców i bał się wyjść.

Następnego ranka postanowił wrócić do pracowni. Musiał znaleźć zeszyt i ten przeklęty nóż.

41.

## Martwi mówią

Trup był brutalnie zmasakrowany, co w połączeniu z zaawansowanym stadium rozkładu sprawiło, że musiałem się odsunąć. Byłem lekarzem wojskowym i niejedno widziałem na wojnie: potworne rany i żołnierzy umierających w strasznych warunkach, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego jak to, co zobaczyłem, kiedy wyjęliśmy zwłoki z grobu i przystąpiliśmy do ich badania. Cóż za umysł ma ten bezlitosny i okrutny zbrodniarz? Skąd wzięła się tak chora nienawiść do tej nieszczęsnej kobiety? Naszym oczom ukazał się obraz zatrważający i przyprawiający o dreszcze. Ujrzałem biedną bezbronną dziewczynę, która wpadła w łapy diabelskiego osobnika pozbawionego litości. Jeśli kiedyś widziałem zło w czystej postaci, to właśnie w tej chwili, i nie mogłem tego znieść.

- Co panu jest, Sherrinfordzie?
- To straszne. Jeśli pan wybaczy... – wykrztusiłem, podchodząc do drzwi, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Arrow miał bardziej wytrzymały żołądek niż ja, jednak nie udało mu się mnie oszukać: gdy badał zwłoki i słuchał wyjaśnień lekarza sądowego, miał kamienną twarz, lecz ja dostrzegłem współczucie, zupełnie nieobecne w oczach Fontego, który też tam z nami był.

– I mówi pan, że w środku ciała były pestki granatu?

– Na miejscu wątroby. Wyciągnęli ją i, jak panu mówię, na jej miejsce włożyli pestki granatu. To samo zrobili drugiej kobiecie. Podejrzewam, że to jakiś makabryczny żart.

– Co ma pan na myśli?

– Stosujemy pestki granatu jako lekarstwo na choroby gardła.

Lekarz sądowy miał rację. My również stosowaliśmy je, obok różnych innych roślin leczniczych, przy wspomnianych dolegliwościach.

– No i? – dopytywał Arrow, pragnąc, by lekarz udzielił wyczerpujących wyjaśnień.

– Chodzi o to, że najpierw podejrzięto dziewczynom gardła, a dopiero potem okaleczono ich ciała. Wygląda na to, że morderca ma wyjątkowo makabryczne poczucie humoru. To chciałem powiedzieć.

– Zawsze to jakieś wyjaśnienie. Ale nie sądzę, by miał pan rację.

– Co to znaczy? Co chce pan znaleźć, badając nieboszczkę? Mamy pełny raport medyczny, a także wszystkie zebrane dotąd informacje i poszlaki – rzekł Fonte.

Nadinspektor był oburzony. Wzywanie lekarza sądowego o tak niestosownej porze, jazda na cholerny cmentarz, wyciąganie trupa tej nieszczęsnej dziwki, gnijącego, poharatanego nożem i wybebeszonego gorzej niż cielę, nie wydawały mu się odpowiednim

sposobem na rozpoczęcie śledztwa. Ale obcokrajowcy, jak się później dowiedziałem, zawsze wydawali mu się zboczeńcami, a Arrow nie był lepszy, oglądając ciało przez lupę, opukując je palcami w rękawiczkach, pochylając się nad zwłokami i szukając nie wiadomo czego. Na Boga, co za ohyda! Fonte dostał jednak rozkazy i były one jasne: pomóc temu cudakowi, który podaje się za detektywa, we wszystkim, czego sobie zażyczy. Tak właśnie, jak mi się zdawało, myślał sobie ten typ, kiedy obserwowałem go kątem oka.

– Czego, u licha, pan szuka? – powtórzył pytanie Fonte.

Arrow nie odpowiedział. Oglądał ubranie dziewczyny i coś przykuło jego uwagę: w niektórych miejscach widniały czarne plamy. Podniósł jedną rękę nieboszczki i przyjrzał się dłoni. Potem zrobił to samo z drugą. Były zaczernione.

– Sadza – wyjaśnił lekarz sądowy. – Dziewczyna nie była zbyt czysta.

Arrow poskrobał ubranie i pobrał próbki czarnego proszku, które umieścił w kopercie.

– Podejrzewam, że mają panowie laboratorium chemiczne. – I nie czekając na odpowiedź, dodał: – Chciałbym to oddać do analizy. – Pokazał Fontemu kopertę.

– Oczywiście, że mamy, ale nie rozumiem, co pan chce udowodnić. Chyba mi pan nie powie, że przyjechaliśmy tu i zorganizowaliśmy to wszystko z powodu jakichś plam.

– Powiedzmy, że te plamy to miła niespodzianka. Przybyliśmy tu, bo chciałem, żeby dziewczyna opowiedziała mi o morderstwie, żeby dostarczyła mi informacji.

– I co, przemówiła? Dała je panu? – zapytał Abel Fonte z przekąsem, szukając aprobaty asystentów. Dwaj policjanci, którzy nam towarzyszyli, lekko się uśmiechnęli.

Nie uszło to uwagi Arrowa i jak zawsze znalazł celną odpowiedź, nie przepuszczając okazji, by ośmieszyć Fontego.

– Mając na względzie jej opłakany stan – powiedział – biedna Marta Planas powiedziała wystarczająco dużo. A co do pana poprzedniego pytania o nasiona granatu, to nie chodzi tu o makabryczny żart.

Arrow zrobił pauzę, dość długą, aby zainteresować niewielkie grono słuchaczy oraz pozwolić mi odejść od futryny drzwi, o którą się opierałem, i zbliżyć się do grupy. Arrow podsumował:

– Nasz morderca, to rzecz oczywista, ma doskonale wykształcenie klasyczne.

Nikt z obecnych nie zrozumiał, co Arrow ma na myśli, a z jego następnych słów wynikało, że na razie nie udzieli dalszych wyjaśnień.

– A teraz, jeśli panowie pozwolą, chciałbym udać się do mego gabinetu i przejrzeć fotografie, zapiski naszego przyjaciela i wreszcie to wszystko, czym panowie dysponują, jeśli chodzi o tę sprawę.

42.

## Przybywam z piekieł

– Co powiedziałaś rodzicom? – zapytał Pallarés, gdy wszedł do pracowni Pabla.

– Że zgarnęli mnie w łapance, biorąc mnie przez pomyłkę za anarchistę. A potem, po rozpoznaniu, wypuścili. I że nie jestem o nic podejrzany. Chciałem zyskać na czasie, Manolo. Nie mogłem powiedzieć im prawdy, moją matkę by to zabiło.

– A to prawda, że nie jesteś podejrzany?

– Nie wiem. Myślę, że nadinspektor nie chciał mnie wypuścić. Jestem na wolności dzięki pewnemu Anglikowi.

I Pablo opowiedział o rozmowie z Arrowem oraz jego pomocnikiem na więziennym dziedzińcu.

– Wygląda na to, że poproszono go o pomoc w rozwiązaniu sprawy – podsumował.

– Zabili Negrę, Pablo.

– Negrę?

– Tak, noc wcześniej, zanim poszedłeś na policję.

– Nadinspektor nic mi nie powiedział – odrzekł Pablo zdziwiony.

– Potworna zbrodnia. Zabili ją tak samo jak Martę Planas. Wypatroszyli jak świnie. Co się dzieje, Pablo? O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego akurat te dwie dziewczyny?

Ta wiadomość sprawiła, że Pablo podupał na duchu. Kolejne straszliwe i bezsensowne zabójstwo. Nie był więc podejrzany o jedną, ale o dwie nikczemne zbrodnie.

– Nie wiedziałem. Anglik nic mi nie powiedział o zabiciu Negry. Fonte też nie, kiedy przyniosłem mu pudełko.

– Być może dlatego jesteś na wolności. Bo nie mogłeś o tym wiedzieć. To musiał wydedukować ten twój Anglik. No a Fonte... on już miał swojego podejrzanego, więc po co miał cię informować.

– Po prostu wsadził mnie do więzienia, jakbym był jakimś... – Pablo nie dokończył zdania. – A zatem ten drugi narząd nie należał do Marty, lecz do Negry – wywnioskował malarz.

Manolo zauważył, że w pracowni panuje straszny bałagan. Pablo przewrócił wszystko do góry nogami, ponieważ przez wiele godzin szukał dwóch zaginionych przedmiotów.

– Nadal szukasz noża? Tego, który podarowałem ci w Horcie?

– Tak, nigdzie go nie ma.

– Pytałem wszystkich naszych przyjaciół. Mówiłem im, że chodzi o poważną sprawę i że to nie są żarty. To żaden z nich, Pablo. Ani Raventós, ani Patas, ani Santiago... żaden z nich... żaden. A poza tym, jeśliby tak było, to któryś z nich musiałby mieć coś wspólnego z zabójcą, co jest najbardziej niepojęte. Łączysz

dwa fakty, które nie są powiązane. Ta kradzież nie ma nic wspólnego z zabójstwami.

– No dobrze, może masz rację, może bredzę. – Pablo milczał przez chwilę, po czym zapytał: – A Ricardo Sitwell? Pytałeś go?

– Nie. Nikt go ostatnio nie widział. Nie spotykał się z nami ani w Czterech Kotach, ani nigdzie indziej.

– To bardzo dziwne.

– Pewnie jest chory. Widziałem za to pomocnika twojego angielskiego detektywa. Wypytywał nas.

– O co?

– O nas, o wszystkich twoich przyjaciół.

– Po co?

– Pewnie trwa dochodzenie. To ciekawski typ. Ramón Casas bardzo go polubił. Spodobało mu się, że zainteresował się jego malarstwem.

Pablo sprawiał wrażenie, jakby jego umysł błędził w innym świecie.

– Pablo, czy ty mnie słuchasz? Co było w tamtym zeszycie?

– One tam były, Manolo. Narysowałem je.

– Martę i Negrę?

– I Francuzkę, i Benignę, i Carmen. Narysowałem ich pięć. Blok pełen jest rysunków, notatek i szkiców ich wszystkich. Rozumiesz teraz, o co mi chodzi? A jeśli zeszyt wpadł w ręce mordercy? Po co mu on?

– Nie myślisz chyba, że któryś z nas...

– Nie, nie myślę tak. Mówię tylko, że morderca może go mieć.

– Ale w jaki sposób wszedł w jego posiadanie? Nikt nie ma wstępu do twojej pracowni poza kilkoma przyjaciółmi i dziewczynami, które pracują w maglu pracowni gorseciarskiej.



- Wiem, wiem...
- Pytałeś dziewczyny?
- Tak, żaden nieznajomy tu nie wchodził. Przynajmniej nikt go nie widział. W zeszycie było coś jeszcze...
- Coś jeszcze?
- Był on.
- Kto? Czy chcesz powiedzieć, że narysowałeś potwora, który zabił nasze przyjaciółki?
- Tak.
- A rozmawiałeś o tym z policją?
- Z Fontem? Nie miałem na to czasu. Po prostu zamknął mnie, i tyle.
- A z Arrowem?
- Tak. Opowiedziałem mu o trzech spotkaniach z zabójcą i narysowałem nóż.
- Widziałeś zabójcę aż trzy razy?
- Tak, ale wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero później zacząłem łączyć wątki.
- Dobrze, miejmy więc nadzieję, że Arrow połączy je wszystkie i że dla twojego dobra rozwikła tę zagadkę jak najszybciej.
- Dla dobra dziewcząt też.
- O co ci chodzi?
- Wydaje mi się, że grozi im niebezpieczeństwo. Ten człowiek chce je dopaść, jestem przekonany, nie wiem tylko dlaczego. Ale umarłbym, gdyby z mojej winy coś przytrafiło się Carmen.
- Tak nie będzie. A poza tym, dlaczego miałyby to być z twojej winy? Ty nie jesteś niczemu winny. To jakiś szalony łotr, to wszystko.

– Potwór, który, z jakiegoś dziwnego powodu, nienawidzi mnie tak bardzo, że chce zabić pięć biednych dziewczyn. Powiedział mi to, aleja go wtedy nie zrozumiałem: „Przybywam z piekieł, by cię tam porwać”. Tak powiedział.

43.

## Hades i Marsjasz

Nigdy w ciągu tych siedemnastu lat, które spędziłem z moim przyjacielem Stevenem Arrowem, nie widziałem go tak zaangażowanego w rozwikłanie zagadki. Nadinspektor Fonte udostępnił mu niewielki gabinet, który przylegał do jego gabinetu (prawdopodobnie po to, by nie spuszczać go z oka), gdzie już pierwszego dnia Arrow zamknął się i badał wszystko, co było wiadomo o straszliwych zbrodniach.

Na jego stole piętrzyły się raporty policyjne i sądowe oraz te z oględzin zwłok. Pod ścianami ustawił tablice, na których poprzyklejał zdjęcia ofiar i plan miasta w dużej skali, a na nim zaznaczył miejsca, gdzie znaleziono ciała nieszczęsnych kobiet, i zrobił kredą kilka notatek. Poza tym na stole urządził niewielkie laboratorium chemiczne, które umożliwiło mu przeprowadzanie eksperymentów. Poprosił, by mu nie przeszkadzano, chyba że wydarzy się coś mającego związek z dochodzeniem.

Gdy następnego dnia po naszym przyjeździe wszedłem do jego pokoju, zastałem go wyglądającego przez okno. Wiedziałem, co to oznacza, bo widywałem go w tej pozie wiele razy: jego umysł pracował. Kiedy tak stał cicho, z podbródkiem wspartym na jednej ręce, wiedziałem, że jego mózg jest w stanie wrzenia. „Jestem mózgiem, Sherrinfordzie, reszta to dodatek” – mawiał. Na jego twarzy malował się jednak ból, coś, czego nigdy dotąd nie widziałem, gdyż był on człowiekiem wielkiego hartu ducha, przyzwyczajonym do skrywania emocji. Ale tym razem nie mógł mnie zwieść.

– Wcześniej pan wyszedł z hotelu dziś rano, nawet nie zauważyłem kiedy – odezwałem się.

– Musiałem popracować.

– A co pan robił w nocy? Nie słyszałem, jak pan wrócił.

– Gdy skończyłem pracować w laboratorium, odwiedziłem miejsca, w których doszło do tych strasznych zbrodni. Musiałem się rozejrzeć.

– A czy odkrył pan coś w laboratorium?

– Powiem panu, że tak, mój drogi Sherrinfordzie. Odkryłem naprawdę interesujące rzeczy, ale, jeśli pan pozwoli, wolałbym na razie zachować swoje odkrycia dla siebie. Wszystko we właściwym czasie.

– Jak pan sobie życzy. Muszę jednak wyznać, iż mnie pan zaintrygował.

– Jeszcze kilka dowodów i jak zawsze dowie się pan o wszystkim pierwszy. Na razie proszę zadowolić się tym, że jesteśmy na dobrej drodze do rozwiązania sprawy.

– Tak szybko?

– Tego bym nie powiedział. Niestety, jeśli nie zdołamy temu

zapobiec, dojdzie do kolejnej zbrodni. Prawdopodobnie tej nocy lub być może jutro.

– Przeraża mnie pan, Arrow.

– To nie ja jestem tym, kto ma pana przerażać, lecz ten przekłety drań, któremu musimy rzucić rękawicę tak prędko, jak to tylko możliwe.

– Wie pan, kto jest mordercą?

– Nie mam pewności, ale wiem, jak działa, i mogę pana zapewnić, że do trzeciej zbrodni dojdzie tej nocy. A czego pan się dowiedział?

Przedstawiłem mu owoce moich dociekań. Opowiedziałem szczegółowo o wszystkich przyjaciołach młodego malarza, i choć wydawało mi się, że Arrow mnie nie słucha, wiem, że nie umknął mi ani jeden szczegół. Następnie pokazałem mu numer „La Vanguardii” z poprzedniego dnia i odczytałem artykuł, który tak nie spodobał się Fontemu. Podpisany był przez niejakiego Liberta Manenta i mówił o staraniach o naszą pomoc w rozwiązaniu zagadki. Reszta artykułu traktowała o nieudolności Fontego jako zwierzchnika miejskiej policji, co skonstrastowano z panegirycznym na cześć naszej pracy. Artykuł kończył się wychwalaniem pod niebiosa Arrowa jako prawdziwego przywódcy w walce ze zbrodnią.

– Nie dziwi mnie to niezbyt ciepłe przyjęcie, jakiego doświadczyliśmy ze strony nadinspektora Fontego – rzekł Arrow.

– Tak, to oczywiste, że artykuł musiał go zabołeć.

Podszedłem do ściany i obejrzałem tablice. Wypisanych było na nich kilka zdań na temat zabójcy. Wyłaniał się z nich obraz osoby, z którą mamy do czynienia.

– Widzę, że nakreślił pan krótką charakterystykę tego potwora.

Arrow nie odpowiedział, a ja nadal czytałem jego zapiski. Było kilka nazwisk, które znałem, ale związku, jaki mogły mieć z naszą sprawą, z początku nie dostrzegłem: Guilles de Rais, Elżbieta Batory, doktor Holmes, Walter Gein. Nazwiska znanych zabójców, którym, między innymi, Arrow poświęcił jedną ze swych słynnych monografii.

Opublikował kilka interesujących studiów, jak na przykład to na temat wpływu zajęcia na kształt dłoni i inne, zaiste wybitne, o rozmaitych typach popiołu: były to badania jego zdaniem doniosłe dla penetracji umysłu zbrodniarza. Arrow (nie wiem, czy mówiłem o tym wcześniej) był prawdziwym specjalistą od historii zbrodni i literatury sensacyjnej i znał każdy szczegół każdego okropieństwa popełnionego w naszej epoce.

Jeśli nie rozpoznasz, czytelniku, tych nazwisk, to powiem, że Guilles de Rais był francuskim szlachcicem, który walczył w wojnie stuletniej u boku Joanny d'Arc. Nie tym się jednak wślawił, lecz zamordowaniem setek dzieci. Dokonał tego w swoim zamku, gdzie mieszkał, otoczony alchemikami, czarownikami i czcicielami diabła.

Elżbieta Batory, bardziej znana pod przydomkiem „Krwawa Hrabina”, była węgierską szlachcianką, która, mając obsesję na punkcie swojej urody, nie wahała się torturować i zabijać młodych kobiet, by kąpać się w ich krwi. Gdy ją pojмали, w jej zamku i okolicach znaleziono mnóstwo trupów.

Specjalnością doktora Holmesa, który w rzeczywistości nazywał się Herman Webster, były bogate kobiety. Żenił się z nimi, a następnie mordował. Tak zgromadził olbrzymi majątek, dzięki któremu wybudował hotel Chicago. Tam nadal zabijał kobiety, które uprowadzał, a zwłoki sprzedawał uczelniom medycznym.

Ostatnie z nazwisk na tablicy, Walter Gein, należało do osobnika z New Hampshire, który między 1870 a 1875 rokiem zabił czternaście kobiet. Pierwsza z nich była pracownicą huty żelaza w jego mieście. Wszystkie znajdowano obdarte ze skóry i powieszono na drzewie. Później odkryto, że więzią łączącą ofiary była muzyka.

Dwa imiona na tablicy szczególnie przykuły moją uwagę: Hades i Marsjasz.

Bardzo chciałem zapytać Arrowa, jaki mają związek ze sprawą, którą próbujemy rozwiązać. Mój przyjaciel, jak to często bywało, odgadł, co mi chodzi po głowie, i powiedział:

– Zastanawia się pan, co te dwa imiona robią na tablicy? No dobrze, prawdziwe pytanie to: co łączy ich z zabójcą? Jakie myśli pojawiają się w głowie seryjnych morderców, kiedy postanawiają popełnić zbrodnię? Żądza władzy, nienawiść, zemsta?

– Dobrze, a według pana, co ich łączy?

– Wszyscy oni działają na chłodno, urządzają krwawe łaźnie dla czystej przyjemności. Przyjemność, Sherrinfordzie, oto, co łączy wszystkie te potwory z naszym Kubą.

– Ale czy jest pan pewien, że chodzi o Kubę Rozpruwacza?

– Tak, mój drogi przyjacielu. A powrócił nie po to, żebym go schwycił, lecz by ze mną poigrać. Żadna z tych bestii nie chce być złapana. Ale taki jest nasz cel: usunąć go ze społeczeństwa, by zapłacił za swe zbrodnie. Nasz Kuba, tak jak wszyscy oni, nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu zbrodni, które popełnia. Jaki jest jego prawdziwy i najstraszliwszy motyw?

– Proszę mi to zdradzić.

– Posiąć władzę absolutną, mieć możliwość decydowania o życiu i śmierci tych, którzy stają się jego celem. Jest w tym sadyzm i chorobliwa przyjemność seksualna.

– Ale nawet ich nie tyka, to znaczy...

– Wiem, co chce pan powiedzieć. Ale to inny typ rozkoszy seksualnej. Morderca pała żądzą doświadczenia tego, co odczuwa się, zabijając człowieka: nienawiści, pogardy, chorej satysfakcji fizycznej i psychicznej. Te emocje sprawiają, że popełnia zbrodnie bez poczucia winy, bez wyrzutów sumienia, które by mu to unie-możliwiały. A wszystko z zastosowaniem przemocy, która narasta z każdą nową ofiarą. Ten potwór zdobywa ich zaufanie, a następnie działa na zimno i z premedytacją. Być może podniecają go szlochy i błagania ofiary, jej cierpienie.

– A dlaczego prostytutki?

– Ma żal do tego rodzaju nieszczęsnych kobiet. Być może coś mu się kiedyś przydarzyło, ale to nie ma znaczenia. Nigdy nie powinniśmy szukać motywów, które by go usprawiedliwiły. Proszę nie zapominać, że on zabija dla przyjemności zabijania.

To ostatnie zdanie wygłosił bardzo pewnym tonem. Dla Arrowsa był to potwór i nic, choćby moralnie nieusprawiedliwionego, co świadczyłoby na jego korzyść, nie mogło tego zmienić. Był nie-ugięty. „Polujemy na potwory i oddajemy je w ręce sprawiedliwości, to nasze zadanie. Temu zawsze chciałem poświęcić życie” – mówił mi przy niejednej okazji.

– A jeśli chodzi o te dwa imiona?

– Ma pan na myśli Marsjasza i Hadesa?

– Co Marsjasz i Hades mają wspólnego z naszym śledztwem?

– Powiedziałbym, że to determinanty, ponieważ pozwalają nam opracować profil naszego mordercy.



Sporządzanie profilu stanowiło część metody śledczej Arrowa, a polegało ono na dociekaniu, jakie cechy charakteryzują zabójcę, aby stworzyć dokładny portret bestii, zarówno fizyczny, jak i psychiczny. Sięgał w tym celu do swej genialnej pamięci i do naszych archiwów, ale też do wszystkich śladów z miejsca zbrodni oraz tego, czego dostarczyć mogły medycyna sądowa i sama ofiara. Biorąc to wszystko pod uwagę, Arrow określał, z jakiego środowiska pochodzi przestępca.

– Jak pan wie – ciągnął Arrow – Marsjasz był mitologicznym muzykiem i satyrem, który podniósł flet rzucony przez boginię Minerwę. Wyzwał samego Apolla na muzyczny pojedynek, w którym przegrany miał pozostać na łasce swego rywala. Zwyciężył Apollo, grając na lirze, po czym powiesił pokonanego na drzewie i żywcem obdarł go ze skóry. Tak właśnie robił, jak pan pewnie pamięta, nasz seryjny zabójca Walter Gein. Wszystkie jego ofiary były muzykami lub wielbicielami muzyki, a sam Walter Gein nigdy nie zdołał zaliczyć nawet trzech pierwszych semestrów konserwatorium. Nasz Kuba również ma nieprzeciętne wykształcenie klasyczne. Kiedy, jak pan pamięta, przyglądaliśmy się zwłokom, odkryliśmy, że obydwie kobiety mają w swych ciałach drobinki owocu granatu. Lekarz sądowy przypuszczał, że to ponury żart łotra.

– Pan zaś uważał, że to przypuszczenie nie było trafne.

– Istotnie. Hades, pan piekieł, kiedy porwał Persefonę, po lamentach jej matki, która błagała, by pozwolił córce wrócić, wypuścił ją na pewien czas, ale pod warunkiem, że wróci. Ponieważ jednak Hades nie ufał Persefonie, kazał jej zjeść owoce granatu.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Dlatego że ci, którzy raz skosztowali piekielnego owocu, nigdy nie odejdą na zawsze, kiedyś muszą wrócić. Tym sposobem Hades przywiązał ją do swego królestwa, gdyż jeśli ktoś wziął coś z królestwa umarłych, nigdy nie mógł go opuścić. Morderca przekazuje nam, że wysłał te dziewczyny do piekła. Choć my mamy ich potwornie wypatroszone ciała, to ich dusze właśnie tam się smażą. Takie przesłanie zostawił nam Kuba. Przesłanie, które, jak pan zapewne rozumie, nie mogło zrodzić się w głowie prostego i nieuczynnego marynarza, dokera, tragarza, rytownika czy szewca. Nie, ten człowiek jest wyedukowany. Musi to być przedstawiciel burżuazji lub ktoś zamożny, kto odebrał doskonałe wykształcenie.

Słuchałem wywodu Arrowa i nie mogłem wyjść z podziwu. Na przestrzeni lat moje zdumienie jego błyskotliwymi osądami zmieniało się w szacunek i zachwyt.

– A właśnie, Sherrinfordzie, czy przejrzał pan te dwie notki, które panu dałem?

– Oczywiście. – Spojrzałem na zegarek i oznajmiłem: – Pan Liberto Manent będzie oczekiwał nas w swoim gabinecie w redakcji „La Vanguardii” za pół godziny. Co do drugiej, otrzymałem odpowiedź od pana Sitwella. Przyjmie nas jutro.

– Dobrze, sądzę więc, że nie powinniśmy dłużej zwlekać. Nie lubię spóźniać się na umówione spotkania.

Właśnie mieliśmy wyjść, gdy – bez uprzedzenia i bez pukania – do gabinetu Arrowa wszedł nadinspektor Fonte. Pierwsze, co zrobił, to stanął jak wryty, gapiąc się na tablice.

– Czy życzy pan sobie czegoś? – spytał Arrow.

– Może powinniśmy się zebrać, aby wprowadził nas pan w tajniki swego interesującego dochodzenia – powiedział Fonte z wyraźną obłudą.

– Dziś po południu o siedemnastej, nadinspektorze Fonte. Byłbym wdzięczny, gdyby zebrał pan wszystkich swoich ludzi, którzy zajmują się sprawą.

– Dobrze, a więc o siedemnastej – powiedział Fonte, który najwyraźniej oczekiwał jeszcze jakichś informacji na temat zebrania.

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy z biura.

– Proszę zamknąć drzwi, gdy będzie pan wychodził – powiedział Arrow przyjaznym tonem.

44.

## Nowoczesna gazeta

Liberto Manent przyjął nas bardzo serdecznie, a zarazem bardzo po dziennikarsku, czyniąc z naszej wizyty prawdziwe wydarzenie. Gdy tylko przybyliśmy do siedziby gazety, wyszedł nam na powitanie. Był to człowiek uprzejmy i żywiołowy.

– Jestem zachwycony, mogąc pana poznać, i pana również, rzecz jasna – powiedział, wyciągając do nas rękę. – Jeśli panowie pozwolą, pokażę wam redakcję.

Oprowadzał nas po różnych działach, przedstawiając nas wszystkim i mówiąc: „Oto Steven Arrow, sławny detektyw, i jego pomocnik, doktor Sherrinford”. Opowiadał też różne rzeczy na temat gazety.

– Jak panowie widzą, to nowoczesny dziennik. To już nasza trzecia siedziba. Przenieśliśmy się tu, na Rambla de los Estudios, we wrześniu dziewięćdziesiątego drugiego roku. Jak mogą panowie zauważyć, dysponujemy światłem elektrycznym we wszystkich działach i oczywiście telefonem. Światło elektryczne emituje

niewiele ciepła i nie pochłania tlenu, dzięki czemu polepszyliśmy warunki pracy wszystkich zatrudnionych tu redaktorów i pracowników. Lokal przy ulicy Barberà był dla nas za ciasny i przestarzały. Teraz znajdują się panowie w siedzibie najnowocześniejszej redakcji w Europie.

Ostatnie zdanie wypowiedział z prawdziwą dumą, jakby to on, a nie panowie Godó, był właścicielem gazety. Arrow był oczarowany naszym gospodarzem i zadawał mu pytania, ciekawy jak zawsze wszystkiego, co nowoczesne.

– Czy widzieli panowie parter?

– Nie, ale czuję, że pała pan chęcią pokazania go nam – odpowiedział Arrow uprzejmie.

Tak też było. Poszliśmy za Manentem na parter, słuchając jego wyjaśnień. Odwiedziliśmy działy redakcji, administracji, druku i maszyn, przedstawiani każdemu napotkanemu pracownikowi.

Parter był zachwycający. Stanowił ogromną przestrzeń, gdzie wystawiano dzieła sztuki. Sala ta posiadała wspaniałą dekorację modernistyczną, zaprojektowaną przez sławnego scenografa Solera Rovirosy. Manent objaśnił nam każdy szczegół. W rogach kasetonowego sufitu, na co też nie omieszkaliśmy zwrócić naszej uwagi, umieszczono portrety czterech mistrzów dziennikarstwa: Larry, Piferrera, Mané y Flaquera oraz Álvareza Lorenzany.

– Ta sala nie powstała dla zysku, lecz dla idei. Chodziło o umożliwienie mieszkańcom dostępu do kultury, tak aby zarówno odwiedzających, jak i artystów nie kosztowało to ani grosza. Chodziło też o stworzenie miejsca spotkań dla wszystkich mieszkańców i ludzi sztuki, jak to zrobiło kilka najważniejszych gazet na świecie. Wystawiamy nie tylko obrazy, ale też starodruki, wszelkiego

rodzaju dokumenty o znaczeniu aktualnym i artystycznym, fotografie ważnych osobistości, które ze względów technicznych nie mogłyby być reprodukowane w gazecie. Nasze witryny stoją otworem dla wszelkich eksponatów i dzieł mogących zaspokoić ciekawość zwiedzających. Czy wiedzą panowie, że naszym prenumeratorom oferujemy nawet operowe audycje telefoniczne?

– No tak, ma pan rację, ośmieliłbym się stwierdzić, iż sam „Times” nie może się pod tym względem z wami równać – powiedział Arrow.

Ten komentarz bardzo uradował naszego amfitriona. Następnie udaliśmy się do jego biura, by porozmawiać o interesującej nas sprawie.

– Z ogromnym zainteresowaniem śledziłem wszystkie wasze przygody, które wyszły spod pióra doktora Doyle'a i przy współpracy doktora Sherrinforda ukazały się w druku.

– Hmm, powiedzmy, że w wielu opowiadaniach dopuszczono się pewnych nadużyć, ale generalnie było tak, jak napisano.

– Spośród wszystkich pana spraw moja ulubiona to *Niebieski karbunkuł*. Wiem, że nie jest to opowiadanie kryminalne, ale chodzi o sprawę niezwykle osobliwą, którą rozwiązuje pan z czarującą błyskotliwością. Poza tym to jedna z najbardziej pasjonujących pańskich zagadek.

Jeśli pamięć mnie nie myliła, mówił o sprawie z grudnia 1887 roku. Opowiedziałem historię doktorowi Doyle'owi i opublikowano ją w „Strand Magazine” w numerze ze stycznia 1892 roku. Doyle dołączył ją do książki pod tytułem *Przygody Sherlocka Holmesa*, którą oddał do druku George'owi Newnesowi w tym samym roku. Pamiętam dobrze tę sprawę, gdyż moja ukochana żona Constance

zmarła pod koniec tego samego miesiąca, wkrótce po rozwiązaniu zagadki. Było to zaledwie trzy miesiące po tym, jak się pobraliśmy.

– Byłem pod wrażeniem, ile potrafi pan wydedukować, przyglądając się kapelusze.

– Och, jak zapewne pan pamięta, była to tylko prosta obserwacja, a następnie dedukcja – odparł Arrow, skromnie pomniejszając swoje zasługi.

– Pańskie współczucie dla biednego złodzieja było godne podziwu.

– Gdybym posłał go do więzienia, gnąłby tam do końca życia. W moim fachu staram się odróżniać okazjonalnego przestępcę od recydywisty.

– Co nie pozwoliło panu uniknąć szykan ze strony niektórych spośród pańskich kolegów, na przykład na Kongresie Kryminologicznym w Genewie.

Manent wzbudził moją sympatię. Okazał się prawdziwym pasjonatem nie tylko przegód mojego przyjaciela, ale i jego osobistych perypetii. Ów kongres, który odbył się w 1896 roku, zakończył się kłótnią, kiedy Arrow zdeprecjonował pewne idee, które w tamtych czasach wydawały się nietykalne, szczególnie pomysły i teorie lombrozjańskie. Temat trafił do prasy i mój przyjaciel, broniący swego postępowego stanowiska, został przedstawiony w bardzo złym świetle.

– Tak, zostało to przedyskutowane na nowo rok później przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Kryminologów, którego byłem, jak pan wie, założycielem, wraz z panami Lisztem, Prinsem i Van Hammelem. Polemika doprowadziła do reformy ustawy. Dzięki mojemu studium na temat rozróżnienia pomiędzy przestępcami okazjonalnymi i recydywistami doprowadziliśmy do dywersyfikacji

kar i warunków ich odbywania. – Arrow zrobił pauzę i tonem, który zdradzał wielką wrażliwość, dodał: – Nie można teraz wieszać człowieka na szubienicy za kradzież kawałka chleba. Czasem jest potrzebne i moralnie słuszne wczuć się w rolę wszystkich takich Jeanów Valjeanów.

Manent pojął w lot to literackie odniesienie. Zauważyłem, że rośnie jego podziw dla Arrowa, jakby odkrywał u niego cechy, których wcześniej nawet nie podejrzewał.

– Wie pan co? Nie tak sobie pana wyobrażałem. Kreacja literacka nie dorównuje rzeczywistości. Nie jest pan osobą wszechwładną ani dumną, mówiącą szybko, ostro i przenikliwie, jak piszą w książkach. Mam wrażenie, że czasem chciałby się pan mylić. Pański wygląd i charakter nie przystają do książkowej postaci. Ma pan żelazną wolę, to prawda, i sposób pracy taki, jak pisze Doyle, jednak poza tym łapie pan te potwory nie dla zwierzęcej żądy łowów, lecz dlatego, że to pana przeznaczenie. Pan jest, w gruncie rzeczy, jak Achilles, powołany do wielkich czynów, ale tęskni pan do bycia człowiekiem. Pan postanowił o swoim losie, o tym, by poświęcić się umiejętności w służbie uwalniania nas od wszystkich tych kreatur, które nam zagrażają. I nie może pan tego zmienić.

– Niech pan nie wierzy we wszystko, co pan czyta, a nawet w to, co pan widzi. Czasem to, co widzimy, nie jest prawdą.

Tym zdaniem Arrow próbował zakończyć rozmowę, ponieważ zbyt dużo czasu poświęciliśmy jego osobie i czuł się niezręcznie. Z drugiej strony uświadomiłem sobie, że Manent przejrzał Arrowa, co zgadzało się z obrazem, jaki znałem, bo przecież spędziłem z nim mnóstwo czasu. Byłem oczarowany zmysłem obserwacji tego doświadczonego dziennikarza, który potrafił nakreślić tak precyzyjny



szkic osobowości i motywacji Stevena.

– W czym mogę panom pomóc? – zapytał wreszcie Manent, zdając sobie sprawę, że nadszedł czas, by zająć się tym, co nas tu sprowadziło.

– Pańska gazeta śledziła sprawę zamordowanych dziewcząt i chciałbym, żeby udostępnił mi pan materiał.

– Chodzi panu o fotografie?

– I o wszelkie informacje, które uzna pan za przydatne. Zdaje się, że z nadinspektorem Fontem nie łączą pana najserdeczniejsze stosunki.

– To nic osobistego. Po prostu uważam, że weteran wojny kubańskiej nie nadaje się do dowodzenia policją ani do prowadzenia śledztwa, w tej sprawie lub innej.

– Czy nie jest pan dla niego zbyt surowy?

– Nie wątpię w jego wartość jako żołnierza, ale jako detektywa, owszem, i to wszystko. Na szczęście przybył pan.

Arrow zbył ostatnią część wypowiedzi milczeniem i zaczęli rozmawiać o zbrodniach. Zauważyłem, że zgadzają się co do niektórych znanych nam już aspektów dotyczących natury popełnionych zbrodni i osoby mordercy.

– On się nie zatrzyma i przemoc wciąż będzie narastać – podsumował dziennikarz.

– Tak, w tym też się zgadzamy.

– Zobacz pan – dodał, wyciągając grubą teczkę z jednej z szuflad biurka. – Mam tu tuziny fotografii. Być może się panu przydadzą. Zdjęcia, których nie opublikowaliśmy, bo technika jeszcze na to nie pozwala, a zła jakość papieru wymaga dobrych reprodukcji. Ale pracujemy nad pewnym systemem, który w przyszłości pozwoli nam ulepszyć jakość druku zdjęć.

– Po co je więc robicie?  
– Żeby użyć ich jako materiału dla naszych rysowników. Fotografia nie dopuszcza błędu, łapie chwilę, a nasz dyrektor artystyczny, Josep de Passos, rozdziela je pomiędzy ilustratorów, by wykonali rysunki, które publikowane są w gazecie.

– To znakomity pomysł.

Jak się zorientowałem, Arrow, który chełpił się, że potrafi rozpoznawać różnice typograficzne całej londyńskiej prasy, nie wpadł na ten szczegół techniczny dotyczący fotografii.

– Niektórych nie odważamy się reprodukować ze względu na ich drastyczność. Niech pan sam oceni – rzekł Manent.

Rzeczywiście, fotografie były przerażające. Ale pokazywały nie tylko ofiary, lecz również otoczenie. Niektóre doskonale oddawały atmosferę zajścia: pokazywały tłum, a także pełne trwogi i paniki spojrzenia ciekawskich. Ten aspekt, jak zauważyłem, przyciągnął uwagę Arrowa.

– Ma pan lupę? – spytał.

– Oczywiście – odpowiedział Manent i podał mu olbrzymią lupę, którą trzymał w środkowej szufladzie biurka.

Ku naszemu zdumieniu Arrow przykładał lupę do zdjęć, na których tłum uniemożliwiał pracę stróżów porządku i próbował przedrzeć się przez kordon policji.

– Czego pan szuka?

– Już znalazłem – powiedział Arrow i zobaczyłem na jego twarzy satysfakcję kogoś, kto znalazł drobiazg o fundamentalnym znaczeniu.

Podał mi lupę i zdjęcie, któremu skończył się właśnie przyglądać, mówiąc:

– Proszę rzucić okiem, Sherrinfordzie.

Tak też zrobiłem i parę chwil później pojąłem przyczynę zadowolenia, które rozświetliło twarz mego przyjaciela.

– Marynarz?

– Tak jest, mój drogi Sherrinfordzie. Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

– Na niewiele nam się to przyda. Nie widać jego twarzy i z pewnością jest to przebranie.

– To prawda. Ale za to dzięki fotografii możemy domyślić się niektórych cech tego potwora, takich jak wzrost i budowa. W czym pomaga nam postać, która znajduje się w tym samym rzędzie, dwie głowy na lewo.

Przyjrzałem się zdjęciu przez lupę.

– Chłopiec?

– Tak, chłopiec dziewięciu- albo dziesięcioletni, który musi mieć około metra dwudziestu wzrostu. Z czego wnioskuję, że nasz potwór ma metr osiemdziesiąt, a co do jego budowy, to powinien ważyć koło osiemdziesięciu kilogramów. Potwierdzimy te dane u młodego malarza.

– Czy mogą mi panowie powiedzieć, co znaleźli? – spytał za-intrygowany dziennikarz.

Arrow podał mu zdjęcie. Kiedy Manent mu się przyglądał, Arrow opowiadał mu wszystko, czego dowiedzieliśmy się o marynarzu. Potem pokazał mu rysunek wykonany przez młodego Picassa. Podobieństwo było uderzające.

– Co pan wie o tym młodzieńcu?

– O malarzu? To chłopak bez wątpienia powołany do rzeczy wielkich. Teraz przygotowuje wystawę rysunków dla Czterech Kotów. Poznałem go w październiku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku, przy okazji wystawy malarza Nonella. Była to seria niepokojących prac, których tematem byli kretyni z Bohí.

Wystawiliśmy ją w sali, którą pokazałem panom wcześniej. Picasso przyszedł w towarzystwie dziewczyny trochę od niego starszej, bardzo ładnej, lecz zdumiewająco kruchej.

– Carmen?

– Tego nie wiem. Ale mogę zapewnić, że nie była artystką, mało tego, nie miała najmniejszego pojęcia o tym świecie. Wystarczyło na nią spojrzeć, przejść się za nią po sali, by zobaczyć jej oszołomienie i radość. Miała błękitne spojrzenie.

To wyrażenie, „błękitne spojrzenie”, zaskoczyło Arrowa, ale mu się spodobało. Dziennikarz bez wątpienia miał dobre oko, potrafił uchwycić istotę człowieka.

– Ja również nie sądzę, by młody Picasso miał coś wspólnego ze zbrodniami – podsumował Manent. – Mówi pan, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni?

– Nie zawsze, ale w tym przypadku jestem tego pewny. Zbrodniarze niekiedy delektują się swym dziełem i wtedy przybywają w chwili jego odkrycia, mieszając się z tłumem, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywarli na gapiach i policji. Z pewnością jest to kolejna perwersja, która potęguje ich poczucie siły.

– Zastanawiające w tym przypadku jest dziwne podobieństwo do wydarzeń z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku.

Ta wypowiedź zbiła nas obu z tropu.

– O czym pan mówi? – zapytał szybko Arrow.

– To panowie nie wiedzą? Fonte panów nie poinformował? – Manent zobaczył na naszych twarzach wyraz zaskoczenia i wywnioskował, że tak właśnie jest: nie zostaliśmy poinformowani. – Mówię o trzech dziewczynach zamordowanych między sierpniem a wrześniem osiem lat temu. Byłem wtedy początkującym pracownikiem gazety i obarczono mnie i innego kolegę zadaniem zatuszowania

sprawy. Jak panom mówiłem, popełniono trzy zbrodnie, ale poinformowaliśmy tylko o pierwszej.

– Z jakiego powodu?

– Powód jest nieistotny. Dostaliśmy instrukcje i nie pisaliśmy nic o dwóch pozostałych. Zbrodnie ustały, a mordercy nigdy nie złapano.

– Czy mógłby pan opowiedzieć nam wszystko, nie pomijając żadnego szczegółu, choćby wydawał się panu nieistotny?

Manent zaczął opowiadać wszystko, co pamiętał ze swojego udziału w tamtej sprawie.

– Tego ranka opuściliśmy redakcję gazety na pełnym gazie.

Towarzyszył mi Ramón Osorio, dobry fotograf. Wiadomość nadeszła parę minut wcześniej i dyrektor, Modesto Sánchez, wysłał nas na miejsce zbrodni. Poza funkcją rysownika, zdaje się, że bardzo dobrego, jak mówili koledzy, zajmował się tuszowaniem spraw. Ramón, mój kolega fotograf, zakochany w swoim mechanicznym urządzeniu, włączył się po Barcelonie, utrwalając wszystko, co widział. Obydwaj byliśmy zachwyceni, że możemy pracować w młodej, dynamicznej i nowoczesnej gazecie, która pożerała rynek dzięki znakomitemu wkładowi doskonałych redaktorów. „La Vanguardia” kończyła dziesięć lat i już przekraczała nakład pięciu tysięcy egzemplarzy, co było całkiem niezłym wynikiem, jak na nową gazetę, która musiała konkurować z tak znamienitymi tytułami, jak „El Diari de Barcelona”, „Diari Cátala”, „La Renaixença” i dwudziestoma innymi dziennikami, które sprzedawano w całej Katalonii.

Weźmy przy tym pod uwagę, że pięćdziesiąt procent mieszkańców miasta stanowili analfabeci. Ale dla prasy nastał dobry czas i każdy z dziesięciu tysięcy mieszkańców był gotów wydać parę

centymów na dziennik. Szef był prawdziwym spryciarzem, zdołał zebrać świetną paczkę współpracowników: Ixarta, Sardę, Coroleu, Maragalla, Massa i Torrentsa, Casellesa, Solera i Miquela Rahola. Modesto Sanchez, andaluzyjski dowcipniś i spryciarz, oprócz pozyskania do współpracy wybitnych intelektualistów stworzył działy atrakcyjne dla szerokiej publiczności: ogłoszenia, nekrologi, prognozę pogody, sejsmologię, rozkłady jazdy transportu lądowego i morskiego, sprawozdania sądowe. Carlos i Bartolomé Godo, twórcy gazety, mogli być bardzo zadowoleni z pracy Modesta Sáncheza, w końcu ponad trzydzieści procent zawartości poświęcano publicystyce, a gazeta przynosiła zyski. W odróżnieniu od pozostałych periodyków miała własny telegraf, cud techniki, dzięki któremu zdobywaliśmy informacje szybciej niż konkurenci. „La Vanguardia” narodziła się jako organ Partii Liberalnej, ale w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku, przy okazji Wystawy Światowej w Barcelonie, Modesto Sánchez przekształcił ją w dziennik niezależny, nieprzypisany żadnej partii politycznej. Jego dewizą stało się: być krytycznym wobec aktualnego rządu, a zarazem traktować go z szacunkiem, nie popierając żadnego.

- Proszę skupić się na naszej sprawie – odezwał się Arrow.
- Osorio i ja opuściliśmy siedzibę dziennika przy ulicy Barbera, poszliśmy dalej ulicą Uni6n, a następnie Rambla de Capuchinos aż do placu Kr6lewskiego. Ciało nieszczęsnej dziewczyny leżało na ziemi, na rogu ulic Obradors i Escudellers, w kałuży krwi. Wok6ł tłoczyli się ciekawscy. Osorio utorował sobie drogę, zainstalował aparat i zaczął robić zdjęcia. „Co za barbarzyństwo!”, wykrzyknął. „Zrobili z niej durszlak”, dodałem. Gdy m6j kolega zajęty był pracą, otworzyłem notes, wypytałem gapi6w,

naczelnika policji i medyka sądowego i po paru minutach zebrałem sporo informacji o tym, co zaszło. Pragnąc uzupełnić notatki, rzekłem do kolegi:

„Idę na ulicę Avinyó. Idziesz ze mną?” „Po co?” „Tam mieszkała ofiara”. „Ile czasu ci to zajmie?” „Pół godziny”. „Poczekam na ciebie na placu Królewskim, wypiję piwo”.

Na spotkanie z kolegą spóźniłem się dziesięć minut. Ofiara nazywała się Conchita Montes i miała dwadzieścia pięć lat. Na życie zarabiała, uprawiając prostytutkę na ulicach starego miasta i na obrzeżach Arsenału Królewskiego, dokąd zabierała klientów. Według sąsiadów była dobrą dziewczyną, która miała w życiu straszniego pecha. Przyjechała z południa, przez jakiś czas pracowała jako służąca w pewnym dobrym domu przy ulicy Princesa, aż kiedyś, bez powodu, wyrzucono ją na bruk. Jej narzeczony, Rafael Gómez, był łajdakiem, który imał się różnych zajęć i zmieniał je wraz z fazami księżyca, nieznaczący i kłótniwy, nigdzie nie mógł zagrzeć miejsca. Rafael wiedział, czym zajmuje się jego kobieta, ale nie obchodziło go to zbyt, dopóki na stole było jedzenie i butelka taniego wina. Tamtego wieczoru Conchita Montes zostawiła dwoje dzieci, pięcioletnie i czteroletnie, w domu sąsiadki. Rafael jeszcze nie wrócił. Wyszła jak co wieczór ze swojego małego mieszkania, zapewne wcześniej nieco się ogarnęszy. Umalowała się jak należy, włożyła brązową chusteczkę, nawieszała sobie ozdóbki na szyi i na prawej ręce. Mężczyźni lubili metaliczny brzęk jej biżuterii, kiedy szykowała się do natarcia. Wyszła na ulicę z ciężkim sercem, marząc o innym życiu dla swoich dzieci, z dala od tego próżniaka i marnej egzystencji, która wciągała ją coraz bardziej w bagno bez przyszłości. Conchita zapłakała, zatrzymując się na rogu ulicy Cervantesa. Otarła oczy rękawem chusteczki,

odetchnęła głęboko i poszła dalej. Nie zdawała sobie sprawy, że idzie za nią jakiś człowiek...

Arrow przerwał Manentowi. Oczywiście było, że Manent nie mógł wiedzieć, co działo się w głowie dziewczyny tamtej nocy, gdy ją zamordowano. Chce zostać pisarzem, pomyślałem.

– W każdym razie zasugerowano wam, żebyście nie próbowali dowiedzieć się niczego więcej i niczego nie publikowali.

– Tak było, ale to nie wszystko.

– O czym pan mówi?

– O przybyciu do Barcelony księcia Clarence'a.

Te słowa nas zmroziły. Ja milczałem, a Arrow zapytał zdumiony:

– Czy chodzi o wnuka królowej Anglii?

– O tego samego. O tym też nie pisaliśmy. Ale wie pan, jacy jesteśmy my, dziennikarze. Nic nam nie umknie.

– Proszę mówić dalej.

– Książę przebywał w Barcelonie prawie rok, w absolutnej tajemnicy. Mieszkał w niewielkim wynajętym pałacyku przy Paseo de Gracia. Przypuszczam, że nie było tam tak, jak w jego angielskiej rezydencji, ale urządził się wygodnie, był obsługiwany przez liczną służbę, której odpowiednim dobozem ktoś się wcześniej zajął. Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, chorował, a ponieważ jego stan się pogorszył, wrócił do Anglii. Nie sam... ale było to w tym czasie, mam na myśli jego pobyt w Barcelonie, kiedy dokonano zbrodni. Nie wydaje się to panu dziwne?

Arrow nie odpowiedział. Ta ostatnia rewelacja, zupełnie nieoczekiwana, sprawiła, że zamyślił się głęboko. Manent spoglądał na mnie, jakby oczekiwał, że zdradzę, co chodzi Arrowowi po głowie.



Ale ja w tamtej chwili nie byłem w stanie powiedzieć nawet, co sam o tym wszystkim sądzę.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie zostały odnalezione wszystkie trzy trupy – odezwał się w końcu Arrow.

– To mogę panu powiedzieć już teraz. Z tego, co pamiętam, sytuacja była podobna do obecnej: również nie zabito ich w miejscu, w którym je znaleziono.

To rzekłszy, Manent narysował na kartce plan, na którym zaznaczył miejsca, gdzie znaleziono ciała.

– Odnoszę wrażenie, że morderca nie dokończył dzieła. Z jakiejś nieznaney przyczyny przerwał... a teraz powrócił – powiedział Arrow.

– Pan też tak sądzi? – spytałem Manenta.

– Moim zdaniem zarówno motyw, jak i *modus operandi* są identyczne. Mam notatki zrobione w tamtym czasie. Jeśli pan sobie życzy, mogę je odszukać i panu przesać – odparł w końcu, zwracając się do Arrowa.

– Będę wdzięczny. Bardzo nam pan pomógł.

– To ja jestem panom wdzięczny. Jeśli nasuną się panom jeszcze jakieś pytania, proszę śmiało je zadawać. Prześlę wam moje notatki.

– Czy jest jeszcze coś, co chciałby nam pan powiedzieć?

– Tak. Wtedy nie dostaliśmy żadnych anonimów. Żadnej zarobkowej korespondencji. A właśnie, dlaczego on używa czerwonego atramentu?

– To prawda, dwa anonimy, które teraz przesał, wykazują podobieństwo do tych, które dostawaliśmy po zbrodniach w Whitechapel. Pamiętam, że w jednym z nich wyjaśnił nawet motyw: pisał czerwonym atramentem dlatego, że wcześniej próbował pisać krwią, ale od razu krzepła.

- Tak napisać?
- A także inne dowcipy, jak na przykład: *Z piekła przesyłam Panu pół nerki, wyjąłem ją z kobiety i zakonserwowałem dla Pana; drugą zamroziłem. Dobra była, naprawdę. Czy mogę prosić, by nazywał mnie Pan moim pseudonimem artystycznym? Pański oddany Kuba Rozpruwacz.*
- Proszę go złapać, Arrow – powiedział Manent przeświadczony, że tym razem tak się stanie.
- Tak zrobię, zapewniam pana.

45.

## Profil

Nadinspektor Fonte zebrał wszystkich swoich współpracowników w dużej sali komendy policji. W sumie komisarzy, inspektorów, agentów i strażników było ponad pięćdziesięciu. Marnotrawstwo i strata czasu – mogłem wyczytać z twarzy nadinspektora, który był bardzo niezadowolony, że musi udzielać swojemu oponentowi wsparcia logistycznego, i to z powodu zwykłych dziwek.

Arrow był wściekły na nadinspektora, gdy dowiedział się, że ten nie uznał za stosowne poinformować nas o zajęciach z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku. Ale to zachował na bardziej stosowną okazję, teraz miał opowiedzieć wszystkim o przebiegu śledztwa.

Pierwszy zabrał głos Fonte. Przedstawił Arrowa, a następnie, zupełnie nie w porę, rozpoczął dywagacje na temat przyczyn przestępstwa. Przestępcy, według niego, stanowią rasę zdegenerowaną fizycznie i moralnie. Albo cechuje ich niedorozwój psychiczny,

albo też są zdegradowani społecznie. Klimat, picie alkoholu czy przewaga semickich genów, jak i mniejszy obwód czaszki u złodziei i morderców niż u normalnych ludzi, miały być determinujące dla rozwoju umysłu kryminalisty.

Arrow spoglądał na niego, słuchając tego steku bzdur, które nie miały nic wspólnego z tematem zebrania. Ale Fonte gadał dalej:

– Panowie, skłonność do dolichocefalii właściwa jest kryminalistom, których proporcje twarzy są zaburzone. Mają oni wklęsłe czoło, wąskie i pomarszczone, ich łuki brwiowe są wystające, a oczodoły duże. Ich szczęki są wystające i silne, uszy mają odstające i długie niczym uchwyty. A co powiemy o wzroku mordercy? Jest twardy, zimny i nieruchomy, ale u złodzieja jest niespokojny i błędny. Jeśli chodzi o anatomię, kryminalista jest generalnie wielki i ciężki, rozmiarami znacznie przewyższa uczciwych ludzi. – A na koniec dodał: – Dlatego wszyscy przestępcy są do siebie podobni, nieważne, czy to Francuzi, Włosi czy Niemcy.

Obserwowałem Arrowa, który siedział ze spuszczoneym wzrokiem, zajęty rysowaniem.

– Co pan robi? – spytałem go po cichu.

Arrow podał mi rysunek. Spojrzałem na niego i omal się nie roześmiałem. Narysował osobnika o wszystkich cechach przedstawionych przez Fontego. Takiego potwora, gdyby istniał, zidentyfikować i zatrzymać nie byłoby trudno: był wyjątkowy. Oddałem rysunek przyjacielowi, a ten złożył go i schował do kieszeni.

Fonte zamilkł i oddał głos Arrowowi, który wstał i zaczął słowami:

– Po tej jakże interesującej wypowiedzi naczelnika Fontego

chciałbym przejść od ogółu do szczegółu. Jednym słowem, do tego, czemu musimy stawić czoło. Oczywiście mogą panowie mi przerwać i zadawać pytania. A zatem mamy do czynienia z kimś, kogo nazywamy seryjnym zabójcą.

– Z kim? – zapytał jeden z policjantów siedzących w trzecim rzędzie.

– Zabójcą, który zabija trzy lub więcej razy, robiąc przerwę pomiędzy każdą ze zbrodni.

– Nie mogą to być różni zabójcy? – spytał inny policjant.

– Nie – zabrzmiała krótka odpowiedź Arrowa, który nie zamierzał rozwijać tematu.

– Czy mówimy o płatnym zabójcy? – zabrzmiało trzecie pytanie.

– Nie, panowie, mówimy o zabójcy, który skrywa się pod maską normalności lub, jeśli wolicie, pod maską powagi i zrównoważenia. Każdy z nas mógłby być takim zabójcą, to jego najmocniejsza karta: wygląda na kogoś spokojnego i rozsądnego.

Na twarzy Fontego widziałem prawdziwe obrzydzenie. To, co słyszał, nie miało nic wspólnego z jego wystąpieniem.

– Ale chodzi o człowieka chorego – stwierdził.

– To prawda, że większość tych zabójców cierpiała w przeszłości na pewne zaburzenia, ale bardzo dobrze wiedzą, co robią – powiedziałem, starając się zrównoważyć stwierdzenie nadinspektora.

– Mogą popełniać zbrodnie pod wpływem rozmaitych impulsów, nazwijmy je „psychologicznymi”. Ale sądzę, że istnieją dwa motywy fundamentalne: żądza władzy i przymus seksualny – powiedział Arrow i zamilkł.

Wszyscy czekali, aż to wytłumaczy.

– Kiedy mordują – podjął – robią to, by mieć poczucie mocy albo z zemsty. Przyczyn powinniśmy szukać w tym, iż przeważnie czują się nieprzystosowani i bezużyteczni, być może dlatego, że w dzieciństwie byli poniżani lub stali się ofiarami wszelkiego rodzaju nadużyć. Dochodzimy więc do wniosku, iż rzeczony motywacje wykluczają płatnych zabójców czy zabójców innego rodzaju, którymi kieruje chęć zysku.

– A zatem powinniśmy szukać naszego mordercy wśród grup społecznych mniej uprzywilejowanych albo wśród ludzi o nieuporządkowanym trybie życia, jak malarze, artyści, ludzie teatru – wtrącił Fonte.

– To byłoby błędem. Zdumiałoby pana, jak wiele osób z klasy wyższej w moim kraju cierpiało z powodu takiego poniżenia. Nie, nie szukamy kogoś biednego czy pokrzywdzonego przez los. Szukamy kogoś bardzo brutalnego, nieczułego na cudze cierpienie. Psychopaty, który czerpie przyjemność, można powiedzieć seksualną, torturując, poniżając, zabijając. Kogoś, kto jest zdolny patroszyć swoją ofiarę, zabijać ją powoli, przedłużając jej cierpienie, gdyż, jak mówię, to daje mu rozkosz i poczucie nieskończonej władzy.

– Czyli wariat! Wariat! Tak jak mówiłem – ucieszył się Fonte.

– Jeśli tak pan woli... Sądzę jednak, że tak naprawdę chodzi tu o osobnika o wszystkich symptomach dysfunkcji, które opisałem, posiadającego ponadto niezwykle bujną wyobraźnię. Ten człowiek uważa się za artystę.

– Na przykład za malarza – wtrącił znowu Fonte, lejąc wodę na swój młyn. Miał już winnego i było oczywiste, że nie zamierza zmienić zdania.

– Wyobraźnia nie jest domeną malarzy. Nie, wyobraźnia tego człowieka jest skupiona na złu – zaznaczyłem, chcąc wesprzeć przyjaciela.

– W okresie dojrzewania fantazjują o morderstwach. Śnią im się na jawie, w sposób kompulsywny, obrazy dominacji, całkowitego podporządkowania, a także zabijania. A kiedy postanawiają to zrobić, wtedy to, co występowało w wyobraźni, pojawia się w prawdziwych zbrodniach – uzasadnił Arrow.

– Według naszego doświadczenia – powiedziałem – w wieku dziecięcym osobnicy tacy wzniesają pożary lub niszczą różne obiekty tylko po to, by poczuć emocje i przyjemność. Torturują zwierzęta, bo odnajdują w tym satysfakcję. I nie mówię tu o wyrzucaniu nóżek pająkom czy deptaniu mrówek, ale o zabijaniu i torturowaniu zwierząt dużo większych, jak koty i psy. A ponadto moczą się w łóżko.

To ostatnie wywołało wesołość funkcjonariuszy, którzy skądinąd śledzili z uwagą nasze wywody.

– Proszę się nie śmiać. Enurezja jest bardzo częsta w dzieciństwie tych zbrodniarzy. A już z pewnością wykazują impotencję lub przynajmniej mają poważne problemy z kobietami.

– A czy mordercami mogą być kobiety? – spytał któryś z policjantów.

– Nie możemy tego wykluczyć. Kobiety jednak stanowią mniejszość wśród sprawców tego typu zbrodni. Kobiety wyróżniają się jako trucieliarki bądź podżegaczki. One, jeśli mogą się tak wyrazić, działają w sprawach rodzinnych. Chcę przez to powiedzieć, że prawie zawsze występują przeciwko członkom rodziny, osobom bliskim lub sobie znanym i bezbronnym, jak na przykład dzieci. W odróżnieniu od zabójców mężczyzn, którzy są bardziej impulsywni

i wolą duszenie, broń białą lub palną, a poza tym rozkoszują się agonią ofiar, kobieta perfekcyjnie planuje zbrodnię i woli mordować w sposób powolny i pewny. Poznałem niewiasty, które wyrządziły potworną krzywdę swojemu narzeczonemu albo rodzinie i zdolne były do zabicia własnych dzieci. Bardzo często działają z zemsty. Mężczyzna natomiast robi to, bo pragnie dominować nad ofiarą, chce czuć się silny i patrzeć, jak osoba słabsza boi się i męczy, aż do śmierci. Matka, która zabija swoje dzieci, niemal zawsze robi to pod wpływem alkoholu albo dlatego, że cierpi na zaburzenia psychiczne.

– Ale teraz nie mówimy o dzieciach.

– Nie, nie mówimy o dzieciach. Chcę tylko powiedzieć, że z mojego doświadczenia wynika, iż kobiece motywacje wynikają zazwyczaj z pragnienia kontroli, nienawiści, urazy, miłości albo zemsty. Kobieta może na przykład zabić toporem, ale w żadnym wypadku nie będzie tak brutalna i krwiożercza jak mężczyzna, chociaż może, to prawda, działać z zimną krwią. Jak we wszystkim, panowie, są wyjątki. – Arrow, odwołując się do swej cudownej pamięci, zilustrował to przykładem. – Istnieją przypadki wielce interesujące, jak historia pani Olimpii Guilford, kobiety pięknej i tajemniczej, która działała w Paryżu w tysiąc sześćset siedemdziesiątym drugim roku. Pani ta zapraszała do swojego domu kawalerów o dobrej pozycji, po czym najpierw ich okradała, a następnie mężczyźni ci tracili życie. Pewien młody stróż prawa nazwiskiem Lecoq zdołał ją schwytać. Miał zostać jedną z ofiar, jak inni przybył do domu tej damy. O mało nie zginął z rąk zbirów pani Olimpii, ale w końcu zdemaskował ją i aresztował. Znalazł dwadzieścia sześć głów ukrytych w szafie. Olimpia Guliford trzymała je tam jako trofea myśliwskie.



Arrow zrobił pauzę, która wydała mi się dość długa. Obserwował słuchaczy, żeby zobaczyć, jaki efekt wywołały jego słowa.

– I co się wydarzyło? Czy została skazana? – padło z sali pytanie.

– Została skazana na śmierć na szubienicy, lecz udało jej się zbiec z Bastylii i, zdaje się, uciekła z kontynentu. Nigdy więcej jej nie widziano. Znamy też przypadek Elżbiety Batory, węgierskiej hrabiny, która między rokiem tysiąc pięćset siedemdziesiątym piątym a tysiąc sześćset dziesiątym torturowała i zabiła ponad pięćset młodych kobiet. Ta sadyстка robiła to dla rozkoszy seksualnej i dlatego, że miała obsesję na punkcie zachowania wiecznej młodości. Kąpała się we krwi swych ofiar. Ale, powtarzam, te dwie i kilka innych kobiet są potwornymi wyjątkami. Ogólnie rzecz biorąc, seryjnym zabójcą jest mężczyzna. A w naszym przypadku chodzi o mężczyznę wykształconego, o wysokiej pozycji społecznej, być może sympatycznego, uprzejmego, lecz niezdolnego do pohamowania zabójczych instynktów. On po prostu nie może przestać.

– W takim razie go złapiemy. Popelni błąd i go złapiemy! – powiedział nadinspektor o nazwisku Contreras.

– Nielatwo go zatrzymać. Poza tym nie jest to morderca chaotyczny. Stosuje pewną metodę.

– Przyznaję tu rację memu koledze – wtrąciłem i zaraz dodałem: – Gdyby był to zabójca o miernej inteligencji, który swoje zbrodnie popełnia kompulsywnie i czyni to, gdy nadarza się okazja, nie uważałby za konieczne pozbywać się ciała i pozostawiałby je tam, gdzie dokonał zbrodni. Jeśli chodzi o zabójcę mniej inteligentnego, napady są niespodziewane i dochodzi do nich w przypadkowych miejscach. Osobnicy ci mają niewielu przyjaciół, mogą

nawet mieć problemy psychiczne, a przez znajomych uważani są za dziwaków i ekscentryków. W sumie mają niewielkie pojęcie o tym, co robią, mogą mieć nawet tendencję do zapominania o swoich zbrodniach. Nie, nie mówimy tu o zabójcy o takich cechach. Jak widzimy, jego profil jest zupełnie różny od profilu osobnika, którego szukamy. Po tych wyjaśnieniach na twarzy Arrowa pojawiło się zadowolenie. Moje słowa były wstępem do tego, co miał powiedzieć:

– Nasz zabójca, panowie, jest bardzo inteligentny. Precyzyjnie planuje swoje zbrodnie. Z pewnością prowadzi ofiary, oszukując je, gdyż jest atrakcyjny i sympatyczny, w miejsca, gdzie je zabija. W przypadku prostytutek odbywa się to tak, że prawdopodobnie idą za nim z własnej woli, sądząc, że to klient. Tacy mordercy dokładnie sprawdzają miejsca, w których dokonują zbrodni, i dokładnie obmyślają scenariusz. Są bardzo dumni ze swoich czynów, czytają prasę, mają nadzieję, że znajdą informacje o swoich przestępstwach, i częstokroć kontaktują się z policją, pisząc anonimowy list, bawiąc się w kotka i myszkę. Ich zbrodnie są „wielkimi czynami”, które nadają sens ich życiu. Bywają ludźmi niezwykle towarzyskimi, mają przyjaciół, żonę i dzieci, prawdopodobnie kochankę, wysoką pozycję społeczną i uważani są za osoby miłe i niezdolne do zabicia nawet muchy. Niekiedy korzystają z pomocy kogoś słabego i im podporządkowanego.

– Ale to wariaci – znowu stwierdził Fonte, któremu ten pomysł chyba bardzo przypadł do gustu.

– Nie tacy, o jakich pan myśli. Nie są to ofiary halucynacji, nie słyszą w głowie głosów, dyktujących im czyny, które mają popełnić. Nie zamykałbym ich w zakładach psychiatrycznych, jeśli o

to panu chodzi. Być może nasz zabójca sądzi, że jego czyny są usprawiedliwione, że likwiduje osoby niepożądane i że w pewien sposób wyświadcza społeczeństwu przysługę. Choć nie sądzę, by to był główny powód jego działań. Robi to dla prostej przyjemności, a jego głównym celem jest mieć władzę nad ofiarami. Może je nawet wykorzystać seksualnie, chociaż nie w tym przypadku. Jednak gwałt nie jest motywowany żądzą, lecz stanowi formę dominacji. Czy pamiętają panowie zdania zawarte w ostatnim liście? Napisał: *Chcę kontrolować Twoje życie i śmierć. Jestem wyższym bytem i zabijam te dziewczki z przyjemnością, jaką daje sprawowanie ostatecznej władzy: to kontrola nad życiem i śmiercią*, powtarza. Delektuje się poszukiwaniem, planowaniem, pragnie torturować. Jest w jego zbrodniach wyraźny aspekt seksualny, podniecenie, które dostarcza mu silnych emocji. Bywa, że niektórzy z nich nagradzają się aktami nekrofilii, samookaleczenia i kanibalizmem.

– Dlaczego upiera się pan, że chodzi o człowieka wykształconego? – zadał ktoś pytanie.

Arrow wyjaśniał, że doszedł do tego wniosku, widząc pestki granatu, po czym podsumował:

– Jak widać, ten człowiek ma znakomite wykształcenie klasyczne. No i mamy jego listy. Nie chodzi mi o charakter pisma, nawiasem mówiąc, bardzo elegancki, co może być zresztą symulacją, ani o papier, który dokładnie zbadałem. Zabójca napisał listy nie na zwyczajnym papierze, lecz o jakości, która nie jest w zasięgu chudego portfela. Mam na myśli niektóre zwroty, ktoś niewykształcony by ich nie użył. W ostatnim anonimie nie napisał „kurwy”, lecz „dziewki”. Czyniąc to, poza użyciem mniej wulgarnego słowa, precyzuje swój cel.

– Mógłby pan to wytłumaczyć? Chyba nie zrozumieliśmy pańskiego ostatniego stwierdzenia – przerwał Arrowowi Fonte, pragnąc przypomnieć o swoim istnieniu, zauważył bowiem, że to, co mówi Arrow, wzbudza coraz większe zainteresowanie jego ludzi.

– Naturalnie. Słowo „kurwa”, po hiszpańsku *puta*, wulgarne określenie owych nieszczęsnych kobiet, pochodzi od łacińskiego *putida*, czyli „wstrętna, sprośna, nieprzyzwoita”, a jego definicja to: prostytutka, kobieta publiczna. A więc w swoim drugim liście nie używa go, w jego miejsce wstawiając „dziewka”. Co chcę przez to powiedzieć? Hiszpańskie słowo *mujerzuela*, czyli „dziewka”, oznaczające niegdyś „dziewczkę”, a obecnie „dziwkę”, pojawia się często w dawnych romancach. Kojarzone jest między innymi z pracowitością, uległością i poświęceniem się obowiązkom domowym. Zatem podsumowując, określenie „dziewka” użyte przez naszego mordercę w drugim liście pochodzi co prawda od „dziewczęcia”, lecz z czasem zaczęło odnosić się do młodej kobiety niecieszącej się poważaniem, zagubionej i takiej, która „źle się prowadzi”, czyli „dziwki”. I taki jest cel naszego mordercy: on nie poluje na zwykłe kurwy, ale na kobiety, które, jego zdaniem, nie są nic warte, które przyczyniły się do degradacji tego słowa, kobiety upadłe.

– I pan myśli, że te wnioski wnoszą coś do sprawy? Nie wiedziałem, że zna się pan również na gramatyce – sztychł Fonte.

– Lingwistyce, chciał pan powiedzieć – poprawił go Arrow i ciągnął: – To określa profil tego potwora. Nic z tego, co robi lub pisze, nie jest przypadkowe, a z drugiej strony wynosi go to na wyżyny intelektualne, odcina się on w ten sposób od jakichkolwiek związków z pospolitym zabójcą analfabeta.

– A co pan nam powie o słynnych plamach na ciałach ofiar? Czyżby doszedł pan wreszcie do jakiegoś wniosku związanego z malarstwem?

- Węgiel, mój drogi nadinspektorze. To węgiel kamienny.
- Węgiel? A cóż węgiel może mieć wspólnego ze sprawą?
- Bardzo dużo, nadinspektorze. Jak pan wie, węgiel jest skamieliną pochodzenia mineralnego.
- Wiem, czym jest węgiel kamienny, ale nie odpowiedział pan na moje pytanie.
- To nim poplamione były ofiary. Co nam to mówi?
- Niech nam pan powie.
- Że zamordowane zostały w miejscu, gdzie rzeczony węgiel się znajduje, czy dokładniej, gdzie jest składowany.
- To jak szukanie igły w stogu siana. To miasto przemysłowe, mało tego, ma port, w którym panuje duży ruch. Istnieją tuziny miejsc, w których ten potwór mógł zabijać. Znalezienie takiego miejsca jest prawie niemożliwe, to jedno, a drugie: wątpię, by mogło nas to doprowadzić do mordercy.

Ten argument, sądząc po pełnym aprobaty pomruku, jaki przeszedł po sali, spotkał się z uznaniem zebranych w niej nadinspektorów i funkcjonariuszy. Arrow czekał, aż ucichną komentarze. Ja również, bo spodziewałem się efektownego uderzenia. Jeżeli Arrow zaszedł tak daleko, musi chować coś w rękawie. Nie myliłem się.

– Owszem, byłoby tak, jeśli nie dysponowalibyśmy metodą zacieśnienia kręgu. Jak panu wiadomo, wartość węgla kamiennego ustala się, biorąc pod uwagę zawartość wody, ilość popiołu, proporcje karbonu, wodoru i siarki, a przede wszystkim barwę przy spalaniu. Żeby otrzymać te wszystkie dane, przeanalizowałem próbki znalezione na ciałach ofiar. I, oczywiście, mam już wyniki.

- Do czego panu posłużą?
- Drugi krok to porównanie składu chemicznego próbek z innymi, pobranymi z rozmaitych źródeł. Jeśli znajdziemy właściwe źródło, będziemy bliżej mordercy.
- Jak to?
- Jeśliby się to udało, moglibyśmy znaleźć miejsce, gdzie węgiel jest składowany przed wysyłką.
- A znalazł je pan?
- Jestem o krok, powiedzmy, o dwie fajki.

Te „dwie fajki” zbiły z tropu zarówno Fontego, jak i pozostałych słuchaczy. Ale ja wiedziałem, o co chodzi. Arrow, po zebraniu wszystkich poszlak, potrzebował czasu na wypalenie dwóch fajek, żeby dojść do swych błyskotliwych wniosków i ostatecznego rozwiązania.

– Teraz musimy skupić się na tym, by nie dopuścić do morderstwa dzisiejszej nocy.

Arrow podszedł do tablicy i naszkicował niewielką mapę, na której zaznaczył punkt, gdzie zostały znalezione dwie ofiary. Następnie zakreślił pewien obszar i powiedział:

– Prawdopodobnie jest to strefa, w której zadziała ten potwór. Chciałbym, aby rozstawił pan dziś w nocy swoich ludzi w patrolach po dwóch. Człowiek, którego szukamy, jest wysoki, ma około metra osiemdziesięciu wzrostu, silnej budowy ciała, to z pewnością miłośnik jakiegoś sportu, i waży koło osiemdziesięciu kilogramów.

- Skąd pan wie, że to w tej strefie?
- Tłumaczenie trwałoby długo, a nie mamy czasu. Pragnę za to powiedzieć panom, że w pracy nie kieruję się intuicją, lecz faktami. Zdarzy się to w tej strefie i, jak mówię, prawdopodobnie dziś w nocy lub nad ranem.

– No dobrze, wiemy co nieco o potworze, z którym mamy do czynienia, ale czy go złapiemy? – zapytał inspektor Contreras, którego od początku obserwowałem, gdyż moją uwagę przykuło zainteresowanie, z jakim słuchał wszystkich wyjaśnień Arrowa.

– Tylko jeśli zdołamy odrzucić pewne założenia. Policja nie może być główną przeszkodą w śledztwie.

To stwierdzenie wywołało konsternację, szczególnie nadinspektora Fontego, który potraktował te słowa jako atak na siebie. Arrow zaczął się tłumaczyć:

– Po pierwsze, seryjny zabójca nie chce być złapany. Po drugie, nie pozwólmy mu się zwieść i podążać fałszywymi tropami. Po trzecie, tacy ludzie są specjalistami w ukrywaniu swojej prawdziwej osobowości pod czarującą fasadą. Nasz potwór najprawdopodobniej jest mistrzem pozorów. Po czwarte, nie jest on, niestety, w żaden sposób związany ze swoimi ofiarami. Chcę przez to powiedzieć, że nie istnieje żadna więź pomiędzy nim, jego zwykłymi znajomymi i tymi kobietami. Po piąte, unikajmy niekompetencji, uprzedzeń i stereotypów. Mordercą może być każdy z nas i nie należy nikogo wykluczać. Nawet mnie czy burmistrza – podkreślił, przechodząc do szóstego punktu, który zaakcentował dobitniej niż wszystkie pozostałe. – I po szóste, chyba najważniejsze: seryjny zabójca nie jest bohaterem powieści ani fascynującym romantycznym ekscentrykiem. To potwór, zwierzę, typ godny pogardy, nic go nie usprawiedliwia. Nie możemy go ani trochę żałować czy mu współczuć. Panowie, naszym zadaniem jest go pojmać, aby został ukarany i nie mógł wyrządzać więcej krzywd. Mówimy o mordercy. Nie zapominajcie o tym.

W ostatnich słowach Arrowa brzmiała taka pewność, że

zmobilizował do działania wszystkich słuchaczy. Jedli mu z ręki i byli gotowi ciężko pracować. Fonte widział entuzjazm sali: coś, czego jemu nigdy nie udało się wykrzesać z tych ludzi.

– Ilu seryjnych zabójców złapał pan w swojej karierze? – zapytał Arrowa.

Miał nadzieję, że usłyszy: „żadnego”, lecz Arrow odrzekł:

– Ten będzie pierwszy. Z pomocą każdego z was uda nam się go schwytać. Razem rzucimy mu rękawicę, tego mogą być panowie pewni.



46.

## Ponury przypadek

Kolejnym krokiem były odwiedziny u właścicielki domu publicznego i tam właśnie poszliśmy po zakończeniu zebrania.

Przez całą drogę Arrow nie powiedział słowa. Szedł zadumany i nie reagował na wszelkie moje próby zagajenia rozmowy. Umierałem z ciekawości i bardzo chciałem go zapytać, co sądzi o rewelacjach o księciu Clarensie i jego tajemniczym pobycie w Barcelonie. Zdziwiło mnie milczenie Arrowa na ten temat. Ani jednego komentarza. Dlaczego mój przyjaciel i mistrz opuścił Scotland Yard, jego życiowe marzenie? Czy ta decyzja miała coś wspólnego z audiencją, której w swoim czasie udzieliła mu królowa? O czym rozmawiali? Z pewnością prędzej czy później mi o tym opowie.

– Co pana niepokoi, Arrow? Zebranie przebiegło pomyślnie, czyż nie? Oczarował ich pan, jak zawsze.

– Tak, było dobrze. Ale nie to mnie martwi. To te nowe czasy, Sherrinfordzie.

- Czy wpadnie pan teraz w filozoficzny nastrój?
- Problem polega na tym, że robimy ze zbrodniarzy bohaterów, i to mnie niepokoi. Sprawiamy, że stają się sławni.
- Arrow umilkł, a ja czekałem, aż rozwinie wątek.
- Chcę przez to powiedzieć – podjął – że nasz Kuba jest tak potworny, jak kilku innych, którzy nie pozostali w pamięci ludu.
- Pamięć ludu? To coś nowego i nie rozumiem, do czego pan zmierza.
- Czy pamięta pan na przykład sprawę Javeda Zamanina? Potwór równie straszliwy, jak Kuba Rozpruwacz, a nikt go już nie pamięta.

Przypomniałem sobie ten przypadek i powiedziałem:

- A, tak, potwór z Lahore, w indyjskim regionie Pendżab. Wykorzystał setkę dzieci, które pociął na kawałki, żeby nie można ich było odnaleźć.
- Ale mamy i innych. Nie trzeba daleko szukać: tu, w Europie, Austriak Max Mann. Mija właśnie dziesięć lat od czasu, gdy ten typ jeździł po kraju jako przedstawiciel firmy handlującej alkoholem.
- Czy to nie ten, który zabił dwadzieścia dwie kobiety?
- Ten sam. Ofiary znajdował poprzez ogłoszenia, a gdy już je zabił, wrzucał ciała do rzek, wcześniej zaś wykorzystywał je seksualnie. Był nieuleczalnym fetyszystą i nosił potem stroje swoich ofiar. Możemy wymieniać inne jeżące włos na głowie przypadki. Jak Ed Armstrong, zabójca nekrofil. Gdy został zatrzymany, policja Nowego Jorku opisywała go jako osobnika niskiego i strachliwego, o wątłej budowie ciała i bezbronnym wyglądzie, który mieszkał ze swoją matką w drewnianym domku na obrzeżach miasta. Bezbranny! Sam nie wie, ile kobiet zabił przez czternaście lat, a wszystkie

były podobne do jego matki. W jego przypadku występowało podglądactwo, transwestytyzm, fetyszyzm i nekrofilia. Jak sam wyznał, zawsze starał się dorównać ideałowi swojej matki, fanatyczki religijnej, nie chciał stać się jednym z tych godnych pogardy lubieżnych, bezbożnych i pijanych mężczyzn. A pamięta pan, co znaleziono w szopie na jego farmie?

– Doskonale. Pierwsze, co zobaczyła policja, gdy weszła, to pozbawione głowy ciało zawieszona u sufitu na haku wbitym w kostkę nogi. Było rozcięte wzdłuż, od klatki piersiowej do żołądka, a jelita wyciągnięte i umyte. – Nie byłem w stanie kontynuować tej straszliwej opowieści, bo czułem mdłości. Arrow zrobił to za mnie:

– Znaleziono ludzkie czaszki, których ten obrzydliwy zbir używał jako naczyń do picia lub jako ozdób. Jedno z krzesel zostało obite ludzką skórą, wyrabiał z niej również abażury do lamp. Uszył sobie przebranie z ludzkich szczątków, pamiętam na przykład, jak policjanci mówili, że znaleźli kamizelkę z wielkimi kobiecymi piersiami i pas ozdobiony sutkami. W spiżarni przechowywał serce i odciętą głowę jednej z ofiar, a na pawlaczku maski wykonane z ludzkiej skóry. W jednym z pokoi znaleziono ciało matki, nie żyła od wielu lat. Pomieszczenie było nietknięte. Podczas przesłuchań Armstrong zapewniał, że jego matka po śmierci utrzymywała z nim kontakt. Teraz ten potwór jest zamknięty w zakładzie dla psychicznie chorych.

– Ale dlaczego rozmyśla pan o tych wszystkich przerażających zbrodniarzach?

– Dlatego że wydaje się, iż nasz Kuba przy nich wszystkich jest tylko uczniakiem. Proszę nie zrozumieć mnie źle, Sherrinfordzie.

– Ależ nie, nie, oczywiście, wiem, co chce pan powiedzieć. Proszę kontynuować.

– Nasz potwór w ciągu dwóch i pół miesiąca zamordował i wypatroszył przynajmniej pięć kobiet w Whitechapel, chociaż są i inne niewyjaśnione zbrodnie, których z czasem prasa nie zaważała się mu przypisać. Niewątpliwie dzięki gazetom stał się najślawniejszym mordercą w historii, oto, co mam na myśli, gdy mówię, że jest częścią ludowej pamięci zbiorowej. Uczyniono go sławnym, Sherrinfordzie, i to mnie niepokoi. Ta chorobliwość... Dokąd zamierzamy poprowadzić opinię publiczną i co chcemy z nią zrobić? Niepokoją mnie nowe media.

– Prasa? Tanie powieściidła?

– Nie, Sherrinfordzie. Fotografia.

– Fotografia?

– Kinematograf i nowe media, które z pewnością się pojawiają.

– A jakie to, pańskim zdaniem, media?

– Tego nie wiem. Jestem prywatnym detektywem, a nie wynalazcą. Ale proszę być pewnym, że to dopiero początek. Nadchodzą nowe czasy, ciekawe i z pewnością niepokojące. To, co mnie martwi, to jakość informacji. Niech pan tylko spróbuje wyobrazić sobie robotnika lub mieszczanina z centrum Londynu, jak żywi się przez cały dzień straszliwymi wiadomościami i spokojnie patrzy na to, że do jego domu wdziera się cały orszak patologicznych stworzeń, by opowiadać mu o swych niedolach...

– Ale to informacja, panie Arrow. Opinia publiczna zasługuje na informację. Miałem pana za człowieka liberalnego.

– Ale to nie kultura. Ludzkie umysły zavalają śmiecie, a ludzie żądają już tylko więcej i więcej śmieci, aż zmieniają się w świnie, jak towarzysze Odyseusza.

– Myli się pan, mój drogi przyjacielu. Jak rozumiem, twierdzi pan, że śmiecie mogą przekształcić się w rozrywkę, chociaż nie wie pan jeszcze, jakie będą media przyszłości. To czysta antycypacja, a przypominam panu, że nigdy nie głosi pan przepowiedni. Pan pracuje i dochodzi do właściwych wniosków na podstawie zgromadzonych danych.

– To prawda, mój drogi przyjacielu, proszę jednak pozwolić mi czasem stać się adwokatem diabła.

– Wygłoszę inną przepowiednię na temat przyszłości. Kończy się właśnie wiek, którego ostatnie lata przyniosły ogromny postęp. To był najlepszy wiek w historii i wątpię, żeby w przyszłości nastąpił taki drugi. Ten, który otwiera się przed nami, zbierze jego żniwo. Czeką nas wiek dwudziesty, pełen pokoju i harmonii, jakże daleki od barbarzyństwa i krwawych, bezsensownych, okrutnych wojen. Jakże daleki od fanatyzmu. Nie będzie w nim miejsca dla nawiedzonych. Wiek, w którym zapanuje powszechne i wzajemne zrozumienie, sprawiedliwość, a społeczność tego świata stanie się jednym wielkim narodem ludzi wolnych. Wystarczy chleba, godności i pracy. Taki będzie wiek dwudziesty, mogę to panu zagwarantować.

Arrow zatrzymał się gwałtownie. Podejrzewałem, że jest to efekt ożywienia pod wpływem moich słów.

– Zatrzymał się pan, proszę nie mówić, że pana przekonałem.

– Zatrzymałem się, mój drogi przyjacielu, gdyż dotarliśmy na miejsce.

47.

## Benigna

Benigna, właścicielka domu publicznego, kiedy już się przedstawiliśmy, zaprowadziła nas do dużego pokoju zastawionego fotelami. Podejrzewam, że był to rodzaj poczekalni dla klientów. Benigna nie była kobietą młodą, miała lat około czterdziestu czy czterdziestu dwóch, lecz wciąż była bardzo piękna, o zaokrąglonych kształtach i długich, czarnych, zadbanych włosach, opadających na ramiona. Jej twarz zdradzała wielką siłę charakteru, a duże ciemne oczy, niezwykle żywe, wydawały się zmęczone i smutne, jakby gościło w nich rozczarowanie. Ubrana była skromnie i gustownie, co nie pozostało przeze mnie niezauważone i sądzę, że to spostrzegła.

– To nie jest moje ubranie do pracy. – I nie czekając na moją odpowiedź, dodała, zwracając się do Arrowa: – Nie jest pan zbyt wysoki, jak na Anglika.

– Staralem się, jak mogłem – zażartował Steven.

– Proszę, by panowie zechcieli mi wyjawić, czym mogę

panom służyć. Z tego, co słyszałam, zajmują się panowie dochodzeniem.

Arrow zreferował jej pokrótce wszystko, co zdołaliśmy ustalić, pomijając to, co uznał za nieistotne.

– Pomogę, jak tylko będę mogła, chociaż nie wiem, czego panowie ode mnie oczekują. To wszystko jest takie straszne, to...

Nie mogła mówić, bo głos jej się załamał. Benigna była bardzo poruszona. Biedna kobieta nie rozumiała nic z tego, co się dzieje, nie znała powodu, dla którego dwie jej dziewczyny zostały zamordowane w tak brutalny i nieludzki sposób.

– Proszę nam o nich opowiedzieć. Proszę powiedzieć wszystko, co pani wie, każdy szczegół, nawet mało istotny, może nam pomóc.

Tak też zrobiła. Opowiedziała nam historię o tym, jak założyła ten interes, zresztą z pomocą pewnego księdza, co mnie, nawiasem mówiąc, zdziwiło, i jak poznała obie dziewczyny. Opowiadała o nich z wielką dbałością o szczegóły, których później użyłem, by zrelacjonować to, czego nie byłem świadkiem. Wspomniałem również o tym, że po zabójstwie Marty Planas Benigna zajęła się jej córką.

– Skończyłaby w przytułku. Zabrałam ją i zaprowadziłam do dziadka, ubogiego człowieka, który szyje kołdry. Wzięłam też oszczędności, które Marta miała ukryte w domu, i mu je przekazałam.

Benigna opłaciła pochówek Marty i Negry. Historia drugiej dziewczyny mnie ujęła. Negra nie miała na świecie nikogo.

– Pieniądze Negry też dałam ojcu Marty, nikt by się o nie nie upomniał. Biedaczka była sama, to był jej dom. Była wspaniałą dziewczyną, którą wykorzystywano od urodzenia.

No dobrze, opowiedziałam już panom ich historię.

- Kim jest trzecia podopieczna?
- Christianne. To Francuzka. Niezwykła dziewczyna, która nie przewyciężyła swojej urazy.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że pracuje z nienawiści. Wyczynia rzeczy, których nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Przyjmuje wyjątkowych klientów.
- Czyli jakich?
- Takich, którzy lubią być bici, lubią cierpieć, być upokarzani. I zdaje się, że Christianne robi to perfekcyjnie. Mówię panu, ma niesamowite wzięcie u zбочeńców.
- A jacy są ci klienci?
- Dżentelmeni, jak pan. Tu nie obsługujemy byle kogo. Nasza klientela jest doborowa: ludzie interesu, zamożni mieszczanie, czasem jakiś artysta.
- A czy ona zajmuje się artystami?
- Nie. Powiedziałam panu, że obsługuje zбочeńców. Jej klientami są przeważnie mężczyźni dojrzały, wytrzymali i dyskretni.
- Co to znaczy „dyskretni”?
- Przyjmują razy i upokorzenia po cichu. Są potem bardzo zadowoleni i zawsze wracają, i proszą właśnie o nią. Klientów ma niewielu, ale za to stałych i wypłacalnych. Ja ich nie lubię, ale w życiu do wszystkiego można się przyzwyczaić, no i naprawdę dobrze płacą.
- A czy oni coś jej robią? To znaczy, chcę powiedzieć... – zaczął Arrow.
- Wiem, co pan chce powiedzieć – przerwała mu Benigna. – Nie, to Christianne rządzi, a oni się podporządkowują. To jedyna z nas wszystkich, którą cieszy praca. My, pozostałe, nie mamy



innego sposobu na życie, więc dla niej zostawiamy specjalnych klientów. Czy chcą panowie zobaczyć jej narzędzia pracy? Zapewniam, że bardzo panów zainteresują.

- Później – rzekł Arrow. – Proszę kontynuować.
- Christianne jest, powiedziałabym, najbardziej tajemniczą z moich dziewcząt. To znaczy... wiem o niej bardzo mało. Jest Alzatką, z miasta, które nazywa się Rique.. Riq...
- Riquewihr – dokończył Arrow.
- O to, to! Wielkie nieba, cóż za trudna nazwa! Zdaje się, że pochodzi z dobrej rodziny, to posiadacze winnic, i ma jakieś studia.
- Jakie studia?
- Zna angielski. Poza niemieckim i, oczywiście, francuskim.
- To znaczy, że studiowała literaturę?
- To znaczy, że zna angielski, o literaturze nic nie wiem – ucieła Benigna i dodała: – Przez jakiś czas pracowała w pewnym wydawnictwie w Paryżu.
- W wydawnictwie? – zapytałem, rozdziawiwszy usta.
- Mówię. Znaczy... w jednym z tych zakładów, które robią książki... to wydawnictwo, nie?
- Owszem – potwierdził Arrow.
- Ale jak to się dzieje, że, proszę się nie obrażać, kobieta, która miała taką pracę, kończy na uprawianiu prostytucji w obcym kraju? – zapytałem, gdyż historia tej dziewczyny mnie zafascynowała.
- Zdaje się, że to z powodu jej ojca. Zmusił ją do powrotu i wyjścia za mąż za starszego od niej mężczyznę, potentata w branży winiarskiej, z którym zamierzał robić interesy. Było to małżeństwo

z przymusu i źle się skończyło. Był od niej starszy o dwadzieścia pięć lat. Stary bogaty grzyb. W końcu udało jej się uciec i przyjechała do Barcelony. Poznałam ją na ulicy, gdzie uprawiała swój fach, i zaprosiłam do nas. Przyjmuje tylko starców. Traktuje ich bardzo źle, a ich to podnieca. A ją z kolei cieszy wyrządzenie im krzywdy i wyciąganie od nich pieniędzy.

– Skoro niewiele pani o niej wie, to i tak dużo nam pani opowiedziała – rzekłem, oszołomiony tą niezwykłą opowieścią.

– A co mi pani powie o sobie?

– Ja? Cóż... Opowiedziałam już moją historię, od razu, gdy panowie przyszli, niewiele jest do dodania. Prowadzę poważany interes, mam wyselekcjonowaną klientelę, troszczę się o moje dziewczęta i o naszą niezależność. Pracuję już tylko dla jednego mężczyzny, bo w tym wieku mogę sobie na to pozwolić. Jest to pan bardzo miły i szanowany, prawdziwy dżentelmen, który traktuje mnie dobrze i uważa za swoją przyjaciółkę, i którego nazwiska, przez szacunek, nie wymienię, i nie sądzę, by mógł mieć coś wspólnego ze sprawą. Tak jak mówię: pracuję tylko dla niego i do niedawna dla mojego małego malarza.

– Ma pani na myśli młodego Picassa?

– Tak. Wiem, że został aresztowany, ale on nie ma z tym nic wspólnego. Sądzę, że powinni panowie poszukać gdzie indziej.

– A co pani wie o Pablu?

– To dobry chłopiec, może trochę zadufany w sobie, nieco rozkojarzony i smutasek, ale to dobry chłopiec – powtórzyła i po chwili dodała: – On i jego zbzikowani przyjaciele wypełniają ten dom radością, gdy nas odwiedzają. Są młodzi, narwani i chcieliby

pożreć świat, ale żaden z nich nie jest wart nawet połowy tego, co Picasso.

To wyjaśnienie przydało się Arrowowi, ale wiedziałem, że wróci do niego później.

– A dlaczego już go pani nie obsługuje?  
– Bo zakochał się w jednej z moich dziewcząt i świata poza nią nie widzi.

– W Carmen?

– Tak, Carmen. Ona nie jest taka jak my, to dobra dziewczyna.

– Nie sądzę, żeby panie były złe – wtrąciłem.

Mój komentarz uradował Benignę.

– Wiedzą panowie, co chciałam powiedzieć. Jak mówię, że nie jest taka jak my, to mam na myśli to, że nie jest twarda. A w tej pracy trzeba być twardą i zatykać nos, przyjaciele. Przede wszystkim zatykać nos. Sądzę, że ona jest tu przez przypadek i niejako z winy Pabla.

To ostatnie zdanie zaintrygowało zarówno Arrowa, jak i mnie. Benigna rozwinęła je, opowiadając nam pokrótce wszystko, co wie o tej młodej kobiecie.

– Nie powinna była nigdy opuszczać prasowni, nie nadaje się do tej pracy – podsumowała.

– I mówi pani, że ma malutkiego synka?

– Tak, rozkoszne stworzonko, czternastomiesięczne, jak sądzę.

To dla niego uprawia ten fach. To błąd, chociaż niełatwo znaleźć pracę...

Chciała dodać „uczciwą”, ale ugryzła się w język.

– Rozumieją mnie panowie...

Rozumieliśmy ją.

– I jak się wiedzie młodemu Picassowi z jego prasowaczką?

– Teraz już lepiej. Ale jego powrót był okropny. Nie spodziewał się tego i to, co zastał, to była prawdziwa niespodzianka. Myślał, że stracił Carmen, aż tu nagle, przypadkiem, spotyka ją jako dziwkę. Pablo jest bardzo męski, jak na swój wiek. Mam na myśli, że choć jest dobry, jest również władczy, zaborczy, zazdrosny i przyzwyczajony do stawiania na swoim. Dla drugiego takiego jak on nie byłoby miejsca w jego paczce koleżków. On musi być zawsze w centrum zainteresowania, na swój sposób rządzi grupą. Powiedziałabym, że ma wokół siebie szalony, podziwiający go orszak i to mu się podoba.

– Nie przedstawia go pani w zbyt korzystnym świetle.

– Ależ ja nie chcę o nim źle mówić. Lubię tego chłopca, ale taka jest prawda: to tylko młodziak, który po tym wszystkim, co się stało, jest przestraszony.

– Myśli pani, iż byłby zdolny do tak potwornych czynów tylko dlatego, że jest żądny sławy? – Żałowałem tego pytania, ale już je zadałem.

Benigna spiorunowała mnie wzrokiem, Arrow natomiast wyglądał na zmieszanego.

– Oszalał pan? Mój Pablo mordercą! Niech panowie poszukają gdzie indziej. Chyba nie przyszli tu panowie zwodzić mnie pytaniami, żeby w końcu dojść do tego?!

Arrow próbował ją uspokoić.

– Doktor Sherrinford nie zamierzał powiedzieć, że Pablo jest mordercą.

– Ale to zrobił, a przynajmniej dał do zrozumienia. Nie podoba mi się pański przyjaciel i nie podobają mi się takie pytania.

– Proszę mi wybaczyć, z tego, co wiem, nie był podejrzanym, którego należy brać pod uwagę. Ale proszę też zrozumieć, że

muszę zadawać pytania, żeby dojść do prawdy. Jak mogła się pani przekonać na podstawie wyjaśnień pana Arrowa, uważamy, że zabójca chce zrobić Picassa i przekonać policję, iż jest winny.

– A pan w to nie wierzy? – zapytała Arrowa.

– Nie, nie wierzę w to. Ale jest w tę sprawę wplątany i muszę dowiedzieć się dlaczego. – Po tych słowach Arrow spróbował wrócić do tematu. – Mówiliśmy o Carmen i chłopaku. Teraz, jak się zdaje, są parą, prawda?

– Chyba tak, ale długo to nie potrwa.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Dlatego że Pablo jest taki, jak mówiłam, i długo w tej sytuacji nie wytrzyma. Dziewczyna ma duże wzięcie dzięki aurze nieśmiałości i niewinności. Starzy lubieżnicy wprost za nią przepadają, niektórzy płacą tylko za to, żeby móc na nią popatrzeć, inni chcą, by zrezygnowała z pozostałych klientów i zajmowała się tylko nimi. Chociaż są i tacy, którzy pieprzą ją tylko po to, żeby zbezcześcić jej niewinność. Jest taka hołota. Ale generalnie jest dobrze traktowana. Nie, ona nie rzuci tego fachu, przynajmniej dopóki nie zbierze tylu pieniędzy, żeby móc utrzymać siebie i swoje dziecko i nie być od nikogo zależna, nawet od Pabla. Dlatego mówię, że ich związek nie przetrwa.

– Związek, droga pani, może się skończyć inaczej, jeżeli nie podejmiemy pewnych kroków.

– Czy Carmen jest w niebezpieczeństwie?

– Owszem, i pani też. Moje zdanie jest takie, że morderca nie spocznie, dopóki nie skończy ze wszystkimi pięcioma paniami. Chociaż nie wiem jeszcze dlaczego. Z tego też powodu przyszedłem do pani.

– Udało się panu mnie nastraszyć.  
– Proszę się nie bać, jestem tu, żeby paniom pomóc. Czy mogłaby pani pokazać mi dom i opowiedzieć mi trochę o klientach? Nie chodzi mi o nazwiska, chcę tylko wiedzieć, jakiego pokroju to są ludzie.

– Może pan ich wszystkich zobaczyć przy wejściu do Opery Narodowej w wieczór premiery – rzekła Benigna.

– Tak sądziłem – mruknął Arrow.

Oprowadziła nas po całym domu, opowiadając o rozmaitych dziwactwach swoich klientów. Następnie zwiedziliśmy pokoje, w których pracowały dziewczyny. Benigna miała rację, narzędzia Christianne były naprawdę przerażające. Tylko człowiek niespełna rozumu byłby gotów płacić za przebywanie z taką kobietą.

– Każda ma swój pokój, reszta domu jest wspólna – wyjaśniła Benigna.

– Czy mogłaby pani pokazać mi pokój, który zajmuje Pablo?

– Zajmował. Teraz mieszka u przyjaciela. Zabrał swoje rzeczy i nic po nim nie zostało... tylko ściany.

Tak też było. Młodzieniec pokrył ściany tuzinami rysunków, wiele z nich było kolorowych.

– Mówiłam, że to wielki malarz – powiedziała z dumą Benigna. – Potem pokażę panom mój pokój, też go ozdobił, chociaż to słowo pewnie by mu się nie spodobało.

Arrow uważnie przyglądał się każdemu z rysunków zrobionemu ołówkiem lub węglem. Wiele z nich było tylko prostymi szkicami, ale narysowanymi z wielką wprawą, wywoływały wrażenie ruchu, wyróżniały się na nich cienie i deformacje, które zachowywały jednak kompozycyjną spójność. Niektóre postacie, chociaż

nienaturalne i z punktu widzenia anatomii niemożliwe, miały w sobie wielką harmonię. Niepokojącą harmonię, pomyślał Arrow.

Tematem wszystkich rysunków, którymi chłopak pokrył ściany, był burdel. Jedna z kompozycji zwracała szczególnie uwagę: siedem postaci, pięć kobiet i dwóch mężczyzn, jeden z nich siedział przy stole, na którym stały dzbanek i talerz z owocami. Ubrany był jak marynarz. Po jego prawej stronie Pablo narysował trzy nagie postacie kobiece, a dwie umieścił po lewej: pięć kobiet emanujących zmysłowością. Mężczyzna po lewej sprawiał wrażenie bardziej tajemniczego: w prawej ręce dzierżył czaszkę, a lewą podtrzymywał zasłonę. Wydawało się, że ją zasuwa, jakby właśnie wszedł do pokoju.

– To my, nasza piątka – powiedziała Benigna.

Temat powtarzał się na całej ścianie, ale na innych rysunkach dwóch mężczyzn znikło, a pozostało tylko pięć nagich dziewcząt i fragment stołu w dolnej części kompozycji, pośrodku. Kant stołu wycelowany był prosto w łono jednej z nich, która, namalowana od przodu, z rękami założonymi za głowę, otoczona była przez pozostałe. Pierwsza od prawej siedziała w niemożliwej pozie, tyłem do widza, lecz ze zwróconą ku niemu twarzą, patrząc na niego w sposób wyjątkowo bezczelny.

– To Christianne. Picasso namalował ją taką, jaka jest.

– To znaczy?

– Ja tego za bardzo nie rozumiem, ale ona taka właśnie jest. Na tym obrazie nie widać jej łona, chociaż jej poza jest najbardziej lubieżna ze wszystkich.

– Żadna nie pokazuje intymnych części ciała, poza środkową i drugą od lewej – zauważył Arrow.

– Ta z lewej to ja. Wszystkie pięć jesteśmy zaplątane w firankę.

Carmen, czyli ta pośrodku, i ja stoimy przodem, z podniesionymi rękami, ukazując łono i piersi. Marta stoi z profilu, podtrzymując firankę. A Negra, jeśli się pan przyjrzy, wygląda, jakby nie dotykała ziemi nogami, zawieszona w powietrzu, zasłonięta od pasa w dół. Christianne kuca tyłem, ale patrzy do przodu. To wygląda, jakby było źle namalowane, bo taka pozycja jest niemożliwa, nie sądzi pan? Ale ja myślę, że Pablo zrobił to specjalnie. Żaden z klientów nie widział nigdy łona Christianne. Ona, jak panu mówiłam, pracuje w inny sposób.

Arrow nie odpowiedział. Spędził kolejne dziesięć minut tak, jakby w pomieszczeniu był tylko on i obrazy. Chodził od jednej postaci do drugiej, od jednego do drugiego rysunku, analizując każdy szkic, jakby chciał wyrycić je sobie w umyśle. Dla Stevena Arrowa nie istnieliśmy w tym momencie ani Benigna, ani ja.

- Co on robi? – spytała mnie Benigna.
- Obserwuje.
- Kim jest marynarz? – zapytał w końcu.
- Jaki marynarz?
- Ten – powiedział, wskazując środkową postać na jednym z rysunków.
- Nie wiem, my marynarzy nie obsługujemy.
- A doktor?
- Chodzi panu o postać z trupią czaszką? Skąd pan wie, że to lekarz?

Arrow wspomniał jej o rozmowie, jaką odbył z młodym Picassem na temat tej postaci.

- Od dawna już tu nie przychodzi. To był bardzo dziwny klient. Nigdy nie tknął żadnej z moich dziewcząt, ograniczał się



do tego, że prosił je o przybieranie określonych póz, a potem je obrażał. Ale płacił bardzo dobrze.

- I mówi pani, że nie wrócił?
- Tak.

Benigna pokazała nam swój pokój. Pablo, jak mówiła, udekorował jego ściany. Tutaj tematyka była bardziej zróżnicowana, na ścianach mieszały się barcelońskie krajobrazy, dachy, kopuły kościołów i sceny uliczne, z portretami Benigny i niezwykle śmiałymi scenkami burdelowymi, na których właścicielka, uprawiająca swój fach, oraz Pablo byli jednymi z bohaterów. Wszystko falowało, było pełne ruchu i radości, która nie miała nic wspólnego z dziełami z poprzedniego pokoju.

– Mówiłam panom, to wielki artysta, choć bezczelny bezwstydnik – powiedziała Benigna.

Nie powiedziałem ani słowa, choć muszę wyznać, że żałowałem, iż to nie ja jestem bohaterem tych rozkosznych scen. Sądzę, że Arrow odgadł moje swawolne myśli, postarałem się więc zachować powagę.

– Gdzie mieszka Carmen? Chciałbym złożyć jej wizytę – powiedział Arrow, gdy wyszliśmy z sypialni.

Benigna wskazała nam kierunek.

– Chciałbym, żeby była pani szczególnie ostrożna i otwierała tylko tym klientom, którym pani naprawdę ufa – powiedział Arrow na zakończenie.

- Pan sądzi, że ten potwór chce zabić nas wszystkie, prawda?
- Dam pani ochronę. Będzie pani miała cały czas policjanta przy drzwiach, dopóki go nie złapię.
- Straszy mnie pan.
- Proszę się nie bać. Jeśli mnie pani posłucha, nie będzie

pani miała czego się bać. Na pani miejscu przyjąłbym tylko dobrego przyjaciela, gubernatora.

– Skąd pan wie?

– To banalnie proste... ale proszę się nie niepokoić, nie wyjawię tajemnicy, mój przyjaciel oczywiście też nie. Czyż nie, Sherrinfordzie?

– Naturalnie, naturalnie – powiedziałem równie zdumiony jak Benigna. Miałem jeszcze czas, by zapytać go, skąd wiedział o znajomości tego wysoko postawionego dżentelmena z tą dobrą kobietą.

48.

## Carmen

Przez całą drogę do domu prasowaczki Arrow wydawał się zamysłony. Z pewnością jego niezwykły mózg przetwarzał wszystkie informacje, które do tej pory zdobyliśmy. Zawsze zachwycała mnie dobroć i rzetelność, która go cechowała. Zauważyłem jednak coś niepokojącego w jego żywych czarnych oczach i na twarzy, na której widać było skupienie i zadumę.

– Ma pan fatalistyczne spojrzenie, mój drogi przyjacielu. Proszę się nie niepokoić, położy pan kres temu szaleństwu, którego nie sposób wyrazić słowami – powiedziałem, chcąc go pocieszyć.

– Za to właśnie pana lubię, Sherrinfordzie.

– Za co?

– Wie pan, dlaczego dobrze nam się razem pracuje? Dlaczego jesteśmy przyjaciółmi?

Nie odpowiedziałem. Dla mnie było jasne, dlaczego jestem jego przyjacielem.

– Przyjaźń, w przeciwieństwie do tego, co się powszechnie uważa, nie mogłaby istnieć pomiędzy dwoma identycznymi osobnikami. My dwaj mamy odmienne cechy i zdolności oraz różne temperamenty. W tym tkwi tajemnica.

– Myślę, że to paradoks: różne charaktery w końcu się zderzają – stwierdziłem.

– Nie, Sherrinfordzie, nie chodzi tu o charakter, lecz o sposób rozumienia życia. My działamy na pięćdziesiąt procent. Ale niech pan spróbuje oddać swoje pięćdziesiąt procent byle łącznie, a przekonana się pan, że prędzej czy później ją przetraci, przepije, przehandluje. Trzeba bardzo uważać, komu wyświadcza się przysługę, są ludzie, którzy na to nie zasługują, mało tego, upomną się o swoje za rzekomo wyświadczoną łaskę.

– O ile mogę powiedzieć, że pana znam – rzekłem – wydaje mi się, że jest pan człowiekiem wielkodusznym, rezolutnym i wytrwałym. I te właśnie cechy, a nie pańskie niespotykane zdolności, użyteczne w naszej pracy, są tym, co w panu odkryłem.

– Pan zaś jest optymistą, z wielką wiarą w przyszłość i dobroć rodzaju ludzkiego. Miał pan powołanie do swojego zawodu; i z pewnością mamy jedno serce.

– A może, zamiast tak sobie słodzić, przeanalizowalibyśmy nasze ostatnie odkrycia? – zaproponowałem. – Jak pan wpadł na to, że kochanek Benigny jest gubernatorem miasta? Tylko niech pan nie mówi, że wydedukował to ze stroju kobiety, z jakiegoś zostawionego przez zapomnienie w jej pokoju przedmiotu czy z innej poszlaki. Ja niczego nie zauważyłem.

– Na ścianie.

– Na ścianie?

- Młody Picasso namalował to na ścianie, po prostu.
  - Do diabła, Arrow! Czasem nie łąpię tego, co najoczywistsze i najprostsze. Na ścianie – powtórzyłem.
  - Pamięta pan ten numer „La Vanguardii” z artykułem, który tak zdenerwował Fontego?
  - Oczywiście, ale co to ma wspólnego z gubernatorem?
  - Nic, tylko że przeglądając tę gazetę, napotkałem artykuł o jakiejś inauguracji. Był zilustrowany rysunkiem, a pod nim widniała wzmianka z nazwiskami osobistości, które wzięły w niej udział. Między nimi był nasz przyjaciel gubernator, trzeci od lewej, jeśli mnie pamięć nie myli.
  - Pan jest nie do pobicia.
  - To nie wszystko. Był tam też Richard Sitwell, którego musimy jutro odwiedzić.
- Uznałem, że sprawa ruszyła, ale było jeszcze coś, co chciałem z Arrowem uzgodnić.
- Dlaczego Fonte nie powiedział nam o zbrodniach z dziewięćdziesiątego roku? Czy nie uważa pan, że dla naszego przypadku są one kluczowe?
  - Tak właśnie uważam, Sherrinfordzie. Jest to bez wątpienia umyślne zatajenie, którego powód musimy poznać. Wtedy nasz przyjaciel przestał zabijać, lecz nie dokończył swego dzieła.
  - Jest pan tego pewien?
  - Jestem o tym przekonany. I musimy się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.
  - A co mi pan powie o Benignie? To cudowna kobieta, nie sądzi pan?
  - Istotnie. Czy jednak zna pan kobietę, która by taka nie była? Pan i Doyle zawsze przedstawialiście mnie jako osobnika mizoginicznego, choć doskonale pan wie, jak cenię kobiety.

– Musi mi pan wybaczyć. To literatura. Doyle zawsze myślał, że to się lepiej sprzeda.

– Lepiej sprzeda! Ten człowiek ma obsesję na punkcie sprzedaży! – prychnął Arrow.

– Ale z drugiej strony, proszę mi wybaczyć, że wtrącam się w sprawę, które mnie nie dotyczą, przez cały ten czas, odkąd mieszkamy razem, nie poznałem pana od strony, powiedzmy... – Szukałem odpowiedniego słowa, żeby nie wprawić mojego przyjaciela w zakłopotanie, ale on mnie ubiegł:

– Miłosnej? Mój ideał kobiety nie należy już do tego świata.

Wypowiedział to zdanie gwałtownie, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego bólu, który kłócił się z wykazywaną przez niego zazwyczaj statecznością i równowagą ducha.

– Proszę wybaczyć – mruknąłem.

– Nie ma czego wybaczać, Sherrinfordzie. Nie ma czego wybaczać... – powtórzył cicho.

Zamilkł i szliśmy, nie mówiąc już ani słowa.

– Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby uratować te trzy nieszczęśnice – odezwał się wreszcie Arrow. – Wszystko, co się da. Jestem to winien... – Nie dokończył zdania.

Komu jest to winien? Nie zapytałem. Arrow mówił, że jedną z moich pozytywnych cech jest to, iż zawsze zadaję pytania, które stymulują rozwój naszych dociekań. Ale wiedziałem też, że często-kroć najlepsze odpowiedzi padają bez potrzeby zadawania pytań. W tym przypadku wyraz twarzy Arrowa mówił wszystko.

Przybyliśmy pod wskazany przez Benignę adres i weszliśmy na trzecie piętro po wąskich krętych schodkach, o wysokich połamanych stopniach, przytrzymując się zardzewiałej barierki.

Kiedy Arrow zapukał do drzwi, otworzyła nam młoda dziewczyna, szczupła i wątła. Miała perłową, niemal chorobliwie bladą cerę, twarz o wyrazistych rysach i piękne czarne oczy o ognistym, choć zmęczonym spojrzeniu. Do tego włosy upięte w kok i nędzne ubranie.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

Arrow zwlekł parę sekund z odpowiedzią. Zobaczyłem w nim coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem: zachwyt na widok nieznamomej. Co w niej zobaczył? Po raz pierwszy widziałem go zdezorientowanego i oszołomionego, co, jak powiedziałem, chociaż trwało tylko moment, wystarczyło, by zrozumieć, że mój przyjaciel otrzymał jakieś ostrzeżenie z odległego zakamarka swojego umysłu. Był nią urzeczony i oczarowany.

Wobec milczenia mojego przyjaciela to na mnie spadł obowiązek przedstawienia nas i wyjaśnienia dziewczynie powodu naszej wizyty.

– Proszę, niech panowie wejdą – powiedziała i dodała: – Proszę mi wybaczyć nieporządek, ale nie spodziewałam się gości.

Na przekór jej słowom w tym małym mieszkanku nie było bałaganu. Był to maleńki pokój z niewielką kuchnią, łóżkiem i sfatygowanym meblem, który służył za szafę i spiżarnię. Niewiele więcej znajdowało się na tych trzydziestu metrach kwadratowych z jednym balkonem wychodzącym na plac. Była tam jeszcze tylko kołyska stojąca na środku pokoju.

– To mój mały, teraz śpi. Jeśli będziemy rozmawiali cichutko, nie będzie nam przeszkadzał.

– Śliczne dziecko. – Arrow zbliżył się do skromnej kołyski.

– To prawda, jest ładny i bardzo dobry – powiedziała Carmen z czułością, która nas wzruszyła.

– Ile ma? – zapytałem, chociaż znałem odpowiedź.

– Czternaście miesięcy. To mój największy skarb, najlepsza rzecz, jaka mi się przydarzyła.

– To musi być trudne, wychowywać samego dziecko.

– Tak, to niełatwe. Panowie wiedzą już, czym się zajmuję. Jeszcze tylko kilka lat, a potem on nigdy się nie dowie, kim była jego matka.

– Będzie wiedział: wspomniała kobietą, która go kocha.

– Dziękuję, ale pan mnie nie zna.

– To prawda, ale dobrą matkę potrafię rozpoznać – odparł Ar-  
row.

– W czym mogę panom pomóc? Chyba nie sądzi pan, że Pablo mógł mieć z tym coś wspólnego? Spędził trzy dni w więzieniu z winy tego przekłętą nadinspektora i nawet go nie przesłuchali. Gdyby nie pan, toby tam zgnił.

– Nie sądzę, żeby był winny. Chcę tylko wiedzieć, czy przytrafiło mu się coś niezwykłego.

– Tak, ale to już pan wie. Ja też widziałam mordercę, tak samo jak Pablo.

– Tak, marynarza. Czy później jeszcze go pani spotkała?

– Nie. Czy próbował go pan odnaleźć?

– Tak, ale ten marynarz nie istnieje.

– Myśli pan, że kłamię...

– Tego nie powiedziałem. Mówię, że nie chodzi tu o marynarza. Tak samo jak Pablo szukałem w porcie. Otóż w ciągu ostatnich miesięcy nie przybił żaden statek zwany „Patna”. Nasz zabójca się maskuje, żeby nikt go nie rozpoznał.



– Nie widziałam go więcej, ale od tamtego dnia stale czuję jego obecność, w oknie.

– Co panią łączy z tym dzieciakiem?

To pytanie zaskoczyło Carmen.

– Mówię o młodym malarzu.

– To nie dzieciak. To geniusz. Niech pan zaczeka.

Carmen podeszła do jedyne mebla, jaki był w domu, i wyjęła z szuflady teczkę.

– Tutaj mam kilka rysunków. Niech pan sam oceni.

Arrow otworzył teczkę. Zawierała sporo rysunków i szkiców. Steven przeglądał je, jeden po drugim, obserwowany przez Carmen, która siedziała koło niego w milczeniu. Miał przed sobą znakomite rysunki i szkice, swobodne, żywe, dynamiczne, o rozmaitej tematyce. Były tam też studia dziewczyn z burdelu. Zachwycony Arrow oglądał każdą kartkę z osobna. Ostatnie zostały poświęcone Carmen. Zarumieniła się, gdy Arrow ujrzał ją nagą na papierze. Młody Pablo poświęcił jej też serię portretów rysowanych ołówkiem i węglem, to były arcydzieła niezwyklej urody.

– Kiedy jestem z nim, żyję w innym świecie. Próbowałam go zostawić, ale nie mogę. Odnalazł mnie i teraz nie mogę – powtórzyła. – On nie szuka, a mimo to znajduje. Wie pan dlaczego? Jego oczy, detektywie, sanie z tego świata! Pewnego dnia zobaczy rzeczywistość inaczej niż wszyscy i zostanie wielkim malarzem.

– Zginął mu zeszyt, który zawierał rysunki przedstawiające panią i koleżanki. I obawiam się, że jeśli nie zdołam temu zapobiec, pojawi się on wraz z kolejnym trupem.

– Więc ma pan odpowiedź. Ktoś jeszcze wie, że Pablo jest geniuszem, i nie może pozwolić, by tworzył. Lepiej zrobić z niego

mordercę, aby nie mógł wypełnić swego przeznaczenia.

– Ma pani wielką wiarę w niego.

– Wiem, kim jestem, kurwą. Zakochaną kurwą. Kurwą bez szkoły, która na niczym się nie zna. Ale tak, wierzę w niego.

– Pani nie jest kurwą.

– Dlaczego? Człowiek jest tym, co robi, a ja się kurwię.

Arrow nie próbował odpiierać tego argumentu, powiedział po prostu:

– Jadła pani dzisiaj obiad?

– Nie.

– Pozwoli pani, że ją zaproszę? Sherrinford zostanie z dzieckiem. – I nie czekając na odpowiedź, spytał mnie: – W porządku, Sherrinfordzie?

– On już się najadł i teraz śpi. Przyjmuję pana zaproszenie, chociaż nie mam zbyt dużo czasu, muszę iść do pracy – odrzekła Carmen.

– O tej kwestii porozmawiamy później – powiedział Arrow, wstając.

– A jeśli będzie płakał, co mam robić? – zapytałem zły, że nikt się ze mną nie liczy.

– Niech pan go weźmie na ręce, on bardzo lubi być noszony – powiedziała prasowaczka.

Następną rozmowę mistrz zrelacjonował mi dużo później, przy kominku, pewnego zimowego wieczoru.

Carmen zabrała go do gwarnej tawerny przy ulicy Leona, w połowie drogi pomiędzy placem Królewskim a ulicą Avinyó. Podawano tam obiady w przystępnej cenie, zwłaszcza *tali de bacallà*,

i codziennie schodzili się tam aktorzy z Romea. Znaleźli stolik pod ścianą, otoczony beczkami z winem, jedyny wolny, bo o tej porze lokal odwiedzali stali bywalcy. Smętny muzyk w wyświechtanym garniturze i rozpadającym się kapeluszu pobrzękiwał bez werwy na kontrabasie.

– Dlaczego chce nam pan pomóc? Co robi taki cywilizowany człowiek jak pan w tym dzikim mieście?

– Nie lubi pani Barcelony?

– To nie jest moje miasto, męczę się tu jak setki nieszczęsnych mieszkańców na łasce burżujów. To miasto przemocy. Wszyscy zabijają się, strzelają do siebie albo rzucają bomby.

– Niech pani sobie nie myśli, że mój stary Londyn czymś się różni. My już to wszystko przerabialiśmy. Jesteście tylko trochę w tyle, nic więcej. Wezwano mnie, bym złapał potwora, dlatego przyjechałem. A co pani mi powie? Pani nie jest stąd, dlaczego nie wróci pani do domu?

– A gdzie jest mój dom? Moi rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy. Może kiedyś będę mogła pokazać panu wioskę, w której się urodziłam. Nie jest to piękne miejsce i zawsze wydawało mi się zbyt małe. Teraz nie jestem tego taka pewna. Kiedy tutaj przyjechaliśmy, myślałam, że otworzyły się przede mną tysiące możliwości. Wie pan, duże miasto i tak dalej. I widzi pan, czym się zajmuję.

– Pani jest dobrą dziewczyną, to wiem, powinna pani wrócić ze swoim synkiem na wieś.

– Ma pan dzieci?

– Nie.

– Dzieci są błogosławieństwem, przynajmniej tak mówił mój ojciec, i wie pan co? Patrząc na mojego małego, myślę, że to

prawda. Może i wrócę, gdy uzbieram dość pieniędzy. Chcę uciec od tej całej zgnilizny i ocalić mojego synka.

– A kim jest jego ojciec?

– O tym nie warto mówić. Tak jest lepiej. Dlaczego pan się nie ożenił?

– Skąd pani wie, że nie jestem żonaty?

– Poznałam po sposobie, w jaki patrzył pan na moje dziecko. Człowiek taki jak pan, gdyby był żonaty, miałby dzieci. Co jej się stało?

– Umarła. Zabili ją. Ale o tym wolałbym nie mówić.

– Przepraszam.

– Nie ma za co przepraszać.

– Ile ma pan lat?

– Jestem po czterdziestce, za stary na szukanie dobrej dziewczyny. – Arrow zamilkł, bo o mało się nie zdradził, i uznał, że lepiej będzie porzucić ten wątek. – Spędziłem życie na ściganiu zbrodniarzy i czasami chciałbym odpocząć. Ale jest ich coraz więcej i nieraz myślę sobie, że niegodziwością z mojej strony byłoby nie czynić tego, po co się urodziłem. Niemniej muszę pani wyznać, że jestem już zmęczony.

– Pan nie przyszedł do mnie, żeby prosić o pomoc, prawda? Nie wydaje mi się, żebym była specjalnie użyteczna.

– Chciałem panią poznać.

– Dlaczego?

– Nie wiem – skłamał; w rzeczywistości, choć wcześniej może i tego nie wiedział, gdy tylko ją ujrzał, pozbył się wątpliwości.

Przyniesiono dania, które zamówili, i Carmen szybko zabrała się do jedzenia.

– Przyznaję, że jestem głodna. Pewnego dnia będę gruba i wielka i będę jadła trzy razy dziennie – powiedziała, z radością atakując swoją porcję. – Wie pan, ufam panu – wyznała ze szczerością pozbawioną strachu.

Arrow nic nie odpowiedział, ale na pewno poczuł się zawstydzony.

– Zabiją nas wszystkie, prawda? – spytała po chwili Carmen.

Arrow wciąż milczał, ale wiadomo było, że jest po to, by je bronić.

– Dlaczego chce mi pan pomóc? – zapytała znów. – Nie chodzi panu o mnie, prawda? Robi pan to dla siebie... z powodu tego, co stało się jej.

Carmen się myliła. Dla Arrowa nie była to tylko kolejna zagadka do rozwiązania. Jego pragnieniem było ocalić Carmen, chronić. Chciał złapać mordercę dla niej.

– Chciałbym, żeby pani przez pewien czas nie pracowała.

– A co mam robić? Mamy umrzeć z głodu? Potrzebuję tej pracy.

– Niech pani da mi tylko trzy dni. Proszę zostać w domu z dzieckiem i nie otwierać drzwi nikomu, poza narzeczonym, oczywiście.

– On nie jest moim narzeczonym. Dobrze pan wie, że ten związek nie ma przyszłości.

– W porządku, to nie jest teraz istotne. Chcę pani powiedzieć...

– Wiem, co chce mi pan powiedzieć.

Arrow jej nie słuchał. Wyjął z portfela kilka banknotów i podał dziewczynie.

– Proszę, dla pani i dla dziecka. Myślę, że to wystarczy, dopóki go nie złapię.

Odmówiła przyjęcia pieniędzy, lecz Arrow nalegał.

- Mówię panu, że nie chcę, mam oszczędności.
- A więc proszę zrobić, co pani mówię.

Carmen była bardzo podekscytowana zachowaniem tego człowieka. Znała go krótko, ale wiedziała, że nie chce, by zniknął z jej życia. Jest jednak za późno, pomyślała. Za późno.

Ujęła go za nadgarstki i rzekła:

– Jeśli coś mi się stanie, chciałabym, żeby zajął się pan małym.

– Nic się pani nie stanie. Ochronię panią, obiecuję.

– Niech go pan odda komuś zaufanemu. Niech ma inne życie.

Obieca mi to pan? – nalegała.

– Obiecuję, że nic się pani nie stanie.

– Niech pan nie obiecuje czegoś, czego nie może pan zrobić.

Będzie czuł się pan winny, jeśli coś pójdzie nie tak, a chyba i bez tego ma pan już dosyć.

– Pani jest bardzo mądra.

– I bardzo głupia.

Arrow odprowadził Carmen do domu. Po drodze opowiadała mu o swoim dzieciństwie i niespełnionych marzeniach. Arrow był zafascynowany energią, która rozpieierała to kruche ciało, ruchami, jej uśmiechem. On też jej coś wyznał, ale nigdy nie dowiem się co. Droga do domu Carmen wydała się mojemu przyjacielowi bardzo krótka.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała dziewczyna.

– Tak, jesteśmy na miejscu.

Zamilkli i tylko patrzyli sobie w oczy.

– Chce pan wejść? Byłoby miło...

– Nie, myślę, że nie powinienem.

Na twarzy Carmen odmalował się zawód.

- Myśli pan, że chcę go zadowolić? To właśnie pan myśli?
- Nie, nie myślę tak.

Odwróciła się do drzwi, nie kryjąc rozczarowania. Wtedy Arrow ujął ją za ramię, delikatnie, z opuszczoną głową. Carmen odwróciła się do niego. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, przesunął rękami po jej włosach, policzkach, po całej twarzy tak delikatnie, jakby chciał zachować w palcach każdy rys tej kobiety. Pocałował ją. Carmen go objęła. Był to pocałunek długi, powolny i namiętny. Potem stali jeszcze chwilę przytuleni do siebie z przymkniętymi oczami. Dziewczyna słyszała mocno bijące serce detektywa. Arrow pierwszy wyswobodził się z uścisku.

- Powiem pańskiemu przyjacielowi, że pan czeka.

49.

## Pijak

Stary szedł, zataczając się od krawężnika do krawężnika, pokrzykując i śpiewając. Dwaj policjanci pełniący służbę usłyszeli go, zanim wyłonił się zza rogu, chwiejąc się niczym statek w czasie sztormu.

– Ty przeklęty stary pijaku! Obudzisz całą okolicę! – syknął jeden z policjantów.

Podeszli do niego. Dopiero niedawno rozpoczęli patrol i czekała ich długa noc polowania na zabójcę prostytutek. Rozkazy były jasne: zatrzymywać wszystkich podejrzanych, nie dopuścić, by jakkolwiek kobieta chodziła samotnie, w razie znalezienia się w trudnej sytuacji gwizdać, aby zaalarmować inne patrole. Ustalono kod gwizdkowy, który miano stosować zależnie od okoliczności. Tylko tego im brakowało – użerania się z pijakami!

– Ejże, staruszkule! Idź do domu, późno już! Kładź się spać!



– Nie jestem stary ani pijany, tylko trochę mi wesoło – odpowiedział mężczyzna.

Miał czerwoną, nieogoloną, brudną twarz i szklane oczy. Był mężczyzną wysokim i silnym, lecz z powodu wypitego alkoholu poruszał się jak niedołęga.

– Gdzie pan mieszka? – spytał drugi policjant.

– Akurat ci powiem, gościu, przecież cię nie znam!

– Jestem policjantem.

– A ja byłem Antoniem Cánovasem, zanim mnie zastrzelili. Co za pierdoły! – Zaczął śmiać się jak szalony i coś bełkotać.

– Dobrze, niech pan idzie, mamy dużo pracy.

– Po co ci ta latarka i ten gwizdek? Wybierasz się na wycieczkę? – zapytał pijak.

– Ten stary mnie męczy – powiedział drugi policjant do kolegi.

– Jak się pan nazywa? Gdzie pan pracuje?

– Nazywam się Juliusz Cezar i jestem śmieciarzem, ale wcześniej byłem ruskim imperatorem. – Parsknął śmiechem.

– Rzymskim – poprawił go jeden z policjantów.

– Rzymskim to byłeś ty, ja byłem ruskim – upierał się pijany, zaśmiewając się. – Wydałem wszystko, co miałem... całą wypłatę... sześć peset... ten hultaj, mój szef, powiedział, że więcej mi nie da... że jestem pijakiem... że schowa pieniądze i da je mojej żonie, gdy przyjdzie... Co za łobuz! Ja pijak!

– Cholera! Ten gość śmierdzi! Musimy się go pozbyć – mruknął policjant.

– Cisza! – wrzasnął pijak, podnosząc rękę z palcem wskazującym skierowanym w górę. – Słuchajcie!

Policjanci umilkli, a mężczyzna pochylił się, zawył jak duch i krzyknął:

– Zgnilizna śmierdzi w państwie duńskim! – I znowu zaczął śmiać się jak oszalały.

– Co za osioł!

– Przestraszyłem was, co? A! Przestraszyłem!

– Twój oddech śmierdzi zgnilizną.

– Mój oddech przybywa z piekła... Uuuu! Uuuuu! I co? Złapaliście go już? Złapaliście tego, który robi *butifarras* z kurewskich *budells*?

Policjanci byli zmieszani i zakłopotani.

– A co ty o tym wiesz?

– Wszyscy wiedzą! Nawet te darmozjady psy – mówił, śmiejąc się.

Jeden z policjantów zaczął tracić nad sobą panowanie.

– Idź już sobie, wynocha. Do domu. Ale po cichu, nie przeszkadzaj sąsiadom.

– Chyba będę rzygał – oznajmił pijak, wieszając się na policjancie, który polecił mu się oddalić. Policjant próbował się od niego uwolnić, ale pijak trzymał go mocno, oparł głowę na jego ramieniu i zaczął się trząść, jakby za chwilę miał wymiotować.

– Rzygaj na twoją matkę kurwę! – wrzasnął policjant, odsuwając go od siebie z pomocą kolegi.

– Wynocha, bo jak nie, to zabierzemy cię na komisariat!

Pijak odszedł, mamrocząc coś pod nosem. Zastał sobie usta, próbując powstrzymać odruch wymiotny.

Policjanci ruszyli. Jeden zaproponował, żeby skręcili sobie po papierosie. Drugi się zgodził.

– Że też człowiek musi trafiać na takich kretynów! Jakby nie wystarczył ten przekłety morderca dziewczyn!

– Mówię ci, gdyby nie to, że nie wolno nam opuszczać posterunku, to zabrałbym tego durnia do komisariatu.

- Nie martw się, jego żona da mu dzisiaj popalić. Masz ogień?
- Policjant przetrząsał kieszenie i stawał się coraz bardziej niepokojny. Przeszukał kieszenie jeszcze raz.
- Co się stało? – zapytał jego kolega.
- Co za hultaj!
- Co jest?
- Ten sukinsyn ukradł mi gwizdek!

50.

## Francuzka

Christianne wypła trzecią wódkę, ale wciąż nie mogła opanować złości. O tej godzinie przychodziła do domu publicznego, ale Benigna powiedziała, że tej nocy nie otwiera, bo jest święto.

– My, kurwy, nigdy nie świętujemy – odparła Francuzka, bardzo niezadowolona.

Benigna nie zamierzała dyskutować. Podjęła już decyzję. Po śmierci Marty i Negry i wizycie detektywa straciła zapał do prowadzenia interesu.

– To śpij tutaj, jeśli chcesz, nie powinnaś chodzić sama po ulicach.

– Nie przyszłam tu spać, tylko pracować.

Rozzłoszczona Christianne wyszła na ulicę. Nie zamierzała tracić nocy, ale było jeszcze za wcześnie na szukanie dziada, który chciałby zapłacić kilka peset za porządne lanie. Ruszyła do tawerny Rotxotxo przy ulicy Tres Llits. Miała ochotę wypić parę kieliszków, żeby się uspokoić.

Nagle wydało jej się, że widzi Carmen w towarzystwie całkiem niezłe wyglądającego faceta, wychodzącą z tawerny La Leona. Ta zdechła komarzycza znalazła klienta i jeszcze wyciągnęła od niego kolację, pomyślała Francuzka, widząc, jak para znika za rogiem.

Weszła do Rotxotxo, zajęła miejsce pod ścianą, przy stoliku otoczonym beczkami z winem, i zamówiła pierwszą wódkę pod kilka ciasteczek.

– *Cinc de la forta* – rzuciła do kelnera.

O tej porze nie było zbyt wielu klientów. Czterech pijaków przy jednym stoliku, stary żebrak, z pieniędzmi akurat na ćwiartkę lichego wina, i dwóch młodzieńców, którzy podeszli do niej, gdy zorientowali się, jaka jest jej profesja. Francuzka brutalnie ich przepędziła. Ona z nikim nie chodzi. Dosyć już przeżyła ze swoim odrażającym i niedołęznym małżonkiem, który przekabacił jej ojca. Teraz ona rządzi i nie zamierza w nic się pakować.

Lokal się zapełniał, ale żaden z bywalców nie pasował do jej typu klienta. Jednak noc się dopiero zaczynała, a ona nie miała zamiaru wracać do domu, nie znalazłszy jakiegoś nadzianego zboczeńca, gotowego zapłacić za wychłostanie go tak, jak lubi.

Piła, a czas płynął. Właściciel lokalu pożegnał już personel i zaczął składać stoliki, czekając, aż nieliczni bywalcy opuszczą tawernę i będzie mógł zamknąć. Christianne zamówiła kolejną wódkę.

– To już czwarta, zsikasz się w majtki – mruknął właściciel.

– Kurwa twoja mać!

– Awanturujesz się, Francuzko! Strasznie się awanturujesz! – stwierdził, nalewając wódkę.

- Ty się lepiej zamknij i polej.
- Szybko, trzeba zamykać.

Właściciel odszedł do baru i zaczął myć szklanki, podczas gdy ostatni klienci wychodzili.

Francuzka wypła wódkę jednym haustem, wstała i chwiejąc się, ruszyła w stronę baru. W tandetnej i zniszczonej torebce zaczęła szukać pieniędzy.

- Ile się należy?
- Nic nie zjadłaś.
- Nie jestem głodna. Pilnuj swojego nosa. Ile się należy? – powtórzyła ponuro.

Właściciel nie odpowiedział. Utkwił wzrok w jej dekolcie.

- Co? Podobają ci się moje cycki? – spytała.
- Słyszałem, że dobrze go ssiesz – powiedział barman, podzuczając w powietrze monety i przekładając je z ręki do ręki.
- To źle słyszałeś. Ja go wykręcám, aż miło.
- Tego mi jeszcze nie robiono.
- Spodoba ci się.

Francuzka chwiejnym krokiem wyszła z tawerny, wycierając ręce o sukienkę. Wykręciła porządnie temu łajdakowi i wszystko na nic. Jak z tymi wszystkimi obleśnymi staruchami, których doprowadzała do szaleństwa policzkami, kopniakami i batami. Parszywy skąpiec dużo nie zapłacił, ale przynajmniej nie musiała płacić rachunku i dostała jeszcze parę kolejek.

Zobaczyła powóz stojący w połowie ulicy i ruszyła w jego stronę. Miała przecucie, że to jej szczęśliwa noc. Gdy podeszła do woźnicy, chudego człowieka o wyglądzie prostaka, ten podał jej

jakiś przedmiot. Był to owoc granatu, dojrzały i duży, który ledwie mieścił się w jej dłoni.

- Dla ciebie od mojego pana.
- Twój pan jest bardzo hojny.
- Wsiadaj, zawiozę cię do niego.
- Mnie nikt nic swojego nie wsadza, rozumiemy się?
- O nic się nie martw, to, co mój pan chce ci wsadzić, to nie jest „nic swojego”. Wiemy, jak pracujesz, Francuzko.

Zaskoczyło ją, że jest taka sławna, ale właściwie, jeśli się dobrze zastanowić, to dlaczego miałyby nie być? Zapracowała sobie przecież na sławę wśród eleganckich dżentelmenów. Powóz był luksusowy, konie piękne, o lśniącej sierści, chociaż osobnik na koźle pozostawiał dużo do życzenia i czuć od niego było kwaśne liche wino.

- No to się dogadaliśmy – powiedziała Francuzka.
- Otworzyła drzwiczki i wsiadła do powozu.

51.

## Trzecia ofiara

Znaleźliśmy Francuzkę na rogu ulicy Regomir, w strefie strzeżonej wyznaczonej przez Arrowa. Pełniłem wartę, wraz z jednym policjantem, w okolicach ulicy Merced, kiedy obaj usłyszeliśmy gwizd jednego z patroli. Pobiegliśmy tam, skąd dobiegał ten niepokojący dźwięk.

Świtało.

Oczy Christianne były otwarte na ciemność, takie było moje pierwsze wrażenie na widok leżącego na ziemi ciała, otoczonego przez policjantów i gapiów.

– Niczego nie dotykać – powiedziałem od razu, podchodząc do zwłok.

Nieprędko miałem zapomnieć widok kobiety z bestialsko podeźniętym gardłem, wypatroszonej jak bezbronne zwierzę.

- Kto znalazł trupa?
- Sklepikarz. On nas powiadomił – odrzekł jeden z policjantów, nie mając odwagi spojrzeć na zwłoki.



Właśnie przybył nadinspektor Fonte w towarzystwie lekarza sądowego i torując sobie drogę w tłumie, podszedł do mnie.

Tak samo zrobił fotograf, który umieścił wielki drewniany aparat na statywie i zaczął robić zdjęcia.

– Już jest prasa! – prychnął Fonte z niechęcią, po czym dodał: – Te przeklęte sępy z „La Vanguardii” zawsze zlatują się pierwsze. Nie wiem, jak to robią, że tak szybko dostają złe wiadomości!

– Wykonują tylko swoją pracę – powiedziałem.

– Gdzie jest Arrow?

– Nie wiem. Na pewno wkrótce się pojawi.

– Nie było go z panem?

– Nie, przydzielił mi agenta policji i przypuszczam, że sobie również.

– To nie chodzą panowie razem?

– W tym przypadku nie.

Podszedłem do lekarza sądowego i rozpoczęliśmy oględziny ofiary.

– Co pan sądzi? – zapytałem.

– Zabito ją tak jak pozostałe, podcięto jej gardło, zachodząc od tyłu. Ma dużo ran ciętych na klatce piersiowej i brzuchu, większość śmiertelnych. Są głębokie, zadane przez osobę silną, zdecydowaną zabić dziewczynę. Broniła się.

– Skąd pan to wie?

– Proszę spojrzeć na ręce i palce, są całe pocięte. Tak, broniła się. W pewnym momencie wiedziała już, że chcą ją zabić, i stawiała opór.

– Z moich obliczeń wynika, że zabito ją koło drugiej, trzeciej nad ranem, sekcja zwłok to potwierdzi – powiedziałem.

– Tak, ma zeszywniałe szczęki i powieki, ale reszta mięśni

jest jeszcze miękka – zauważył lekarz. – Ale, jak pan powiedział, więcej dowiemy się po sekcji.

– Wypatroszono ją jak królika!

– I zmasakrowano. Powyrywano niektóre organy wewnętrzne. To jego znak firmowy. – Lekarz nie krył obrzydzenia.

– Jest szósta rano i nikt niczego nie widział – westchnąłem sfrustrowany.

– To proste. Podobnie jak pozostałych, nie zabito jej w miejscu, gdzie została znaleziona. To wymaga czasu i pewnego przygotowania. Zabili ją i porzucili tu, za rogiem, jak psa. Biedaczka!

– Na pewno przewieźli ją tu wozem po zakończeniu makabrycznego dzieła.

– Tak, bez wątpienia tak było. A wykrwawiła się gdzie indziej. To miejsce jest zbyt czyste, nie ma plam na ścianach, no i ciało nie spływa krwią.

– To niebywałe! Dwa tuziny agentów, dwanaście patroli przeszukujących teren i nikt niczego nie zauważył! – Fonte był zły.

– Ktoś coś musiał widzieć. – Podeszedłem do grupki agentów, by ich wypytać. Owszem, widzieli przechodzących ludzi, ale niktogo na tyle podejrzanego, żeby go zatrzymać.

– My o mało co nie aresztowaliśmy pijaka, ale to wszystko. Podły pijaczyna, który nie byłby w stanie poderżnąć gardła nawet swojej babci, bo wlał w siebie tyle alkoholu. Chociaż ten łobuz ukradł mojemu koledze gwizdek – powiedział jeden z policjantów.

– Nam też – dodał jakiś agent należący do innego patrolu.

– Panom też ukradł gwizdek?

– Dwa, proszę pana. Okradł nas obydwu.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Ta banda idiotów pozwoliła się okraść podczas służby i nikt niczego nie zauważył. Jak, u diabła, pijak, który ledwo trzymał się na nogach, mógł okraść trzech agentów tak, by niczego nie spostrzegli?

– I panowie myślą, że pijak byłby do tego zdolny? Do okradzenia trzech doświadczonych i inteligentnych agentów policji? – powiedziałem z nieskrywaną złośliwością. – A nie wydedukowali panowie czasem, że morderca z was kpi? Cholera! – wrzasnąłem na cały głos. – Wybebeszył ją pod waszym nosem, a panowie niczego nie spostrzegli! O czym panowie myśleli?

– Myśleliśmy, że to zwykły pijak.

– A gdy panów okradł, to nadal tak myśleliście? Nie zaświeciła się żadna żaróweczka? – Odetchnąłem głęboko i starałem się uspokoić. – Co to za człowiek?

– Wysoki, krzepki i silny, jak na swój wiek.

– Silny? Skąd pan wie?

– Bo się na mnie uwiesił.

– Uwiesił się na panu?

– Chciało mu się wymiotować.

– To ja zaraz zwymiotuję, widząc pańską niekompetencję! I co jeszcze? Jak był ubrany? Jak wyglądał? Jakie miał rysy twarzy?

Agenci zaczęli opisywać pijaka. Na szczęście, mimo całego swego debilizmu, nie zatracili zmysłu obserwacji. Im więcej jego cech wymieniali, tym bardziej stawało się dla mnie jasne, że był to morderca we własnej osobie, który śmiał nam się w nos.

Nagle jeden z policjantów wykrzyknął:

- To on!
- Co pan mówi?
- To on, morderca – powiedział, wskazując kogoś w tłumie.

Odwrociłem się w stronę, którą wskazywał agent, i zobaczyłem „pijaka”. Utorował sobie drogę wśród tłumu i podszedł do nas. W jednej chwili dwaj z czterech agentów, którzy parę chwil wcześniej opisywali złodzieja, rzucili się na niego.

– Zostawcie mnie! Zostawcie mnie! – bełkotał mężczyzna, szarpiąc się z nimi. Po chwili zmienił ton i minę i powiedział poważnie: – Puśćcie mnie! To ja!

Ten głos, pomyślałem.

– Jestem Arrow! – Pijak jednym ruchem wyswobodził się z objęć agentów, zrywając maskę, perukę i podarty płaszcz. – Wasze gwizdki. – Podał je zbitym z tropu agentom.

– Co pan robi w tym przebraniu, Arrow? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Podszedł do agentów i rzekł:

– Jak panowie widzą, tej nocy wszyscy popełniliśmy poważne błędy, błędy, za które ta biedna dziewczyna zapłaciła życiem. Ja też popełniłem błąd. Moje przebranie się nie przydało, choć wykazałem, jak mało bystry jesteście, gdy odwróciłem waszą uwagę, aby zbliżyć się do zabójcy. Oczekuję od panów większego wysiłku, nie mogę sam patrolować ulic.

Podszedłem do ofiary.

– Co tu mamy, Sherrinfordzie?

Powiedziałem mu, do jakich wniosków doszliśmy z lekarzem sądowym. Arrow wyjął z kieszeni lupę i zaczął badać ubranie dziewczyny.

– Nie ma śladów, chociaż w tym kraju na niewiele by nam się przydały – mruknął, po czym zwrócił się do gapiów: – Proszę się odsunąć.

Niczym pies gończy, zaczął węszyć wokół zwłok.

– Co pan wyprawia, u diabła? – syknął Fonte.

– Ślady dorożki. – Arrow wskazał ziemię. – Co potwierdza opinię lekarza sądowego.

– To mogą być ślady jakiegokolwiek wozu – rzekł Fonte.

– Tylko że te, jeśli przyjrzeć im się uważnie, stają się coraz płytsze w miarę oddalania się od ofiary, co może świadczyć o tym, że pojazd wiół mniejszy ciężar. No dobrze, ale to nie jest decydujące dla śledztwa i nie dostarcza nam żadnej wskazówki.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że są setki powozów takich jak ten. Gdybyśmy znaleźli w tych śladach coś osobliwego, pozwoliłoby nam to szukać konkretnego pojazdu. Ale, niestety, nie w tym przypadku.

Arrow znów podszedł do ciała dziewczyny. Doktor kontynuował swoją pracę.

– Znalazł pan coś, doktorze?

Medyk, podnosząc rękę ofiary, powiedział:

– Więcej czarnych plam. – Opuścił jej ramię i wskazując bok, rzekł: – Brakuje wątroby, a wewnątrz pozostawiono kawałki owocu granatu.

– Dziękuję, doktorze.

Błysnęło tak, że przez moment nic nie było widać. To fotograf odpalił aparat. Arrow podniósł dłoń do oczu, na moment je zasłonił, po czym spojrzął na dziesiątki gapiów, których policja starała się trzymać z daleka od miejsca zbrodni. Arrow, nic nie mówiąc,

oddalił się parę metrów, a następnie wrócił, zerkając ukradkiem na wszystkich zebranych.

– Co on robi? Dlaczego ucieka? Dokąd on idzie? – dopytywał się Fonte.

Nie odpowiedziałem, ale, na ile znałem Arrowa, z pewnością czegoś szukał. Tylko dlaczego jego wzrok wędrował ku gapiom, którzy utrudniali nam pracę?

Nagle zobaczyłem, jak z determinacją, którą rzadko u niego widywałem, biegnie w stronę tłumu, goniąc kogoś, kto zniknął za rogiem. Prawie straciłem go z oczu, usłyszałem tylko, jak Arrow krzyczy:

– Sherrinford, za mną!

Gdy zrozumiałem, o co mu chodzi, Arrow zdołał już przedrzeć się przez stłoczonych gapiów i ku zdumieniu naczelnika Fontego oraz pozostałych funkcjonariuszy policji, pędził za nieznanym.

Straciłem go z oczu, ale, jak się później dowiedziałem, Arrow biegł ulicą Marquet w stronę Paseo de Colón, starając się, by nie stratowały go konie. Tak dotarł do nabrzeża. Tam znów zobaczył nieznanego, ale stracił trop, gdy tamten dobiegł do zabudowań portu. Rozglądając się na wszystkie strony, Arrow próbował odzyskać siły. Nie mógł daleko uciec, pomyślał. Musiał się schować gdzieś pomiędzy halami a dokiem. W porcie był duży ruch, robotnicy przynosili towary z miejsca na miejsce. Wydało mu się, że widzi go znowu, przy nabrzeżu. Pobiegnął za nim i znów go zgubił. Zbliżył się do statków i nagle ktoś lub coś uderzyło go i upadł.

Zimno spowodowało, że odzyskał przytomność i poczuł, iż znajduje się w stonej wodzie, usiłując utrzymać się na powierzchni, wciąż czując ból po uderzeniu. Arrow się topił.

Próbował płynąć w stronę schodów prowadzących do morza, ale szedł na dno. Bez skutku machał rękami. Był wyczerpany. Nagle coś wypchnęło go na zewnątrz. Ogromna dłoń podtrzymała go w wodzie i Arrow znów ujrzał światło. Ktoś podał mu rękę i on ją chwycił. Gdy nieznajomy go wyciągał, ratując mu życie, Arrow usłyszał tylko jedno zdanie:

– Gramy dalej.

Znalazłem go. Był przemoczony, leżał na ziemi z głową opartą o cumownicę.

## W tłumie

– Widziałem go, Sherrinfordzie, widziałem. Był w tłumie. Pobiegłem za nim. Ten błysk flesza obudził we mnie myśl, że może być wśród nas. I nie pomyliłem się. Czułem jego szyderczą obecność. Kiedy się oddaliłem i spojrzałem na grupę gapiów, ujrzałem jego oczy utkwione we mnie. Był to osobnik duży, silny, o chorym spojrzeniu. Rozkoszował się tą chwilą. Był taki sam jak ten namalowany przez młodego Picassa.

- Mógł pan umrzeć.
- Ale, jak pan widzi, żyję.
- Niedługo, jeśli się pan nie przebierze. Złapie pan zapalenie płuc. Co pan chciał zrobić, przebierając się za pijaka?

Wtedy Arrow opowiedział mi o zdarzeniach minionej nocy, a ja zanotowałem wszystko w zeszycie. Potem posłuchał mnie i przebrał się w suche ubranie. Oporządziwszy się i zmieniwszy odzież, znów pojawił się w sali.

- I twierdzi pan, że do pana przemówił? – upewniłem się.



- Tak. „Gramy dalej”, tak powiedział.
- Ten potwór niewątpliwie mógł skończyć z moim przyjacielem, a nie zrobił tego. Arrow, dedukowałem, jest częścią jego gry, co tamten wyraźnie powiedział, gdy pomagał mu wyjść z wody. Umysł kryminalisty: zimny i metodyczny, gotów zmierzyć się z najlepszym detektywem, nieugiętym w walce ze złem.
- Co pan znalazł w ubraniu zamordowanej dziewczyny? – chciałem wiedzieć.
- Zeszyt Picassa, ten, o którym mówił, że go zgubił.
- Ukrył pan dowód przed policją?
- Niezupełnie. Powiedzmy, że ukryłem fałszywy dowód. Musimy wrócić do malarza. Jeśli się nie mylę, o tej porze powinien już dostać albo zaraz dostanie wątrobę ofiary.
- Ale jesteśmy wcześniej umówieni z Sitwellem, nie pamięta pan?
- Doskonale.
- Jaki ma pan do niego interes?
- Można powiedzieć, że wynika on z jego interesu do mnie. To Sitwell zaproponował naszą pomoc barcelońskiej policji.
- I sądzi pan, że ma on jakiś związek ze sprawą? Czy to nie aby jeden z pańskich wielbicieli, który czytał historie o panu w „Strandzie”?
- Dziś się przekonamy.
- Ale pan ma już jakieś zdanie na ten temat – zasugerowałem.
- Pozwoli pan, że go nie wyjawię, zanim się nie upewnię, mój drogi Sherrinfordzie.
- Pan zawsze jest taki tajemniczy, Arrow. Nigdy nie zdołam przyzwyczaić się do pańskich sekretów.

– To nie jest tak, że chcę przed panem coś ukryć. Powiedzmy, że moje podejrzenia powinny opierać się na solidnych podstawach: faktach i dowodach, mój drogi Sherrinfordzie. Fakty i dowody. W tym fachu nie należy postępować pochopnie, gra toczy się o życie dwóch kobiet. Z drugiej strony dowiedziałem się paru rzeczy o sir Richardzie, zaiste frapującym jegomościu.

– Czego dowiedział się pan na temat ciała, które znaleźliśmy dziś rano? – spytałem.

– Niczego, poza potwierdzeniem poszlak.

– Dziewczyna też miała ręce ubrudzone węglem – przypomniałem. – Podejrzewam, że ma pan nowe dowody z tym związane. Poszlaki, których, jak sądzę, nie uznał pan za stosowne przedstawić podczas naszego spotkania z policją.

– Jak mówiłem na zebraniu, wartość węgla określa się na podstawie tego, ile zawiera wody, popiołu, wodoru, siarki i, przede wszystkim, jaki jest kolor podczas spalania. No dobrze, po analizie próbek w laboratorium porównałem ich skład z innymi, należącymi do niektórych złóż z prowincji Lérida.

– I do jakich wniosków pan doszedł?

– Jak mówię, przeanalizowałem próbki z zagłębia Erill-Castell. Są to złoża znajdujące się jakieś jedenaście kilometrów od miasta, pomiędzy rzekami Noguera Ribagorzana i Noguera Pallarésa. Wynik był negatywny. Następnie przeanalizowałem próbki z trzech złóż w zagłębiu Seu d'Urgell, rozpostartym w dolinach Segars, Bastida i Navinés.

– Napracował się pan.

– Zdziwi się pan, Sherrinfordzie, próbki pozostawione na ciałach dwóch kobiet, i z pewnością znalezione na trzeciej ofierze, odpowiadają złożu w dolinie Navinés. Krąg się zacieśnił. Musimy

znaleźć magazyn portowy, gdzie składowane są węgiel z rzeczonych złożeń.

– Zadziwia mnie pan, drogi przyjacielu. Jeśli się nie mylę, chodzi tu o podstawowy dowód obciążający naszego zabójcę.

– Z tym że nie tyle jego, ile miejsce, w którym popełnia zbrodnię.

Teraz mogłem być pewny, że umysł mojego przyjaciela pracuje z precyzją właściwą prawdziwemu łowcy, którym zawsze był. Tyłko jedna rzecz mnie niepokoiła i nie mogłem przestać o niej myśleć.

– Co z młodą prasowaczką? O czy rozmawialiście, kiedy zostawiliście mnie z dzieckiem? Zdaje się, że wywarła na panu duże wrażenie.

– Na czym opiera pan swoje domniemania?

– Powinien był pan siebie widzieć w chwili, gdy ją pan ujrzał! Powiedziałbym, że...

– Nie powie pan niczego niestosownego – uciął Arrow. – Nie powie pan, bo jest pan angielskim dżentelmenem.

Zaznaczył, że angielskim, jak gdyby stanowiło to jakąś wartość samą w sobie, jakbyśmy my, Anglicy, byli narodem wybranym.

– Tak czy inaczej, mój drogi przyjacielu – odparłem – dobrze by było, gdyby emocje nie przeszkadzały nam w pracy.

– Czy kiedykolwiek mi się to zdarzyło?

– Nic o tym nie wiem, ma pan rację. Ale zawsze może być ten pierwszy raz. Przeczuję, że wrażenie, jakie wywarła na panu ta dziewczyna, było co najmniej piorunujące i niespodziewane. Wiem, że chce pan ją ocalić, i właśnie dlatego nie powinien pan narażać żadnego z pańskich sześciu zmysłów.

– Pięciu, mój drogi Sherrinfordzie.

– Nie. Pan ma szczęście.

Moja uprzejmość usatysfakcjonowała Arrowa, ale oczekiwałem od niego więcej. Miałem nadzieję, że stan zakochania, który u niego dostrzegałem, nie będzie przeszkodą w walce ze zbrodnią, nie uniemożliwi mu rozmowania z tak charakterystyczną dla niego nieprzeciętną błyskotliwością.

– Bardzo ważne jest, aby na pana osąd nie miały wpływu cechy czy osobiste przymioty osoby, z którą ma pan do czynienia. Dla pana świadek czy klient stanowią źródło nowych danych, informacji, które może pan poddać analizie – powiedziałem, przypominając mu jedno z jego sławnych zdań.

– Wypominanie mi tego sformułowania wydaje mi się niesportowe i niegodne Anglika. Zrozumiałem pana, Sherrinfordzie, nie musi pan drążyć tematu – rzekł Arrow, bardzo niezadowolony.

– Co zawierał zeszyt, który znalazł pan na miejscu zbrodni?

– Nie wiem, nie miałem czasu go przejrzeć. I, zdaje się, nieprędko to zrobię.

Wyjął zeszyt z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Był bardzo zniszczony.

– Musimy poczekać, aż wyschnie, wtedy zobaczymy, co da się odzyskać.

Położył mokry zeszyt na kominku, by go wysuszyć.

– A teraz, jak sądzę, oczekuje nas sir Richard. Czy jest pan gotowy, Sherrinfordzie?

– Jak najbardziej – odpowiedziałem, sięgnąwszy po laskę.

## Anglik z Barcelony

Sir Richard Sitwell przyjął nas w swoim gabinecie wyjątkowo serdecznie. Był to wysoki, korpulentny człowiek, około czterdziestopięcioletni, o wyglądzie sportsmena, który się poruszał z imponującą jak na swój wiek kocią zręcznością. Ubierał się jak dandys: szary garnitur o angielskim kroju, do tego idealnie zawiązany krawat. To był styl, który dyskretnie sygnalizował: „Jestem człowiekiem stanowczym i posiadaczem ogromnej fortuny”. Miał też ciemne, starannie ostrzyżone włosy, przyprószone na skroniach siwizną. Jego twarz, pociągła, o zdrowej karnacji, z wyraźnie zarysowaną szczęką, odpowiadała wyobrażeniom o człowieku czynu, pewnym siebie, szczerze wyposażonym w środki finansowe i przyzwyczajonym do wydawania poleceń i posłuchu.

– Jestem zaszczycony, mogąc pana poznać, panie Arrow. I pana oczywiście również, doktorze Sherrinford – dodał, kierując się w moją stronę i wyciągając do mnie rękę. – Nie codziennie ma się

przyjemność poznania tak słynnego rodaka – rzekł do Arrowa.

– Ależ pan nie jest Anglikiem. Jak zrozumiałem, urodził się pan w Barcelonie?

– My, Anglicy, możemy sobie pozwolić na ten luksus i przyjść na świat w dowolnym jego zakątku – odparł.

Sir Richard poparł swoje twierdzenie dwoma przykładami: Kiplinga i Conrada. Jeden z dwóch najznakomitszych pisarzy języka angielskiego urodził się na peryferiach Imperium, drugi zaś był z pochodzenia Polakiem, a dopiero później stał się jednym z najbardziej interesujących twórców piszących po angielsku.

– To dość szczególna deklaracja, aczkolwiek, sądząc z pana akcentu, nie wygląda pan na Katalończyka. Ma pan istotnie dość wyraźny akcent angielski.

– Z racji urodzenia doskonale mówię w trzech językach, ale owszem, myślę i działam po angielsku. Moja rodzina osiadła tu w epoce Wellingtonów, kiedy pomagaliśmy im wygonić stąd Francuzów.

– No właśnie, jak rozumiem, pański dziadek był generałem i uczestniczył w decydujących bitwach tamtej wojny.

– To nie była wojna, lecz mnóstwo potyczek i walk partyzanckich, w tym Hiszpanie są najlepsi. A my wprowadziliśmy elementy dyscypliny, co zdecydowało o wygranej i pozwoliło przegonić Francuzów. Mój dziadek prowadził u boku księcia wspaniałe kampanie, okrył się chwałą, biorąc Ciudad Rodrigo i Badajoz.

– I jego ród tu osiadł.

– Jak pan wie, wywodzę się z dwóch najstarszych rodów Anglii. Moi przodkowie giną w mrokach dziejów, jak to się potocznie mówi. Tu było naprawdę dużo do roboty.

– I została ona wykonana. Jest pan dziedzicem jednej z największych fortun Barcelony.

– Powiedziałbym nawet, że Hiszpanii, a zapewne również Anglii. Mój ojciec był jednym z założycieli Banku Barcelony w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku oraz pierwszej spółki gazowniczej w Hiszpanii i jednej z pierwszych spółek akcyjnych.

– Ma pan na myśli Katalońską Spółkę Oświetlenia Gazowego?

– Właśnie. W tamtym czasie to było sześć milionów reali, cztery tysiące reali za akcję. A wśród założycieli Charles Lebon i mój ojciec, z pakietem większościowym akcji, resztę zaś nabyli drobni akcjonariusze, tacy jak Pere Gil i Serra, Carles Torrents czy Josep Riera.

– Pan zaś rozwinął rodzinny interes. O ile wiem, jest pan akcjonariuszem Maszyny Lądowej i Morskiej, Macosy, firmy z Poblenou, zajmującej się produkcją wagonów kolejowych, właścicielem kolonii przemysłowej na rzece Llobregat i posiadaczem sporego pakietu akcji w innych, jak kopalnie Bellmunt, w Priorat i w zagłębiu Seu d'Urgell.

– Zna pan moje interesy lepiej niż ja! Ale przyszłość należy do elektryczności. Zapomina pan, że jedna ze spółek, w których mam udziały, oświetliła w osiemdziesiątym drugim roku Paseo de Colón piętnastoma lampami łukowymi. Dzięki mnie i moim wspólnikom Barcelona będzie, jako pierwsze miasto w Hiszpanii, wyposażona w publiczny system oświetlenia.

– Niewątpliwie jest pan filantropem.

– O nie, nie jestem filantropem. Mam natomiast wrodzone zdolności do interesów.

– Oraz do sportu i stosunków towarzyskich.

– Nie przestaje mnie pan zadziwiać. Zbadał pan również te dziedziny?

Arrow przedstawił mu zwięźle wyniki swoich ustaleń. Sir Richard słuchał go uważnie i najwyraźniej pochlebiała mu uwaga, jaką mu poświęcono.

– Brakuje tylko spadkobiercy tego imponującego imperium.

– Tu się pan myli, mam syna.

– To wiem, ale wiem także, że nie ma zamiaru pójść pańską drogą.

– Mój syn, jak wszyscy idealiści, jest nieco zagubiony, to normalne.

– Zagubiony i chory. – Arrow zrobił pauzę, by zaobserwować, jaki efekt wywołają jego słowa, i po chwili dodał: – Wygląda na to, że ciężko chory. Zdaje się, że jest bliskim przyjacielem młodego Picassa, jednej z osób zamieszanych w tę potworną sprawę.

– Do czego pan zmierza? Mój syn nie ma z tym nic wspólnego. Mój syn, jak pan zauważył, jest ciężko chory. Ta banda degeneratów zatrzała jego ciało i duszę. A szczególnie ten młody człowiek, którego nazwisko pan wymienił, ten cały Picasso.

– A pan chce się za to zemścić.

– Ja chcę tylko ratować syna. – Sitwellowi bardzo nie spodobał się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa, i podejmował wysiłki, by nad sobą panować, ale z jego słów przebijała furia. – Mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zmieść ten motłoch. Niech pan przypadkiem nie wątpi, że mógłbym to zrobić, gdybym tylko chciał. Ale mnie interesuje mój syn, tak więc proszę wyświadczyć mi przysługę i kontynuować poszukiwania gdzie indziej.



– Dlaczego chciał pan, abym to ja prowadził tę sprawę?  
– Dla sportu. Nie uszło przecież pańskiej uwagi moje umiłowanie dla sportu. Jak każdy prawdziwy Anglik Kocham współzawodnictwo.

– Tak, to prawda, a pańskie akcje w tej branży to potwierdzają – mruknął Arrow.

– Ja również wszystko o panu wiem. Poza tym śledziłem z zainteresowaniem sprawę i mam podobne podejrzenia do pańskich. Sądziłem, że wyświadczę panu przysługę, bo od lat depcze pan po piętach Rozpruwaczowi. W sumie, jako zwykły widz, chciałem was skonfrontować. Niech wygra lepszy.

– Ale pan ma już pewne podejrzenia co do finału tej sprawy? O ile się nie mylę, obstawił pan zakład.

– Stawiam na to, że on skończy z tymi wszystkimi dziewczkami, a pan nie będzie mógł mu w tym przeszkodzić.

– Jest pan bardzo pewny swojego wyboru.

– Owszem.

– A co pan sądzi o tych zbrodniach, przy całym sportowym charakterze pańskiego zainteresowania?

Słuchałem tej rozmowy w milczeniu, skupiony niczym widz śledzący partię tenisa, coraz bardziej zainteresowany kierunkiem, w jakim zmierza.

– Zbrodnia, jak by powiedział Dostojewski, jest to protest przeciwko kulejącej organizacji społecznej – stwierdził Sitwell, wymawiając te słowa z przekonaniem, które mnie zmroziło.

– To ciekawa opinia, choć z drugiej strony straszna. Jeśli dobrze pana zrozumiałem, twierdzi pan, że niektórzy ludzie mają prawo popełniać wszelkie akty przestępcze i nie można ani nie powinno się ich za to sądzić. Pan widzi w moim przeciwniku

wykonawcę woli społeczeństwa, którego przywileje stoją ponad wszelkimi prawami.

– To pan powiedział, nie ja, ale istotnie, tak go właśnie postrzegam. Jako człowieka nadzwyczajnego, nieprzeciętnego, który ma prawo do każdego okrucieństwa. To ktoś, dla kogo ci biedni, słabi i zdegenerowani ludzie nic nie znaczą. A z drugiej strony, no cóż, fascynuje pana ten potwór, z pewnością pana fascynuje, a tymczasem pana obowiązkiem jest wyegzekwować prawo, które go nie obejmuje. Zbrodnia doskonała to nie taka, w której podsuwa się fałszywego sprawcę, zbrodnia doskonała jest wtedy, gdy znając mordercę, nie można go oddać w ręce sprawiedliwości, bo sprawiedliwość jest dla słabych.

– Sprawiedliwość jest dla wszystkich.

– On panu udowodni, że nie.

– Jeśli pojedynek toczy się między tym potworem a mną, to co tu ma do rzeczy młody Pablo i dlaczego jest w to zamieszany?

– Odpowiem na oba pańskie pytania. Co do pierwszego z nich, to według pańskich praw ktoś musi w końcu trafić do ciupy. Co do drugiego, to jest bardzo, ale to bardzo niewielu ludzi zdolnych odkryć nowe idee, a nawet po prostu powiedzieć coś nowego. Ten malarz jest jednym z nich... Ale są idee, które nie powinny ujrzeć światła dziennego.

– Z tego, co widzę, zna pan jego twórczość.

– Kuba również ją zna. Mamy dwóch artystów i jednego psa gończego. Niech pan nie mówi, że to nie nadzwyczajny pojedynek. Dlatego kazałem pana wezwać. No a pan przecież nie mógł przepuścić takiej okazji. – Znów przerwał i mówił dalej: – Zresztą być może chłopak będzie wolny, ale jego oczy ujrzą potworności. I nigdy nie będzie już taki sam.

– A może pan się myli? Może Kuba ukazuje głębię swego odczłowieczenia, ale woda, którą chłopak wyciągnie z tej studni, będzie jasna i przejrzysta, to będzie nowa forma: piękna i pełna współczucia dla świata.

– Piękno jest brzydotą, a brzydota pięknem – powtórzył Sitwell za Szekspirem. – A teraz, za pozwoleniem, jeśli nie mogę niczym więcej panom służyć, to sądzę, że skończyliśmy.

54.

## Sanatorium

Sanatorium doktora Pauli, zajmujące się leczeniem chorób wenerycznych, stało na niezabudowanych terenach blisko ulicy Casanovy. W tamtą stronę udał się rankiem Picasso wraz ze swoim przyjacielem Pallarésem po wyjściu z domu Ricarda Sitwella. Nie zastali go jednak. Jest chory, powiedział kamerdyner, a on nie jest upoważniony do podania im adresu kliniki. Manolo użył podstępny, aby zobaczyć się z Klarą, służącą, którą znał z poprzednich wizyt. Dziewczyna dała im adres.

Sanatorium położone było niedaleko szpitala klinicznego, którego kamień węgielny został wmurowany dwudziestego piątego czerwca 1895 roku, ale projekt architekta Josepa Domènech i Estapà miał jeszcze jedenaście lat czekać na realizację, czyli na zakończenie budowy na terenach zakupionych przez magistrat i ratusz.

Pablo Picasso i Manuel Pallarés zostali przyjęci przez młodego lekarza, który zaprosił ich do małej salki. Wszystko tu pachniało

nowością, a nowoczesny sprzęt oraz liczny personel wskazywały na to, jakich pacjentów się tu leczy.

– Mówią panowie, że są przyjaciółmi Ricarda? – zapytał lekarz, gdy usiedli.

– Bardzo bliskimi, razem studiowaliśmy w La Lonji – odpowiedział Pallarés.

– Pytaliśmy jego rodzinę i powiedzieli nam, że wizyta przyjaciół dobrze mu robi – skłamał Pablo.

Młodzieńcy wydali się doktorowi sympatyczni. Ich stroje były co prawda trochę w stylu bohemy, ale czegoś innego można ocze-kiwać po malarzach.

– W jakim on jest stanie? – chciał wiedzieć Pablo.

– Złym, to skomplikowany przypadek.

Doktor opisał im pokrótce stan pacjenta. Jego zdaniem syfilis nie jest najpoważniejszym problemem, bo nie wszedł jeszcze w decydującą fazę. Naprawdę niebezpieczne są galopujące suchoty.

– Czy to bardzo groźne? – zapytał Pallarés.

– Typowy przebieg. – Doktor zżywieniem zaczął wymieniać symptomy: – Suchy kaszel, śluzowata wykrztusina, głośny wdech i długi wydech, charczenie, gorączka, brak apetytu, poranne poty i stopniowy spadek masy ciała.

– Ale... wyjdzie z tego? – Pablo, który, choć nie znał kilku symptomów wymienionych przez doktora, odniósł wrażenie, że jest ich dużo.

– Gruźlica jest uleczalna. Trzeba odpoczywać, dobrze się odżywiać i mieszkać w miejscach położonych na odpowiedniej wysokości.

– Jak na przykład ta klinika? – zapytał Pallarés.

– Tak, ale moim zdaniem on nie powinien tutaj przebywać.

Wszystko się komplikuje, a poza tym te halucynacje... mówi od rzeczy, wypowiada zdania, które nie mają sensu. Muszę przyznać, że jeszcze nie widziałem tak złożonego przypadku.

– Więc uważa pan, że to nie jest właściwe miejsce?

– Sądzę, że wbrew opinii rodziny lepiej by mu było w szpitalu zakaźnym, ale robimy, co w naszej mocy.

Diagnoza lekarza nie pozostawiała nadziei.

– Jeśli chcą go panowie zobaczyć, pielęgniarka zaprowadzi was do jego pokoju. Ale nie męczcie go zbytnio, przede wszystkim potrzebuje odpoczynku. Cały czas jest z nim zakonnica, nie może zostać sam.

– Dlaczego?

– Tak jak mówiłem, miewa również napady smutku i melancholii, a tego nie potrafimy tu leczyć. Na polecenie ojca chorego przychodzi doktor spoza naszego szpitala, by leczyć jego zaburzenia umysłowe. Czasami nie rozumiemy, co Ricardo mówi, miewa też stany, w których nikogo nie poznaje.

Pielęgniarka poprowadziła ich długim korytarzem do pokoju chorego.

– Dziesięć minut – powiedziała. Zamknęła za nimi drzwi, lecz czekała na korytarzu.

Zgodnie ze słowami doktora, choremu dotrzymywała towarzystwa zakonnica. Gdy młodzieńcy weszli i przywitali się, opuściła pokój.

Ricardo siedział u stóp łóżka z oczami wbitymi w okno. Ubrany był w białą koszulę. Wydał im się chudy i wyniszczony, wyglądał jak chory niemający cienia nadziei na wyzdrowienie.

– Jak się masz, Ricardo? – zagadnął Pablo.

– Pablo! Przyszedłeś mnie odwiedzić! – wykrzyknął Ricardo.

- Cześć – rzucił Pállarés.
  - Cześć, Manolo! Drodzy przyjaciele! Pablo przyszedł zobaczyć moje rysunki. Jak ci się podobają, Pablo?
  - Są bardzo dobre.
  - Dlaczego tak późno mi o tym mówisz?
  - Wiesz, jaki jestem. Ale naprawdę są bardzo dobre. Jak się czujesz?
  - Źle. Naprawdę podobają ci się moje rysunki? – Nie czekając na odpowiedź, Ricardo zwrócił się do Pállarésa: – Pablo mówi, że są dobre, podobają mu się.
  - Mnie też się podobają.
- Przyjaciele spojrzeli po sobie. Ricardo ma nie tylko chore płuca, ale także głowę.
- Chciałem cię o coś zapytać – odezwał się Pablo.
  - O rysunki? Pytaj, pytaj!
  - Nie, o moją pracownię. Kiedy byłeś u mnie ostatnim razem, wzięłeś coś stamtąd? Wzięłeś zeszyt i nóż?
  - Zeszyt i nóż. Zeszyt i nóż – powtórzył Ricardo jak dziecko.
  - Tak, właśnie tak. Wzięłeś je stamtąd? Ktoś kazał ci zabrać te rzeczy?
  - Nie, nikt. Zeszyt i nóż! – powtórzył znowu.
  - Ricardo, spróbuj sobie przypomnieć, to bardzo ważne – nalegał Pablo.
  - Nic od niego nie wyciągniesz. On jest już bardziej na tym świecie niż na tym. To niemożliwe, żeby był zabójcą.
- Słyszając ostatnie słowo, Ricardo zaczął krzyczeć.
- Zabójca! Zabójca! Krew... Krew... Znowu zaczął... ojczy!
  - Co ty mówisz?

– Musisz zapomnieć! Ja cię ochronię! Krew! Demon... Ale wstałem... Krew... Krew... Wszędzie krew!

– Co ty wygadujesz? Przed czym mają cię chronić? Co ty zrobiłeś, Ricardo? – dopytywał się Pablo, potrząsając nim. – Przed czym, Ricardo... To ty zrobiłeś?

Ricardo krzychał coraz głośniej, nie rozumiejąc Pabla, a ten wciąż nim potrząsał, trzymając za ramiona, starając się zrozumieć, o co mu chodzi.

– Zostaw go! – powiedział w końcu Pallarés. – Nie rozumiesz, że to nic nie da? On jest tu zamknięty! Zamknięty i chory!

Ale Pablo go nie słyszał. Naciskał na Ricarda coraz bardziej, a ten płakał i krzychał.

W tym momencie drzwi się otworzyły i weszły zakonnica z pielęgniarką. Musiały słyszeć krzyki. Kiedy zobaczyły, jak Pablo potrząsa chorym, który zaczął kaszleć i się dusić, rzuciły się na niego, wściekle, starając się oderwać go od chorego.

– Co pan robi? Czy pan zwariował? Proszę go natychmiast zostawić!

Pallarés też próbował rozdzielić kolegów.

– Nic się nie dzieje – powiedział do kobiet. – Ricardo się dusił, a Pablo chciał mu pomóc. To wszystko.

Jednak one nie wyglądały na przekonane.

– Proszę natychmiast stąd wyjść!

– Krew...! Krew...! – wrzeszczał Ricardo między jednym a drugim atakiem kaszlu.

– Za drzwi, bo inaczej wezwiemy policję! – krzyknęła pielęgniarka.

Wyszli. Pablo był wściekły, Pallarés też, ale na Pabla. Kiedy oddalili się od kliniki, Pallarés wybuchnął:



- Zwariowałaś? O mało go nie zabiłaś!
  - Słyszałaś, co on mówił?
  - Tak! Słyszałem! Słyszałem wariata, który plótł bzdury... Ten szaleniec nie może być mordercą, Pablo! Nie może!
  - To w takim razie co o tym myślisz?
- Pallarés starał się uspokoić.
- Powinieneś spotkać się z Arrowem i opowiedzieć mu o tym, a on wyciągnie wnioski. Oto, co uważam.

55.

## Amadeu Centelles

Policjant postanowił skrócić sobie papierosa, żeby mieć jakąś rozrywkę podczas warty. Stał tu wiele godzin, był i po drugiej stronie ulicy, i przed bramą, a teraz czekał już tylko, aż przyjdzie zmiana. Ale kolega miał go zmienić dopiero za cztery godziny.

W mieszkaniu kurwy nadal było jasno. Miał ochotę wejść na górę i ją obmacać. Tylko po to, żeby sprawdzić, jak pachnie kurwa, co obsługuje tylko bogatych klientów. Bo jak nie, to po jaką cholerę miałby jej pilnować? To prawda, że bestialsko wykończyli wszystkie dziewczyny z tego mieszkania, ale przecież ginęły też inne nieszcześnie dziwki, te, które robiły to na ulicy, i nikt się nimi nie przejmował. Tamte nie umierały z podejrniętym gardłem, ale z głodu, wskutek bicia i chorób.

Nie mógł zaprzeczyć, że była to spokojna służba, nawet za spokojna dla człowieka akcji, takiego jak on. Dla starego marynarza, który zdobywał szlify we flocie wojennej na Atlantyku, dopóki nie

wykurzyli ich z tej przeklętej wyspy. To były czasy, kiedy służył pod admirałem Cervera!

„Wypłynąć w morze” – powiedzieli. To był zły rozkaz tego cholernego rządu w Madrycie! I Cervera posłuchał, przekonany, że płynie ku kłesce. Nawet nie doszło do walki, bo Jankesi rozpruwali okręt za okrętem, jeden po drugim, po kolei, tak jak wypływały z portu w Santiago de Cuba. Walili w nie z dział i trafiali jak do tarczy, jakby polowali na króliki, a kule o krótkim zasięgu, wystrzeliwane z bezużytecznych statków hiszpańskich, ginęły w morzu, nawet nie ocierając się o wroga.

Wtedy Cervera kazał mu napisać krótki telegram: *Przegraliśmy wszystko.*

I oto po roku jest tutaj. On, Amadeu Centelles, stary telegrafista wielkiego admirała, służy teraz w policji i pilnuje burdelu.

Co za cholerny świat!

Kiedy dopalał papierosa, znowu pomyślał o kobiecie z mieszkania na piętrze i zaczął fantazjować na jej temat. Wciąż paliło się u niej światło, pewnie położy się niedługo do łóżka, może nago. W czystej pościeli. Przedtem popatrzy w lustro, rozczesze długie włosy, które opadną jej na ramiona, zdejmie podwiązki i... do licha! Odkąd wyjechał z Kuby, ani razu się porządnie nie pieprzył!

Z niechęcią rzucił niedopałek na ziemię. Ależ daleko są już te wspaniałe hawańskie cygara, które od czasu do czasu dostawał od admirała. „Pal pan, Centelles, pal pan. Może to już pana ostatnie” – mawiał admirał.

Policjant właśnie miał przydeptać niedopałek, kiedy poczuł, że coś przeszywa mu plecy z lewej strony. To było krótkie ukłucie,

coś zimnego, co wsunęło się w niego i szybko wysunęło. Zdążył się nawet odwrócić, ale nie widział napastnika, bo oczy zasły mu mgłą. Błysnął jeszcze kawałek zakrwawionego metalu, który trzymała jakaś ręka tuż przed jego oczami, gdy osuwał się na kolana.

Trzeba się pieprzyć, pomyślał i na zawsze zamknął oczy.

Ktoś zastukał do drzwi. Benigna podbiegła do okna. Policjanta nie było przed domem i to ją zaniepokoiło. Znów dzwonek. Benigna wychyliła się przez okno. Wtedy zobaczyła go i od razu poznała. Elegancki jak zawsze, w kapeluszu i w płaszczu. Wyszła na schody i pociągnęła za linkę, która otwierała bramę. Wszedł na klatkę schodową. Zostało jej kilka sekund, żeby poprawić włosy i włożyć coś uwodzicielskiego.

Gdy zadzwonił do drzwi mieszkania, wyszła otworzyć opromieniona najpiękniejszym ze swych uśmiechów. Tak naprawdę przez cały dzień była niespokojna i nie chciała samotnie spędzić nocy.

Kiedy otworzyła drzwi, zamarło jej serce i uśmiech. I spowiła ją noc.

Noc wieczna, lodowata i samotna.

Nie zdążyła nawet krzyknąć.

56.

## Czwarta ofiara

- Kto zawiadomił policję? – zapytał Arrow.
- Policjant, który przyszedł go zmienić rano. Znalazł ciało kolegi na ulicy Pou. Przebito mu serce.

Strużka krwi prowadziła od korytarza aż do pokoju Benigny. Tam, na łóżku, leżały zwłoki.

- Nie ma na to nazwy. To najgorsza ze zbrodni – wykrztusił lekarz sądowy.

Arrow szybko przemierzył korytarz, przepychając się między policjantami. Nie tylko podłoga, ale i ściany były całe we krwi.

- Kobieta biegła do swojego pokoju i poplamiała wszystko po drodze. Mój Boże, ile krwi jest w ludzkim ciele! – wykrzyknął lekarz, rozglądając się. – Poderżnął jej gardło, nie mogła krzyczeć – dodał.

- I biegł za nią, dżgając raz po raz – domyślił się Arrow.

- Nie doszła do pokoju. – Lekarz wskazał miejsce na korytarzu. – Upadła tutaj, a morderca ją podniósł i zaciągnął na łóżko.
- Jeszcze żyła?
- Nie wiem. Chyba tak. Proszę pójść za mną, a się pan przekonaj. Trudno to opowiedzieć...

Podążyłem za doktorem i Arrowem długim korytarzem do pokoju nieszczęsnej kobiety.

To, co leżało na łóżku, nie było ciałem, to były ludzkie podroby w kałuży krwi otoczone trzewiami. Trupa odwrócono na lewy bok. Poszarpana koszula nasiąkała krwią tak, że nie można było odgadnąć, jaki miała kiedyś kolor. Podobnie jak w przypadku pozostałych, zbrodniarz rozciął ofierze brzuch od mostka aż po okolicę narządów płciowych i górną część ud.

– Zabrał połowę macicy i wątrobę – stwierdził lekarz. – Potwór wyrwał jej też jelita, ale ich nie zabrał. Porzucił je u stóp łóżka.

– Cholera! Co za bestialstwo! Jeszcze gorzej niż poprzednio. Ten drań miał czas rozkoszować się swoją zbrodnią – powiedziałem.

– Tak, jest coraz zręczniejszy, jeśli można w tej sytuacji użyć takiego słowa, i dużo bardziej okrutny – dodał lekarz.

– Bestia musi działać coraz bardziej brutalnie, żeby osiągnąć ten sam stopień ekscytacji i nasycić swą żądzę władzy – wyjaśnił Arrow.

– Skąd ta fiksacja na punkcie organów płciowych? – zastanawiał się lekarz.

Jednak nie to przykuło uwagę Arrowa, nie brutalne wycięcie wagi i wywleczenie jej na wierzch, podobnie jak większej części pęcherza, jajników i innych narządów wewnętrznych, lecz

potwornie zmasakrowana twarz ofiary. I na to właśnie zwrócił uwagę mnie i lekarzowi.

Twarcz stanowiła amorficzną nierozpoznawalną masę. Była cała pocięta, jak gdyby naznaczona szybkimi, nerwowymi, ale precyzyjnymi pociągnięciami pędzla. Jedno nacięcie przecinało jej policzek od nasady nosa aż do lewej szczęki, odkrywając kość. Oderwał jej skórę, odciął nos i uszy oraz wyłupił oczy. Jedno z pchnięć nożem w usta sięgnęło dziąseł, wargi były odcięte i leżały na poduszce.

– Ten zwyrodnialec tak ją pokiereszował, że nie można jej rozpoznać – wyszeptalem.

– Bestia jest lekarzem albo zna się na anatomii – odrzekł doktor.

– Nie, nie jest lekarzem, ale ma pan rację, to bestia. Zajęło mu to nie więcej niż dziesięć minut. Ciął i siekł szybko, wściekle i brutalnie. Jak gdyby na twarzy tej biednej kobiety wygrywał ostatnie takty swojej makabrycznej symfonii. To zrobił na końcu, działał jak opętany i, jak mówię, bardzo szybko. – Arrow zamilkł i dodał po chwili: – Takie okaleczanie jest aktem subiektywnym i jednostkowym.

– Subiektywnym i jednostkowym? Co pan wygaduje? – prychnąłem.

– Że twarcz to człowiek, jak mówiła pewna wielka pisarka, której nazwiska nie pamiętam. Może nie zawsze tak jest, jednak zwykle do takiej przemocy dochodzi wtedy, gdy morderca i ofiara się znają. Jak mówiła ta pisarka, istnieje pewna analogia między artystą, który niszczy obraz, bo go znienawidził, a mordercą, który niszczy twarcz swojej ofiary.

– Skoro lepiej pan tego nie może wytłumaczyć... – powiedziałem.

– Chciał całkowicie zatrzeć jej oblicze, z siłą, zapalczywością i furią przekraczającą wszelkie granice, ciął, by osiągnąć stan, w którym jej piękna twarz nie będzie wywoływać pożądania. To, co ten potwór zrobił, to zniszczenie obiektu pożądania powodowane albo frustracją, albo gniewem, bo nie mógł go posiadać, albo też pragnął zmieść go z powierzchni ziemi. W swej frustracji musi czuć się zdesperowany i poniżony, dlatego jest coraz bardziej brutalny.

– Nie interesuje mnie przeklęta dusza tego człowieka – prychnął lekarz. – Powinien pan go zamknąć, zanim znowu zamorduje.

– Mnie też nie to najbardziej interesuje. Ale staram się poznać jego sposób myślenia, żeby jak najszybciej go złapać.

– Więc już za długo się pan z tym grzebie! – zagrzmiął jakiś głos.

To był gubernator, który próbował wejść do pokoju. Arrow zrobił krok w jego stronę i zastąpił mu drogę.

– Sądzę, że nie powinien pan tu wchodzić.

– Z drogi! Muszę ją zobaczyć!

W jego głosie była taka rozpacz, że serca nam zamarły. Arrow nie cofnął się jednak. Gubernator był błądy, na jego twarzy i w oczach malowało się ogromne cierpienie.

– Proszę, niech się pan odsunie – powtórzył. Arrow zrobił to.

– Nie powinien pan tu przychodzić – powiedział tylko. Ale gubernator go nie posłuchał. Kiedy zobaczył zwłoki, przeszył go ból. Jedyna kobieta, którą kochał, została złożona w ofierze jak bezbronne zwierzę. Nogi się pod nim ugięły.

– Proszę mi pomóc – jęknął, opierając się na mnie.

– Wyjdźmy stąd, proszę pana – powiedziałem.



Zaprowadziłem go do drugiego pokoju, pomogłem usiąść na łóżku i rozwiązałem krawat. Gubernator z trudem oddychał. Po jego twarzy płynęły łzy.

– Dobrze się pan czuje?

Nie odpowiedział.

Siedział tak w milczeniu z błędnym wzrokiem. Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem, by ktoś tak cierpiał. Zostawiłem go pogrążonego w rozpacz i wróciłem do sypialni.

Znaleziono broń.

Nóż był ukryty pod jedną z poduszek, znalazł go lekarz. Miał jedno ostrze, mniej więcej piętnastocentymetrowe, które – podobnie jak rękojeść – ubrudzone było krwią. Kiedy wszedłem do pokoju, Arrow starannie owijał go w kawałek materiału.

– Znalezliśmy jego nóż – oznajmił lekarz.

– Jakiś nóż – uściślił Arrow.

– Nie sądzi pan, że to narzędzie zbrodni? – zapytał lekarz zdziwiony.

– To jeszcze musimy ustalić. Na pierwszy rzut oka coś mi tu nie pasuje.

– Co pan ma na myśli?

– Niech pan mówi dalej, chcielibyśmy jak najszybciej poznać wyniki z oględzin zwłok – poprosił Arrow.

– Mówiłem, że przyczyną śmierci była rana cięta szyi o szerokości jakichś piętnastu, siedemnastu centymetrów. – Wskazał ciało i dodał: – Biegnie ona od lewego ucha i, jak możemy zaobserwować, kończy się około sześciu, siedmiu centymetrów pod uchem prawym. Powiedziałbym, że cięcie sięgnęło krtani, strun głosowych i doszło aż do chrząstki międzybrowej. Zaatakowano ją od przodu, jak powiedziałem na początku.

– Ale powiedział pan też, że ofiara przebiegła część korytarza?  
– Owszem, tak powiedziałem. Chodzi o drugie cięcie. Jest też pierwsze, płytsze, które zadał, gdy kobieta otworzyła drzwi. Być może podniosła rękę do szyi, uciekała korytarzem, w połowie drogi napastnik ją dopadł, wtedy się odwróciła lub została do tego zmuszona, i znów ją ugodził, tym razem śmiertelnie. Potem zaniósł ją do pokoju. Co pan sądzi o nożu? Pana zdaniem to nie jest narzędzie zbrodni?

– Nie wydaje mi się. Niech pan spojrzy na te rany. – Arrow podszedł do ofiary i zachęcił lekarza, by zrobił to samo. – To mi nie wygląda na rany zadane zwykłym nożem. Ten, który znaleźliśmy, to toporny nóż kuchenny i ma tylko jedno ostrze.

– Ale to ostrze odpowiada ranom zadanyom wszystkim czterem ofiarom. Jak pan może nie brać tego pod uwagę? – zdziwił się lekarz.

– Bo to zapewne spreparowany dowód, fałszywy trop, przyjacielu.

– A jaki by to miało sens?

– Taki, by nieco skomplikować dochodzenie. Taki, byśmy szukali nie tam, gdzie powinniśmy. Taki właśnie sens mają fałszywe dowody – powtórzył Arrow z przekonaniem.

– Co pan sugeruje? – zapytałem, chcąc włączyć się do rozmowy.

– Nie sugeruję, lecz twierdzę, że ten nóż, zwykły nóż kuchenny o rękojeści nieprzystosowanej do zadawania ran, o jednym tylko ostrzu, nie jest narzędziem zbrodni.

– Ale był ubrudzony krwią i wydaje mi się, że są na nim strzępy ubrania ofiary. Być może, gdy go zbadacie, znajdziecie na nim jakiś ślad pozostawiony przez mordercę.

– Z pewnością dźgano nim ofiarę i autopsja wykaże, że na ciele są rany zadane dwoma różnymi narzędziami. Tak, to prawda, ugodzono ją tym nożem ze dwa czy trzy razy i autopsja to potwierdzi, ale to zrobiono już po zabiciu dziewczyny i po tym, jak ją tak straszliwie okaleczono.

Wiedziałem, o co chodzi Arrowowi. Nóż wiązał z zabójstwem młodego Picassa. To był jego nóż. Steven nie zamierzał tego wyjaśnić ani dać się oszukać.

– Broń, której szukamy, ta, przy której użyciu odebrano życie tym czterem kobietom, to sztylet o dwóch ostrzach, mocny, szpiczasty, ma jakieś siedemnaście centymetrów długości i dużą rękojeść, która chroni dłoń zabójcy. I jest ostry jak brzytwa. To musi być ten sam nóż, który wbito w serce tego biednego policjanta na dole. Z łatwością przebił materiał munduru. Ta broń czysto i miękko przeszła przez ubranie tych nieszczęsnych kobiet. Jak widzicie, nijak się to ma do noża, który znaleźliśmy pod poduszką. Autopsja, jak pan słusznie zauważył, potwierdzi, że mam rację – zakończył Arrow swój wywód.

W tym momencie pojawił się nadinspektor Fonte w towarzystwie dwóch innych inspektorów. Arrow nie dał mu jednak dojść do słowa.

– Musimy porozmawiać. Lekarz wprowadzi pana w sprawę. Zechce mi pan towarzyszyć, Sherrinfordzie?

57.

## Gubernator

Weszliśmy do lokalu, który właśnie przed chwilą został otwarty, i poprosiliśmy o dwie mocne kawy. Usiedliśmy przy jednym z dwóch okien wychodzących na ulicę. Arrow wciąż milczał. Przybycie gubernatora na miejsce zbrodni bardzo go poruszyło.

– Widział pan, Sherrinfordzie? Ten biedny człowiek był naprawdę zakochany.

– Mówi pan o gubernatorze? Tak, rzeczywiście. Niby zaprawiony w bojach, a jednak tak go wzięło, że płakał jak dziecko.

Arrow szybko dopił kawę.

– Idziemy, Sherrinfordzie, już otwarte. – Wstał i rzucił na stół kilka monet.

– Co jest otwarte?

Ale Arrow chyba mnie nie usłyszał, bo już był w drzwiach. Przeszliśmy główną aleją, Borne, na drugą stronę i weszliśmy do

sklepu z materiałami, gdzie sprzedawano również suknie. Arrow kupił ubranie robocze, jedno z tych, jakich używają dokerzy w portach, uszyte z grubego i szorstkiego materiału. Wziął jeszcze czapkę.

Sprzedawca zapakował zakupy, Arrow zapłacił.

– Po co pan kupił to ubranie? Znowu będzie się pan przebiebrał?

– Odkryłem ten sklep, włócząc się po dzielnicy. Jak pan widzi, specjalizują się w szyciu ubrań roboczych. I tak: kupiłem to, żeby się przebrać.

– W jakim celu? Dokąd idziemy? – dopytywałem się zaintrygowany.

– Pan nigdzie nie idzie. A ja chcę sprawdzić kilka rzeczy na molo. I muszę to zrobić dyskretnie.

Po tych słowach nie udzielił mi już żadnych dodatkowych wyjaśnień. Wzięliśmy dorozkę.

– Pan zostanie w hotelu – oznajmił Arrow.

– Dobrze, już zrozumiałem, że nie życzy pan sobie mojego towarzystwa – odpowiedziałem nieco urażony.

– Zapewne odwiedzi nas młody Picasso i ktoś musi być na miejscu, aby go przyjąć.

– Dlaczego sądzi pan, że przyjdzie?

– Bo z całą pewnością otrzymał już kolejny makabryczny prezent, a po tym, co stało się dziś rano, potrzebuje pomocy bardziej niż kiedykolwiek.

Jednak to nie młody Picasso czekał na nas przy wejściu do hotelu, ale gubernator. Stał tam już od dłuższego czasu, jak powiedział nam recepcjonista.

– Pójdę na górę, jeśli pan pozwoli – powiedziałem, chcąc zostawić ich samych.

– Jak pan sobie życzy, Sherrinfordzie.

Z żalem rozstawałem się z Arrowem, ale wiedziałem, co znaczy utrata ukochanej osoby, szczególnie kiedy człowiek zbliża się do jesieni żywota. Patrząc na tego biednego człowieka, nie mogłem przestać myśleć o mojej ukochanej Mary, dlatego zostawiłem ich samych.

Później mój towarzysz opowiedział mi, o czym rozmawiali.

– Jestem zahartowanym człowiekiem – zaczął gubernator, wskazując Arrowowi fotel naprzeciwko siebie i prosząc, by usiadł. – Zawodowym wojskowym, który awansował po każdej bitwie, a było ich wiele. Jak panu mówiłem, walczyłem na Kubie i byłem gubernatorem generalnym Puerto Rico. Dużo w moim długim życiu widziałem, byłem w wielu miejscach. Ożeniłem się, nie było to szczęśliwe małżeństwo, ale udało nam się godnie przeżyć ten czas, aż do jej śmierci. Mam syna, którego kocham, ale nie wiem, gdzie jest, i nic go nie obchodzę. Takie jest życie, panie Arrow. Kiedy straciliśmy kolonie, byłem wściekły i palił mnie wstyd. Poprosiłem, by wysłano mnie do mojego rodzinnego miasta. Byli mi to winni. Rząd, królewskim dekretem przyjętym przez radę ministrów, po ponad dwudziestu pięciu latach czynnej służby w obronie kraju mianował mnie gubernatorem. To ja rządę w mieście, a w każdym razie chcę, żebym tak sądził. Jestem szefem prowincji, zwierzchnikiem burmistrza, ratusza i magistratu, reprezentuję rząd centralny. Ale nie oszukuj się. Wiem, kto tu rządzi, tutaj i wszędzie. Urodziłem się w dzielnicy Ribera i nigdy nie będę jednym z nich. Ale wie pan co? Guzik mnie to obchodzi. Tylko ona mnie obchodziła. Czy wie pan, co to znaczy zakochać się w moim wieku? Nie, pan tego nie może wiedzieć, bo pan jest jeszcze młody. Zobaczysz pan za dziesięć lat. Ale najważniejsze jest to, że ona mnie kochała, a ja nie

wierzyłem, że coś takiego może mi się jeszcze przytrafić. Nie obchodziło mnie, czym się zajmuje ani czy miała innych mężczyzn, czy nie. Gdy człowiek się starzeje, to w końcu wszystko wybacza, oprócz okrucieństwa, zdrady i fanatyzmu. Nasz związek z Benigna był taki, jak ona tego chciała. Nie obchodzi mnie, co ludzie powiedzą, i zapewniam pana, że gdyby tylko Benigna się zgodziła, oze- niłbym się z nią i nadal mogłaby robić to, na co by jej przyszła ochota. Ja nie jestem z tych kochanków, którzy, szukając szczęścia dla ukochanej, myślą je ze swoim szczęściem.

Arrow zastanowił się nad tym ostatnim zdaniem. Twarz generała pociemniała.

– A teraz mi ją zabili – ciągnął łamiącym się głosem.

Nagle jednak ten głos stał się gniewny, twardy i energiczny: – Chcę, żeby go pan schwytał, abym mógł go zabić własnymi rękami. Będę pana cieniem, panie Arrow. Morderca nie jest z mojej dzielnicy, ani to wariat, ani jakaś ofiara. A teraz niech mi pan powie, co pan wie.

Być może dlatego, że poruszyło go wyznanie starego, albo zobaczył czy rozpoznał w nim coś z siebie samego, Arrow zrobił to, czego nie miał w zwyczaju: opowiedział o swoich podejrzeniach.

Potem pożegnał się z gubernatorem, poszedł na górę do pokoju i, relacjonując mi przebieg spotkania, przebierał się w przylegającej sypialni.

– Podał mu pan nazwisko podejrzanego, nie mając wszystkich dowodów?

– Jestem właściwie pewny – odparł.

Kiedy wyszedł w przebraniu pracownika portu, nie rozpoznałem go. Ale tak było zawsze: nigdy go nie rozpoznawałem.

- Do diabła, Arrow! Nikt by nie powiedział, że to pan!
- Dziękuję, o to chodziło.

Ale ja wróciłem do wątku, który został przerwany, kiedy Arrow pojawił się w przebraniu:

- Gdyby był pan całkowicie pewny, toby się pan tak nie ubrał.
- Nie powiedziałem, że całkowicie, ale że właściwie. Proszę, Sherrinfordzie, niech mnie pan nie strofuje.
- Dokąd pan idzie?
- Już mówiłem, na molo. Chcę coś sprawdzić. Wrócę za dwie godziny.
- Będę na pana czekał.

Tak też zrobiłem, ale wcześniej pospacerowałem trochę wokół hotelu, żeby zrzucić ciężar wspomnień strasznych wydarzeń z ostatnich godzin, które nie dawały mi spokoju. Dwadzieścia minut później byłem z powrotem w pokoju.

Arrow wrócił nie po dwóch godzinach, lecz po trzech i pół. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Gdzie pan był? Zbliża się pora lunchu.
- Niech mi pan pozwoli się przebrać i wszystko panu opowiem w jadalni. Musimy się pospieszyć, bo, jak pan wie, mam się jeszcze zobaczyć z nadinspektorem Fontem.

Po chwili siedzieliśmy przy stole w jadalni i mój przyjaciel opowiedział mi, co robił przez większość przedpołudnia. Znalazł magazyn, w którym popełniono trzy z tych czterech zbrodni. Była to szopa na węgiel kamienny przeznaczony na eksport, węgiel o takim samym składzie, co plamy znalezione na ciałach dziewczyn.



– A wie pan, co jest najdziwniejsze? – zapytał przy deserze.  
– Z tym że nie dla pana, bo pan to już wcześniej podejrzewał.  
– Jak zwykle, mój drogi przyjacielu, ma pan rację niemal we wszystkim, jeśli chodzi o moją osobę. Moje podejrzenia się potwierdziły: spółka eksportująca, której własnością jest ten magazyn, należy do Sitwella.

– I sądzi pan...

– Że powinniśmy go zatrzymać i przesłuchać. Pamięta pan, co nam opowiedział dziennikarz „La Vanguardii” o pobycie księcia Clarence'a w Barcelonie?

– Tak, oczywiście.

– To się wydarzyło niedługo po zbrodniach popełnionych przez Kubę w Londynie. Użyjmy wyobraźni i spróbujmy zrekonstruować wydarzenia: pałac w Windsorze, tysiąc osiemset osiemdziesiąty dziewiąty rok. Pewien dżentelmen, przyjaciel Korony, przemysłowiec robiący interesy w Barcelonie, został wezwany do pałacu. Jak pan sądzi, jaki będzie przebieg tej wizyty?

– Mam być królową czy dżentelmenem?

– Ja będę królową i zacznę tak: „Oddał pan Koronie liczne przysługi. Czas z tym skończyć”.

– Jestem do usług, Wasza Wysokość – powiedziałem, wczuwając się w rolę tajemniczego jegomościa.

– Mój wnuk musi na jakiś czas zniknąć. To nie może się dłużej ciągnąć – powiedział Arrow.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedziałby ten dżentelmen w takiej sytuacji, i odparłem:

– Wszystko poszło tak, jak oczekiwaliśmy. Korona została uratowana.

– Nie chcę wiedzieć tego, czego, ze względu na moją pozycję, wiedzieć nie powinnam. Wystarczy mi pańskie słowo, że wszystko jest w porządku.

– Tak właśnie jest, Wasza Wysokość.

– Czy to było konieczne?

O rety! I co mam teraz powiedzieć? – pomyślałem.

– Niech pan się nie hamuje, Sherrinfordzie. Proszę uwolnić swoje myśli. Tak jak w dobrej powieści: sytuacja dostarcza odpowiedniego dialogu... Czy to było konieczne? – powtórzył.

– Tak, to było konieczne, Wasza Wysokość, dla dobra Imperium. Ale Wasza Wysokość ma rację, proszę trzymać się od tego z daleka. Sprawa jest zakończona.

Ta kwestia z mojego zaimprovizowanego dialogu zadowoliła Arrowa. Ośmieliłem się i dodałem:

– Księżę długo nie pożyje, jest ciężko chory, trawi go syfilis. Nie potrafiłem uchronić mego przyjaciela.

– Pan to mówi czy myśli? Niech pan nie zapomina, że rozmawia pan z królową Anglii!

– Ja to myślę, myślę, oczywiście – wyjaśniłem, zatrwożony gniewem Jej Wysokości.

– Niech pan nie czuje się winny. Jego smutny koniec to konsekwencja lekkomyślnego życia. Czegóż lepszego można było po nim oczekiwać? Zawsze miał słaby charakter. Wiele lat poświęciłam ciężkiej służbie dla ojczyzny i jestem już zmęczona, bardzo zmęczona. Zabiłabym własnego syna, gdyby nie umiał wykonać zadań, które wyznaczyła mu historia.

Odwaga królowej wywarła na mnie wielkie wrażenie.

– Jako królowa – dodał Arrow – też tego nie powiedziałem, ale pomyślałem. – Odsunął krzesło od stołu i wstał. – A teraz, mój drogi przyjacielu, musimy porozmawiać z Fontem. Niech wyjaśni nam kilka szczegółów i zamkniemy tę sprawę. Czy zechce mi pan towarzyszyć?

– Za nic w świecie nie chciałbym tego przegapić.

58.

## Wszystko na próżno

Sprzeczali się już dłuższą chwilę. Fonte był niewzruszony, jakby przygotował się na to, że nie da się przekonać i nie rozważy któregoś z argumentów Arrowa. Miał dosyć tego aroganckiego Anglika, który niczego nie potrafił rozwiązać.

– Pan ukrył przede mną informacje, zrobił pan to świadomie – oskarżał go Arrow.

– Niewyjaśnione zbrodnie z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku. Któż by sądził, że mają coś wspólnego z tym, co się teraz dzieje. Po tylu latach! A pan tu przychodzi ze swoimi teoriami i wmawia mi, że chodzi o tego samego mordercę i te same metody. I nie tylko to, jeszcze mi pan niemal rozkazuje, żebym aresztował sir Richarda Sitwella... Panie, czyś pan zwariował?

– Dobrze wiem, co mówię, a poza tym przyniosłem dowody.

– Dowody? Jakie dowody? Że jest właścicielem magazynu, w którym, pańskim zdaniem, popełniono trzy morderstwa? Że

jest Anglikiem? Że pasuje do rysopisu przestępcy? Że ma taką samą budowę ciała? Że jego syn się uczył i przyjaźnił z Picassem? Że jest podobny do jegomościa ze zdjęcia, które dostał pan od pi-smaka z „La Vanguardii”? Wiem, że się pan do niego nawet wy-brał, żeby zamęczać go pytaniami, i że na koniec wysunął pan pod jego adresem oskarżenia.

– Pan świadomie stara się mnie ośmieszyć. Co do Sitwella, to bawiliśmy się w kotka i myszkę. Ale ja wiem, że to on. Niech go pan zamknie, a zbrodnie ustaną! Uratuje pan dziewczynę!

– Pan chyba zwariował! Czy pan wie, kim jest ten człowiek? Co sobą reprezentuje? Gdyby tylko chciał, zmiotłby nas z po-wierzchni ziemi!

– Nie kiwnie pan palcem?

Fonte nie odpowiedział. Arrow zrozumiał. Przyszedł tu na próż-no. Kuba sprowadził go tylko po to, żeby się z nim zabawić. Po-wiedział mu to, kiedy wyciągnął go z wody, kiedy pomógł mu w porcie. „Gramy dalej”. Zbrodnia doskonała nie jest wtedy, gdy uda się podsunąć kogoś innego jako rzekomego sprawcę, lecz wtedy, gdy zna się prawdę, a wszyscy odwracają się w inną stronę, bo sprawiedliwość niektórych nie dotyczy. I był o krok od tego, by się o tym przekonać.

– Nie ruszy pan palcem, prawda? – zapytał jeszcze raz.

– Nawet gdyby to, co pan mówi, było prawdą... Nie, nie ruszy-łbym.

Zapadła cisza. Nie patrzyli sobie w oczy, ale w spojrzeniu Fon-tego nie było ani odrobiny odwagi, wątpliwości, wahania czy skru-chy. On już dawno zdecydował, po której jest stronie.

– Dziś rano znalazł pan narzędzie zbrodni i nie przyszło panu do głowy nic innego niż zniknąć – prychnął.

– To nie jest narzędzie zbrodni i pan o tym doskonale wie.

– To jest narzędzie zbrodni, mówię panu. Obu nam opłaca się w to wierzyć.

– To nie jest broń, która posłużyła do popełnienia przestępstwa – powtórzył Arrow.

– Niech pan wyjdzie na ulicę i aresztuje tego malarza. Obaj wiemy, że to jego nóż.

– Chce pan więzić niewinnego?

– Ktoś musi za to wszystko zadyndać na stryczku.

– Jest pan odrażającym człowiekiem – powiedziałem, choć do tej pory udawało mi się nie zabierać głosu. Ale teraz nie mogłem się powstrzymać.

Fonte nawet się do mnie nie odwrócił, odpowiedział, patrząc na Arrowa, jakbym nie istniał:

– Nie, jestem tylko urzędnikiem, który nie chce stracić pracy.

Nie można celować tak wysoko, Arrow, przecież pan o tym wie.

Wiedziałem, do czego się odnosi ostatnie zdanie tego łajdaka.

– Pan o tym wiedział. Znał pan zabójcę – syknął Arrow.

– I świadomie zachowywałem się jak dureń wobec pana i swoich ludzi... Nie, nie wiedziałem. Ale podejrzewałem, że chodzi o kogoś nietykalnego, kogoś, kto stoi ponad dobrem i złem. Takie pojęcia jak sprawiedliwość czy niesprawiedliwość dotyczą tylko zwykłych ludzi, takich jak my albo ten malarz, który, niech pan w to nie wątpi, zawiśnie na stryczku. To nieuniknione.

Arrow odwrócił się i biorąc mnie pod ramię, rzekł:

– Chodźmy stąd, Sherrinfordzie, bo zaraz zwymiotuję.

– Co pan chce zrobić? – zapytał Fonte.

Arrow wyszedł bez odpowiedzi, ciągnąc mnie za sobą.

– Na próżno, Arrow. Wszystko na próżno – rzucił za nami Abel Fonte.

59.

## Schować się

Wyszliśmy na ulicę. Arrow był wściekły. Szedłem za nim, a słowa Fontego wciąż dźwięczały mi w uszach. Ten sukinsyn był gotów posłać niewinnego chłopaka na szubienicę, czy jak tam się nazywa ten cholerny sposób rozprawiania się z przestępcami w tym mieście. Ale niegodziwość Fontego była podwójna, bo zostawił Carmen na pastwę tego monstrum.

– Musimy uratować dziewczynę – powiedziałem, wiedząc, co chodzi mojemu przyjacielowi po głowie.

– Ją i chłopaka. Powinni stąd wyjechać.

Wsiadliśmy do dorożki i kazaliśmy się zawieźć do pracowni młodego malarza.

– Fonte nie aresztuje Picassa, dopóki potwór nie popełni swej ostatniej zbrodni – powiedziałem.

– I dlatego chcę, by odtąd nie opuszczał pan Picassa nawet na krok. Pójdzie pan z nim po Carmen i jej dziecko i ukryjecie się w bezpiecznym miejscu, dopóki nie wrócę.

– A co pan zamierza zrobić?

– Złapać potwora.

Woźnica się zatrzymał.

– Pan jest już na miejscu, Sherrinfordzie. Ja jadę dalej – oznajmił Arrow, powiedziawszy mi przedtem, że spotkamy się wieczorem w hotelu, kiedy nasza para zostanie dobrze ukryta. Wszedłem do sklepu, na którego zapleczu Picasso miał pracownię, a dorożka wioząca Arrowa odjechała.

Arrow udał się do kliniki doktora Pauli. Nie spędził przy łóżku Ricarda dużo czasu, bo młodzieniec był umierający, ale i tak zdążył dowiedzieć się wszystkiego, czego chciał.

Przed budynkiem znów poczekał na dorożkę. Miał się ze mną spotkać. Zapadł zmierzch i Arrow postanowił pójść pieszo w kierunku bardziej ruchliwej ulicy.

I wtedy pogrążył się w ciemnościach.



60.

## Mój pan na ciebie czeka

Carmen zostawiła dziecko u sąsiadki, poprawiła kołnierzyk sukienki, po czym wyszła na ulicę i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę domu Benigny. Szła na skróty. Była już bardzo blisko celu, kiedy podszedł do niej nieznajomy.

– Mój pan na ciebie czeka – powiedział bez żadnych wstępów.

Carmen nie przestraszyła się, mimo że zauważyła na brzydkim obliczu tego osobnika cień wrogości. Rozejrzała się. Choć zaczynało się ściemniać, ulica była gwarna i pełna ludzi.

– Kim pan jest?

Nie odpowiedział. Ograniczył się do suchego stwierdzenia:

– Powinna pani pójść ze mną. Tak będzie dla pani najlepiej.

Carmen zawahała się, po czym krzyknęła:

– Nigdzie z panem nie pójde!

– Pójdzie pani, gdyż w przeciwnym wypadku już nigdy nie

zobaczy pani swojego dziecka – odpowiedział podejrzany typ z szyderczym uśmiechem.

Carmen zrozumiała, że jest gotów spełnić groźbę. Zostawiła dziecko w dobrych rękach, ale to było dziesięć minut temu, mógł zdążyć je dopaść. Być może ten podły człowiek nie jest sam, być może śledzili ją, jak wychodziła, i od razu przystąpili do działania.

Nieznajomy musiał wiedzieć, jakie myśli przelatują przez jej głowę, bo jego twarz rozjaśniło poczucie triumfu.

Carmen poszła za nim w stronę zaułka, w którym czekała doróżka.

61.

## Cień

Uderzyli go i porzucili w ciemnej uliczce. Ocknął się, kiedy poczuł, że ktoś grzebie mu w kieszeniach.

Odepchnął złodzieja. To był jakiś stary nędzacz, w dodatku pijany. Podniósł się i wyszedł z ciemnej uliczki. Portfel i pistolet były w kieszeni.

Nie miał chwili do stracenia.

Kiedy dotarł do portu, brakowało mu tchu. To był wyścig z czasem. Na moło rybaków nadal panował ruch, ale kawałek dalej, w strefie magazynów, było cicho i spokojnie. Szybko minął rampy, przy których stały towary, i dotarł do celu.

Przed magazynem stał powóz.

Arrow zbliżył się do niego z pistoletem w ręce. Woźnica siedzący na koźle był martwy.

Detektyw ruszył do magazynu. Zobaczył otwarte drzwi. Wszedł. Wewnątrz było dosyć ciemno. Przeszedł kilka kroków. Wchodził

coraz głębiej, w miarę jak jego oczy przyzwyczajały się do panującego w magazynie półmroku.

Zobaczył jakiś kształt, który wydał mu się ciałem leżącym na podłodze. To było ciało kobiety. Carmen. Nad nią pochylała się jakaś postać, niczym wielki czarny kruk, niczym hiena grzebiąca we wnętrzu dziewczyny, zasłaniając mu jednocześnie widok. Napastnik wyprostował się i odwrócił. Trzymał wielki sztylet, a jego dłonie w białych rękawiczkach ociekały krwią. Rzucił sztylet i rękawiczki obok ciała dziewczyny, a metaliczny dźwięk, jaki wydał sztylet, spadając na ziemię, przeraził Arrowa.

– Proszę wejść, Arrow. Czekałem na pana.

Mężczyzna zachowywał się bardzo swobodnie. Zapalił lampę, która do tej pory stała zgaszona na pudłach, i postawił ją na ziemi.

– Tak jak mówię, oczekiwałem pana. Chociaż nie tak szybko. Przerwał mi pan pracę.

Arrow zbliżył się do Carmen. Była martwa. Miała poderżnięte gardło. Ten potwór już zaczął kroić ją na kawałki.

– Nie sprowadziłem pana po to, by mnie pan złapał. Kazałem pana sprowadzić, żeby był pan świadkiem mojego sukcesu. Nadszedł dzień, w którym zbrodnia będzie potężniejsza od sprawiedliwości. Zaczyna się mój wiek, Arrow. Wiek potwornych zbrodni, gwarantuję to panu. I mogę pana zapewnić, że pozostaną bezkarne. Fonte ma już swojego zabójcę, a ja mam to, czego chciałem. Czas zejść ze sceny.

Słowa docierały do uszu detektywa jakby z oddali, kiedy patrzył w oczy kobiety, która nie zasługiwała na tak potworny koniec. Spoglądał na nią długo, z bólem, i nagle przycisnął ją do piersi. Tulił ją, a dusza go opuszczała.

– Co on jej zrobił! Co on jej zrobił! – powtarzał, starając się pohamować łzy i gniew, który zalewał mu serce.

– Zadałem jej cierpienie! To jej zrobiłem, tak samo jak innym. Wszystkie te przeklęte dziewczki na to zasługiwały. Gdyby pan widział nieszczęsną Benignę, kiedy pomyliła mnie ze swoim żalonym kochankiem! Żal mi pana, panie Arrow. Taki umysł! Taki wyjątkowy człowiek... zakochany w cholernej kurwie. Co za rozczarowanie! Nawet pan nie był w stanie stawić mi czoła. A teraz już wszystko skończone.

Arrow wziął się w garść, delikatnie położył Carmen na ziemi, zupełnie jakby bał się, że ją obudzi. Zwrócił się do bestii:

– To nieprawda i pan o tym wie. Pan znowu to robi. Tak jak w Londynie, tak jak tu osiem lat temu. Tak jak teraz. Pan nie może przestać. To choroba.

– Choroba? To księżę był chory, ciągle latał za babami, aż musiałem je likwidować jedną po drugiej. To był człowiek zrodzony do najwyższych zadań, a one zatrwały mu krew i przywiodły do śmierci. Mój syn też jest chory, zaczadzony tym samym złem, co księżę. Nie mogłem uratować ani jednego, ani drugiego. One musiały zapłacić, one i ten zdegenerowany malarz, który jest niby bogiem dla mojego syna. Otóż nie! Ja jestem bogiem!

– Bogiem, który przyszedł z piekła.

Sitwell poczuł przyływ siły.

– Bóg to ja! – zagrzemiał. – Malarz zapłaci za to, co uczynił mojemu dziecku, dla którego szykowałem tak wspaniałą przyszłość! Wszystko przez tego przeklętego malarza! Jego sztuka zdegenerowała ducha mojego syna, jego brudne przyjaciółeczki zainfekowały go perwersją. Przeklęte dziewczki i ci libertyńscy malarze, rozpustni i zdegenerowani!

– Widziałem pańskiego syna, wszystko mi opowiedział. On pana przyłapał, prawda? Mogę to sobie wyobrazić. Dziesięcioletni chłopiec widzi, jak pewnej nocy jego ojciec wraca do domu cały we krwi, trawiony przez diabelską gorączkę. Każdy by zwariował. Ale on musiał o tym zapomnieć. Wmówić sobie, że to tylko sen. No i ten sen przez te wszystkie lata stał się dla niego koszmarem. Nie, to nie te dziewczki, jak je pan nazywa, zabiły pańskiego syna. Musi pan dodać jeszcze jedną zbrodnię do swojej listy: popełnioną na własnym dziecku.

– Ja nie chciałem dzieciaka słabeusza, a skoro już się takim okazał, pozwoliłem mu uciec. Tak czy inaczej, historia kończy się w tym punkcie. Fonte ma swojego zabójcę, a ja dokończyłem dzieło.

– Dlaczego zabił pan swojego pomocnika?

– Był słaby mentalnie, choć skuteczny i lojalny. Przykro mi z jego powodu, ale nie ma sensu zostawiać chwastów. Tak naprawdę bardzo łatwo było zabić je wszystkie. Tak jak powiedziałem, szkoda, że nie widział pan Benigny. Ta głupia baba otworzyła mi drzwi taka szczęśliwa, to było proste. Musiałem tylko skombinować garnitur i kapelusz, takie, jak nosił jej żaloszny kochanek, ten stary fajtłapa, gubernator. Wszyscy są zepsuci! Żadne prawo mnie nie dosięgnie. Zaczyna się mój wiek, Arrow. Teraz ludzie niezwykli, tacy jak ja, będą robili z tym stadem baranów wszystko, na co im przyjdzie ochota. Zaprowadzimy owieczki prosto do rzeźni. Szkoda, że pan tego nie dożyje, Arrow, bo niedługo rozwiązę mój ostatni problem: problem pana, największego obrońcy prawa swojej epoki. Szkoda, że wybrał pan niewłaściwą stronę! Przepowiedziałem panu, że nie rozwiąże pan tej sprawy, i tak się właśnie stanie. Cholernemu malarzowi utną łeb na gilotynie, a pana znajdą w wodzie tuż

przy molo. Smutny koniec dla takiego człowieka: najinteligentniejszego ze wszystkich, jakich znałem. Sitwell uniósł pistolet i wycełował. Padł strzał, który odbił się głośnym echem od pustych ścian magazynu.

Ale to Sitwell upadł na ziemię, ugodzony kulą między oczy.

Gubernator opuścił rewolwer. Przybyłem do magazynu wraz z nim i młodym Picassem. Kiedy zobaczyliśmy ciało zbira przy powozie, postanowiliśmy wejść do środka.

– Obiecałem, że będę pana cieniem – powiedział gubernator, wbijając w ciało Sitwella wzrok pełen obrzydzenia i jednocześnie triumfu.

Kiedy Picasso zobaczył Carmen, natychmiast ruszył w jej stronę. Z otwartych ran płynęła ciepła jeszcze krew. Gubernator złapał go za ramię i powstrzymał.

– Niech pan nie patrzy, chłopcze, niech pan stąd wyjdzie. Nie rób tego, synu, mówię, bo sam przeżyłem coś takiego.

Wyszliśmy. Ja zostałem przy wejściu, a gubernator i Pablo poszli do powozu. Nie słyszałem, o czym mówili, ale ich widok mnie zasmucił. Wiedziałem, co znaczy stracić kobietę swojego życia, tak jak wiedzieli to już teraz także oni: ten stary i ten młody.

I wiedział to również człowiek, który został przy Carmen do chwili, gdy przyszedł lekarz sądowy i zabrano ciało. Siedział przy niej i trzymał ją za rękę, cały we krwi, która nie przestawała płynąć. Ocierał jej twarz, przytulał, głaskał, jak gdyby starał się przywrócić ofierze godność.

Mam wrażenie, że pozostał przy niej na zawsze.

62.

## Umowa

– To dla pana nic nowego, panie Arrow. Przeżył pan to już w Londynie, kiedy królowa udzieliła panu prywatnej audiencji – powiedział burmistrz, gdy przyjął nas w gabinecie po dziesięciu minutach wyklócania się.

Oficjalny raport ze sprawy, już zamkniętej, leżał na jego stole. Był podpisany przez Fontego i brakowało tylko podpisu najlepszego prywatnego detektywa.

– Zostawmy sprawy tak, jak są. To woźnica okazał się prawdziwym zabójcą. Za tym stoją bardzo wpływowi ludzie, przyjaciele sir Richarda Sitwella, przyjaciele, których nie należy drażnić. Komu potrzebny jest skandal? Ma pan swojego potwora i swoją zemstę. Mówię panu, nie ma sensu tego wszystkiego rozdrapywać, a za to nikt nie będzie męczył chłopaka. Jeśli się pan nad tym zastanowi, przyzna mi pan rację. To dobry układ – tłumaczył burmistrz.

Słuchałem jego słów z obrzydzeniem. Arrow nie szukał zemsty,



lecz sprawiedliwości. Sprawiedliwości, której już drugi raz mu odmawiano.

– A co z prawdą? – spytał.

– A kogo obchodzi prawda? Rozwiązał pan sprawę. Temat jest zamknięty, nie sądzi pan? Czasy się zmieniają, mój przyjacielu, i należy się do nich dostosować. Tak czy inaczej, sprawiedliwość została wymierzona, a o to panu przecież chodziło. Już tego nie rozgrzebujmy. Zawsze będziemy panu niezmiernie wdzięczni. Raport, po wprowadzeniu pewnych poprawek, będzie całkiem dobry, no i wszyscy zrozumieją, że nie tak łatwo oszukać Stevena Arrowa.

– Podpisuje pan? – zapytał Fonte.

Arrow nie odpowiedział. Wyszedł z pokoju, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

– Nie życzę sobie, żeby widniało tu jego nazwisko? – nadinspektor Fonte zwrócił się z pytaniem do mnie.

– Absolutnie nie. Jego wysiłek pozostanie jedynym wynagrodzeniem.

Wyszedłem z gabinetu, nie dodając ani słowa, i ruszyłem labiryntem korytarzy na poszukiwanie Arrowa. Czekał na mnie przed budynkiem.

– Jestem zmęczony, Sherrinfordzie – powiedział.

– Cokolwiek pan postanowi, uznam to za słuszne – odrzekłem.

63.

## Koniec

*Horta de Sant Joan, 1909 rok*

Wiedziałem, że malarz wrócił. Był teraz znanym artystą. I stał się, jak niektórzy mówili, trudnym człowiekiem. Zamieszkał w Paryżu, definitywnie rozstając się z Hiszpanią.

Wrócił do Horty dziesięć lat po swej pierwszej wizycie, gdyż poważnie chorował i jego przyjaciel Pallarés zaprosił go do siebie, by nabrał sił.

Arrow, mały Pablito i ja zamieszkaliśmy w tym miasteczku niedługo po wydarzeniach, o których opowiedziałem wyczerpanemu czytelnikowi. Arrow chciał spokoju i zapomnienia. Kupiliśmy dom na przedmieściu i w nim się zakwaterowaliśmy, obserwując, jak rośnie dziecko Carmen. Inteligentne i żywe dziecko, które Arrow adoptował i poświęcał mu czas jak własnemu. Chłopiec był szczęśliwy, Arrow zaś odnalazł spokój ducha, poświęcając się całkowicie jego edukacji oraz hodowli pszczół, które to zamiłowanie odkrył w sobie, gdy zamieszkaliśmy w Horcie. Każdego lata odwiedzał nas

mój kuzyn, któremu doskonale szła nauka na właśnie rozpoczętych studiach medycznych w Londynie. Bardzo się z chłopcem lubili.

Pablo Picasso przyjechał do miasteczka w towarzystwie Fernande latem 1909. Wynajęli pokój w hoteliku Convento, którego główna fasada wychodziła na okolony portykami plac przy ratuszu. Wieczorami Picasso wraz ze swą towarzyszką chadzał do kawiarni Antonia Vivesa, gdzie spotykał się ze swoimi dawnymi przyjaciółmi, między innymi wujem Maneletem i Nicolasem Ampostą – grali w domino i dyskutowali. Kończyli te posiedzenia dopiero rankiem, który witali śpiewem przy akompaniamencie gitary. Często przychodził tam też miejscowy głupek, witając się z Fernandą w bardzo szczególny sposób: opierał palec wskazujący o stół, z zaciśniętą pięścią, a Fernande odpowiadała mu takim samym gestem. Chłopcu bardzo się to podobało.

Za dnia Picasso poświęcał czas malowaniu pejzaży, stosując nowy, geometryczny styl. Widziałem go wiele razy u stóp góry Świętej Barbary, gdzie próbował prześcignąć tak przez niego podziwianego Cézanne'a, który zmarł trzy lata wcześniej. Nie podszedłem do niego. Spoglądałem na niego z oddali. Fizycznie nie bardzo się zmienił, nadal wyglądał bardzo młodo.

Aż któregoś wieczoru spotkaliśmy się w jakiejś kawiarni. To było chyba na początku września.

– Słyszałem, że zamieszkali tu jacyś Anglicy, ale nie przypuszczałem... – zaczął Pablo.

– Tak, mieszkamy tu od dość dawna. Bardzo się pan zmienił, chociaż nadal młodo pan wygląda – powiedziałem.

Fernande i reszta obserwowali nas z zainteresowaniem.

– Przyjaciele na pana czekają – powiedziałem.

– Chciałbym was odwiedzić i powspominać stare czasy. A poza tym mam panom coś do pokazania.

Podałę Pablowi adres i zaprosiłem na następny dzień.

– Będę na pewno – powiedział, mocno ściskając mi dłoń. – Kiedy widzieliśmy się ostatni raz...

– Pierwszego lutego nowego wieku. To było w Czterech Kotach, wystawiał pan wtedy cykl rysunków. Bardzo podobały się Arrowowi. Potem wyjechał pan do Paryża.

– Co z Arrowem?

– O tym jutro – odrzekłem.

Tej nocy prawie nie mogłem spać. Co takiego chce mi pokazać? Obudziłem się koło piątej nad ranem i wszedłem do pokoju Pablita. Dłuższą chwilę stałem, patrząc, jak śpi. Twarzyczka dziecka tak bardzo przypominała rysy jego biednej matki.

Picasso przybył następnego dnia o umówionej godzinie. Pablito poszedł się bawić, więc byłem w domu sam. Zaprosiłem gościa do środka.

– Po tym wszystkim, co się wydarzyło, znaleźliśmy w tym miasteczku spokój – powiedziałem.

– A gdzie Arrow?

Zapraszającym gestem skłoniłem go, by mi towarzyszył.

– Zmarł niecały rok temu – powiedziałem, gdy stanęliśmy nad jego grobem.

Ta wiadomość bardzo Pabla poruszyła. Nie wiedział, co powiedzieć. Wiele mu zawdzięczał. Zawdzięczał mu życie.

– To był niezwykle człowiek – rzekł w końcu.

– Najlepszy, jakiego znałem.

Wróciliśmy w milczeniu do domu i zaprosiłem go na kawę. Picasso był głęboko zasmucony.

- Pański przyjaciel uratował mi życie – powtórzył.
- Tak – mruknąłem.

Spędziliśmy razem całe popołudnie. Pablo opowiedział mi o swoim dzieciństwie, Maladze, o La Coruñi, o zmarłej siostrze, lekcyjach udzielanych mu przez ojca, początkach rysunku, kiedy nic jeszcze nie potrafił, przyjeździe do Barcelony, o wielkich nadziejach i marzeniach dziecka i młodzieńca, przyjaciółach, wielkiej miłości, Benignie, spotkaniach z marynarzem, dniach spędzonych w domu publicznym i strachu. Opowiadał o tym wszystkim tak szczegółowo i z taką nostalgią, bólem i radością, że wywarło to na mnie wielkie wrażenie. Zamilkł, po czym spojrzał na mnie w nadziei, że obdarzę go współczującym spojrzeniem. Tak się stało, a wtedy rozwinął płótno, które przyniósł.

– Namalowałem ten obraz dwa lata temu, ale nikt go nie zrozumiał.

W pierwszej chwili te dziwaczne i poucinane formy – bo nigdy nie widziałem czegoś podobnego – wydały mi się niepokojące i wręcz odpychające. Obraz przedstawiał niezwykle walkę. Ale jednocześnie pociągał mnie i nie mogłem przestać na niego patrzeć.

I wtedy je ujrzałem. Chodziło o to, żeby spojrzeć inaczej. One tam były, rozpoznałem je wszystkie, mimo nowoczesności zastosowanej techniki: Benigna, Marta Planas, Negra, Francuzka, a pośrodku Carmen. Namalował wszystkie te biedne kobiety, których nie zdołaliśmy uratować, w jednym z pokoi burdelu przy ulicy Avinyó. Byłem głęboko poruszony.

– Kiedy pokazałem je Matisse'owi, powiedział, że jestem nie-normalny. Deraina i Braque'a to odrzuciło. Marszand Kahnweiler orzekł, że jest to obraz dziwny, niedokończony i niespójny. A co pan sądzi?

– Wydaje mi się, że wyraża cały ból tamtych dni – powiedziałem, nie odrywając wzroku od dzieła, a zwłaszcza od jednego szczegółu, na którym skupiała się uwaga widza. – Widzę, że namalował pan też nóż – dodałem.

– Nóż? – zdziwił się Pablo.

Zbliżyłem się do płótna i wskazałem róg stołu, który niczym sztylet przeszywał obraz, dzieląc go na dwie części, i skierowany był groźnie w stronę Carmen. Tak, to wyglądało jak nóż, który zaraz miał się w niej bestialsko zanurzyć.

– To nie było świadome. Nawet o tym nie pomyślałem. I co pan sądzi? – znów zapytał malarz.

– Nie ma tu centrum, nie ma perspektywy. Wszystko jest rozbite. To... jak ostrzeżenie przed przyszłością, przed nadchodzącą epoką. – Zatrzymałem się i przypomniałem sobie rozmowę z Arrowem, kiedy opowiadałem mu o moich nadziejach związanych z naddciągającym wiekiem. Teraz nie byłem już takim optymistą jak wtedy.

Picasso poprosił, bym kontynuował.

– Przepraszam, zamyśliłem się – mruknąłem.

Starałem się opisywać wrażenia, które wywoływał ten obraz.

– W tym melancholijnym niebieskim tle jest coś demonicznego i magicznego zarazem. Przekształcił pan formy, jak gdyby chciał pan odkryć nową anatomię. Zerwał pan z liniami krzywymi i zdrugotał trzeci wymiar diabelskimi deformacjami. – Zbliżyłem się jeszcze bardziej do obrazu i studiowałem dziewczęta, mówiąc: – Te owalne twarze, roztrzaskane ramiona i puste oczodoły wyrażają cały ból, jakiego doświadczyły za sprawą bestii. Więcej: oddają całe cierpienie rodzaju ludzkiego.

One patrzą na nas z pogardą, rzucają nam wyzwanie, bo nie potrafiliśmy ich uratować. Ale jest coś jeszcze: pan, mój drogi

przyjacielu, znalazł nową formę ekspresji. Malarstwo stało się dla pana sposobem na połączenie ducha ze światem poprzez nowy sposób postrzegania go: jednoczesny, natychmiastowy, całkowity i zachodzący poza czasem. Wszystko, co stare, zniknęło, pan zrobił coś wyjątkowego, czego nie zrobił nikt inny przez ostatnie pięćset lat. Od tej chwili nie będziemy mogli patrzeć na świat tak jak dawniej. – Iw końcu, choć obawiałem się odpowiedzi, odważyłem się zadać pytanie: – Nie ma perspektywy, prawda?

– Umarła wraz z Carmen – odpowiedział Pablo z westchnieniem.

Lekko drżącą ręką wziął filiżankę z kawą, wypił wolno i po chwili powiedział:

– Nie mogłem przestać o niej myśleć. O nich. Nawet w Paryżu. Myśleć, myśleć! Przez tyle lat! I wtedy zamknąłem się w sobie. Chciałem je z siebie wyrzucić. Zrobiłem to w ponad szesnastu zeszytach, na ośmiuset rysunkach i paru obrazach, aż doszedłem do tego ostatecznego. Aż je znalazłem. Nie szukałem pięknej formy, miałem do przekazania treść, chciałem coś powiedzieć, chciałem przekazać ból tamtych dni i ból, który nas czeka. – Pablo zamilkł. Był jak w transie i widziałem na jego twarzy dziwny uśmiech, kiedy dodał: – Wszyscy wyrazili swoją opinię, ale tylko pan i ja wiemy, jak było naprawdę. Nafantazjowali się na temat tego obrazu i jego pochodzenia, ile tylko chcieli, szukali źródeł w iberyjskich rzeźbach, w sztuce Afryki i w jakichś naukowych teoriach. A ja się z tego wszystkiego tylko śmieję. Pytają mnie, co sądzę, i nadal się śmieję. Teraz już pan wie dlaczego. Tylko pan mnie zrozumiał.

– Bo znam fakty, jak mawiał Arrow, i to brutalne fakty. Niech pan go schowa – powiedziałem, pomagając Pablowi zwinąć obraz. – Będzie o nim jeszcze bardzo głośno, zapewniam pana.

Sztuka to cierpienie, pomyślałem, patrząc w oczy tego wielkiego mistrza, który nie miał jeszcze trzydziestu lat, a dzięki swemu przeniikliwemu spojrzeniu wykraczał poza znane formy. Było to spojrzenie zdolne rozłożyć na czynniki pierwsze ten nowy wiek, który, wbrew moim przepowiedniom, nie mógł zacząć się gorzej.

– Chcę panu coś zwrócić.

Otworzyłem szufladę biurka i wyjąłem z niej zeszyt.

– Proszę, to należy do pana – rzekłem.

Był to zeszyt, który znaleźliśmy na miejscu zbrodni, gdy zginęła Francuzka. W tym momencie do pokoju wbiegł Pablito, z całą radością właściwą wszystkim dzieciom w wieku jedenastu lat.

– Przywitaj się z panem, to nasz przyjaciel.

Pablito podał rękę Pablowi i zniknął w ogrodzie. Picasso schował zeszyt do torby. Kiedy zostaliśmy sami, spojrzał na mnie pytająco.

– Tak, to jest synek Carmen. Arrow go adoptował i, jak panu powiedziałem, we trzech przeprowadziliśmy się do tego miasteczka. To dobre dziecko. Bardzo kochał Arrowa. Znosi to wszystko dobrze, jak na swój wiek. Matki nie poznał, a jego przybrany ojciec... No cóż! – Nie mogłem mówić.

Picasso wyszedł do ogrodu i zbliżył się do chłopca, który rył w ziemi kijkiem.

– Co robisz?

– Rysunek. Zrobić też dla pana?

– Dobrze, zrób.

– Co mam narysować?

– Może gołębia?

– Od czego zacząć?

– Od czego chcesz... Poczekaj, zaraz wrócę.



Picasso oddalił się na chwilę. Zauważyłem, że jego oczy wypełniły się łzami. Wrócił po piętnastu minutach z paczką pod pachą.

– Już ma pan swojego gołębia – powiedział chłopiec.

Pablo pogłaskał go po głowie i wręczył mu pudełko farb.

– Masz, to prezent dla ciebie. Należały do mojego ojca.

## Jak narodziła się ta historia

Historia powstania *Malarza cieni* sięga czasów, gdy obserwowałem narodziny pewnego muzeum. Miałem siedem lat i uczyłem się w nieistniejącej już Akademii Montcada, mieszczącej się przy ulicy o tej samej nazwie. Było to zaledwie dwadzieścia metrów od Muzeum Picassa. Widziałem, jak muzeum to powstaje – cztery kroki od mojej szkoły. Dziesięć lat później, w kwietniu 1973 roku, byłem z rodzicami na wycieczce w Gironie i tam usłyszeliśmy przez radio, że Picasso nie żyje. Studiowałem wtedy w Szkole Sztuk i Rzemiosł przy ulicy Avinyó. Mój profesor rysunku znał Picassa, pracował też z Miró przy cyklu *Barcelona*. To było ponad trzydzieści lat temu. W 1973 roku straciliśmy trzech wielkich Pablów: Nerudę, Casals i Picassa. Dla mnie w tamtym okresie Picasso był kimś równie sławnym jak Beatlesi, był już bardzo stary, pochodził z innego wieku, namalował już prawie wszystko i, jak mi się wtedy wydawało, żył od zawsze.

Ta cecha Picassa – jego długowieczność – zawsze mnie fascynowała.

Kiedy Picasso umarł, upłynęło zaledwie pięć lat od lądowania człowieka na Księżycu, ale kiedy przyszedł na świat, jeździło się

powozami, nie było samochodów, telefonu, samolotów, radia, fonografu, kina, traktora Ivel ani wolnych niedziel dla robotników.

Kiedy Picasso przyszedł na świat, w Hiszpanii rządził Alfons XII, a regentką była Maria Krystyna, w Anglii zaś panowała królowa Wiktoria... a Kuba Rozpruwacz dopiero za siedem lat miał zacząć bestialsko mordować na ulicach.

Gdy pracowałem nad tą powieścią, przeczytałem prace Patricka O'Briana, jednego z jego biografów, które dały mi dużo do myślenia. O'Brian pisał, że kiedy Picasso zaczynał malować, żył jeszcze van Gogh, w Prowansji Cézanne malował górę Świętej Wiktorii, Gauguin planował ucieczkę na Tahiti, we Francji właśnie zmarł Victor Hugo, Pasteur dopiero co opublikował artykuł o szczepionce przeciwko wściekliznie, Rodin wyrzeźbił *Mieszczan z Calais*, a dzieła Seurata, Degasa, Renoira czy Moneta jeszcze nie powstały. Kiedy Picasso miał dziewięćdziesiąt lat, wszystkim mężczyznom, którzy byli wtedy przed czterdziestką (ja miałem wówczas piętnaście lat), wydawało się, że istniał od zawsze i od zawsze był sławny. Przywodził na myśl pomnik. Być może w tamtym okresie miał niewielki wpływ na młodych malarzy, ale w ciągu ponad siedemdziesięciu lat był świadkiem i uczestnikiem narodzin sztuki nowoczesnej: postimpresjonizmu, ekspresjonizmu, symbolizmu, modernizmu, kubizmu, dadaizmu, surrealizmu, abstrakcjonizmu...

To właśnie długowieczność zainspirowała mnie i pozwoliła połączyć dwie postacie historyczne, Picassa i Kubę Rozpruwacza, i dodać do nich trzecią, fikcyjną; najślynniejszego detektywa wszech czasów, na kanwie jednej przygody, w której kieruję się dwoma przykazaniami *Dekalogu doskonałego powieściopisarza* Horacia Quirogi: nie zaczynaj pisać, dopóki nie będziesz pewny, dokąd zmierzasz od pierwszego słowa, oraz opowiadaj tak, jakby twoja

historia nie była dotąd znana nikomu oprócz wąskiego grona biorących w niej udział bohaterów, a ty mogłeś być jednym spośród nich.

Jak jest skonstruowana ta historia? Jak to się dzieje, że wszystkie te tak różne elementy i postacie łączą się, tworząc spójny świat literacki?

Urodziłem się w dzielnicy Barceloneta i spędziłem dzieciństwo w okolicy, w której mieszkał Picasso.

Mój świat w tamtym czasie ograniczony był od wschodu przez knajpy i plaże Barcelonety, od zachodu była Santa Maria del Mar i ulica Montcada, od północy dzielnica Borne, ulica Comercio i park Cytadeli, a od południa ulica Layetana, poczta, ulica de la Merced i bulwar Kolumba aż do Rambli. To były te same miejsca, którymi w młodości chodził Picasso! Kiedy to zrozumiałem, jego postać nie przestawała mnie fascynować.

Co zaś się tyczy Kuby Rozpruwacza, niektórzy badacze sądzą, że wyjechał do Stanów Zjednoczonych. A dlaczego nie do Barcelony? – pomyślałem. Co by się stało, gdyby doszło do spotkania Kuby Rozpruwacza i Picassa, dwóch tak silnych i tak kontrowersyjnych postaci?

Z drugiej strony w moim mieście istniała kolonia angielska, która przyczyniła się do rozwoju gospodarczego, kulturalnego i sportowego Barcelony. Dostarczyło mi to sporo materiału literackiego.

Postać detektywa Arrowa posłużyła mi za pomost pomiędzy Piccassem a Kubą Rozpruwaczem. Arrow jest postacią historyczną. Dowiedziałem się o nim, czytając *Kronikę XX wieku*, opublikowaną przez wydawnictwo Plaza y Janes. Krótka notka informowała o szanowanym angielskim detektywie, którego policja w Barcelonie zaangażowała do zorganizowania korpusu straży. To była mała wzmianka na osiemnaście linijek, w której nie podano więcej

szczegółów. Zmieniłem nieco datę przybycia Arrowa do Barcelony i przyszło mi do głowy uczynić go prototypem najśłynniejszego detektywa wszech czasów, Sherlocka Holmesa.

Nie ujął przecież uwagi znawcy przygód Sherlocka Holmesa wątki pochodzące ze *Studium w szkarłacie* i innych opowiadań. Zapraszam do ich odkrywania, bo stanowią element gry literackiej w tej powieści.

Jaką historię chciałem opowiedzieć?

Lata dzieciństwa i młodości geniusza Picassa, jego zderzenie z potworem Kubą Rozpruwaczem i przemianę, jaka zachodzi w chłopcu w efekcie tego spotkania. Walkę między dwiema potężnymi siłami: geniuszem zła u szczytu występku i geniuszem sztuki u progu kariery.

Ale też dwie historie miłosne. Historię miłości dwóch mężczyzn, malarza i detektywa, do tej samej kobiety. To są dwie różne formy miłości.

No i wreszcie genezę dzieła sztuki, widzianą jako kumulacja destrukcji: kubizm, który właśnie narodził się wraz z obrazem *Panny z Awinionu*, przedstawiającym pięć prostytutek, które mogły przecież paść ofiarą Kuby Rozpruwacza.

Umysł pisarza można chyba porównać do tego, co dzieje się z podziemnymi złożami bogactw naturalnych. I tu, i tam, z upływem czasu, rozmaite minerały osadzają się w postaci kolejnych warstw. Ja w tej powieści starałem się je odkryć, nadać pewną strukturę pierwiastkom, na które natrafiałem podczas tych wykopalisk – w taki sposób, by wytłumaczyć kolejne zwroty opisywanej historii.

A jeśli zdołałem zainteresować czytelnika i nie zawiodłem jego oczekiwań, to mogę powiedzieć, że jestem usatysfakcjonowany.

## Podziękowania

Napisanie tej książki nie byłoby możliwe, gdyby nie prace na temat Kuby Rozpruwacza autorstwa Particii Cornwell, a zwłaszcza jej znakomita książka *Kuba Rozpruwacz. Portret zabójcy*. Wiedzę o Picassie czerpałem przede wszystkim z książek Patricka O'Briana *Pablo Ruiz Picasso* i Pierre'a Cabanne'a *Wiek Picassa*. Co do kryminologii, pomocą posłużyły mi *Wstęp do kryminologii* Alfonsa Serrana Mailla oraz *Linie papilarne* Colina Beavana. Na temat najśłynniejszego prywatnego detektywa czytałem zwłaszcza pracę *Wszystko o Sherlocku Holmesie* wydawnictwa Catedra.

Pozostali autorzy, scenarzyści i reżyserzy, z których dzieł skorzystałem i którym winien jestem wdzięczność, to: Pilar Abeijón, M.L. Bernadac, Sally Benson, Esther Boix, P. Du Bouchet, Giulio Carlo Argan, Maria Ángeles Castillo, Bob Clark, Corredor-Matheos, Ricard Creus, Alexandre Cirici, Henry-Georges Clouzot, Manfred Curry, Eddie Campbell, Vicente Garrido, Alfred Hitchcock, John Hopkins, José Maria Huertas-Cleveria, bracia Hugues, Enríe Jardí, Susana Laguna, Mario Livio, Gordon McDonnell, Alan Moore, Josep Palau i Fabre, czasopismo „Papitu”, Francisco Pérez Abellán, Francisco Pérez Caballero, Carsten-Peter Warncke, Marta Povo, Stewart P. Evans, Maria Pilar Queralt del Hierro, Paolo Lecaldano, Frederick Malins, Claustre Rafart i Planes, Alma Reville, Rodríguez Aguilera, Franco Russoli, Albert

Skira, Cinzia Tani, Jesús Urceloy, Keith Skinner, Rosa Maria Subirana, José Maria Valverde, Edmon Vallès, Ingo F. Walter, Billy Wilder, Thornton Wilder. Dziękuję też „La Vanguardii” oraz czasopismu „Historia y Vida”.

Jeśli chodzi o wystawy, to znakomita była ta zorganizowana przez Fundację Miró pod tytułem *Ciało bez ograniczeń*, jak również wystawa MNAÇ poświęcona Ramónowi Casasowi, wystawa Muzeum Graneta *Cézanne w Prowansji w Aix en Provence* oraz wystawa Muzeum Narodowego Reina Sofía poświęcona Picassowi.

Wreszcie dedykuję tę książkę mojej żonie Rocío, która pierwsza wpadła na ten pomysł, dzieciom Oldze i Ángelowi oraz Ramónowi Conesie, który jest moim agentem i przyjacielem, towarzyszem nieprzespanych nocy. A także Jamesowi Masonowi, najlepszemu Watsonowi, jakiego widziałem.

# Spis treści

Pewnego razu poznałem	10
<b>CZEŚĆ PIERWSZA PABLO PICASSO</b>	<b>19</b>
1 El Torin	21
2 Pracownia	26
3 Manolo Pallarés	35
4 Prasowaczka	40
5 Marynarz	48
6 Rysunek	55
7 Nauka i miłosierdzie	63
8 Cztery Koty	69
9 Szacunek	72
10 Malaga	74
11 Madryt	78
12 Nowe światy	83
13 Cesarzowa	87
14 I to jak dobry, ojczy	91
15 La Pajarera Catalana	98
16 Lulú	109
17 Nonell	114
18 Marta Planas	122
19 Głupie panisko	127
20 Jatka	131
21 Tak jak w roku dziewięćdziesiątym	135
22 Paczka	137
23 Rozpacz	142
24 Zebranie	144



25	Malarz i modelka	150
26	Kolor	154
27	Z serdecznymi pozdrowieniami – Kuba	160
28	Magia	166
29	Problem	175
30	Następna paczka	180
CZĘŚĆ DRUGA GRA SIĘ ZACZYNA		183
31	Depesza	185
32	Zaraźliwa pasja	190
33	Steven Arrow, detektyw	199
34	Początki	209
35	Zbrodnie	212
36	Zgubne uzależnienie	222
37	Przypadkowe spotkanie	225
38	Podejrzany	231
39	Pierwsze tropy	236
40	Co za hańba!	245
41	Martwi mówią	247
42	Przybywam z piekieł	251
43	Hades i Marsjasz	256
44	Nowoczesna gazeta	265
45	Profil	280
46	Ponury przypadek	294
47	Benigna	299
48	Carmen	312
49	Pijak	325
50	Francuzka	329
51	Trzecia ofiara	333
52	W tłumie	341
53	Anglik z Barcelony	346
54	Sanatorium	353

55	Amadeu Centelles	359
56	Czwarta ofiara	362
57	Gubernator	369
58	Wszystko na próżno	377
59	Schować się	380
60	Mój pan na ciebie czeka	382
61	Cień	384
62	Umowa	389
63	Koniec	391
	Jak narodziła się ta historia	399
	Podziękowania	403